



ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC)

**Trzej
muskietierowie,
tom drugi**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC)

Trzej muszkietierowie

TEŁUM. NIEZNANY

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ I. POWRÓT

Zwierzenia Athosa oszołomiły d'Artagnana.

Ale w tem odkryciu połowicznym pozostało dużo stron niejasnych.

Po pierwsze, pochodziło ono z ust pijanego, a uczynione zostało człowiekowi, któremu nieźle zakręciło się w głowie, a jednak, pomimo wspomnień, zmaconych wyziewami paru butelek burgunda, d'Artagnan, przebudziwszy się nazajutrz rano, miał każde słowo Athosa w pamięci, jakgdyby wryło mu się w umyśle.

Te wątpliwości pobudziły w nim pragnienie tem większe zdobycia jakiejś pewności, poszedł do przyjaciela z zamiarem rozpoczęcia wczorajszej rozmowy.

Zastał Athosa wytrzeźwionego zupełnie, co znaczy najprzebieglejszego i najbardziej nieprzeniknionego z ludzi.

Athos nawet, uściskawszy mu rękę, sam uprzedził jego myśl.

— Okrutnie pijany byłem wczoraj, drogi d'Artagnanie — rzekł — czuję to dziś jeszcze po kołowatym języku i pulsie przyspieszonym; założyłbym się, że powiedziałem tysiące niedorzeczności.

To mówiąc, spojrział bystro na przyjaciela, co tegoż zmieszało mocno.

— Gdzież tam — odparł d'Artagnan — o ile przypominam sobie, nic nadzwyczajnego nie mówiłeś.

— Zadziewasz mnie! Zdawało mi się, że mój najsmutniejszą historję opowiadał.

I patrzył na młodzieńca, jak gdyby na dno serca zajrzeć mu pragnął.

— Na honor!... — odparł d'Artagnan — byłem widocznie więcej, niż ty, pijany, skoro nic sobie nie przypominam.

Nie zadowolili się tem Athos i począł:

— Uważałeś zapewne, mój drogi, że ilu jest ludzi, tyle rodzajów pijaństwa, smutnego lub pełnego wesołości; mnie upojenie doprowadza do smutku i niech mi raz tylko zakręci się w głowie, napada mnie manja opowiadania ponurych bajek, która głupia moja mamka wraziła mi w pamięć. To moja wada, wada główna, wyznaję... lecz, pominąwszy ją, dobry ze mnie pijak.

Athos mówił to w sposób tak naturalny, że d'Artagnan uczuł się zachwiany w swoim przekonaniu.

— A!... rzeczywiście było tak — począł młodzieniec, usiłując pochwycić prawdę — przypominam sobie, jakby sen jaki, że mówiliśmy o wisielcach.

— A widzisz! — rzekł Athos, siląc się do śmiechu, pomimo bladej, jaka pokrywała twarz jego — byłem tego pewny, wisielcy, to moja zmore.

— Tak, tak, przypominam sobie teraz; tak, była mowa... zczekaj... była mowa o kobiecie.

— Patrzaj — odrzekł Athos, zieleniejąc prawie — to moja zwykła bajka o blondynce, a kiedy ją opowiadam, jestem pijany, jak bela.

— Tak, tak samo — ciągnął d'Artagnan — historia o blondynce, wysokiej, pięknej z niebieskimi oczami.

— I powieszanej.

— Przez jakiegoś wielkiego pana, którego znasz — ciągnął d'Artagnan, bystro patrząc na Athosa.

— Jakże to łatwo skompromitować człowieka, gdy nie zdajemy sobie sprawy z tego, co mówimy — odrzekł Athos, wznosząc ramiona, jakby z politowaniem nad samym sobą — nie chcę więcej zaproszać sobie głowy, d'Artagnanie, to nader brzydkie przyzwyczajenie.

D'Artagnan milczał.

Nareszcie Athos, nagle zmieniając tok rozmowy, wyrzekł:

— Ale, dziękuję ci za konia, którego przyprowadziłeś dla mnie.

— Podoba ci się? — zapytał d'Artagnan.

— Podoba, lecz nie jest to koń do ciężkich trudów.

— Mylisz się; ujechałem na nim sześć mil w półtorejgodziny niespełna, a wyglądał tak, jak gdyby tylko obiegił plac Ś-go Sulpicjusza.

— Otóż masz! gotowym żalować.

— Żalować?...

— A tak, bo się go pozbyłem.

— Jakto?

— Wstałem dziś o szóstej, ty spałeś, jak zabity, a ja nie miałem co robić; czułem się całkiem przytępiony pijatyką wczorajszą; udałem się do sali i spostrzegłem jednego z naszych Anglików, targujących się z handlarzami koni, ponieważ wierzchowiec jego zdechł wczoraj. Podeszedłem do niego, a widząc, że daje sto pistolów za przepalonego bułanka, przebóg, mój panie, mówię do niego, ja mam także konia na sprzedanie.

— I bardzo ładnego nawet — rzekł — widziałem go wczoraj, trzymał go pacholek przyjaciela pańskiego.

— Czy pan sądzisz, że wart sto pistolów?

— O!... tak, ale czy pan się zgodzisz oddać mi go w tej cenie?

— Nie, lecz mogę postawić go na stawkę.

— Na stawkę do mnie?

— Tak.

— A w co będziemy grali?

— W kości.

— Stało się, jak się rzekło, i przegrałem konia. Ale i to dobre — ciągnął dalej Athos — że odegrałem czaprak.

D'Artagnan spochmurniał.

— Przykrość ci to sprawia?

— Rozumie się, że jeżeli mam ci powiedzieć prawdę — odparł d'Artagnan — koń ten miał służyć do wyróżnienia nas kiedyś w bitwie; był to dar, pamiątka. Źle zrobiłeś, Athosie.

— E!... mój drogi, postaw się w moim miejscu; nudziłem się śmiertelnie, a zresztą, na honor, nie lubię koni angielskich. Słuchaj!... jeżeli o to tylko chodzi, aby przez kogoś zostać poznanym, w takim razie, siodło wystarczy; jest ono niepospolite. A co do konia, znajdzie się jakaś wymówka na usprawiedliwienie jego zniknięcia. Cóż u diabła! koń także jest śmiertelny; dajmy na to nosaty był, albo parszywy.

D'Artagnan nie rozpogodził się bynajmniej.

— Przykro mi mocno, że tak bardzo ci chodzi o tebydlęta, gdyż to nie koniec jeszcze mego opowiadania.

— Cóż tam jeszcze zrobił?

— Przegrawszy mojego konia, dziewięć przeciw dziesięciu, patrz, co za los! przyszła mi myśl twojego postawić.

— Spodziewam się jednak, że poprzestałeś na tej myśli?

— Wcale nie, wprowadziłem ją w czyn natychmiast.

— Otóż masz!... — zawołał przestraszony d'Artagnan.

— Grałem i przegrałem.

— Mojego konia?

— Twojego; siedem przeciw ośmiu; o jeden punkt, znasz przysłowie.

— Athosie, tyś nie przy zdrowych zmysłach, przysięgam!...

— Mój drogi, wczoraj trzeba mi było to mówić, kiedy opowiadałem głupie historie, a nie dziś. Przegrałem go więc z całym rynsztunkiem.

— To okropne!

— Posłuchaj, ty nic nie wiesz, ze mnie gracz byłby znakomity, gdybym nie był uparty; zapędzam się tak samo, jak przy picciu, zapędziłem się więc...

— Lecz o cóż już grać mogłeś, skoro nic ci nie pozostało?

— O!... mój przyjacielu, pozostawał nam jeszcze djament, migocący na twoim palcu, zauważyłem go wczoraj.

— Ten djament? — zawołał d'Artagnan, z żywością dotykając pierścienia.

— A jako znawca, ponieważ miałem podobne w domu, oceniłem go na tysiąc pistolów.

— Spodziewam się — rzekł d'Artagnan poważnie, ledwie żywy z przerażenia — iż nie wspomniałeś o nim.

— Przeciwnie, mój drogi: djament ten pozostał ostatnią ucieczką naszą; dzięki djamentowi, mogłem odegrać uprząż i konie nasze, a nadto pieniądze na drogę.

— Athosie, przerażasz mnie — wykrzyknął d'Artagnan.

— Wspomniałem więc partnerowi mojemu o tym djamencie, który i jego uwagę zwrócił. Co u diabła znowu, mój drogi, nosisz na palcu gwiazdę niebieską i chcesz, żeby jej nikt nie widział! Czyste niepodobieństwo!

— Kończ, mój drogi, kończ! — przerwał mu d'Artagnan — bo, daję słowo, twój spokój o śmierć mnie przyprawi.

— Podzieliliśmy więc ten klejnot na dziesięć części, po sto pistolów każda.

— A! drwisz sobie, aby mnie wypróbować? — odezwał się d'Artagnan, którego gniew poczynał chwytać za czuprynę, jak Minerwa Achillesa w Iliadzie.

— Ja wcale nie żartuję, do licha! chciałbym cię na moim miejscu widzieć! dwa tygodnie już, jak twarzy ludzkiej nie oglądałem i zbydłęciałem w zetknięciu z butelkami.

— To wcale nie racja, żeby przegrywać mój djament! — odpowiedział d'Artagnan, zaciskając pięść kurczowo.

— Posłuchajże do końca; dziesięć części po sto pistolów każda w dziesięciu stawkach bez rewanzu; przegrałem wszystko w trzynastu pociągnięciach, w trzynastu: liczba 13 była mi zawsze fatalną, było to 13-go lipca, kiedy...

— Do wszystkich djabłów! — krzyknął d'Artagnan, zrywając się od stołu, historja dzisiejsza zatarła wczorajszą w jego pamięci.

— Cierpliwości — przemówił Athos — jeszcze nie koniec. Anglik jest dziwak, widziałem go rozmawiającego z Grimaudem, a Grimaud mnie ostrzegł, że robił mu propozycję przyjęcia służby u niego. Daję Grimauda na stawkę, milczącego Grimauda, podzielonego na dziesięć części.

— Na dobitkę!... — rzekł d'Artagnan pomimowolnie wybuchając śmiechem.

— Grimauda we własnej jego osobie, rozumiesz! i dziesięcioma częściami Grimauda, który nie wart oberżniętego dukata, odegrywam djament. Powiedz teraz, że upór nie jest cnotą.

— To pocieszne, na honor! — zawołał d'Artagnan, trzymając się za boki ze śmiechu.

— Pojmujesz, że gram dopóki czuję wenę; zaczynam na nowo grać o djament!...

— Idź do diabła! — odezwał się d'Artagnan, na nowo się zachmurzając.

— Odegrałem już twoją uprząż, potem konia twego, następnie mojego i znowu przegrałem. Potem znowu odbiłem twoją uprząż i moją. Na tem stanęliśmy. Pysznie się udało; to też nie puszczałem się dalej.

D'Artagnan odetchnął, jakby mu ratusz zdjęto z piersi.

— Więc djament pozostaje przy mnie? — nieśmiało zapytał.

— Nietknięty! a w dodatku rządy naszych Bucefałów.

— Lecz na cóż nam się przydadzą bez koni?...

— Mam ja na nie pewne zamiary.

— Athosie, ty mnie przerażasz.

— Słuchaj, ty nie grałeś już oddawna?

— I nie mam chęci najmniejszej.

— Nie należy się niczego wyrzekać. Nie grałeś oddawna, jak mówiłem, to musisz mieć szczęśliwą rękę.

— Cóż stąd?

— Otóż Anglik z towarzyszem są tutaj jeszcze. Zauważyłem, że żal im bardzo uprzęży. Tobie widocznie zależy na koniu. Na twojem miejscu, stawilibym uprząż o niego.

— Nie będzie chciał tak małej stawki, jak jedna uprząż.

— Stawiaj dwie! ja nie jestem taki, jak ty samolub.

— Doprawdy?... — zapytał d'Artagnan zachwiany, tak dalece pewność Athosa poczęła się bezwiednie i jemu udzielać.

— Wygrasz odrazu, słowo uczciwości daję.

— Bo widzisz, skoro straciliśmy konie, chciałbym niezmiernie utrzymać się choć przy uprzęży.

— W takim razie postaw djament.

— O! to zupełnie co innego; nigdy, przenigdy.

— Djabli nadal! Zaproponowałbym ci dać Plancheta na stawkę.

— Ja wolę stanowczo nic już nie ryzykować.

— Szkoda... — rzekł oziębłe Athos — ten Anglik jest wypchany pistolami. E! co tam!... raz jeden spróbuj, jeden raz, to niedługo potrwa.

— A jeżeli przegram?

— Wygrasz.

— Ale jeżeli przegram?

— No, to oddasz uprząż.

— Niech będzie jeden raz — przystał d'Artagnan.

Athos puścił się na poszukiwanie Anglika i zastał go w stajni, przyglądającego się uprzęży okiem pożądlivosti. Dobrze się trafiło. Postawił mu swoje warunki; dwa rzędy przeciw jednemu koniowi, albo sto pistolów, do wyboru. Anglik obliczył się szybko; rzędy warte być mogły trzysta pistolów; przyjął stawkę.

D'Artagnan ze drżeniem rzucił kości: padły na trójkę; bladość jego przeraziła Athosa, ale powiedział tylko:

— Nie tęgi rzut, towarzyszu mój; będziesz pan miał konie z pełnym rzędem.

Triumfujący Anglik nie troszczył się nawet by zamieszać kości, tak pewny był zwycięstwa.

D'Artagnan odwrócił się dla pokrycia złego humoru.

— No, no, patrzcie — odezwał się Athos z właściwym sobie spokojem — niezwykły rzut w życiu moim tylko cztery takich widziałem: dwa asy!...

Anglik spojrział i zdziwił się, d'Artagnan spojrział i radością się uniósł.

— Tak — ciągnął dalej Athos — tylko cztery razy: jeden u pana de Cregny; drugi u mnie, na wsi, w moim zamku... kiedy jeszcze miałem zamek; a trzeci u pana de Trévillle, czem w podziwienie nas wprawił; czwarty raz nareszcie, w szynkowni padł na mnie i przegrałem sto luidorów i kolację.

— Pan zatem odbiera swojego konia? — odezwał się Anglik.

— Tak — rzekł d'Artagnan.

— Bez rewanżu?...

— Warunki nasze tak opiewały, zechciej pan sobie przypomnieć.

— Prawda; koń będzie zwrócony pańskiemu służącemu.

— Chwilkę, panowie — odezwał się Athos — za pozwoleniem, słówko mam do powiedzenia przyjacielowi mojemu.

— Proszę.

Athos pociągnął d'Artagnana na stronę.

— Czego chcesz odemnie, kusicielu! — przemówił d'Artagnan — każesz mi grać jeszcze, wszak tak?...

— Nie, chcę tylko, abyś się zastanowił.

— Nad czym?

— Odbierasz konia, prawda?

— Rozumie się.

— To źle, ja wziąłbym sto pistolów; wiesz przecie, że postawiłeś rzędy przeciw konia, lub sto pistolów, do wyboru.

— No, tak.

— Ja wziąłbym sto pistolów.

— Otóż ja biorę konia.

— Źle robisz, mówię ci; co po koniu na nas dwóch, nie mogę przecież usiąść za tobą, wyglądalibyśmy, jak dwaj synowie Aymona po stracie brata swego; nie możesz także poniżyć mnie, paradując konno, gdy ja będę dreptał pieszo. Jaby nie wahał się ani chwili i wziąłbym sto pistolów; i potrzebujemy pieniędzy na powrót do Paryża.

— Mnie o konia chodzi, Athosie.

— Źle robisz, bracie; koń może się splecyć, zakuleć, zbić kolana, jeść u żłobu, gdzie jadły konie nosate, i już po koniu, czyli po stu pistolach; konia żywić musi właściciel, gdy tymczasem pieniądze właściciela żywią.

— Lecz jak powracać będziemy?...

— Na koniach pacholków naszych, do kata!... z miny i czupryny każdy pozna, że jesteście ludzie znakomici.

— Piękna mi mina na podjezdkach, gdy Aramis i Porthos pysznić się będą swoimi rumakami.

— Aramis!... Porthos!... — zawołał Athos, i począł się śmiać okropnie.

— Co takiego? — zapytał d'Artagnan, nie mogąc zdać sobie sprawy z tej wesołości.

— No, no, skończymy już raz — rzekł Athos.

— Więc zdaniem twojem?...

— Mojem zdaniem, należy wziąć sto pistolów, d'Artagnanie; z tą setką ucztować będziemy do końca miesiąca; bo widzisz, strudzeni jesteśmy, dobrze będzie trochę wypocząć.

— Ja mam wypoczywać!... nie, Athosie, jak tylko stanę w Paryżu, puszczam się na poszukiwanie tej nieszczęśliwej kobiety.

— Słuchaj! czy sądzisz, że koń tak dalece ci się przyda, co brzęczące luidory w rękę! bierz sto pistolów, bracie, bierz.

D'Artagnan czekał tylko okazji, ażeby się dać nakłonić. Ostatnia była wystarczająca. Zresztą, opierając się dłużej, mógł być posądzony przez Athosa o samolubstwo; zgodził się więc i wziął sto pistolów, które mu Anglik wyliczył natychmiast.

Zabrano się do odjazdu. Podpisanie ugody pokojowej kosztowało sześć pistolów, nie licząc w to starego Athosowego konia; panowie wsiedli na podjezdki pacholków, Planchet zaś i Grimaud puścili się pieszo z siodłami na głowach.

Jakkolwiek nie tęgie mieli konie nasi kawalerzyści, wyprzedzili jednak swą służbę i stanęli w Crèvecoeur.

Zdaleka spostrzegli Aramisa w melancholijnej pozie, wspartego na oknie i zapatrzonego w mgliste widnokregi.

— Hola! Aramis!... co tam robisz, u diabła? — zawołali na niego dwaj przyjaciele.

— A! to wy!... — odpowiedział, jak ze snu zbudzony, młodzieniec — dumałem właśnie nad znikomością dóbr tego świata, a koń mój angielski, oddalający się i niknący w obłoku pyłu, był mi żywym obrazem nietrwałości rzeczy ziemskich. Życie samo da się streścić w tych trzech słowach: *Erat, est, fuit*.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał d'Artagnan, poczynając domyślać się prawdy.

— To ma znaczyć, że dałem się w targu oszwabić: sześćdziesiąt luidorów za konia, który tak chodzi, że truchtem może zrobić trzy mile na godzinę.

D'Artagnan i Athos wybuchnęli śmiechem¹.

— Drogi d'Artagnanie — rzekł Aramis — nie miej do mnie urazy, proszę, potrzeba mi pieniędzy; wreszcie ja pierwszy ponoszę karę, ten handlarz infamis obdarł mnie najmniej na pięćdziesiąt luidorów. Wy, co innego, dobrze się rządźcie! jedźcie na podjezdkach waszych pacholków, a luzem prowadzić każecie wasze paradne konie, powolutku, z odpoczynkami.

Jednocześnie wóz towarowy, który zarysowywał się od pewnego czasu na drodze z Amiens zatrzymał się, a Grimaud i Planchet wygramolili się z niego z siodłami na głowach.

Wóz próżny powracał do Paryża, a dwaj pacholowie w zamian za gaszenie pragnienia, na które cierpiał woźnica, podwiezieni przez niego zostali.

— A to znowu co?... — odezwał się Aramis, widząc co się święci — siodła tylko?...

— Zrozumiałeś teraz?... co? — podchwycił Athos.

— Drodzy moi, to słowo w słowo, jak ja. Przeczuciem tylko zachowałem uprząż. Hola, Bazin! połóż tu mój rząd nowy z siodłem, razem z siodłami panów.

— Cóżeś z klechami swoimi zrobił? — zagadnął d'Artagnan.

— Zaprosiłem ich na obiad; wyborne tu wina mają, mówiąc nawiasem; społem ich należycie; proboszcz zabronił mi zrzucenia munduru, a jezuita prosił mnie na wszystko, żeby ułatwić mu wstąpienie do muszkietarów.

— Bez napisania rozprawy! — zawołał d'Artagnan.

— Od tego czasu — ciągnął Aramis — życie mi błogo upływa. Zacząłem pisać poemat wierszem jednosylabowym; dosyć to trudne, lecz na trudnościach polega zasługa wszelkiej rzeczy. Treść jest światowa, przeczytam wam pieśń pierwszą, składa się ona z czterystu wierszy, a czytanie trwa zaledwie minutę.

¹śmiechem. [przypis redakcyjny]

— Słowo ci daję, Aramisie — odezwał się d'Artagnan, który narówni z łaciną wierszy nienawidził — połącz krótkość z trudnością, a pewnym być możesz, że twój poemat posiadać będzie dwie zasługi.

— Przytem — prawil dalej Aramis — zobaczycie, ile w nim namiętności szlachetnej. Hejże! przyjaciele, powracamy do Paryża. Brawo! jadę; zobaczymy naszego Porthosa, wybornie. Nie uwierzycie, jak mi tego olbrzymiego gulptasa² brakło! onby za królestwo nie sprzedał swego konia. Chciałbym go już na nim widzieć. Pewny jestem, że będzie wyglądał na Wielkiego Mogoła.

Dali koniom wytchnąć przez godzinę; Aramis zapłacił rachunki, Bazina wpakował na wóz z jego towarzyszami, i wyruszyli, aby się połączyć z Porthosem.

Zastali go na nogach, nie tak bladego, jak za pierwszemi odwiedzinami d'Artagnana, i stół zastawiony na czterech, chociaż on sam jeden był tylko; na stole nęciły mięsiwa ponętnie przyprawione, wina wyborne i pyszne owoce.

— A! towarzysze mili — zawołał, biegnąc na ich spotkanie — przybywacie w porę, siadałem właśnie do zupy, proszę was na obiad, panowie.

— Oho! — odezwał się d'Artagnan — tych butelek Mousqueton nie chwycił na lasso, przytem cielęcina szpikowana, polędwica wołowa...

— Odżywiam się, odżywiam — odparł Porthos — nictak nie osłabia, jak te djabelskie zwichnięcia; czyś ty zwichnął sobie kiedy cokolwiek, Athosie?

— Nigdy; przypominam sobie tylko, że w owej utarczce przy ulicy Férou takie cięcie dostałem, że po dwóch tygodniach przeszło czułem je, jak świeże.

— Czyż podobna, aby ten obiad był dla ciebie tylko, Porthosie? — rzekł Aramis.

— Nie — odparł tenże — oczekiwałem pewnych panów z sąsiedztwa, którzy kazali mi oznajmić przed chwilą, że nie przybędą; zastąpicie ich, a ja nic na zamianie nie stracę. Hola! Mousqueton! podaj stolki i drugie tyle butelek.

— Czy wiecie, co my tu jemy?... — zagadnął Athos po upływie kilku minut.

— Do licha! — odparł d'Artagnan — cielęcinę nadziewaną karczochami.

— A ja comber z jagnięcia — rzekł Porthos.

— A ja potrawę z drobiu — odezwał się Aramis.

— Mylicie się, panowie — odrzekł poważnie Athos — jecie koninę.

— Co mówisz! — zawołał d'Artagnan.

— Koninę, — odezwał się Aramis z obrzydzeniem.

Porthos tylko milczał.

— Tak, koninę!... nieprawdaż Porthosie, że koninę jemy? I nawet może z czaprakiem!

— Nie, panowie, czaprak zachowałem — rzekł Porthos.

— Na uczciwość, wszyscyśmy siebie warci — rzekł Aramis — ktoby myślał, że się umówiliśmy?

— Cóż chcecie — ozwał się Porthos — ten koń zawstydział gości moich, nie chciałem więc ich poniżyć!

— Zresztą, twoja księżna nie powraca z wód, wszak się nie mylę? — odparł d'Artagnan.

— Nie powraca — rzekł Porthos. — Daję wam słowo, gubernator tutejszy, szlachcic dostojny, który miał być dzisiaj u mnie na obiedzie, tak pragnął tego konia, że mu go nareszcie dałem.

— Daleś? — zawołał d'Artagnan.

— O! Boże! dałem! tak się to mówi! — rzekł Porthos — wart był z pewnością sto pięćdziesiąt luidorów, a ten kutwa nie chciał dać więcej nad osmdziesiąt.

— Bez siodła? — pytał Aramis.

— Tak, bez siodła.

— Zauważcie, panowie — ozwał się Athos, że jeden Porthos z nas wszystkich najlepszy zrobił interes.

Wtedy dopiero nastąpiły wybuchy śmiechu, które zmieszały biednego Porthosa; lecz wkrótce wytłumaczono mu przyczynę tej wesołości, którą według zwyczaju podzielił bardzo głośno.

— W ten sposób wszyscy jesteśmy przy groszu.

²gulptasa. [przypis redakcyjny]

— Tylko nie ja — ozwał się Athos — wino hiszpańskie Aramisa tak mi przypadło do smaku, że kazałem wpakować sześćdziesiąt butelek razem ze sługami do furgonu; wysuplałem się więc do szczętu.

— A ja — rzekł Aramis — wyobraźcie sobie do ostatniego grosza wydałem na kocioty w Montdidier i jezuitów w Amiens; miałem wreszcie pewne zobowiązania, których dotrzymać musiałem, msze zamówione za was, panowie, i za mnie, które, gdy odprawione zostaną, bezwątpienia pomogą nam bardzo.

— Czy myślicie, panowie, że moje zwichnięcie nic mnie nie kosztowało? nie licząc już rany Mousquetona, dla której zmuszony byłem dwa razy dziennie sprowadzać chirurga, a ten kazał sobie płacić podwójnie za każdą wizytę, pod pozorem, że ten błazen Mousqueton pozwolił wpakować sobie kulę w takie miejsce, które aptekarzom tylko pokazywać można; zapowiedziałem mu też srogo, aby odtąd nie ważył się ranić w takiej części ciała.

— No, no — rzekł Athos, zamieniając uśmiech porozumienia z d'Artagnanem i Aramisem — widzę, że postępowałeś z biedakiem arcywspaniale, tak, jak na dobrego pana przystoi.

— Krótko mówiąc — ciągnął dalej Porthos — po zapłaceniu kosztów, pozostanie mi jeszcze jakie trzydzieści talarów.

— A mnie dziesięć pistolów — dorzucił Aramis.

— Ho! ho! — ozwał się Athos — zdaje się, że jesteśmy Krezusami. A tobie, d'Artagnan, co tam pozostało ze stu pistolów?

— Z moich stu pistolów? Najpierw pięćdziesiąt z nich dałem tobie.

— Tak sądzisz?...

— Co u kaduka!

— A! prawda, przypominam sobie.

— Następnie, sześć zapłaciłem w oberży.

— Co za bydlę z tego oberżysty! po co było mu płacić?

— Kazałeś mi to zrobić.

— Znadto jestem dobry, coprawda. Zatem po zamknięciu rachunku?

— Pozostaje mi dwadzieścia pięć pistolów.

— A ja — dodał Athos — wyciągając garstkę drobnych z kieszeni — ja...

— Ty, niemasz nic...

— Lub tak niewiele, na uczciwość, że nie warto tego rachować.

— A teraz obliczmy, co mamy razem:

— Porthos?

— Trzydzieści talarów.

— Aramis?

— Dziesięć pistolów.

— Ty, d'Artagnan?

— Dwadzieścia pięć.

— To czyni razem? — zagadnął Athos.

— Czteryście siedemdziesiąt pięć liwrow! — rzekł d'Artagnan, mocny w arytmetyce, jak drugi Archimedes.

— Po przybyciu do Paryża pozostanie nam jeszcze całe czterysta — odezwał się Porthos — nie licząc rzędów na konie.

— A skąd wziąć konie do szeregu? — wtrącił Aramis.

— Wielka rzecz!... z czterech podjezdaków pacholków naszych zrobimy dwa pańskie wierzchowce, które ciągnąć będziemy na losy; czterysta liwrow wystarczy na połowę konia dla jednego z tych, co pozostaną pieszo; nareszcie, wyskrobki ze wszystkich kieszeni złożymy d'Artagnanowi, on ma szczęśliwszą rękę, pójdzie grać do pierwszej lepszej szulerni i sprawa skończona!...

— Jedzmy, bo stygnie — zawołał Porthos.

Zaspokojeni zgola na przyszłość, czterej towarzysze pałaszowali, co się nazywa, przy obfitym obiedzie, którego pozostałości dostały się panom Mousquetonowi, Bazinowi, Planchetowi i Grimaudowi.

Stanąwszy w Paryżu, d'Artagnan zastał u siebie list od pana de Tréville, oznajmiający iż, zgodnie z jego żądaniem, król udziela mu łaskawego zezwolenia na wstąpienie do muszkietarów.

Ponieważ było to najgorętszym pragnieniem d'Artagnana, rozumie się, poza odnalezieniem pani Bonacieux, rozradowany pobiegł do kolegów, z którymi rozstał się przed pół godziną, i zastał ich smutnych i roztargnionych wielce.

Zgromadzili się u Athosa dla narady, co oznaczało jakieś nader ważne okoliczności.

Pan de Tréville kazał zawiadomić ich, że: zamiarem jest niezłomnym Jego Królewskiej Mości rozpocząć kroki wojenne I-go maja, należało więc umundurować się niezwłocznie.

Czterech filozofów patrzyło na siebie w osłupieniu; pod względem karności wojskowej nie było żartów z panem de Tréville.

— A ile na to potrzeba? — odezwał się d'Artagnan.

— O!... niema co gadać — zabrał głos Aramis — obliczyliśmy już ze sknerstwem iście spartańskim, a każdemu z nas potrzeba tysiąc pięćset liwrów.

— Cztery razy po tysiąc pięćset, czyni sześć tysięcy — rzekł Athos.

— Mnie się zdaje — rzekł d'Artagnan — że wystarczy po tysiącu na każdego; co prawda, mówię nie jak Spartanin, lecz jak notarjusz...

Słowo notarjusz ocknęło Porthosa.

— Czekajcie, przychodzi mi pomysł do głowy — zawołał.

— I to coś znaczy; ja, nie mam go ani cienia — ozięble odezwał się Athos — a d'Artagnan oszalał ze szczęścia należenia do naszych; tysiąc liwrów!... oświadczam, że na mnie samego dwóch tysięcy potrzeba.

— Cztery razy dwa jest ośm — odezwał się Aramis — musimy więc mieć ośm tysięcy liwrów na przybory nasze, wprawdzie siodła już mamy.

— A nadto — rzekł Athos, czekając aż d'Artagnan, idący do pana de Tréville z podziękowaniem, zamknie drzwi za sobą — a nadto pyszny djament, który świeci u naszego druha. Co u djabła! nazbyt jest dobrym kolegą, aby braci swoich opuścił w potrzebie, kiedy sam nosi na palcu środkowym okup królewski.

ROZDZIAŁ II. POSZUKIWANIE ŚRODKÓW NA WYPRAWĘ

Najbardziej ze wszystkich zajęty był bez wątpienia d'Artagnan, chociaż jemu, jako gwardziście, wszystko łatwiejby przyszło, niż panom muszkietierom, którzy byli wielkimi panami.

Ale nasz Gaskończyk, choć z młodszej linii był z usposobienia przewidujący i chciwy, a nawet tak próżny, jak sam nieledwie Porthos.

Prócz tej myśli, wyłącznej na pozór, niemniej go trapił niepokój nietyłe egoistycznej natury.

Daremnie bowiem wywiadywał się o panią Bonacieux; znikąd żadnej nowiny.

Pan de Tréville mówił o niej z królową; ta, nie wiedząc, co się z nią dzieje, obiecała kazać jej szukać. Obietnica ta jednak była zbyt nieokreślona, aby zaspokoić d'Artagnana.

Athos nie wychodził z pokoju.

— Mamy dwa tygodnie tylko przed sobą — mówił do towarzyszy swoich — mniejsza o to!... Jeżeli nie znajdę nic przed upływem tego czasu, to jest, jeżeli nic do mnie nie przyjdzie, a nadto dobrym katolikiem jestem, aby roztrzaskać sobie głowę strzałem pistoletu, zadrę należycie z czterema gwardzistami Jego eminencji, albo z sześcioma Anglikami i dopóty będę się bił, dopóki się który nie znajdzie, kto mnie ubije, co prędzej, czy później musi mnie spotkać. Powiedzą wtedy, że poległem w sprawie królewskiej, spełnię więc obowiązek służby i uniknę potrzeby ekwipowania.

Porthos wciąż się przechadzał z rękami w tył założonemi, kiwając głową i mówiąc:

— Spróbuję, może mi się uda.

Aramis, stroskany, nieufryzowany, milczał.

Nieszczęsne te szczegóły dają nam miarę rozdrażnienia, jakie zapanowało w zgromadzeniu.

Trzej przyjaciele, gdyż, jak się rzekło, Athos poprzysiągł, że palcem nawet nie kiwnie dla umundurowania się; trzej przyjaciele skoro świt wychodzili z domu i powracali późną nocą.

Włóczyli się po ulicach, szukając na bruku, czy przechodzień jaki nie upuścił sakiewki. Rzechy można, że tropią czyjeś ślady, tak wytrwale i z uwagą przyglądali się każdej piędzi ziemi. Spotkawszy się, patrzeli na siebie z rozpaczą, jakby chcąc powiedzieć: znalazłeś coś?

Porthos jednakże, jako pierwszy, któremu jakiś pomysł przyszedł do głowy, trzymał się go wytrwale i wziął się do dzieła. Czcigodny Porthos był człowiekiem czynu.

Pewnego dnia spostrzegł go d'Artagnan, jak szedł w kierunku kościoła Saint-Leu i udał się za nim bez myśli.

Wstąpił on w progi przybytku, podkręciwszy wprzód wąsa i musnąwszy śpiczastą bródkę, co zwykle oznaczało u niego silny zamiar podboju.

Ponieważ d'Artagnan postępował za nim nieznacznie, Porthos nie przypuszczał, że jest widziany.

D'Artagnan wszedł za nim, Porthos oparł się z jednej strony filaru, on zaś uczynił to samo z drugiej.

Z kazalnicy ksiądz prawił kazanie i z tego powodu kościół był przepelniony.

Porthos zawzięcie przyglądał się kobietom, a dzięki troskliwym staraniom Mousquetona, powierzchowność jego nie zdradzała bynajmniej wewnętrznej niedoli. Kapelusz miał sfatygowany mocno, pióro spłowieła fatalnie, hafty zaśniedziały, a koronki nie trzymały się kupy; w półcieniu jednak drobnostki te nikły, i Porthos zawsze był pięknym Porthosem.

D'Artagnan spostrzegł na ławce najbliższej filaru, o który obydwaj byli oparci, jakąś piękność przejrzałą, przyzółkłą i zasuszoną, lecz wyprostowaną i sztywną, za czarnym kwefem. Oczy Porthosa spoczęły przelotnie i na tej damie, następnie począł strzelać wzdłuż całej nawy.

Dama znów, ploniąc się co chwila, zerknęła ukradkiem na płochego Porthosa, ten zaś, dostrzegłszy to, coraz za palczywiej rzucał na wszystkie strony spojrzenia strzeliste.

Widocznie tem postępowaniem musiał do żywego dotknąć zekwefioną damę, gdyż gryzła wargi do krwi, drapała się po nosie i, jak opętana, kręciła się na siedzeniu.

Porthos, zauważywszy to, znowu podkręcił wąsa, musnął śpiczastą bródkę i jął mrugać na piękną damę, siedzącą w pobliżu chóru, wielką jakąś damę widocznie, bo murzynek przyniósł poduszkę, na której klęczała, a za nią stała służebna z herbowym futerałem od książki do nabożeństwa w ręce.

Czarno zakwefiona dama, śledząc spojrzenia Porthosa, poznała, że spoczęły one na damie z aksamitną poduszką, murzynkiem i służebną.

A Porthos wciąż przypuszczał szturm: to mrugając, to palec kładąc na ustach, to przesyłając zabójcze uśmiechy, które rozjątrzyły naprawdę przekwitłą piękność.

Ona też, bijąc się niby w piersi, chrząknęła tak groźnie, że wszyscy, nie wyjąwszy damy na czerwonej poduszce, zwrócili się w jej stronę, Porthos jednak nie zmienił wcale swej taktyki, zrozumiał dobrze, o co chodzi; lecz udał głuchego.

Dama z czerwoną poduszką, jako piękność niezwykła, sprawiła wrażenie na damie w czarnym kwefie, która widziała, że ma niebezpieczną rywalkę; ale też niemniejsze wrażenie wywarła na Porthosie, który uznał, że była piękniejsza od damy w czarnym kwefie.

Najbardziej wszakże wzruszony był d'Artagnan.

Poznał on w niej damę z Meung, Calais i Douvru, którą mężczyzna z blizną na twarzy, jego prześladowca, powitał tytułem milady.

D'Artagnan, nie tracąc jej z oczu, w dalszym ciągu śledził grę Porthosa, która go mocno bawiła; domyślał się, że dama w czarnym kwefie jest notariuszową z ulicy Niedźwiedziej, tem więcej, że kościół Saint-Leu niezbyt odległy był od jej mieszkania.

Wywnioskował więc z tego, że Porthos szukał zemsty za swój zawód w Chantilly, kiedy notariuszowa okazała się tak zacięta, iż poskapiła swojej sakiewki.

Jednakże pośród tego wszystkiego zauważył i to także, iż ładna twarzyczka nie odpowiadała na zalecanki Porthosa.

Wszystko więc było złudzeniem; lecz dla istotnej miłości i zazdrości prawdziwej ponad rzeczywistością górują złudzenia i mrzonki.

Po skończonem kazaniu, notariuszowa podeszła do kropielnicy; Porthos wyprzedził ją i zamiast jednego palca całą rękę zanurzył.

Uśmiechnęła się notariuszowa, sądząc, że dla niej się na to zdobył; lecz rychło i okrutnie się zawiodła. Gdy o trzy kroki była już od niego, odwrócił głowę, uporczywie wpatrując się w damę, która, powstawszy, zbliżała się z murzynkiem i służebną.

Kiedy tuż przy nim się znalazła, Porthos wyjął z kropielnicy rękę, pełną wody, piękna nabożnisia dotknęła drobnymi paluszkami grubej jego dłoni, przeżegnała się z uśmiechem

i wyszła z kościoła.

Tęgo już było nadto dla notariuszowej, żadnej już nie miała wątpliwości, że dama owa i Porthos zalecają się do siebie.

Gdyby była wielką panią, zemdlałaby niezawodnie; lecz, jako zwyczajna notariuszowa, przestała na odezwanie się do muszkietera z wściekłością, źle pohamowaną:

— Cóż to! panie Porthosie, nie podajesz mi wody święconej?

Na dźwięk jej głosu, drgnął Porthos, jak człowiek zbudzony ze snu stuletniego.

— Pa... Pani!... — wykrzyknął — to pani? jakże mąż jej się miewa, kochany pan Coquenard? Czy zawsze taki sknera, jak był? Gdzież ja miałem oczy, żeby nie spostrzec pani w ciągu dwugodzinnego kazania?

— O dwa kroki znajdowałam się od pana — odparła notariuszowa. — Lecz nie widziałeś mnie, mając oczy jedynie dla pięknej damy, której podałeś święconą wodę.

Porthos udał zakłopotanie.

— A! pani zauważyłaś...

— Ślepą być trzeba, żeby tego nie widzieć.

— Tak — rzekł od niechcenia — jest to księżna, przyjaciółka moja, z którą bardzo rzadko spotkać się mogę z powodu zazdrości jej męża; zawiadomiła mnie też, że, aby się ze mną zobaczyć, będzie w tym skromnym kościółku w tak oddalonej dzielnicy.

— Panie Porthosie — odrzekła notariuszowa — czy będziesz na tyle łaskaw podać mi na pięć minut ramię, chętniebym pomówiła z panem.

— A jakże i owszem, pani — podchwycił Porthos, mrugnawszy do siebie samego, jak szuler, drwiący z partnera, którego udało mu się oszukać.

W tej chwili właśnie przechodził d'Artagnan, goniąc milady; spojrzal ukosem na Porthosa i zobaczył odbłysek triumfu w jego oczach.

— E! e! — rzekł do siebie, rozumując w duchu moralności niezwykle luźnej, właściwej tej miłej epoce — ten będzie miał wyekwipowanie na termin.

Porthos, ulegając ciśnieniu notariuszowej, jak łódź pod naciskiem steru, doszedł do klasztoru Saint-Magloire, miejsca mało uczęszczanego, z obu stron zamkniętego kołowrotem. We dniu spotkać tam było można żebraków jedzących i dziatwę igrającą.

— A! panie Porthosie!... — wykrzyknęła notariuszowa, upewniwszy się wpierw, że nikogo, prócz zwykłej ludności, tam nie było — a! panie Porthosie! jak widzę, wielki z pana zdobywca!

— Ja?... pani!... — nadymając się, przemówił Porthos — dlaczego?

— A te znaki porozumienia, a woda święcona? Ależ to conajmniej księżniczka krwi, owa dama z murzynkiem i pokojową!

— Mylisz się pani... mój Boże — odpowiedział Porthos — jest to zwyczajna księżna.

— A ten laufer przy drzwiach oczekujący? a karetę ze stangretem w liberji?

Porthos nie widział tego wszystkiego, lecz zazdrosne oko pani Coquenard niczego nie przepuściło.

Żał mu się też zrobiło, iż odrazu nie podniósł do rzędu księżniczek krwi damy z czerwioną poduszką.

— A! pieszczoch pięknych pań z ciebie, panie Porthosie — z westchnieniem mówiła notariuszowa.

— Pojmuje pani, iż przy tej urodzie, w jaką uposażyła mnie natura, nie zbywa mi na powodzeniu.

— Mój Boże! jak ci mężczyźni zapominają prędko! — zawołała dama, wznosząc ku niebu oczy.

— Nie tak jednak, jak kobiety, o ile mi się zdaje — odparł Porthos — gdyż mogę powiedzieć, iż stałem się pani ofiarą, kiedy ranny, umierający widziałem się opuszczony przez chirurgów; ja, potomek znakomitego rodu, który polegałem na przyjaźni twojej, o mało nie umarłem z ran, a następnie z głodu w podłej oberży w Chantilly, i to bez słówka odpowiedzi na pałacę moje listy...

— Ależ panie Porthosie — szepnęła notariuszowa, czując się winną według pojęć wielkościowych z owego czasu.

— Który poświęciłem dla ciebie baronowę...

— Wiem o tem.

— Hrabinę...
— Panie Porthosie!
— Księżnę...
— Panie Porthosie, bądź wspaniałomyślny!...
— Masz pani słuszność, nie będę już kończył...
— To mąż mój ani chciał słyszeć o pożyczce...
— Pani Coquenard... przypomnij sobie pierwszy twój list, który zachowałem wyryty w pamięci.

Notarjuszowa jęknęła głucho.

— Bo też za wielką była suma, której żądałeś.

— Pani Coquenard, dałem ci pierwszeństwo. Gdybym był napisał do księżnej... Nazwiska jej nie wymienię, bo dobrze wiem, co to jest kompromitować kobietę; lecz i to wiem także iż mogłem być napisać tylko do niej, a przysłałaby mi tysiące.

Dama uroniła łzę.

— Panie Porthosie, przysięgam, że ukarałeś mnie straszliwie, i jeżeli w przyszłości w wypadku podobnym się znajdziesz, udaj się tylko do mnie.

— Fe!... pani!... — odezwał się Porthos, niby obrażony — nie mówmy o pieniądzach, proszę, to poniżające.

— Już więc nie kochasz mnie! — zwolna i smutno wymówiła notarjuszowa.

Porthos milczał wyniośle.

— Tak mi odpowiadasz? rozumiem, niestety!

— Pomyśl, pani, jaką wyrządziłaś mi obelgę: tkwi ona tu — rzekł Porthos, kładąc rękę na sercu i przyciskając je silnie.

— Załagodzę ją; cóż?... zgoda?... Porthosie drogi?

— Wreszcie, cóżem ja żądał od ciebie — ciągnął dalej Porthos, dobrodusznie wzsuszając ramionami — tylko pożyczki. Ostatecznie nie jestem człowiekiem bez rozumu. Wiem dobrze, że pani bogata nie jesteś, a mąż twój dobrze musi wysysać krew ze swoich klientów, dla wyciągnięcia kilku nędznych talarów! O! gdybyś była hrabiną, margrabiną lub księżną, to co innego, nigdybym ci tego nie przebaczył.

Notarjuszowa czuła się urażona.

— Dowiedz się, panie Porthosie, że kasa moja, jakkolwiek notarjuszowska, jest może lepiej zaopatrzona, niż tych twoich arystokratycznych brunetek.

— Wyrządzasz mi podwójną obelgę — rzekł Porthos, puszczając jej ramię — bo skoro jesteś bogatą, odmowa twoja nie ma usprawiedliwienia.

— Gdy mówię, że jestem bogata — podjęła żywo notarjuszowa, widząc, że zapędziła się zbyt — nie należy brać tego dosłownie. Właściwie nie jestem bogata, ale mam się dobrze.

— Pani, posłuchaj mnie! ... — rzekł Porthos — nie mówmy o tem, proszę! Nie poznałaś się na mnie... wszelkie uczucie między nami wygasło.

— Niewdzięcznik!...

— A! uskarżaj się, radzę ci!

— Wynoś się razem ze swoją piękną księżniczką! nie zatrzymuję.

— E! nie jest ona bynajmniej szpetna!

— Panie Porthosie, raz jeszcze mnie wysłuchaj, ostatni raz!... Kochasz mnie jeszcze?

— Niestety! pani — ozwał się ciężko melancholijnym głosem — gdy wybieramy się na wojnę, na której przecucie mi mówi, że zostanę zabity...

— O! nie mów tak! — krzyknęła dama, wybuchając łkaniem.

— Coś mi tak mówi!... — ciągnął Porthos coraz więcej ponurym głosem.

— Powiedz lepiej, że znowu się zakochałeś!

— Wcale nie, mówię szczerze. Nic nowego mnie nie wzrusza, a nawet czuję tam, w głębi serca mego, coś, co za tobą przemawia. Lecz, jak wiesz, a może i nie wiesz, za dwa tygodnie zaczyna się wojna złowieszcza; strasznie będę zajęty wyekwipowaniem się mojem. Potem czeka mnie podróż do Bretanii, dla odwiedzenia rodziny i zrealizowania sumy, potrzebnej na wyjazd.

Dostrzegł ostatnią walkę, jaką staczała miłość ze skąpstwem.

— A ponieważ księżna, którą widziałś w kościele, ma dobra, przylegające do moich, razem puścimy się w drogę. Wiesz dobrze, iż podróż nie tak się przykrzy, kiedy się ją odbywa we dwoje.

— Czy nie masz przyjaciół w Paryżu? — zagadnęła notariuszowa.

— Sądziłem, iż mam ich — rzekł Porthos, przybierając na nowo wyraz melancholijny — przekonałem się jednak, iż jestem w błędzie.

— Masz ich, masz, panie Porthosie — odparła notariuszowa w uniesieniu, które zdziwiło ją samą — przyjdź jutro do nas. Jesteś synem mojej ciotki, a zatem bratem ciotecznym; przybywasz z Noyou w Pikardji, masz kilka spraw w Paryżu, a nie znasz żadnego adwokata. Będziesz pamiętał?

— Jak najwyborniej.

— Przyjdź w godzinie obiadowej.

— I owszem.

— A z moim mężem trzymaj się ostro, bo to stary lis przebiegły, pomimo siedemdziesięciu sześciu lat.

— Siedemdziesiąt sześć lat! piękny wiek!...

— Późny wiek, powiedz lepiej, panie Porthosie, to też biedaczysko drogie może zostawić mnie lada chwila wdową — ciągnęła notariuszowa, rzucając na Porthosa znaczące spojrzenie. Na szczęście, intercyzą ślubną umowa majątkowa zawarta na przeżycie.

— Cały majątek? — zagadnął Porthos.

— Cały.

— Przewidująca z ciebie kobieta, droga pani Coquenard — rzekł Porthos, czule ścisnąc jej rękę.

— A zatem, zgoda między nami, drogi panie Porthosie? — wdzięcząc się, zapytała.

— Na całe życie — podobnie odpowiedział Porthos.

— Do zobaczenia więc, mój zdrajco.

— Do widzenia, zapominajko moja.

— Do jutra, aniele mój.

— Do jutra, światło mego życia.

ROZDZIAŁ III. MILADY

D'Artagnan szedł za milady niepostrzeżenie.

Widział, jak wsiadała do karety i słyszał, jak wydała woźnicy rozkaz, ażeby jechał do Saint-Germain.

Niepodobna było gonić piechotą za powozem, który unosiła pędem para dzielnych koni.

Powrócił więc do mieszkania Athosa. Na ulicy Sekwany spotkał Plancheta, stojącego przed sklepem z ciastkami, w zachwycie nad brioszą o smakowitym wyglądzie. Kocham moją biedną Konstancję więcej, niż kiedykolwiek, ³

Rozkazał mu osiodłać dwa konie w stajni pana de Tréville, jednego dla siebie, drugiego dla Plancheta, i przyprowadzić je przed mieszkanie Athosa, pan de Tréville bowiem oddał raz na zawsze stajnie swoje na usługi d'Artagnana.

Pan i sługa rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Athos był w domu, smutnie wypróżniając jedną z owych butelek hiszpańskiego wina, które wywiózł z Pikardji. Dał znak Grimaudowi, aby przyniósł drugi kieliszek, co ten spełnił w milczeniu, jak zawsze.

D'Artagnan opowiedział Athosowi, co zaszło w kościele pomiędzy Porthosem i notariuszową, i jak towarzyszył im, według wszelkiego prawdopodobieństwa, był już na drodze do wyekwipowania.

— Co do mnie — rzekł Athos, w odpowiedzi na to sprawozdanie — jestem spokojny, że uzbrojenie moje nie odbędzie się kosztem płci pięknej.

— A jednak taki z ciebie piękny, gładki mężczyzna i wielki pan, drogi Athosie! Zaręczam, iż niema księżniczek, ani królowych, którychby nie dotknęły miłosne twoje pociski.

— Jakiś ty młody!... — rzekł Athos, wzruszając ramionami.

³Błąd w druku — zamiast fragmentu oznaczonego kolorem szarym powinien być inny tekst. [przypis edytorski]

I kiwnął na Grimauda, aby drugą butelkę podał.

Tymczasem ukazała się nieśmiało głowa Plancheta w drzwiach uchylonych, z oznajmieniem, że konie gotowe.

— Co za konie? — zapytał Athos.

— Pożyczone mi przez pana de Tréville, dla przejażdżki do Saint-Germain.

— A ty tam po co? — zapytał jeszcze Athos.

Opowiedział mu wtedy d'Artagnan spotkanie swoje w kościele, że odnalazł kobietę, która wraz z mężczyzną w czarnym płaszczu i z blizną na skroni była jego ustawicznym niepokojem.

— To znaczy, żeś zakochany w niej, jak wpierw w pani Bonacieux — rzekł Athos, wznosząc z pogardą ramiona, jak gdyby się litował nad ułomnością ludzką.

— Ja?... wcale nie! — zawołał d'Artagnan. — Ciekawy jestem tylko wyjaśnienia tajemnicy, jaką się ona otacza. Nie wiem dlaczego, ale mi się zdaje, że ta kobieta, jakkolwiek nieznani sobie jesteśmy, wpływ jakiś wywiera na moje życie.

— Rzeczywiście, masz słuszość — ciągnął Athos — nie znam kobiety, której warto byłoby szukać, gdy zginie. Pani Bonacieux zginęła, tem gorzej dla niej, niech się sama odnajdzie.

— Nie!... mylisz się, Athosie — rzekł d'Artagnan — kocham moją biedną Konstancję więcej, niż kiedykolwiek, i gdybym wiedział, gdzie się znajduje, choćby to było na końcu świata, poszedłbym wyzwolić ją z rąk nieprzyjacielskich; lecz nie wiem nic zgoła, a dotąd poszukiwania moje pozostały bez skutku. Cóż chcesz, trzeba się trochę rozerwać.

— Rozrywaj się z milady, drogi d'Artagnanie, życzę ci z całego serca, jeżeli cię to jeszcze bawi.

— Słuchaj, Athosie, zamiast siedzieć w zamknięciu, jak skazany na kozę, siadaj na konia i jedź ze mną do Saint-Germain.

— Mój drogi, na konia siadam, gdy go mam, a gdy nie mam, idę piechotą.

— Otóż! ja siadam na co się przytrafi — rzekł d'Artagnan, uśmiechając się z miżantropji Athosa, która w in nym, niż on, podobałaby mu się z pewnością. Zatem, do widzenia, drogi Athosie.

— Do widzenia — odparł muszkietier, dając znak Grimaudowi, aby odkorkował przyniesioną butelkę.

D'Artagnan z Planchetem siedli na konie i ruszyli drogą do Saint-Germain.

Przez drogę młodzieniec nasz myślał o tem, co Athos powiedział o pani Bonacieux.

Jakkolwiek nie był zbyt uczuciowy, piękna kramarzowa wpila mu się głęboko w serce. Gotów był iść na koniec świata, ażeby ją odnaleźć.

Lecz świat dużo ma końców, przez to samo, że jest okrągły, nie wiedział więc, w którą obrócić się stronę.

Tymczasem chciał się dowiedzieć, kto była ta milady. Rozmawiała z mężczyzną w czarnym płaszczu, a więc go znała. Mężczyzna zaś ten, według niego, po raz drugi porwał panią Bonacieux, tak samo, jak poraz pierwszy.

D'Artagnan skłamał więc tylko w połowie, co prawie przestaje być kłamstwem, bo, poszukując milady, tem samem szukał Konstancji.

Tak zadumany, od czasu do czasu dając koniowi ostrogę, przybył do Saint-Germain. Minął wzdłuż pawilon, w którym dziesięć lat później miał przyjść na świat Ludwik XIV. Wjechał w pustą ulicę, rozglądając się na prawo i lewo, czy nie ujrzy śladu pięknej Angielki, gdy wtem na parterze ładnego domku, ukazała się jakaś znajoma postać. Postać ta przechadzała się na tarasie, przybranym w kwiaty.

Pierwszy poznał ją Planchet.

— E! panie — rzekł, zwracając się do Artagnana — czy nie przypomina pan sobie tej twarzy, która się tam gapi na wrony?

— Nie — odrzekł d'Artagnan — a jednak przekonany jestem, że nie poraz pierwszy ją widzę.

— Wierzę bardzo; to Lubin, lokaj hrabiego de Wardes, tego samego, co go pan tak dobrze urządził miesiąc temu w Calais, na drodze do letniego mieszkania gubernatora.

— A! prawda!... poznaję go teraz. Sądzisz, że i on ciebie poznał?

— Wątpię, zanadto był zmieszany owego czasu.

— Kiedy tak, to idź i wciągnij go w gawędkę; a postaraj się dowiedzieć, czy pan jego umarł.

Planchet zsiadł z konia i poszedł prosto do Lubina, który go rzeczywiście nie poznał, poczęli więc jak najprzyjaźniej rozmawiać, a d'Artagnan tymczasem pociągnął konie w wąski przesmyk i, okrążywszy dom, zawrócił, aby wysłuchać narady z poza szpaleru leszczyzny.

Po niedługim czasie usłyszał turkot powozu, następnie ujrzał karetę milady. Nie było najmniejszej wątpliwości, ona w niej siedziała.

D'Artagnan położył się na szyi konia, aby wszystko widzieć, nie będąc widzianym.

Milady wychyliła z poza portjery główkę uroczą, otoczoną zwojami złocistych włosów i dała jakiś rozkaz pokojowej.

Ta rzeźka i ładna dziewczyna, dwadzieścia parę lat mieć mogąca, prawdziwa subretka wielkiej damy, zeskoczyła i podążyła prosto na taras, gdzie stał poprzednio Lubin. Tego jednak przed chwilą odwołano do wnętrza domu, tak, że Planchet pozostał sam, rozglądając się dokoła, gdzie mu się pan jego podział.

Pokojowa, biorąc go za Lubina, podeszła doń i oddając mu bilecik, rzekła:

— To do waszego pana.

— Do mojego pana? — odparł zdziwiony Planchet.

— Tak, i bardzo pilny. Bierzcie prędko.

To mówiąc, co tchu zawróciła do karety, wskoczyła na kozioł, a konie popędziły z powrotem.

Planchet obracał list w ręce, wreszcie, przywykły do biernego posłuszeństwa, zbiegł z tarasu, puścił się w przesmyk i spotkał d'Artagnana, który, wypatrzywszy co zaszło, podążył naprzeciw niego.

— Do pana — rzekł Planchet, podając mu bilecik.

— Do mnie?... czyś tego pewny?

— Jakto, czy jestem pewny? Subretka powiedziała: „do waszego pana“. Ja nie mam innego, a zatem... o! ładna bestyjka, ta subretka!...

D'Artagnan otworzył liścik i odczytał te wyrazy:

„Osoba, którą obchodzisz więcej, niż wyznać jest w stanie, pragnie dowiedzieć się, kiedy będziesz mógł przechadzać się w lesie. Jutro, w hotelu du Champ-du-Drap-d'Or, oczekiwać będzie odpowiedzi służący w liberji czarnej z czerwonym”.

— Ho! ho! ... — pomyślał d'Artagnan — to dosyć nie źle. Widocznie milady i ja troszczymy się zarówno o zdrowie jednej i tej samej osoby. A co! Planchecie, jakże pan de Wardes się miewa? czy żyje?

— Żyje, panie, i ma się tak, jak można się mieć z czterema pchnięciami szpadą w skórę, bo, nie wymawiając, pan mu ich tyle wpakował; teraz osłabiony jest mocno, gdyż wszystką krew utracił. Jak powiedziałem panu, Lubin mnie nie poznał wcale i opowiedział całą naszą historję od początku do końca.

— Bardzo dobrze, Planchetku, jesteś królem lokajów; siadaj teraz na konia i dopędzimy karetę.

Na to nie dużo potrzeba było czasu; w pięć minut niespełna ujrano ją, jak zatrzymała się na zakręcie drogi; bogato ubrany jeździec stał u drzwiczek.

Jego rozmowa z milady była tak ożywiona, że d'Artagnan zatrzymał się po drugiej stronie i nikt, prócz subretki, obecności jego nie zauważył.

Mówiono po angielsku, językiem, którego nie rozumiał d'Artagnan; lecz po tonie mógł się domyśleć, że piękna Angielka mocno była zagniewana; zakończyła wreszcie gestem, nie pozostawiającym wątpliwości, co do natury tej rozmowy; było nim uderzenie wachlarzem, wymierzone z taką siłą, iż piękny ten sprzącznik kobiecy rozprysł się w drobne kawałki.

Jeździec wybuchnął śmiechem, który widocznie doprowadził milady do ostateczności.

Wtedy d'Artagnan osądził, że chwila jest stosowna dla wdania się w tę sprawę, podsunął się do samych drzwiczek i w postawie, pełnej szacunku, uchylając kapelusza, rzekł:

— Pani, czy pozwolisz ofiarować ci moje usługi?... zdaje mi się bowiem, że rycerz tu obecny pobudził cię do gniewu. Jedno słowo twoje, pani, a biorę na siebie ukaranie go za przekroczenie wymagań grzeczności.

Przy pierwszych słowach milady obróciła główkę, patrząc zdziwiona na młodzieńca, gdy zaś skończył, odparła poprawną francuzczyzną:

— Z miłą chęcią uciekłabym się pod pańską opiekę, gdyby ten, który się sprzecza ze mną, nie był moim bratem.

— A! proszę mi zatem darować — odezwał się d'Artagnan — pojmuje pani, że nic o tem nie wiedziałem.

— Co temu szpakowi do tego, czemu on się tu wtrąca! — schylając się do okna drzwiczek, wrzasnął jeździec, nazwany przez milady bratem — czemu sobie nie jedzie z Bogiem?

— Ty sam szpak jesteś, mój panie — rzekł d'Artagnan, skłaniając głowę do grzywy swego wierzchowca, aby tak samo przez okno drzwiczek rzucić jeźdźcowi odpowiedź — nie jadę dalej, bo mi się tak podoba.

Jeździec przemówił kilka słów po angielsku do siostry.

— Ja po francusku mówię do pana — przerwał mu d'Artagnan, — odpowiedz mi tak samo, proszę. Jesteś pan bratem tej pani, zgoda, lecz, na szczęście, moim nie jesteś.

Sądzić byłoby można, iż milady, lękliwa, jak każda kobieta, zechce pośredniczyć w sprzeczce, zakrawającej na wyzwanie, aby nie dopuścić wybuchu.

Ona zaś, wprost przeciwnie, rozparła się w karecie i z całym spokojem zawołała na woźnicę:

— Ruszaj do pałacu!

Ładna pokojóweczka rzuciła zaniepokojone spojrzenie na d'Artagnana, który wywarł na niej wrażenie piękną powierzchownością.

Kareta pomknęła, a dwaj mężczyźni pozostali, patrząc sobie oko w oko, żadna już bowiem zaporą dotykalna nie stała pomiędzy nimi.

Jeździec cmoknął na konia, aby za powozem podążyć; lecz wrzący już gniewem d'Artagnan, zakipiał, poznawszy w nim Anglika, który w Amiens wygrał jego konia i o mały włos nie pozbawił go, dzięki Athosowi, pierścienia z djamentem.

— E! panie — zawołał — wydajesz mi się większym, niż ja, szpakiem, bo wyglądasz, jakbyś zapomniał, że mamy z sobą na pieńku.

— A! a! — odezwał się Anglik — to pan, panie graczu. Jak widzę, nie obejdzie się nigdzie bez ciebie.

— Tak, to ja, a przypomina mi to, że mam rachunek do załatwienia z panem. Zobaczymy, drogi panie, czy równie zręcznie władasz rapirem, jak kubkiem od kości.

— Widzisz przecie, mój panie, iż nie jestem przy szpadzie — odparł Anglik — czy chcesz udawać męznego z człowiekiem bezbronnym?

— Spodziewam się, że w domu nie brak ci szpady, mój panie — odpowiedział gaskończyk. — A na wszelki przypadek, ja mam ich dwie i, jeżeli zechcesz, użyczę ci jednej.

— Nie potrzeba — rzekł Anglik — ja dostatecznie zaopatrzony jestem w narzędzia tego rodzaju.

— Tem lepiej! zacny mój panie, wybierz więc najdłuższą szpadę i pokaż mi ją dzisiejszego wieczora.

— A gdzież to, jeżeli łaska?

— Poza Luksemburgiem jest urocza miejscowość na podobne schadzki.

— Bardzo dobrze, stawię się.

— O godzinie?

— Szóstej.

— Ale, ale, masz pan zapewne paru przyjaciół?

— Trzech... nawet, którzy mocno będą zaszczyceni, dzieląc ze mną tę partję.

— Trzech?... wybornie się składa — rzekł d'Artagnan — będzie tylu, ilu potrzeba.

— A teraz kto pan jesteś? — zapytał Anglik.

— Jestem d'Artagnan, szlachcic gaskoński, gwardzista z oddziału pana Desessarts. A pan?...

— Ja, jestem lord Winter, baron de Scheffield.

— Jestem więc na usługi, panie baronie — rzekł d'Artagnan — jakkolwiek nazwisko pańskie djabło trudno zapamiętać.

I, dając koniowi ostrogę, puścił się galopem drogą do Paryża. Jak zwykle, przy podobnych zdarzeniach, zajechał prosto do Athosa.

Opowiedział Athosowi wszystko z wyjątkiem listu pana de Wardes. Athos był zachwycony na myśl, że d'Artagnan miał bić się z Anglikiem. Było to jego marzeniem, jak wiemy.

Natychmiast posłano po Porthosa i Aramisa, i rozpowiedziano im, co zaszło. Porthos dobył szpady i jął wymachiwać nią do ściany, przysiadując do ziemi, jak tancerz.

Aramis, zajęty tworzeniem poematu, zamknął się w gabinecie Athosa, prosząc, aby mu nie przerywano, aż do chwili wzięcia za szpady.

Athos pokazał Grimaudowi na migi, aby przyniósł mu butelkę. D'Artagnan zaś układał w duchu plan, którego wykonanie poznamy z czasem. Za domem obiecywał sobie milutką przygodę, co zdradzały uśmiechy, które, przelatując mu po licach, jakby wtórowały marzeniom.

ROZDZIAŁ IV. ANGLICY I FRANCUZI

O umównionej porze udano się poza Luksemburg wraz z czterema pacholkami na pole, gdzie zwykle pasły się kozy. Athos dał pastuchowi sztukę złota, byle się oddalił.

Pacholkom rozkazano trzymać straż dokoła.

Niebawem gromadka ludzi zbliżyła się w milczeniu do tegoż pola; przeszli je wzdłuż i połączyli się z naszymi muszkietierami; następnie, według obyczaju z za morza, przedstawili się sobie wzajemnie. Anglicy byli wszyscy ludźmi na wysokich stanowiskach, zatem imiona dziwaczne przeciwników swoich wzięli za żart jakiś niesmaczny, a nawet ich to zaniepokoiło trochę.

— Z tem wszystkiem — odezwał się lord Winter, usłyszawszy nazwiska trzech przyjaciół, nic a nic jeszcze nie wiemy, coście wy za jedni i ani myślimy bić się z podobnemi indywiduami; to jakieś cudaczne imiona...

— Nie mylisz się, milordzie — rzekł Athos — są to imiona przybrane.

— Dlatego właśnie mamy ochotę poznania prawdziwych — odparł Anglik.

— Graliście z nami w kości, nie dowiadując się wcale, kogo ogrywacie — mówił Athos — i nie przeszkodziło to wam w dodatku zabrać nasze konie?

— To prawda, ale ryzykowaliśmy pieniądze jedynie, tu zaś ryzykujemy krew naszą; można grać w kości z pierwszym lepszym, a bić się tylko z równym sobie.

— Sprawiedliwie mówisz, milordzie — rzekł Athos; wziął na bok jednego z czterech Anglików, tego właśnie, z którym sam miał się potykać i szepnął mu do ucha swe nazwisko. Porthos i Aramis poszli za jego przykładem.

— No, czy panu to wystarcza? — rzekł Athos do swego przeciwnika — czy uważasz mnie za godnego do skrzyżowania szpady?

— O! tak, panie — odparł Anglik, pochylając głowę.

— A teraz, mój panie, może masz ochotę usłyszeć coś bardziej jeszcze interesującego?

— Mianowicie?

— Ja, milordzie, uchodzę za umarłego i mam bardzo ważne powody, aby nie domyślano się, że żyję; teraz zaś zmuszony będę zabić pana, aby tajemnica moja na jaw nie wyszła.

Anglik patrzył się na Athosa, sądząc, że mówi przechwałki, lecz Athos bynajmniej nie żartował.

— Panowie — rzekł, zwracając się do towarzyszy, jak i do przeciwników — czyście już gotowi?

— Tak — odpowiedzieli Francuzi i Anglicy.

— A więc baczność! — rzekł Athos.

W tej chwili osiem szpad błysnęło w promieniach zachodzącego słońca i walka zaczęła się z zjadłością, łatwą do zrozumienia, pomiędzy nieprzyjaciółmi z krwi i obrazy. Athos z przeciwnikiem mierzył się z całą zimną krwią, zachowując reguły wszystkie, jak gdyby się znajdował na lekcji ćwiczeń w sali fechtunkowej.

Porthos, pomny na zbytnią ufność w siebie przy awanturze w Chantilly, wysiłał się na możliwe podejścia i przezorność. Aramis zaś, spiesząc dokończyć trzeciej pieśni poematu swojego, nacierał gwałtownie, jak człowiek nie mający czasu do stracenia.

Athos najpierwszy zabił przeciwnika: jedno, jedyne pchnięcie i już było po wszystkim; jak go uprzedził tak się też i stało: szpada przeszła mu serce. Porthos z kolei swojego rywala ściał z nóg: przekłuł mu łydkę na wylot. A że Anglik nie stawiał oporu,

tylko oddał szpadę, Porthos wziął go na ręce i odniósł do karety. Aramis napadł gwałtownie na swojego, tak, że ten, nie mogąc dotrzymać placu, cofał się z jakie pięćdziesiąt kroków, nakoniec widząc, że nie podola, odwrócił się i zaczął uciekać, ścigany okrzykami szyderczymi pacholków.

D'Artagnan stosował metodę inną; bronił się tylko i zasłaniał; nakoniec, gdy zmorował już przeciwnika, ruchem silnym i zręcznym wytrącił mu broń z ręki. Baron, widząc się rozbrojonym, postąpił w tył kilka kroków, lecz noga mu się poślizgnęła i padł na wznak, jak długi.

D'Artagnan poskoczył i przyłożył mu szpadę do gardła:

— Mógłbym cię zabić, mój panie — rzekł do Anglika — lecz daruję ci życie, dla miłości twojej siostry.

Anglik ze swej strony zachwycony był, mając do czynienia ze szlachcicem wyższej natury, uściśnął go też serdecznie, nagadał komplementów muszkieterom, a ponieważ przeciwnik Porthosa był już umieszczony w karecie, a przeciwnik Aramisa stchórzył i zemknął, zajęto się jedynie nieboszczykiem. A gdy Porthos i Aramis ściągali z niego ubranie, w nadziei, że rana nie okaże się śmiertelną, wypchany złotem worek wypadł mu z za pasa. D'Artagnan go podniósł i podał lordowi Winter.

— Cóż u diabła mam z tem zrobić? — rzekł Anglik.

— Oddasz pan jego rodzinie — odpowiedział d'Artagnan.

— Oho! jego rodzina nie dba o taką bagatelę! ... odziedziczy ona po nim coś lepszego: piętnaście tysięcy luidorów dochodu rocznego; schowaj pan ten woreczek dla swoich lokajów. D'Artagnan schował worek do kieszeni.

— A teraz, mój młody przyjacielu, mam bowiem nadzieję, iż pozwolisz mi się tak nazywać — rzekł lord Winter — dziś wieczorem, jeżeli tylko pragniesz, przedstawię cię siostrze mojej, lady Clarik; chcę koniecznie, aby i ona cię polubiła, a ponieważ ma niejaki wpływ w dworze, może w przyszłości słówko dorzucić za tobą.

D'Artagnan zaczerwienił się z radości i skłonił głowę na znak zgody. Tymczasem zbliżył się doń Athos.

— Co myślisz zrobić z temi pieniędzmi? — powiedział mu do ucha.

— Myślę ci je oddać, kochany Athosie.

— A mnie one na co?

— Przecież go zabiłeś; do ciebie zatem należą te łupy pośmiertne.

— Jakto!... ja miałbym dziedziczyć po wrogu?... — odrzekł Athos — za kogóż mnie masz?

— Jest to zwyczajem na wojnie, dlaczegóż miałyby być niewłaściwe w pojedynku?

— Nawet na polu bitwy, nigdy nic podobnego nie robiłem...

Porthos wzruszył ramionami. Aramis poruszył ustami, przytakując Athosowi.

— Kiedy tak, dajże te pieniądze lokajom, jak to proponował lord Winter.

— Tak, tak — potwierdził Athos — ale zamiast naszym, dajmy ten woreczek lokajom Anglików.

Wziął woreczek i cisnął w ręce stangretowi:

— Masz, trzymaj, to dla ciebie i twoich kolegów.

Ten wybryk hojności u człowieka zupełnie bez grosza, uderzył Porthosa nawet, a wspaniałość Francuza, rozgłoszona przez lorda Wintera i jego przyjaciela, miała powszechnie wielkie uznanie, wyjąwszy u pp. Grimauda, Mousquetona, Plancheta i Bazina.

Lord Winter, żegnając d'Artagnana, zostawił mu adres siostry; mieszkała na Place-Royal nr. 6. Dzielnica ta była naówczas w modzie. Lord obiecał nawet wstąpić, zabrać go i sam osobiście przedstawić. D'Artagnan oznaczył godzinę ósmą wieczorem, w mieszkaniu Athosa.

Gaskończyk nasz marzył obecnie już tylko o milady. Przypominał, jakim szczególnym dotąd trafem kobieta ta zawsze spotykała się z nim i miała wpływ na jego losy.

Przeświadczony był, że jest ona kreaturą kardynała, a pomimo to czuł do niej pociąg nieprzewyciężony; nie umiał wszakże określić uczucia, jakie nim owładnęło.

Jedyną miał tylko obawę, aby milady nie przypomniała sobie Meung i Douvru i nie poznała go. Domyśliłaby się natychmiast, że należy do stronników pana de Tréville, a więc oddany jest królowi duszą i ciałem, i z niczemby się przed nim nie zdradziła. Intryga miłośna pomiędzy nią i hrabią de Wardes, nie obchodziła naszego zarozumiałego młodzieńca,

choć hrabia był młody, piękny, bogaty i w wielkich łaskach u kardynała. Niedarmo ma się lat dwadzieścia pięć i jest się urodzonym w Tarbes!

D'Artagnan zaczął od tego, że poszedł do siebie i ubrał się, w co tylko posiadał najjaskrawszego, następnie wrócił do Athosa i, podług zwyczaju, opowiedział mu wszystko. Athos wysłuchał cierpliwie projektów przyjaciela, pokiwał głową i z niejaką goryczą w głosie zalecił mu ostrożność i przeczność.

— Jakże to — powiedział doń — tylko co postradałeś kobietę, jak sam mówiłeś, dobrą, śliczną, bez zarzutu, i już chcesz lecieć do drugiej?

D'Artagnan czuł, że przyjaciel ma słuszność.

— Kochałem panią Bonacieux sercem, a milady głowę mi zawróciła — rzekł — chcę ją poznać jedynie po to, aby raz wiedzieć naprawdę, jaką rolę odgrywa u dworu.

— Nie trudno jej rolę odgadnąć z tego, coś mi powiedział. To jakiś wysłaniec kardynała; kobieta niebezpieczna, wciągnie cię w zasadzkę, gdzie conajmniej głową przyplacisz.

— E! do diabła, Athosie, zdaje mi się, że zanadto w czarnych kolorach widzisz wszystko!

— Mój kochany, nie ufam kobietom, cóż chcesz, byłem już zdradzony, nie wierzę już, a nade wszystko blondynkom... Mówiłeś, że milady ma włosy jasne?

— Jest najcudniejszą blondynką pod słońcem.

— O! biedny d'Artagnanie, żałuję cię serdecznie — rzekł Athos.

— Słuchaj, ja chcę tylko zwąchać, co się święci, a jak już będę wiedział, to się usunę.

— Ha! przewachuj, skoro chcesz koniecznie — rzekł Athos flegmatycznie.

Lord Winter stanął się o godzinie umówionej, lecz Athos przedtem usunął się. Lord zastał więc d'Artagnana samego, a że była już ósma, zabrał go z sobą.

Elegancka karetka czekała przed bramą, a dzielne rumaki dostawiły ich za chwilę na Plac Królewski.

Lady Clarik przyjęła d'Artagnana uroczyście.

Mieszkanie jej odznaczało się przepychem i, chociaż wielu Anglików z powodu wojny musiało wyjeżdżać z Francji, milady, zamiast ich naśladować, kazała odświeżyć swój pałac, co dowodziło, że reskrypt ogólny, wydalający Anglików, jej wcale nie dotyczył.

— Widzisz przed sobą — rzekł lord Winter, przedstawiając siostrze d'Artagnana — widzisz młodego szlachcica, od którego życie moje zależało, a który nie skorzystał z przewagi, chociaż byliśmy wrogami podwójnie, bo znieważylem go, powtóre jestem Anglikiem. Podziękuj mu pani, jeżeli masz choć trochę dla mnie przyjaźni.

Milady zmarszczyła lekko brwi; chmurka przeszła jej po czole i uśmiech tak dziwny zaigrał na ustach, że młodzieniec, spostrzegłszy te niezrozumiałe oznaki, uczuł coś naksztalt dreszczu. Brat nic nie dostrzegł; bawił się z małpką, faworytką milady, ciągnąc ją za kurtkę.

— Witam pana u siebie — odezwała się milady głosem słodziutkim, w sprzeczności z oznakami złego humoru, jaki zauważył d'Artagnan, — zdobyłeś pan dzisiaj prawo do mej wdzięczności.

Wtedy Anglik się zbliżył i opowiedział milady całe zajście, najmniejszego nie opuszczając szczegółu.

Milady słuchała z wielką uwagą, lecz pomimo widocznego wysiłku woli, nie była w stanie ukryć, że opowiadanie to wcale nie jest jej miłe.

Krew uderzyła jej do twarzy, a mała nóżka niecierpliwie poruszała się pod fałdami sukni. Lord Winter i tego nie zauważył. Po skończonym opowiadaniu podszedł do stolika, gdzie stała na tacy butelka wina hiszpańskiego, napełnił dwie szklanki i skinął na d'Artagnana, aby przyszedł się napić. D'Artagnan wiedział, że odmówić nie może, bo obraziłby Anglika. Przystąpił do stołu, wziął szklankę, mimo to jednak nie spuszczał z oczu milady i dostrzegł w naprzeciw wiszącym zwierciadle rażącą zmianę jej fizjonomji.

Myśląc, że nikt na nią nie patrzy, nie ukrywała wewnętrznych uczuć i rysy jej oszpecił wyraz okrucieństwa.

Gryzła ze złości chusteczkę białymi ząbkami. Ładna subretka, którą już zauważył d'Artagnan, weszła do salonu i powiedziała kilka słów po angielsku lordowi Winter, on zaś natychmiast przeprosił d'Artagnana, tłumacząc się, iż musi odejść z powodu bardzo ważnej sprawy, a siostrze polecił bawić gościa.

D'Artagnan uściśnął rękę lorda i powrócił do milady.

Twarz jej z zadziwiającą szybkością przybrała znów wyraz łagodny i miły, jedynie plamki czerwone na chusteczce zdradzały, iż usta pogryzła aż do krwi.

A przeszliczne były te usteczka, rzekłbyś z koralu najpiękniejszego. Zaczęła się ożywiona rozmowa.

Milady uspokoiła się napozór zupełnie. Opowiadała, że lord Winter nie jest jej bratem rodzonym, lecz tylko szwagrem, że ona sama wyszła za mąż za jego młodszego brata, który zostawił ją wdową z małym dzieckiem.

Dziecko to było jedynym spadkobiercą lorda Winter, gdyby się nie ożenił. Wszystko, co mu opowiadała piękna pani, niejasnym wydało się młodzieńcowi; nie mógł jednak domyśleć się, o co jej mianowicie chodzi. Nakoniec, po półgodzinnej rozmowie d'Artagnan nabrał przekonania, że milady nie jest Angielką, mówiła bowiem po francusku tak poprawnie, iż co do tego upewnił się zupełnie.

D'Artagnan wysadzał się na komplementy i plótł bajdy niestworzone. Na wszystkie niedorzeczności, jakie prawił nasz gaskończyk, milady uśmiechała się dobrotliwie.

Zauważył nareszcie, że wypada pożegnać miłą gospodynię; wstał, uklonił się zamaszyście i wyszedł z salonu, uszczęśliwiony przyjęciem.

Na schodach spotkał piękną subretkę, która, przechodząc, potrąciła go lekko i rumieniąc się, zaczęła przeproszać głosikiem tak słodkim, iż przebaczył jej z łatwością.

Nazajutrz d'Artagnan znów przyszedł z wizytą i przyjęty został⁴ jeszcze lepiej, niż dnia poprzedniego.

Lord Winter był nieobecny, sama więc milady bawiła gościa przez cały wieczór. Wypytywała go o stosunki, o przyjaciół, skąd pochodzi i czy nie zamysła czasem wejść w służbę kardynała.

D'Artagnan, jak wiadomo, pomimo młodego wieku, odznaczał się rozsądkiem i chytrością; przypomniał sobie zaraz podejrzenia, jakie miał względem milady.

Zaczął więc wychwalać Jego Eminencję i zapewniał, że bezwarunkowo wstąpiłby był do straży przybocznej kardynała, a nie do królewskiej, gdyby znał był tak dobrze pana de Cavois, jak znał pana de Tréville.

Milady zmieniła rozmowę i jak najnaturalniej w świecie zapytała d'Artagnana, czy był kiedy w Anglii. D'Artagnan odpowiedział, że był rzeczywiście wysłany dla zakupu koni, których cztery sztuki na próbę przyprowadził.

Milady, podczas całej tej rozmowy, kilka razy aż do krwi usta przygryzała, miała bowiem do czynienia z gaskończykiem, którego podejść było trudno. O tej samej porze, co dnia poprzedniego, d'Artagnan wyszedł od milady. W korytarzu spotkał znów ładną Katty. Spojrzała ona takimi oczkami, iż trudno się było omylić, co znaczy to spojrzenie. Ale d'Artagnan zanadto był zajęty milady, aby na cośkolwiek innego zwrócić uwagę. Nasz gaskończyk poszedł nazajutrz znowu do lady Clarick i tak codzień chodził, a ona przyjmowała go z wzrastającą wciąż czułością.

Każdego też wieczora, wychodząc, spotykał na schodach lub w korytarzu piękną subretkę o zalotnym spojrzeniu. Lecz, jak już powiedzieliśmy, d'Artagnan nie zwracał wcale uwagi na natarczywość czulej Katty.

ROZDZIAŁ V. OBIAD U NOTARJUSZA

Jakkolwiek świetną rolę odegrał Porthos w pojedynku, nie zapomniał jednak o zaproszeniu na obiad do pani notarjuszowej.

Nazajutrz, około godziny pierwszej, starannie odświeżony, w ubraniu najparadniejszym, doprowadzonym do możliwego porządku przez Mousquetona, udał się na ulicę Niedźwiedzią z miną człowieka podwójnie szczęśliwego.

Wzruszony, z bijącym sercem, zbliżał się do celu; lecz nie było to takie uczucie, jakie opanowało d'Artagnana, nie była to niecierpliwość miłości młodzieńczej. Interes czysto materialny burzył jego krew... Nareszcie miał nadzieję przekroczyć próg tajemniczy, wstąpić na nieznane schody, po których jeden za drugim odbyły pielgrzymkę stare dukaty pana Coquenard.

Ujrzy nareszcie własnymi oczami skrzynię, której obraz widział tyle razy w swych snach; skrzynię, długą, głęboką, z kłódkami, zamkami, a w dodatku przytwierdzoną do

⁴został. [przypis redakcyjny]

podłogi śrubami, o której nasłuchał się tyle opowiadań, i którą rączki notariuszowej, wprawdzie trochę chude i suche, lecz niepozbawione wdzięku i elegancji, otworzą nareszcie i ukazą jego oczom zachwyconym jej cudowne wnętrze.

Następnie on, tułacz bez grosza przy duszy, bez domu, żołnierz, pędzący życie w obierkach i karczmach, znający się na dobrym jedzeniu i lubiący spijać doskonałe wina, a zmuszony kontentować się cienkuszem, zasiądzie nareszcie do stołu, zastawionego obficie, użyje rozkoszy życia rodzinnego i pozwoli otoczyć się wygodami i staraniami, które wielki urok posiadają dla ludzi, zmuszonych obywać się bez nich: tak przynajmniej utrzymują starzy wojskowi.

Siadać codziennie, jako krewny przy stole do smacznego obiadku, rozchmurzyć żółte i pomarszczone czoło starego notariusza, podskubać od czasu do czasu młodych jego kancelistów, wykładając im tajemnice gry w basetę, lancusia i t. p. i w przeciągu godziny zabrać, jako honorarjum, za naukę przynależne, ich oszczędności, uzbierane z całomiesięcznej pensji, — to uśmiechało się niesłychanie Porthosowi.

Muszkietier nasz przywodził sobie wprawdzie na pamięć przeróżne plotki, jakie obiegały w owym czasie o notariuszach wogóle, o ich sknerstwie, odgrzewaniu resztek jedzenia i postach, ściśle zachowywanych; ponieważ jednak, pomimo pewnej oszczędności, którą Porthos zauważył, i która wcale mu się nie podobała, widział notariuszową dość hojną niekiedy (jak na notariuszową, ma się rozumieć), spodziewał się zatem zastać dom na stopie przyzwoitej.

Zbliżywszy się jednak do bramy posiadłości pana Coquenard, muszkietier nasz zaczął trochę powątpiewać; dostęp do mieszkania nie był wcale zachęcający: ulica cuchnąca i brudna; schody ciemne, światło bowiem wpadało przez okienko zakratowane, wychodzące na mur sąsiedniego domostwa. Na pierwszym piętrze drzwi czarne i niskie, nabijane gwoździami, jakby drzwi więzienia.

Porthos zapukał; po chwili otworzył mu jeden z dependentów; blady, wychudzony, z rozczochraną głową i przywitał ukłonem, wyrażającym cześć potrójną: dla wysokiej postaci muszkietera, znamionującej siłę, dla stroju wojskowego i dla twarzy różowej, cechującej człowieka, lubiącego dobrze jeść i pić.

Za dependentem stał drugi, mniejszy, za nim znów trochę większy, a dalej jeszcze wyrostek dwunastoletni.

Było zatem półczwarta dependenta, co na owe czasy oznaczało biuro notariusza, używającego wielkiej wziętości.

Porthos miał przyjść o godzinie pierwszej; pani notariuszowa jednak od dwunastej już go wyglądała, rachując, że serce kochające, a może i pusty żołądek kochanka przyprowadzą go wcześniej.

Pani Coquenard ukazała się w drzwiach od pokoju w chwili, gdy gość jej wchodził drzwiami od schodów, i to wybawiło muszkietera z wielkiego ambarasu. Aplikanci bowiem mierzyli go oczami z impertynencką ciekawością, a on nie wiedział narazie, co im powiedzieć, i stał niemy, jak pień.

— To mój krewny — zawołała pani notariuszowa — chodź-że, chodź prędzej, panie Porthosie.

Nazwisko kuzyna podziało na dependentów i zaczęli chichotać w najlepsze; Porthos odwrócił się, spojrział groźnie i, jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężkiej, twarze wszystkich przybrały obojętny wyraz.

Nareszcie dotarł wraz z panią domu do gabinetu notariusza, minawszy przedpokój z dependentami i biuro, w którym właściwie powinni byli siedzieć; pokój ten był brudny, ciemny i zawałony starymi papierami. Przeszli biuro, skąd na prawo prowadziły drzwi do kuchni, i znaleźli się na koniec w bawialnym pokoju.

Wszystkie te pokoje wcale nie zachwyciły Porthosa.

Rozmowa, prowadzona w jednym z nich, słyszana być mogła we wszystkich przez drzwi poroztwierane. Przechodząc, zapuścił badawczy wzrok do kuchni i zmuszony był przyznać, że wstydem dla pani notariuszowej, a z żalem dla siebie, iż nie dostrzegł tam ani ognia na kominie, ani ruchu i krzątania, jakie panują zwykle w tej świątyni obżarstwa podczas szykowania smacznego obiadu.

Pan notariusz, przygotowany zapewne przez żonę do wizyty, nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok Porthosa, który podszedł rezolutnie i ukłonił się z galanterją.

— Podobno jesteście spokrewnieni, panie Porthos? — rzekł notariusz, unosząc się z trudnością z trzcinowego fotela, na którym siedział.

Starzec owinięty był w obszerny czerwony kaftan, pod którym ginęła jego sucha i koścista postać; małe siwe oczki błyszcząły, jak robaczki świętojańskie i wraz z wargami, poruszającymi się bezustannie, skupiały w sobie całe życie obumarłej twarzy.

Na nieszczęście, nogi poczynały mu odmawiać posłuszeństwa i nie chciały już nosić starego grata: od pół roku zatem, gdy i ta dolegliwość przyłączyła się do wielu innych, szanowny notariusz dostał się zupełnie pod władzę małżonki.

Przystał z rezygnacją na kuzynstwo z muszkietierem, bo nie mógł zrobić inaczej. Pan Coquenard, gdyby był młody i rzeźki, z pewnością uchyliłby się od jakiegokolwiek pokrewieństwa z Porthosem.

— Tak, panie, jesteście kuzynami — odparł Porthos śmiało, choć, co prawda, nie rachował nigdy na przyjęcie entuzjastyczne ze strony męża swej bogdanki.

— Przez kobiety, zdaje mi się?... — rzekł notariusz złośliwie.

Porthos nie zrozumiał przyczynki i wziął to za naiwność staruszka, z której śmiał się pod wąsem.

Pani Coquenard wiedziała dobrze, że notariusz naiwnością bynajmniej nie grzeszył i dlatego roześmiała się przymuszenie, a zaczerwieniła się ogromnie.

Stary Coquenard, odkąd wszedł Porthos, co jakiś czas spoglądał niespokojnie na wielką szafę, stojącą naprzeciw biurka dębowego, przed którym siedział. Porthos domyślił się, że szafa, choć nie odpowiadała kształtem tej, którą w snach swoich oglądał, musi być jednak błogosławionym naczyniem, zawierającym skarby, i wieszował sobie, że rzeczywistość okazała się wyższa i obszerniejsza, niż jego marzenie.

Pan Coquenard nie dochodził już bliższego pokrewieństwa z muszkietierem tylko, przenosząc niespokojny wzrok z szafy na Porthosa, zapytał:

— Zapewne kochany kuzynek przed wyjazdem na wojnę, będzie łaskaw zjeść choć jeden obiadek; wszak prawda, pani Coquenard?...

Teraz Porthos uczył się dotknięty... w sam żołądek; widać, że i pani Coquenard ze swej strony także się obruszyła, bo zaraz dodała:

— Krewny mój nie przyszedłby więcej do nas, gdybyśmy go źle przyjęli; a rzeczywiście tak niedługo już będzie w Paryżu i tak mało czasu mu zostaje, aby się z nami nacieszyć, iż musimy go prosić, by wszystkie wolne chwile, jakimi aż do wyjazdu rozporządzać może, zechciał nam łaskawie poświęcić.

— O! moje nogi! moje biedne nogi!... czemuż mnie słuchać nie chcecie?... — mruzczał Coquenard usiłując się uśmiechnąć.

Pomoc, z jaką pośpieszyła Porthosowi w chwili, gdy został zaatakowany w nadziei spożywania smacznych obiadów, przepełniła serce muszkietera szczerą wdzięcznością dla dobrej notariuszowej.

Niedługo nadeszła godzina obiadowa. Przeniesiono się do sali jadalnej, którą stanowiła duża izba, ciemna i brudna, dotykająca kuchni.

Dependenci czuli z pewnością niezwykłą woń potraw, rozchodzącą się po całym domu, ponieważ stawili się z wojskową akuracnością i każdy z nich, trzymając w ręku stołek, gotów był usiąść za danym znakiem, a poruszanie szczękami i wciąganie zapachów nosami zwiastowało straszliwe zamiary żarłocstwa.

— Do licha! — pomyślał Porthos, patrząc na tych trzech wygłodzonych młokosów, bo wyrostek nie był dopuszczony do honorowego stołu — do licha! ja na miejscu szanownego kuzynka, nie trzymałbym w domu takich obżartuchów. Wyglądają oni na rozbitków, którzy od sześciu tygodni nic w gębie nie mieli...

Coquenard, wtoczony z fotelem przez żonę z pomocą muszkietera, zaczął tak samo, jak dependenci, poruszać nosem i szczękami.

— Ho! ho! — zawołał — pyszna zupa, już sam zapach jej nęci!...

— Co u diabła czuje on w tej zupie tak zachwycającego?... — mówił Porthos, ujrawszy obfitość bladego i chudego rosolu, po którym gdzieś pływały grzanki, jak wyspy na archipelagu.

Na znak, dany przez panią Coquenard, wszyscy z pośpiechem zajęli miejsca.

Pan Coquenard dostał zupy najpierwszy, następnie Porthos; potem pani Coquenard nalala sobie na talerz i rozdzieliła grzanki bez buljonu pomiędzy dependentów.

Nagle otworzyły się drzwi sali jadalnej i Porthos zobaczył przez nie małego smyka, który, nie mogąc do uczyty należeć, pożerał suchy chleb, zaprawiając go zapachem, idącym z kuchni i sali stołowej!

Po rosole służąca podała kurę gotowaną, zbytek, na którego widok współbiedniakom oczy na wierzch powyłaziły.

— Znać zaraz, że moja pani kocha bardzo swoją familję — odezwał się notariusz z tragicznym uśmiechem — z pewnością to na cześć kuzynka zdobyła się na taką znakomitą potrawę.

Biedna kura chuda była i pokryta skórą grubą i twardą, której nie mogły przebić nawet kości spiczaste; musiano jej zapewne dobrze się naszukać, zanim znaleziono w kącie na grzędzie, gdzie się skryła, aby w spokoju zakończyć żywot mizerny i długi.

— Do diabła! — pomyślał Porthos — to wcale nie wesołe, szanuję ja starość niezmiernie, lecz znacznie mniej ją cenię, gdy jest gotowana lub pieczona.

Obejrzał się dokoła, ażeby zobaczyć, czy wszyscy podzielają jego opinię, lecz zawiódł się zupełnie; ujrzał bowiem oczy płomieniejące, któremi pożerano już naprzód tę wspaniałą kurę, przedmiot jego pogardy.

Pani Coquenard przysunęła półmisek do siebie, oderwała zręcznie dwie wielkie czarne łapy i położyła na talerzu męzowskim, odcięła szyję z głową i odsunęła na bok dla siebie; odjęła skrzydełko dla Porthosa, i służącej, tej samej, która przyniosła półmisek, oddała kurę prawie nienapoczętą.

Powróciła ona, skąd przyszła, tak szybko, że Porthos nie zdążył nawet pochwycić wrażenia, jakie zawód ten wywołał na obliczach głodnych dependentów.

W miejsce kury ukazał się półmisek ogromny, pełen fasoli; sterczało w niej kilka kostek baranich, które zdaleka można było wziąć za pokryte mięsem.

Doświadczeni dependenci nie dali się uwieść tym pozorom i fizjognomje ich ze smutnych zamieniły się w zrezygnowane.

Pani Coquenard obdzieliła młodych ludzi tą wspaniałą potrawą z umiarkowaniem, godnem dobrej gospodyni.

Przyszła kolej na wino. Z butelki, nader szczupłych rozmiarów, sam notariusz nalał po trochu w szklanki dependentom, sobie nalał niewiele więcej i posunął wino w stronę Porthosa i pani Coquenard.

Młodzi ludzie dopełnili szklanki wodą, a upiwszy trochę, znów wody doleli i tak powtarzali ciągle, a przy końcu obiadu, zamiast napoju koloru rubinowego, mieli coś nakształt bladego topazu.

Porthos obgryzał delikatnie skrzydełko kurze i od czasu do czasu uczuwał dreszcz rozkoszny, czując pod stołem lekkie dotknięcie nóżki notariuszowej. Wypił jednym haustem wino, skromnie mu nalane i poznał po smaku, że jest to zieleniaczek z Montreuil, którym właśnie pogardzają tacy wytrawni, jak on, znawcy.

Pan Coquenard patrzył ze zgrozą, jak nasz muszkieter połknął prędko to wino, według niego doskonałe.

— Czy będziesz jadł jeszcze fasolę, kochany kuzynku? — zapytała pani Coquenard takim tonem, jakby chciała powiedzieć: wierz mi szczerze, nie jedz już...

— Zjesz diabła, jeżeli choć skosztuję — mruknął pod nosem Porthos...

A głośno dodał:

— Dziękuję, kochana kuzynko, nie jestem już głodny.

Cisza zapanowała ogólna.

Porthos czuł się nieswój i nie wiedział, jaką zrobić minę. Notariusz pierwszy się odezwał, powtarzając kilkakrotnie:

— Winszuję ci szczerze, pani Coquenard, obiad twój dzisiejszy, to uczta prawdziwa; Boże wielki, jakżeż ja się najadłem!

Pan Coquenard zjadł talerz chudego rosolu, dwie łapki kurze i obgryził kostkę baranią, jedyną, na której była odrobinka mięsa.

Porthos przypuszczał, że z niego żartują, pokręcił zatem wąsa i zmarszczył czoło; lecz nóżka gospośki leciuchnem dotknięciem dała mu znak, aby był cierpliwy.

Ta cisza, ten niby koniec obiadu, niezrozumiała dla Porthosa, miał jednak znaczenie okrutne dla biednych dependentów; spostrzegli oni wzrok surowy notariusza i uśmiech

słodki jego połowicy, a wiedząc doskonale, co to znaczy, powstali ociągając się, złożyli serwety powolutku, nareszcie uklonili się i wyszli.

— Idźcie chłopcy, wynoście się, a pamiętajcie, że praca najpilniej pomaga trawieniu — rzekł notariusz poważnie.

Wtedy pani Coquenard wstała od stołu i wyjęła z bufetu kawałek sera, talerzyk małeńki konfitur z dyni i placek z miodem i migdałami, który sama upiekła.

Notariusz zmarszczył brwi na widok takiej obfitości; Porthos przygryzł usta, zobaczywszy, iż to, co jest na stole, obiadu nie zastąpi.

Obejrzał się za półmiskiem z fasolą; lecz półmisek także się ulotnił.

— Stanowczo dzisiaj uczta u nas — wykrzyknął Coquenard — uczta prawdziwa, *epulae epularum*; Lucullus przyjmowany przez Lucullusa.

Porthos spojrział na butelkę i projektował sobie najesć się chleba, sera i popić winem; lecz i tu zawód go spotkał, butelka już była pusta, a państwo Coquenard udawali, że tego nie spostrzegają.

— Masz tobie, a tom się złapał — myślał Porthos — lecz dotrwajmy do końca.

Obliznął z rezygnacją łyżeczkę od konfitur i ugryzł kawałek placeka, arcydzieła pani Coquenard.

— No — rzekł w duchu — teraz już ofiara spełniona... O! gdybym nie miał nadziei zajrzeć razem z panią Coquenard do starej szafy jej mężulka...

Pan notariusz, po delicjach wspaniałego obiadu, którego nie przestawał nazywać zbyt-kiem nadzwyczajnym, uczuł potrzebę spoczynku.

Porthos miał nadzieję, że drzemka odbędzie się przy stole w tym samym pokoju; lecz przekłety notariusz inaczej postanowił: kazał się zaprowadzić do gabinetu swego i tam póty krzyczał i zrzędził, aż go posadzono naprzeciw szafy, na której podstawach, dla większej pewności, oparł schorzałe nogi.

Notariuszowa zaprowadziła Porthosa do sąsiedniego pokoju i zaczęli tam jakoś dochodzić do porozumienia w wielu kwestjach.

— Mógłbyś przychodzić do nas na obiad przynajmniej trzy razy w tygodniu — mówiła pani Coquenard.

— Dziękuję serdecznie — rzekł Porthos — nie lubię nadużywać gościnności; a przytem, wiesz przecież, iż muszę pomyśleć o umundurowaniu.

— To prawda — rzekła czuła dama, wzdychając — a! to nieszczęśliwe umundurowanie!...

— Niestety, tak jest — rzekł Porthos — to mnie jedynie od ciebie oddała.

— Czegóż więc potrzebujesz do kompletnego umundurowania, panie Porthosie?

— O! bardzo dużo różnych rzeczy; muszkietierowie, jak pani wiadomo, są żołnierzami wyborowymi i potrzebują wielu przedmiotów, o których wyobrażenia nie mają tacy gwardziści naprzykład, albo straż pałacowa.

— Ale mniej więcej oznacz mi wiele...

— Wszystko to może kosztować około...

Porthos urwał, wołał bowiem ogólną sumę oznaczyć, niż targować się po szczególe.

Notariuszowa słuchała, drżąc cała.

— Ileż to wyniesie? — zaczęła — spodziewam się, że nie przejdzie...

Zatrzymała się; głosu jej zabrakło.

— O! nie — rzekł Porthos — nie przeniesie wcale dwóch tysięcy pięciuset liwrów; sądzę nawet, iż rachując się dobrze, obszedłbym się dwoma tysiącami.

— Boże wielki! aż dwa tysiące liwrów — wykrzyknęła — ależ to majątek!

Porthos skrzywił się znacząco.

Pani Coquenard domyśliła się, co to znaczy.

— Pytałam o szczegóły — odezwała się — dlatego jedynie, że, mając dużo krewnych i znajomych pomiędzy kupcami, pewna jestem, iż o sto procent taniej wszystkiego dostanę, niż ty zapłacisz, gdybyś sam kupował.

— Aha! o to ci chodziło!

— Tak, najdroższy panie Porthosie! wszak potrzebujesz najpierw konia?

— Tak jest, konia najpierw.

— Otóż ja mam już wierzchowca dla ciebie...

— Naprawdę? — rzekł Porthos uradowany — to już spokojny jestem przynajmniej o konia; potrzeba mi następnie ubrać tego konia, a uprzęż wierzchowca składa się z takich przedmiotów, które jedynie muszkietier sam osobiście kupić może; lecz to wszystko będzie kosztowało trzysta liwrów najwyżej.

— Trzysta liwrów?... zresztą przypuśćmy już, że trzysta liwrów — powiedziała notariuszowa, wdychając.

Porthos uśmiechnął się: trzeba pamiętać, że posiadał pyszne siodło, pochodzące od Buckinghama, zatem trzysta liwrów chciał zdrajca schować do kieszeni.

— Potrzebuję jeszcze — ciągnął dalej — wierzchowca dla lokaja i tłumoka dla siebie; co się tyczy uzbrojenia, możesz nie myśleć o tem wcale, mam wszystko, co mi potrzeba.

— Chcesz konia jeszcze i dla lokaja? — podjęła wahająco pani Coquenard — lecz to zanadto po pańsku, drogi przyjacielu.

— O! moja pani — rzekł Porthos wyzywająco — czy masz mnie za żebraka?

— Nie, kochany panie Porthosie, chciałam tylko powiedzieć, że ładny muł wygląda niekiedy zupełnie jak koń i zdaje mi się, że, jak ci dostarczę ładniutkiego muła dla Mousquetona...

— Niech będzie muł, kiedy tak chcesz, byleby był tylko dobry — odrzekł Porthos — coprawda, widziałem ja magnatów hiszpańskich, których świty całe na mułach siedziały... Ale, droga pani Coquenard, rozumiesz to dobrze: muł potrzebuje czapraka, dzwonek...

— Nie turbuj się o to.

— No, zostaje nam jeszcze waliza.

— O! to najmniejsza, nie kłopotcz się tem wcale — zawołała dama — mąż mój posiada pięć czy sześć waliz rozmaitych, wybierzesz sobie najlepszą. Jest tam jedna mianowicie, którą szczególnie lubił brać do podróży i która jest tak ogromna, że światby w nią można zapakować cały.

— Więc ta waliza pusta jest obecnie? — zapytał Porthos naiwnie.

— Bezwątpienia, że pusta — odrzekła notariuszowa, również naiwnie.

— A, moja najdroższa — zawołał Porthos — ja potrzebuję walizy dobrze naładowanej!

Pani Coquenard zaczęła znów wdychać. Moliere nie napisał jeszcze wówczas swego sławnego *Skąpca*. Pani Coquenard zatem uprzedziła Harpagona.

Nakoniec umundurowanie całe zostało omówione w sposób, jak wyżej, i wypadło, że zacna notariuszowa przyrzekła dać osmset liwrów gotówką i dostarczyć konia i muła w dodatku, ażeby miały zaszczyt służyć Porthosowi i Mousquetonowi i pomagać im do zdobycia bogactw i sławy.

Po skończonej umowie, Porthos pożegnał panią Coquenard. Miała ona wprawdzie ochotę zatrzymać go jeszcze, lecz nie pomogły ani spojrzenia czule, ani słówka słodkie, Porthos wymówił się obowiązkami służby; notariuszowa zatem zmuszona była ustąpić pierwszeństwa królowi.

Muszkietier nasz powrócił do siebie głodny i zły okrutnie.

ROZDZIAŁ VI. SUBRETKA I PANI

Pomimo wyrzutów sumienia, jak o tem nadmienialiśmy i mądrych rad Athosa, d'Artagnan z każdą chwilą bardziej był zakochany w milady; odwiedzał ją codzień i nie ustawał w wyrzucaniu uczuć miłosnych.

Zarozumiały gaskończyk pewny był, że prędzej czy później stałością i oddaniem się bezwarunkowem na usługi, zdobędzie serce surowej piękności.

Pewnego wieczora, gdy przybywał z podniesioną głową, lekki i szczęśliwy, jak człowiek, spodziewający się conajmniej złotego deszczu, spotkał niespodzianie pokojówkę milady, oczekującą na niego przy bramie.

Ładna Katty tym razem jednak nie poprzestała na czułym spojrzeniu, bo ujęła go delikatnie za rękę.

— Domyślam się — rzekł w duchu d'Artagnan — ma ona zapewne powiedzieć mi coś od swojej pani; może przez nią oznacza mi rendez-vous... bo sama milady osobiście nie śmiałyby, naturalnie, tego uczynić...

I patrzył wyzywająco na ładną dziewczynę, z miną zdobywcy serc niewieścich.

— Chciałabym powiedzieć panu parę słówek, panie oficerze... — wyszeptła subretka.

— Mów, moje dziecię, mów śmiało — odezwał się d'Artagnan — słucham cię z uwagą.

— Nie mogę w tym miejscu, bo to, co mam panu powiedzieć, jest bardzo ważne i niesłychanie tajemnicze.

— Więc cóż na to poradzić?

— Gdyby pan zechciał pójść ze mną — rzekła Katty nieśmiało.

— Pójdę, dokąd zechcesz, piękna panienko.

— To chodźmy, proszę pana.

Katty, która trzymała wciąż za rękę d'Artagnana, poprowadziła go poprzez schodki ciemne i kręte i, przebywszy kilkanaście stopni, otworzyła małe drzwiczki.

— Wejdz śmiało, panie oficerze — rzekła — tutaj będziemy sami, będziemy mogli rozmawiać swobodnie; tu nikt nas nie podsłucha.

— Czyżże to pokoik, kochane dziecko?

— To mój własny, proszę pana, a oto drzwi do pokoju mojej pani. Lecz bądź pan spokojny, nie usłyszysz ona rozmowy, nigdy wcześniej, niż o północy, nie kładzie się do łóżka i wtedy dopiero potrzebuje mojej pomocy.

D'Artagnan rozglądał się dokoła.

Pokoik subretki odznaczał się gustownym umeblowaniem i czystością, pomimo to młodzieniec patrzył zawzięcie na drzwi, które mu wskazała Katty, jako prowadzące do apartamentów milady.

Katty odgadła o czym myśli młodzieniec, spuściła więc główkę i westchnęła.

— Kochasz pan bardzo moją panią? — zapytała

— Kocham więcej, niż mogę wypowiedzieć. O! Katty, ja poprostu szaleję za nią!...

Pokojówka westchnęła znowu i rzekła:

— Niestety!... panie, szkoda miłości pańskiej...

— Cóż u diabła widzisz w tem złego? — zapytał d'Artagnan.

— A to, proszę pana — odparła Katty — że moja pani nie kocha pana ani odrobinki...

— Jakto? — przerwał d'Artagnan — czyżby ci poleciła zawiadomić mnie o tem?

— O nie! broń Boże; to ja sama przez przyjaźń dla pana postanowiłam odkryć panu prawdę.

— Dziękuję, kochana Katty, lecz tylko za dobre serce, bo to, coś mi powiedziała, przynaj sama, nie jest wcale przyjemne.

— To znaczy, że pan nie wierzy, wszak prawda?...

— Trudno uwierzyć, moja panienko, miłość własna nie pozwala...

— Zatem nie wierzysz pan stanowczo?

— Wyznaję, że nie uwierzę, chyba że mi dasz jaki dowód.

— Cóżbyś pan powiedział na ten oto dowód?...

Katty wyjęła z za gorsu mały bilecik

— Czy to dla mnie? — rzekł d'Artagnan, chwytając papier.

— Nie, to dla innego!...

— Dla innego?...

— Tak, panie.

— Nazwisko jego!... nazwisko!... powiedz mi natychmiast!... jak się nazywa? — krzychał d'Artagnan.

— Przeczytaj pan adres.

— Hrabia de Wardes...

D'Artagnanowi stanęło przed oczyma zdarzenie w Saint-Germain; krew w nim zakipiała i zarozumiały gaskończyk, ruchem jak myśl szybkim, rozdarł kopertę, pomimo krzyku Katty.

— O, mój Boże!... co pan robisz najlepszego? — wołała.

— Ja?... nic nadzwyczajnego, jak widzisz.

I zaczął czytać:

„Nie odpowiedziałeś na list mój pierwszy, co to znaczy?... czyś chory jeszcze?... albo może zapomniałeś, jakim wzrokiem patrzyłeś na mnie, na owym pamiętnym balu u pani de Gwizjuszowej? Teraz zdarza się dobra sposobność, hrabio!... skorzystaj z niej koniecznie”.

D'Artagnan zbladł śmiertelnie; próżność jego otrzymała cios niespodziany, i w nieświadomości młodzieńczej wziął to za zawód w prawdziwej miłości.

— Biedny, kochany panie d'Artagnan — odezwała się Katty pocieszająco, ściskając rękę młodzieńca.

— Więc mnie żałujesz, pocziwa dziewczyno? — rzekł d'Artagnan.

— O tak, żałuję z całego serca! bo ja wiem niestety, co to jest miłość?

— Ty znasz miłość? — zapytał d'Artagnan, przypatrując się pierwszy raz ładnej dziewczynie z niejaką uwagą.

— O! znam, na moje nieszczęście!

— Otóż, zamiast ubolewać nademną, pomóż mi lepiej do zemsty nad swoją panią...

— Jakiej pan zemsty pragniesz?

— Pragnę ją zwyciężyć, pragnę zastąpić rywala mojego.

— O! nie myślę panu do tego wcale dopomagać, panie oficerze — odrzekła Katty pośpiesznie.

— A to dlaczego? — zapytał d'Artagnan.

— Dla dwóch powodów.

— Dla jakich?

— Najprzód, moja pani nie kocha pana wcale...

— Skąd o tem wiesz?

— Pan ją obraziliś śmiertelnie.

— Ja?... o czymże mógłbym ją obrazić?... ja?... co od chwili poznania leżę u nóg jej, niby niewolnik jaki; powiedz, proszę cię, powiedz wszystko, co wiesz...

— Jeżeli zdecyduję się wyznać... to jedynie mężczyźnie, który zajrzy do głębi duszy mojej!...

D'Artagnan spojrział na Katty po raz drugi badawczo.

Dziewczyna była świeża i piękna; niejedna księżna lub królowa oddałaby koronę za podobną urodę.

— Katty — odezwał się — będę czytał w twej duszy, kiedy tylko zechcesz i jak długo zechcesz... bądź pewna, drogie dziecko.

I pocałował ją na początek, a biedna dziewczyna spłonęła, jak wisienka.

— O! nie — zawołała — pan mnie nie kocha, moją panią pan uwielbia... powiedziałeś mi to przed chwilą.

— I to dlatego nie chcesz mi odkryć drugiego powodu?

— Drugi powód proszę pana — zaczęła Katty ośmielona pocałunkiem a także wyrazem oczu młodzieńca — drugi powód... że w miłości każdy o sobie myśli...

Teraz dopiero d'Artagnan przypomniał sobie spojrzenia powłóczyste, jakie mu rzucała Katty przy owych niby przypadkowych spotkaniach w przedpokoju, na schodach, w korytarzu; dotknięcia rączki za każdym spotkaniem i westchnienia tłumione; a on niebaczny, pożerany chęcią przypodobania się wielkiej pani, nie zwrócił uwagi na pokojówkę.

Tak to zwykle bywa, kto na orla poluje, nie dba o szarego wróbelka.

Lecz tym razem gaskończyk nasz pojął odrazu wszystkie korzyści, jakie osiągnąć może, wyyskując przywiązanie Katty, wyznane tak naiwnie, a zarazem tak śmiało. Przez nią miałby listy, przeznaczone dla hrabiego de Wardes; przez nią wiadomości, co się w domu milady dzieje, i wejście swobodne o każdej godzinie dnia i nocy do pokoiku Katty, przyległego do sypialni milady.

Zdrajca wiarołomny! poświęcał już w myśli, jak widzimy, biedną dziewczynę, aby posiąść milady, choćby podstępem, a nawet przemocą.

— A więc — odezwał się do dziewczyny — czy chcesz, kochana Katty, abym ci dał dowód miłości, o której jakbyś jeszcze powątpiewała?

— Jakiej miłości?

— Tej, którą zaczynam dla ciebie uczuwać...

— Ciekawa jestem tego dowodu?

— Czy pozwolisz, abym spędzał z tobą cały ten czas, jaki poświęcałem twojej pani?

— O!... pozwolę — odrzekła Katty, klaszcząc rączkami z zadowoleniem — pozwolę z największą chęcią!

— Dziękuję ci, drogie dziecko — rzekł d'Artagnan, sadowiąc się w fotelu — a teraz chodź tu do mnie, ponieważ chcę ci powiedzieć, iż jesteś najpiękniejszą z subretek, jakie widziałem kiedykolwiek!

Zbliżyła się nieśmiało, on zaś długo i tak przekonywająco dowodził miłości swojej, że dziewczynę, która w duszy pragnęła uwierzyć... przekonał nareszcie.

Dziwiło to jednak bardzo d'Artagnana, że Katty broniła się zawzięcie!

Czas prędko mija na takim zajęciu, gdy jedna strona atakuje, a druga się broni, zwłaszcza, kiedy przeciwnikami są młodzi i czują, że ulegną sobie w końcu...

Północ wybiła; zaraz też ozwał się dzwonek w pokoju milady.

— Wielki Boże! — zawołała Katty — pani moja mnie woła. Wychodź pan, wychodź copędzej!

D'Artagnan podniósł się, udając posłuszeństwo, i zamiast drzwi od schodów, otworzył drzwi od wielkiej szafy i wsunął się pomiędzy suknie i peniuary milady.

— Co pan robisz, na miłość Boską? — zawołała Katty.

D'Artagnan, który już przedtem zaopatrzył się w klucz, zamknął się w szafie, nic nie odpowiadawszy.

— Co to jest?... — krzyczała milady głosem cierpkim — czy śpisz już i nie słyszysz, że dzwonię?

D'Artagnan usłyszał, jak drzwi od pokoju milady otworzono z hałasem.

— Jestem już, jestem, proszę pani — odezwała się Katty, biegnąc na spotkanie rozniewanej milady.

Weszły obydwie do pokoju sypialnego, a ponieważ drzwi pozostały otworem, d'Artagnan słyszał czas jakiś łajanie; nakoniec pani się uspokoiła i rozmowa zesłała na niego właśnie, gdy Katty rozbierała kapryśną damę.

— Co to znaczy? — mówiła milady — nasz gaskończyk dziś się nie pokazał.

— Jakto, proszę pani — odrzekła Katty — nie przyszedł?... Czyżby się sprzeniewierzył, zanim jeszcze otrzymał nagrodę za swoją miłość?

— O! nie! przeszkodził mu zapewne pan de Tréville, albo pan Desessarts. Znam ja się na tem, moja Katty, pewna jestem tego młokosa i trzymam go dobrze.

— Co pani myśli z nim zrobić?

— Co ja z nim zrobię?... O Katty, bądź spokojna popamięta on mnie, jest między nami sprawa, której się nie domyśla nawet... On mnie o mało nie pozbawił zaufania i łaski kardynała... O! ja się zemszczę.

— Byłam pewna, że pani go kocha?

— Że ja go kocham? ależ ja go nienawidzę!... Głupi młokos!... miał w ręku życie lorda Winter i nie zabił go... pozbawił mnie szlachetnością niedorzeczną trzystu tysięcy liwrow dochodu rocznego!

— To prawda — odezwała się Katty — syn pani jest jedynym spadkobiercą wuja, a do pełnoletności syna, służy pani prawo używania majątku.

D'Artagnan zadrżał, słysząc tę idealną istotę, wyrzucającą mu głosem cierpkim, który w rozmowie z nim starała się uczynić łagodnym i czułym, że nie zabił człowieka, otaczającego ją przyjaźnią i dostatkiem.

— Jużbym się była dawno zemściła, bez niczyjej pomocy, gdyby kardynał, nie wiem w jakim celu, nie zalecił mi dać spokój jeszcze...

— O tak! Ale pani za to nie oszczędziła młodej kobiety, którą tak kochał.

— Tej kupcowej z ulicy Grabarzy: czyż on pamięta o niej jeszcze? ręczę ci, że przy mnie zapomniał o tamtej... Śliczna zemsta, niema co mówić!...

Zimny pot oblał skronie d'Artagnana. Więc to potwór był nie kobieta.

Chciał dalej słuchać, lecz milady położyła się do łóżka i rozmowa ustała.

— Możesz odejść — odezwała się — postaraj się tylko, ażebym miała jutro odpowiedź na list, który ci powierzyłam.

— Do pana de Wardes? — rzekła Katty.

— Ma się rozumieć, że do niego.

— O! — podchwyciła Katty — jego pani zupełnie inaczej traktuje, niż biednego pana d'Artagnana.

— Odejdź już — rzekła milady niecierpliwie — wiesz, że nie lubię komentarzy.

D'Artagnan usłyszał zamykanie drzwi i odgłos klucza w zamku, milady bowiem zamknęła się na noc zawsze; Katty też cichuteńko zamknęła na klucz swoje drzwi.

D'Artagnan wyszedł nareszcie z ukrycia.

— O mój Boże — szepnęła Katty — co się panu stało? czegoś pan tak zbladł okropnie?

— Obrzydliwe, wstrętne stworzenie! — mruzczał d'Artagnan.

— Cicho! cicho! na miłość Boską — prosiła Katty — wyjdź pan, ściana tylko cienka oddziela mój pokój od milady, słyhać wszystko u niej, co mówimy!

— Dlatego właśnie ani myślę ruszyć się stąd — odpowiedział d'Artagnan.

— Co pan mówi?... — rzekła Katty, czerwieniąc się gwałtownie.

— Albo, jeżeli wyjdę... to później trochę...

Przyciągnął Katty do siebie; nie było sposobu opierać się dłużej, a zresztą opór sprawiłby hałas, a potrzeba było zachować się cicho! więc też Katty uległa...

Mścił się w ten sposób za obojętność i niegodziwość tych słów, że zemsta jest rozkoszą bogów...

Gdyby d'Artagnan miał choć odrobinę uczucia, byłby się zadowolił tą nową zdobyczą, lecz d'Artagnan był ambitny i marzył jedynie o wywyższeniu.

Należy jednak przyznać na pochwałę młodzieńca, że, korzystając z przewagi, zdobytej nad Katty, starał się najpierw dowiedzieć o losie pani Bonacieux; biedna dziewczyna przysięgła na krzyż, że nic nie wie, że pani jej nigdy całej prawdy nie odkryła, że może tylko zaręczyć, iż, o ile przypuszcza, pani Bonacieux nie została zamordowana.

Katty nie wiedziała także, dlaczego milady o mało nie straciła zaufania kardynała, ale d'Artagnan wiedział więcej. Widział on milady na statku, zatrzymanym w porcie z rozkazu ministra, w chwili gdy Anglię opuszczał i domyślał się, że chodzi o brylantowe zapinki. Lecz cała nienawiść milady do niego widocznie miała w tem głównie źródło, iż nie zabił jej szwagra i nie przyspieszył w ten sposób chwili objęcia po nim spadku.

Nazajutrz d'Artagnan stawiał się u milady o zwykłej porze. Zastał ją w okropnym humorze, widocznie brak odpowiedzi od hrabiego de Wardes tak ją usposobił.

Katty weszła do salonu, lecz milady nie dała jej się odezwać i odprawiła ją ostro. Pokojówka rzuciła spojrzenie młodzieńcowi, które mówiło: widzisz, co cierpię dla ciebie.

Na schyłku wieczora jednak piękna lwica złagodniała, słuchała uprzejmie wylewu czułości d'Artagnana, a nawet pozwoliła ucałować śliczną rączkę.

D'Artagnan wyszedł, miotany sprzeczными uczuciami. Ponieważ jednak był to chłopak, nie łatwo dający się w pole wyprowadzić, więc też, umizgając się do milady, ułożył sobie jednocześnie pewien planik.

Przy drzwiach oczekiwała go Katty i tak samo, jak wczoraj, pociągnęła do siebie.

Katty wytrzymała srogie wyrzuty milady za opieszałość i nieakuratne wykonywanie poleceń. Piękna pani nie mogła zrozumieć milczenia hrabiego de Wardes i rozkazała pokojówce stawić się u siebie o dziewiątej z rana po list, już trzeci z rzędu.

D'Artagnan wymógł obietnicę na Katty, że mu jutro ten list doręczy. Biedna dziewczyna przyrzekła kochankowi; miłość szalona nią owładnęła, nie była w stanie odmówić...

Wszystko się odbyło⁵ tak samo, jak dnia poprzedniego.

D'Artagnan włożył do szafy, milady zadzwoniła, rozebrała się, odprawiła Katty i zamknęła się na dwa zamki. D'Artagnan zaś, tak, jak nocy przeszłej, powrócił do siebie o piątej nad ranem.

O jedenastej przysłała Katty z listem milady do hrabiego. Tym razem biedne dziecię oddało bilet z własnej woli. Nie próbowała nawet perswazji, należała już duszą i ciałem do swojego pięknego żołnierza.

D'Artagnan otworzył list i czytał co następuje:

„Trzeci już raz piszę, aby powiedzieć, że cię kocham. Strzeż się, abym nie była zmuszoną napisać po raz czwarty, że cię nienawidzę!”

„Jeżeli żałujesz postępowania swego ze mną, to dziewczyna, która ci list mój wręczy, powie, w jaki sposób mężczyzna dobrze wychowany może prosić i otrzymać przebaczenie”.

D'Artagnan, czytając, bladł i czerwieniał naprzemian.

⁵odbyło. [przypis redakcyjny]

— O! ty ją kochasz zawsze! — rzekła Katty, która nie spuszczała oczu z twarzy młodzieńca.

— Nie, Katty, mylisz się, już jej nie Kocham, pragnę jedynie zemsty za pogardę, jakiej doznałem.

— Tak, tak, znam ja twoją zemstę; już mi o niej wspominał.

— Cóż ci to szkodzi, droga Katty! wiesz przecież, że ciebie jedną tylko Kocham.

— A ja skąd mogę o tem wiedzieć?

— Zobaczysz, jaką jej sztuczkę wyplątam.

Katty westchnęła. D'Artagnan usiadł i napisał:

„Pani! wątpiłem do tej chwili, że dwa twoje listy były dla mnie przeznaczone, czułem się bowiem niegodnym tak ogromnego zaszczytu; nadto byłem mocno cierpiący, a w każdym razie wahałem się zaraz odpowiedzieć.

Dziś zmuszony jestem uwierzyć mojemu szczęściu i łasce Twojej nieporównanej, ponieważ nietylko drogocenny bilecik, lecz i służąca Twoja zaręcza, iż posiadam miłość twoją, o Pani!

Nie potrzebuję, aby mnie uczono, w jaki sposób otrzymać mogę przebaczenie. Stawię się dziś wieczór o jedenastej i mam nadzieję zasłużyć na rozgrzeszenie. Nie spóźnię się ani o minutę, aby na nowo nie obrazić pani.

Ten, którego uczyniłaś najszcześliwszym z ludzi.

Hrabia de Wardes”.

List ten był fałszem i uchybiał czci niewieściej, a nawet w pojęciu naszym i w świetle obyczajów tegoczesnych, był poprostu haniebnym; lecz w owej epoce rządono się innymi prawami, gdy szło o dopięcie celu.

D'Artagnan zresztą z własnych opowiadań milady wie dział, że zdolna jest do zdrady i różnych brudnych postępków, bardzo też mało miał dla niej szacunku.

Nienawidził, pogardał nią prawie, a pomimo to czuł pociąg do niej szalony... czy nim opanowała namiętność, połączona z pogardą... czy żądza tylko, nie umiał sam z tego zdać sobie sprawy, dość, że pragnął tej kobiety.

Plan d'Artagnana był więc prosty: przez pokój Katty wejdzie do sypialni jej pani; skorzysta z pierwszej chwili zdziwienia, wstydu, przestachu... i odniesie zwycięstwo; może mu się nie powiedzie, lecz trzeba też rachować i na traf szczęśliwy.

— Weź to... — rzekł młodzieniec, oddając Katty bilecik zapieczętowany — wręcz to milady, jako odpowiedź hrabiego de Wardes.

Biedna Katty zbłądła śmiertelnie; domyślała się, co bilet zawiera:

— Posłuchaj, drogie dziecię — rzekł d'Artagnan — rozumiesz przecież, że to musi się raz już skończyć w ten lub inny sposób; milady może odkryć, że pierwszy bilecik oddała mojemu lokajowi zamiast służącemu hrabiego; że następnie listy ja odpieczętowałem i przeczytałem, a nie hrabia de Wardes, dla którego były przeznaczone; wtedy co będzie? milady cię wypędzi, a znasz ją przecież doskonale, że na tem nie poprzestanie i będzie się chciała dalej mścić nad tobą.

— O, Boże! mój Boże... — biadała Katty — i dla kogo się ja na to wszystko naraziłam?

— Dla mnie, moja najpiękniejsza — odrzekł młodzieniec — to też przysięgam ci wdzięczność nieskończoną.

— Powiedz mi przynajmniej, co zawiera ten bilet?

— Milady ci powie...

— O! ty mnie nie Kochasz! — wykrzyknęła Katty — o! ja nieszczęśliwa!

Na taki zarzut jest jedna tylko odpowiedź, na którą... wszystkie kobiety i po wsze czasy, zawsze się łapią.

D'Artagnan odpowiedział w taki sposób, że biedna Katty uwierzyła. Pomimo to zalewała się łzami, zanim zdecydowała się oddać liścik do rąk milady. Nakoniec przyrzekła, a tego pragnął jedynie d'Artagnan.

Obiecał jej w nagrodę niedługo zabawić wieczorem u milady, a po wyjściu prosto przyjść do niej. Obietnica ta osuszyła łzy Katty i pocieszyła ją ostatecznie.

Od chwili, gdy czterech przyjaciół szukało sposobu wyekwipowania się należytego do zapowiedzianej kampanji, zaprzestali oni bywać u siebie w dniach umówionych, jak dotychczas.

Jadali samotnie tam, gdzie ich zastała godzina obiadowa, lub gdzie im się udało zjeść darmo.

Słudzy, za przykładem panów, wałęsali się po mieście i każdy, jak mógł, zdobywał sobie pożywienie.

Umówiono się jedynie, aby raz na tydzień schodzić się u Athosa około godziny pierwszej w południe, gdyż Athos według przysięgi, jaką sam sobie złożył, nie wychylał się za próg mieszkania.

Dzień, w którym Katty była u d'Artagnana, był właśnie przeznaczony na takie zebranie i zaledwie dziewczyna opuściła mieszkanie, młodzieniec udał się zaraz na ulicę Féron.

Athosa zastał filozofującego z Aramisem.

Aramis objawiał niejakię chęć powrotu do sutanny.

Athos według raz przyjętego zwyczaju ani namawiał, ani mu odradzał.

Nie lubił udzielać rad, nie będąc proszony, a nawet zapytany, ociągał się z odpowiedzią.

— Ludzie wogóle pytają o radę — mawiał — aby potem robić według swego widzi-misję; a jeżeli przypadkiem zastosują się do czyjego zdania, to jedynie dlatego, aby potem mieć na kogo narzekać.

Porthos stawiał się prawie razem z d'Artagnanem; czterech przyjaciół znalazło się więc w komplecie.

Fizjognomja każdego wyrażała uczucie odmienne; Porthosa — spokój i zadowolenie wewnętrzne; d'Artagnana — nadzieję; Aramisa — niepokój; Athosa zaś — obojętność.

Rozmowa ogólna toczyła się już od chwili; Porthos dawał właśnie do zrozumienia przyjaciołom, że wysoko położona osoba zajęła się jego umundurowaniem, gdy wtem wszedł Mousqueton.

Przyszedł on prosić Porthosa, aby natychmiast wracał do domu, gdzie, jak powiadał z miną strasznie skruszoną, obecność jego potrzebna jest gwałtownie.

— Czy przyniesiono moje umundurowanie?... — zapytał Porthos.

— Tak i... nie — odrzekł Mousqueton.

— Powiedź, co się stało?...

— Chodźmy coprędzej, błagam pana.

Porthos wstał, pożegnał przyjaciół i udał się za Mousquetonem.

Za chwilę Bazin ukazał się na progu.

— Czego chcesz, mój przyjacielu?... — zapytał Aramis głosem słodkim, jaki zawsze przybierał, gdy go opanowywała myśl powrotu do stanu duchownego.

— Jakiś nieznajomy oczekuje na pana w domu — odpowiedział Bazin.

— Nieznajomy?... co to może być za człowiek?

— Żebak, proszę pana.

— Daj mu jałmużnę, kochany Bazin, i proś go o modlitwę na intencję biednego grzesznika.

— Kiedy żebak ten chce koniecznie z panem pomówić i utrzymuje, że pan będzie bardzo kontent z jego przybycia.

— Może ma do mnie interes osobisty?

— Tak, tak panie. Jeżeli pan Aramis (to są jego słowa) będzie się ociągał z powrotem, powiesz mu, że przychodzę z Tours.

— Z Tours?... — zawołał Aramis — panowie, wybaczcie, muszę was pożegnać, bo człowiek ten z pewnością przynosi mi wieści, jakich oczekuję oddawna.

Zerwał się i wyszedł pośpiesznie.

Zostali tylko Athos i d'Artagnan.

— Sądzę, że nasze zuchy znaleźli nareszcie, czego szukali. Jak ci się zdaje, d'Artagnanie?... — odezwał się Athos.

— Wiem napewno, że Porthos jest na dobrej drodze... — rzekł d'Artagnan — a co się tyczy Aramisa, o niego byłem spokojny zawsze: lecz ty, kochany Athosie, rozdałeś

z taką hojnością złoto Anglika, które było twoją prawą własnością, a sam co poczniesz obecnie?

— Cieszę się bardzo, że zabiłem tego głupca, tym więcej, że jest zasługą przed Bogiem zgładzić ze świata Anglika. Lecz gdybym był schował do kieszeni jego pieniądze, ciążyłyby mi one, jak wyrzut sumienia.

— Daj pokój, Athosie, mój drogi!... masz, doprawdy, dziwne uprzedzenia...

— Dosyć już o tem, mówmy o czem innym... Ale, ale, pan de Tréville powiedział mi, gdy był łaskaw odwiedzić mnie wczoraj, że utrzymujesz obecnie stosunki z jakimiś podejrzanymi Anglikami, z protegowanymi kardynała?

— To chyba mówił o Angielce, tej właśnie, o której ci wspomniałem.

— A tak! przypominam sobie, blondynka, z której powodu tyle ci dobrych rad udzieliłem, a ty, ma się rozumieć, nie słuchałeś ich wcale.

— Powiedziałem ci przecież dlaczego...

— Tak, zapewne widzisz w niej jedyną ucieczkę dla pozbycia się kłopotu, jaki masz z umundurowaniem.

— O!... wcale nie! ale przekonałem się, że za sprawą tej kobiety pani Bonacieux porwana została i ukryta.

— Rozumiem, mój drogi; chcąc odnaleźć jedną kobietkę; umizgasz się do drugiej. Masz rację, kochanku, jest to droga najdłuższa, ale za to najprzyjemniejsza.

Widzieliśmy już, z jakim pośpiechem młody muszkieter wybiegł za Bazinem, a raczej go wyprzedził; jednym skokiem znalazł się na ulicy Vaugirard.

Wpadł do siebie i rzeczywiście zastał w pokoju mężczyznę małego wzrostu, o spojrzeniu roztropnem, lecz ubranego w lachmany.

— To pan mnie potrzebujesz?... — zapytał muszkieter.

— Pragnę widzieć się z panem Aramisem: czy takie jest pańskie nazwisko?...

— Tak, panie, ja nim jestem: czy masz mi pan co oddać?

— Tak, jeżeli mi pan pokażesz pewną chusteczkę haftowaną.

— Oto jest — rzekł Aramis, wyjmując z zanadru kluczyk i otwierając szkatułkę hebanową, wysadzaną konchą perłową — oto jest, widzisz ją pan.

— Dobrze — rzekł żebrak — a teraz odpraw pan lokaja.

Bazin bowiem, ciekawy dowiedzieć się, czego chce żebrak od jego pana, prawie jednocześnie wszedł do pokoju. Lecz pośpiech ten nie na wiele mu się przydał; na żądanie żebraka pan skinął, aby się usunął, i musiał usłuchać.

Po wyjściu Bazina żebrak obejrzał się szybko dokoła dla pewności, czy kto nie patrzy lub nie podsłuchuje; następnie rozpiął kamizelkę podartą i stary pas skórzany, rozpruł bok kaftana i wyjął zapieczętowany list.

Aramis wydał okrzyk radości na widok herbu na pieczęstce⁶, ucałował podpis i ze czcią religijną niemal rozłożył ćwiartkę papieru, zawierającą, co następuje:

„Przyjacielu! przeznaczenie chce, abyśmy byli rozłączeni jeszcze czas jakiś; lecz piękne dni młodości nie stracone dla nas niepowrotnie! Spełń powinność swoją na polu walki; ja spełniam swoją tam, gdzie mnie los postawił. Przyjmij to, co ci oddawca listu doręczy, bądź podczas wojny pięknym i dobrym szlachcicem, jakim zawsze byłeś; kochaj mnie i myśl o mnie... o mnie, która całuje twoje śliczne oczy!”

„Żegnam cię... do widzenia!”

Żebrak pruł ciągle kaftan i wyciągał sztuki złota z za podszewki; aż wyjął sto pięćdziesiąt podwójnych liwrow hiszpańskich i ułożył je na stoliku.

To uczyniwszy, otworzył drzwi, skłonił się i wyszedł, zanim osłupiały ze zdziwienia młodzieniec odważył się do niego przemówić.

Aramis odczytał list po raz drugi i spostrzegł, że było i *post-scriptum*.

„P. S. Możesz śmiało przyjąć z uszanowaniem oddawcę listu, ponieważ jest on hrabią i grandem hiszpańskim”.

— O sny moje złote! — zawołał Aramis. Jakież to życie jest piękne! tak, jesteśmy jeszcze młodzi! i dla nas jeszcze nastaną dni szczęścia!... O! twój jestem, twój jedynie, miłość moja, krew, życie moje!... wszystko, wszystko do ciebie należy! moja najpiękniejsza! moja ukochana!...

⁶pieczętce. [przypis redakcyjny]

Całował list namiętnie, nie patrząc nawet na złoto błyszczące na stoliku. Bazin zapukał do drzwi; Aramis nie miał już powodu ukrywać się, pozwolił mu zatem wejść.

Lokaj oniemiał na widok złota i zapomniał, że przyszedł oznajmić d'Artagnana, który, zaciekawiony, co to za żebrak zjawiał się z interesem tak pilnym, wstąpił po drodze od Athosa do Aramisa.

A że nie miał zwyczaju robić ceremonji z przyjacielem i widział, że Bazin go nie anonduje, wszedł, nie czekając oznajmienia.

— A! do wszystkich djabłów! kochany Aramisie, jeżeli to są owoce, jakie ci z Tours przysyłają, powinszuj odemnie ogrodnikowi, który je hoduje.

— Mylisz się, mój drogi — odrzekł Aramis zawsze dyskretny — to właśnie wydawca mój odesłał mi należność za poemat, który, jak wiesz, napisałem.

— O! o! — rzekł d'Artagnan — to twój wydawca musi być nadzwyczajnie hojny, mój kochany Aramisie.

— Jakto, proszę pana! — wykrzyknął Bazin — więc za poemat tak drogo płacą? To pan możesz stać się równym panu de Voiture i panu Benserade. Dumny jestem z mego pana. Poeta, to prawie ksiądz. O! panie Aramisie, zostań jedynie poetą, błagam cię!

— Bazinie, mój przyjacielu, — odrzekł Aramis — niech cię Bóg ma w swojej opiece, lecz, zdaje mi się, że mieszasz się do naszej rozmowy!

Bazin zrozumiał, że odezwał się niewłaściwie, spuścił więc głowę i wyszedł skonfundowany.

— A! — odezwał się d'Artagnan z uśmiechem, — doprawdy, na wagę złota sprzedajesz utwory swoje: szczęście ci służy, mój przyjacielu; ale, uważaj dobrze, bo zgubisz list, który wygląda ci z za kaftana, a który pochodzi zapewne także od wydawcy.

Aramis zaczerwił się aż do białek oczu, wsunął bilecik i zapiął kaftan pod samą szyję.

— Posłuchaj, kochany d'Artagnanie — odezwał się — jeśli pozwolisz, pójdziemy teraz poszukać naszych przyjaciół, a ponieważ jestem obecnie bogaty, od dziś dnia mieć będziemy obiady wspólne, aż do chwili, kiedy z was który też się dorobi pieniędzy...

— Na honor! masz słusność — rzekł d'Artagnan — służę ci z wielką przyjemnością. Nie jedliśmy już od dawna porządnego obiadu; a ponieważ ja osobiście szykuję się dziś wieczór na wyprawę trochę ryzykowną, przynaję, że nie od rzeczy będzie, gdy dodam sobie odwagi kilkoma butelkami starego burgunda.

— Niech będzie burgund; nie czuję wcale do niego odrazy — rzekł Aramis, któremu widok złota rozwił gdzieś myśli o stanie duchownym.

Włożył kilka podwójnych pistolów do kieszeni na potrzeby bieżące, schował resztę do szkatułki hebanowej, inkrustowanej konchą perłową, gdzie się już znajdowała chusteczka batystowa, talizman szczęścia i wszelkiej pomyślności.

Dwaj przyjaciele udali się najpierw do Athosa, który, wierny przysiędze niewychodzenia z domu, podjął się sprowadzić obiad do swego mieszkania, a ponieważ odznaczał się znajomością urządzania uczt wykwintnych, d'Artagnan i Aramis z wielką chęcią powierzyli mu starania i kłopot o wybór potraw.

Następnie poszli do Porthosa, w drodze rozmawiali wesoło i układali najrozmaitsze projekty, gdy w tem na skrócie ulicy du Bac, spotkali Mousquetona, który z miną strasznie żalowaną pędził przed sobą muła i konia.

D'Artagnan wydał okrzyk zdziwienia pomieszanego z uczuciem niejakiego ukontentowania.

— O! na Boga, toż to mój konik żółty — zawołał — Aramisie, spójrz na tego człapaka.

— O fe! co za obrzydliwa szkapa! — rzekł Aramis.

— Otóż, mój kochany — odparł d'Artagnan — na tym koniu przybyłem do Paryża.

— Więc pan zna tego konia? — podchwycił Mousqueton.

— Szczególny kolor — dodał Aramis — nie widziałem nigdy w życiu podobnej maści.

— Wierzę bardzo — podjął d'Artagnan, dlatego też sprzedałem go za trzy talary, i z pewnością zapłacono mi jedynie za skórę, bo zalety jego wewnętrzne nie warte i ośmnastu liwrow. Jakim jednak sposobem koń ten znalazł się w ręku Mousquetona?

— O! — zawołał lokaj — niech pan o tem lepiej nie wspomina, bo to, proszę pana, jest figiel męża naszej księżnej.

— Co za figiel? — opowiedz Mousquetonie!

— A to, proszę pana, jesteśmy w wielkich łaskach u pewnej wielkiej damy, księżnej de...; przepraszam! mój pan nakazał mi tajemnicę, nie mogę zatem nazwisk powiedzieć; pani owa zmusiła nas, abyśmy przyjęli na pamiątkę od niej wspaniałego rumaka hiszpańskiego i takiegoż muła. Doprawdy, że chciało się patrzeć bez końca na te cudowne stworzenia! Wtem mąż zazdrosny dowiedział się o wszystkim, przejął w drodze wierzchowce znakomite i zastąpił je temi oto bydłętami!

— Które odprowadzasz mu z powrotem? — zapytał d'Artagnan.

— A, naturalnie — odrzekł Mousqueton — pojmujesz pan, iż nie możemy przyjąć nędznych habetów zamiast wierzchowców, jakie nam przyobiecano.

— Ma się rozumieć, że nie wypada, choć pragnąłbym nieskończenie widzieć Porthosa na moim koniu; miałbym przynajmniej wyobrażenie, jak sam wyglądałem, przybywając do Paryża... Nie zatrzymujemy cię, Mousquetonie, ruszaj dalej spełnić rozkaz twego pana. A czy jest on u siebie?

— Jest, proszę pana, lecz w bardzo złym humorze.

Lokaj skierował się w stronę bulwaru Grands-Augustinus, a dwaj przyjaciele udali się do nieszczęśliwego Porthosa i dzwonili do drzwi jego zawzięcie. Napróżno jednak: Porthos widział, jak przechodzili przez podwórze i nie myślał wcale otwierać.

Mousqueton szedł coraz dalej, przebył Most Nowy, pędząc ciągle przed sobą obrzydłe wywłoki i dotarł nareszcie do ulicy Niedźwiedziej. Tam zaś, według polecenia pana swego, przywiązał konia i muła do młotka przy drzwiach notariusza, i, nie troszcząc się o los ich przyszy, powrócił do Porthosa z wiadomością, że rozkazy jego spełnił wiernie.

Po niejakiem czasie zwierzęta nieszczęśliwe, które od rana nic nie jadły, narobiły takiego hałasu piekielnego, szarpiąc i stukając młotkiem u drzwi, że notariusz wysłał z kancelarii wyrostka swego, aby dowiedział się od sąsiadów, do kogo należą ten koń i muł, taką wrzawę czyniący.

Pani Coquenard poznała od razu swój prezent; pojąć tylko nie mogła, dlaczego go zwrócono z drogi. Niedługo jednak czekała na rozwiązanie zagadki, przybycie Porthosa ją oświeciła... Gniew i obraza, błyszczące w oczach muszkietera, pomimo iż usiłował hamować się, przejęły śmiertelną trwogą czułą Dulcyneę.

Mousqueton opowiedział swemu panu, iż spotkał Aramis i d'Artagnana i że ostatni poznał podjezdka, który go przyniósł do Paryża i którego sprzedał za trzy talary.

Porthos niedługo zabawił u swej oblubienicy, wyszedł rozsierzdony, wyznaczając jej spotkanie przy klasztorze Saint-Magloire.

Pani Coquenard, drżąc cała, pośpieszyła do klasztoru Saint-Magloire. Przeczuwała biedaczka, co ją czekało, i przygotowana była na wymówki straszne. Porthos tak jej imponował pańskim ułożeniem!...

Wszystko, co człowiek zraniony w miłości własnej wypowiedzieć jest zdolny: srogie wyrzuty, wymówki i przekleństwa, wszystko to spadło na kornie pochyloną głowę pani notariuszowej.

— Niestety!... — odezwała się — starałam się zrobić jak najlepiej... Jeden z klientów naszych jest handlarzem koni; zadłużył się on bardzo w kancelarji męża i nie chciał w żaden sposób zapłacić. Wzięłam w długi konia i muła; przyrzekł mi niegodziwiec dostarczyć wierzchowców królewskich...

— Otóż, moja pani — rzekł Porthos — jeżeli był winien więcej, niż pięć talarów, to ten twój handlarz oszukał cię djabelnie.

— Przecie każdemu wolno starać się o kupno tanie — odparła notariuszowa, starając się usprawiedliwić.

— O! niezupełnie, szanowna pani. Ci, co szukają taniego towaru, winni pozwolić innym poszukać sobie przyjaciół hojniejszych.

Po tych słowach Porthos wykręcił się na pięcie i zamierzał odejść.

— Panie Porthos!... Panie Porthos! — zawołała notariuszowa — moja wina, przynajmniej, nie powinnam była się targować, gdy chodziło o wyekwipowanie kawalera tak znakomitego!

Porthos milczał i odsuwał się coraz dalej.

Notariuszowa widziała go już oczami wyobraźni, niknącego niby w obłoku świetnym, otoczonego księżniami, margabinami, które rzucały mu pod nogi pełne wory złota...

— Stój!... zatrzymaj się, na miłość boską — zawołała — poczekaj! pogadajmy trochę!...

— Rozmowa z panią nieszczęście mi przynosi — odparł Porthos.

— Powiedz nareszcie, czego żądasz?

— Nic nie chcę, moja pani, bo z tobą to na jedno wychodzi...

Notariuszowa zawisła na ramieniu Porthosa i w uniesieniu bolesnym zawołała:

— Panie Porthos! wybacz, ja nie znam się na niczem... skąd wiedzieć mogę, jaki koń być powinien?... czy ja wiem, co to jest uprzęż na konia?...

— Trzeba było mnie to polecić, mnie, bo przecież ja znam się na tem doskonale, moja pani; lecz chciałaś robić oszczędności, pieniądze pożyczać na procent lichwiarski...

— Nie miałam racji, panie Porthos, wyznaję; teraz naprawię błąd mój, zaręczam słowem honoru!

— W jaki sposób? — zapytał muszkieter.

— Posłuchaj! Dziś wieczorem pan Coquenard udaje się do księcia de Chaulnet na naradę, która potrwa ze dwie godziny conajmniej; przyjdź zatem do mnie, będziemy sami i wszystko się dobrze ułoży...

— Tak, to lubię! to nazywa się mówić rozumnie, moja droga...

— Przebaczasz mi nareszcie?

— Zobaczymy — odrzekł Porthos majestatycznie.

Rozłączyli się, mówiąc:

— Do widzenia wieczorem.

— Do kaduka! — pomyślał Porthos, odchodząc w swoją stronę — zdaje mi się, iż nakoniec zbliżam się przecież do szkatuły starego Coquenarda.

ROZDZIAŁ VIII. W NOCY WSZYSTKIE KOTY SZARE

Jakkolwiek dzień jest długi, nadszedł nareszcie wieczór, oczekiwany tak niecierpliwie przez Porthosa i d'Artagnana.

D'Artagnan, podług zwyczaju, stawił się u milady około dziewiątej. Znalazł ją w humorze wyśmienitym; nigdy jeszcze nie był przyjęty tak mile.

Gaskończyk nasz poznał od pierwszego wejrzenia, iż bilecik jego musiała otrzymać i że wpłynął on na jej usposobienie.

Katty podała sorbety. Milady i dla niej była uprzejma; uśmiechała się do pokojowej słodziutko; lecz, niestety! biedna dziewczyna tak była w smutku zatopiona, że nie spostrzegła nawet dobrotliwości swej pani.

D'Artagnan spoglądał na obydwie kobiety, porównywał je w myśli, i przyznać musiał, że natura, stwarzając je, pomyliła się okrutnie; wielka pani otrzymała w udziale duszę przedajną i podłą, subretka zaś serce i charakter, godne księżnej krwi królewskiej.

O dziesiątej milady zaczęła okazywać niepokój i rozdrażnienie.

D'Artagnan wiedział dobrze z jakiego powodu; spoglądała na zegar, podnosiła się, siadała znów, uśmiechała się do gościa i patrzyła na niego wzrokiem, który mówił wyraźnie.

— Jesteś bardzo przyjemny, bezwątpienia, lecz byłbyś daleko miłszy, gdybyś się już wyniósł.

D'Artagnan wstał z krzesła i wziął kapelusz; milady podała mu rączkę do ucałowania; młodzieniec poczuł lek kie uściśnienie i domyślił się, że pochodzi nie z kokieterji, lecz z wdzięczności za to, że odchodził.

— Musi go ona słuchać djabelnie — zamruczał i wyszedł.

Nie spotkał tym razem Katty ani w przedpokoju, ani na korytarzu, ani nawet w bramie. Sam musiał szukać schodków, prowadzących do pokoiku subretki.

Katty siedziała z twarzą w dłoniach ukrytą i gorzko płakała.

Słyszała, jak wszedł d'Artagnan, lecz nie podniosła głowy; młodzieniec zbliżył się i ujął ją za ręce. Wtedy, nie mogąc dłużej panować nad sobą, wybuchnęła głośnym płaczem.

Jak to przeczuwał d'Artagnan, milady po odebraniu listu z radości wielkiej opowiedziała wszystko pokojówce, a chcąc ją wynagrodzić za spełnienie tym razem polecenia wiernie i pomyślnie, obdarzyła pieniędzmi.

Katty, wróciwszy do swojej izdebki, cisnęła woreczek na ziemię, a złoto rozsypało się po kątach.

Strapiona dziewczyna, za dotknięciem d'Artagnana, podniosła głowę. Aż przeląkł się zmiany, jaka w niej zaszła; twarz, łzami zalana, była trupio blada; załamała rączki błagalnie, nie śmiąc słowa wymówić.

D'Artagnan nie odznaczał się czułością serca, a jednak poruszył go widok niemej boleści, lecz zanadto stały i uparty był w swoich zamiarach i zbyt chodziło mu o dopięcie tego, co przedsięwziął nocy dzisiejszej, aby chciał choć na jotę zmienić postanowienie.

Nie pozostawił też Katty najmniejszej nadziei, aby go czemkolwiek zmiękczyć mogła, wytłumaczył jej tylko, że to, co uczynić zamierza, jest poprostu jego zemstą.

Wszystko się tak składało, aby ułatwić ten akt zemsty.

Milady zapewne w celu ukrycia wstydu przed kochankiem rozkazała Katty pogasić światła w apartamentach, a nawet w jej pokoiku własnym. Hrabia de Wardes miał wyjść od niej przededniem, jednak nie chciała, aby się światło paliło.

Po niedługiej chwili usłyszano milady, wchodzącą do sypialni. D'Artagnan wskoczył do szafy natychmiast i zaledwie miał czas się zamknąć, gdy dzwonek się odezwał.

Katty udała się na wezwanie, lecz tym razem drzwi zamknęła za sobą; pomimo to słychać było wszystko prawie, co mówiono w sypialni, gdyż ściana była cienka.

Milady, upojona radością, kazała powtórzyć Katty wszystkie szczegóły mniemanego widzenia się jej z hrabią de Wardes; jaką miał minę, gdy list odebrał, jak odpisywał, co twarz jego wyrażała, czy wydawał się bardzo zakochany...

Na wszystkie te pytania biedna Katty, zmuszona udawać, odpowiadała głosem przytłumionym, na co jej pani nie zwróciła wcale uwagi; szczęście zwykle robi ludzi egoistami.

Gdy wreszcie nadeszła godzina przybycia hrabiego, milady kazała pogasić świece ostatecznie i wprowadzić hrabiego de Wardes, skoro tylko się zjawi.

Katty nie potrzebowała długo czekać.

Zaledwie d'Artagnan ujrzał przez dziurkę od klucza, że już wszystko pogrążone w ciemnościach, wyskoczył z szafy, wprzód nim pokojówka zdążyła drzwi zamknąć.

— Co to za hałas? — zapytała milady.

— To ja jestem — rzekł d'Artagnan półgłosem — ja, hrabia de Wardes.

— O Boże! mój Boże! — szeptała Katty — nie mógł nawet doczekać się godziny, którą sam oznaczył!

— To on? — odezwała się milady — dlaczego nie wchodzi? Hrabio, drogi hrabio, wiesz przecież, że czekam na ciebie!

Na takie wezwanie, d'Artagnan odsunął zlekka Katty i pośpieszył do sypialni.

Jeżeli wściekłość i boleść może wystawić na męki duszę jaką, to tembardziej duszę zakochanego, który pod imieniem nie swoim, odbiera przysięgi miłości, przeznaczone dla rywala.

D'Artagnan znalazł się w położeniu, jakiego nie przewidywał. Zazdrość szarpała mu serce i cierpiał prawie narówni z nieszczęsną Katty, płaczącą gorzko w sąsiednim pokoju.

— O tak, hrabio — mówiła milady najśłodszym głosem, ściskając go czule za ręce — o! tak, szczęśliwa jestem nad wyraz miłością, którą widzę w oczach twoich i słyszę w słowach, ile razy się spotykamy. Ja także kocham cię gorąco. Pragnę, abyś pamiętał o mnie, boję się zapomnienia i dlatego proszę cię, weź to, niech ci mówi o mnie bezustannie.

Zdjęła pierścień z palca i podała d'Artagnanowi.

Przypomniał sobie, że widział u milady ten klejnot: był to wspaniały szafir, otoczony brylantami. D'Artagnan wzbraniał się go przyjąć, lecz milady rzekła.

— Zachowaj ten pierścień przez miłość dla mnie... Przyjmując go — dodała głosem wzruszonym — wyświadczasz mi większą przysługę, niż sobie możesz wyobrazić.

— Ta kobieta jest pełna tajemnic — myślał d'Artagnan i gotów był wyjawić jej wszystko. Otworzył już usta, aby wyznać milady kim był, i że przyszedł jedynie dla dogodzenia uczuciu zemsty, lecz ona zaczęła:

— Biedny, drogi aniele, którego ten potwór gaskończyk o mało nie zamordował!

Potwór, to był on właśnie.

— O! najdroższy — ciągnęła milady — czy rany bolą cię jeszcze?

— O tak! bolą okropnie — rzekł d'Artagnan, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Bądź pewny — szepnęła milady — ja cię pomszczę! pomszczę okrutnie.

— Oho! — pomyślał d'Artagnan — chwila zwierzeń nie nadeszła jeszcze.

Potrzebował czasu, by się uspokoić po tej rozmowie; lecz cała zawziętość, z jaką przyszedł, gdzieś się ulotniła.

Ta kobieta posiadała nad nim władzę zadziwiającą, nienawidził i uwielbiał ją jednocześnie; nie przypuszczał nigdy, aby dwa uczucia tak sprzeczne mieścić się mogły w sercu jednego człowieka i tworzyły razem miłość niepojętą, prawie szatańską.

Wybiła pierwsza po północy; nastąpiła chwila rozłączenia; d'Artagnan, przy rozstaniu z milady, czuł już tylko żal wielki, a w pożegnaniach namiętnych, powtarzanych bez końca, ułożono schadzki podobną na przyszły tydzień.

Biedna Katty spodziewała się pomówić trochę z ukochanym, gdy przez jej pokoiak przechodzić będzie, lecz milady przeprowadziła go sama aż do schodów.

Nazajutrz rano d'Artagnan pobiegł do Athosa. Człopotrzebę wypowiedzenia się przyjacielowi, tak go przerażała nadzwyczajność całej tej awantury.

— Twoja milady — rzekł Athos, wysłuchawszy opowiadania — wydaje mi się istotą bez czci i wiary, pomimo to, oszukując ją, źle czynisz. Teraz, potem, co się stało, spodziewaj się w niej nieprzyjaciółki strasznej, nieubłaganej...

Athos, mówiąc to, przypatrywał się z uwagą szafirowi, otoczonemu brylantami, który błyszczał na palcu d'Artagnana, w miejsce pierścienia otrzymanego od królowej, a schowanego starannie do pudełka.

— Patrzysz na ten pierścionek?... — rzekł gaskończyk z dumą, kontent, że pochwalić się może podarkiem drogocennym.

— Tak — rzekł Athos — patrzę, bo przypomina mi klejnot nasz rodzinny.

— Piękny jest, wszak prawda?... — podchwycił d'Artagnan.

— Przepyszny, wspaniały — odrzekł Athos — ale nie przypuszczałem, aby istniały dwa szafiry tak pięknej wody. Czy prehandlowałeś już swój djament?...

— O nie!... — odrzekł d'Artagnan — jest to prezent od mojej pięknej Angielki, a raczej od mojej pięknej Francuzki; ponieważ, choć jej o to nie pytałem, przekonany jestem, że się we Francji urodziła.

— Więc ten pierścionek od milady pochodzi?... — zawołał Athos głosem, w którym czuć było ogromne wzruszenie.

— Od niej; dała mi go nocy dzisiejszej.

— Pokaż mi ten pierścień — rzekł Athos.

— Oto go masz — odrzekł d'Artagnan, zdejmując pierścionek z palca.

Athos przypatrywał się i bladł coraz bardziej; włożył go na czwarty palec lewej ręki, pasował zupełnie, jakby dla niego robiony.

Wyraz gniewu i zemsty odbił się na twarzy Athosa, tak zwykle spokojnej.

— Niepodobna, aby to był ten sam — powiedział — w jakim sposobie znalazłby się w rękach lady Clarick? A jednak trudno znaleźć dwa kamienie tak do siebie podobne.

— Czy znasz ten pierścień?... — zapytał d'Artagnan.

— Zdawało mi się, że go już widziałem, lecz myślę się pewnie...

Oddał d'Artagnanowi, nie spuszczać go jednak z oczu.

— Słuchaj, d'Artagnanie — odezwał się po chwili — zdejmij pierścionek z palca, lub odwróć kamień na wewnątrz, przypomina mi on straszne chwile w życiu i nie mógłbym rozmawiać z tobą swobodnie. Przyszedłeś zasięgnąć rady?... mówiłeś mi, iż w trudnym nader znajdujesz się położeniu?... Ale, poczekajno... pokaż mi jeszcze ten szafir; bo tamten, o którym wspominałem; miał rysę na boku, wskutek pewnego wypadku.

D'Artagnan zdjął znów pierścionek i podał Athosowi.

Athos zadrżał:

— Patrz — zawołał — to niepojęte!

I wskazał rysę, o której pamiętał.

— Od kogo dostałeś ten szafir?

— Od matki mojej, która go znów od swojej dostała. Jak ci już mówiłem, jest to stary klejnot rodzinny... przechodzący z pokolenia w pokolenie i jak świętość strzeżony.

— I ty go sprzedałeś?... — zapytał d'Artagnan nieśmiało.

— O, nie — odparł Athos z dziwnym uśmiechem — oddałem go dobrowolnie pewnej nocy, w uniesieniu miłosnem, tak samo, jak i ty go otrzymałeś!...

D'Artagnan zamyślił się; odgadywał w duszy milady przepaści czarne i niezgłębione... Nie włożył już pierścionka na palec, schował go do kieszeni.

— Przyjacielu — rzekł Athos, biorąc go za rękę — wiesz dobrze, jak cię kocham, i gdybym miał syna nie więcej byłby mi drogi. Proszę, wierz memu doświadczeniu, porzuć tę kobietę. Nie znam jej wcale, lecz mam przeczucie, głos wewnętrzny mi mówi, że to istota zgubiona i że nad nią ciąży fatalizm zbrodni.

— Masz rację — odparł d'Artagnan. — Posłucham i nie chcę już jej znać nawet; przyznaję, że mnie samego ta kobieta przeraża.

— A więc będziesz miał dość odwagi?... — przerwał Athos.

— O będę miał, zaręczam — odpowiedział d'Artagnan — od tej chwili sobie postanawiam.

— Otóż, powiem ci, moje dziecko, że dobrze zrobisz — rzekł Athos, ściskając rękę gaskończyka z ojcowskim prawie uczuciem — proś Boga, aby ta kobieta, która choć na krótko w życie się twoje wplątała, nie pozostawiła w niem śladów straszliwych!

Po tych słowach Athos skłonił głowę na pożegnanie, dając do zrozumienia, że chce sam pozostać.

D'Artagnan, powróciwszy do siebie, zastał Katty. Miesiąc cały ciężkiej choroby nie byłby zmienił o tyle biednej dziewczyny, jak ta noc jedna bezsenna, w łzach spędzona.

Milady wysłała Katty do hrabiego de Wardes. Pani ta szalała z miłości niepohamowanej, radość zmysłów ją pozbawiała; pragnęła copędzej upewnić się, kiedy znów kochanek przyjdzie do niej...

Biedna Katty, blada i drżąca, oczekiwała odpowiedzi d'Artagnana.

Athos posiadał na młodego człowieka wpływ wielki; rady przyjaciela i głos serca własnego nakazały mu stanowczo, aby teraz, gdy zemstę już zaspokoił i dumę zadowolił, opuścił milady zupełnie. Wziął też pióro, i napisał, co następuje:

„Niech pani nie liczy na prędką schadzkę ze mną: od czasu wyzdrowienia mego, mam tak dużo zajęć podobnych, że muszę niejaki porządek zaprowadzić. Gdy na panią kolej nadejdzie, będę miał honor zawiadomić ją o tem.

Całuję rączki pani
Hrabia de Wardes”.

O pierścionku ani słowa: czy przemyślny gaskończyk chciał go zatrzymać, jako w danym razie broń przeciw milady? albo też, powiedzmy prawdę, w szafirze drogocennym pokładał jedyną nadzieję wyekwipowania się porządnego?

Nie można sądzić ludzi z tamtej epoki, według miary dzisiejszej.

To, co uważalibyśmy obecnie, jako hańbiące młodego człowieka, w owym czasie było rzeczą prostą i zwyczajną, a młodszy synowie w rodzinie ponieważ tylko najstarszy odziedziczył majątek i tytuły, starali się w buduarach dam wysoko postawionych wyrabiać sobie protekcję i zasilek pieniężny.

D'Artagnan po napisaniu oddał list niezapieczętowany do rąk Katty, która przeczytała najpierw, nie mogąc nic zrozumieć, a gdy pojęła nareszcie znaczenie biletu, o mało nie oszalała z radości.

Nie śmiała biedaczka uwierzyć szczęściu swojemu, d'Artagnan był zmuszony powtórzyć wszystko, co list zawierał, a ona wtedy, pomimo niebezpieczeństwa, jakie jej groziło przy znanej porywczoci milady, pobiegła pędem na plac Królewski.

Kobieta, nawet najlepszego serca, nie zna litości nad swoją rywalką.

Milady otworzyła list z równym pośpiechem, z jakim Katty jej doręczyła.

Po pierwszych wyrazach przeczytanych zzieleniała ze złości, następnie zgmiotła w rękę papier, zwróciwszy się do Katty z błyskawicą w oczach, zawołała:

— Co to jest, co znaczy ten list?

— To jest odpowiedź na ten, który pani pisała — odrzekła Katty, trzęsąc się ze strachu.

— Niepodobna!... — krzyczała milady — niepodobna, aby szlachcic, człowiek dobrze wychowany, napisał do kobiety takie bezceństwo!

Nagle zadrżała i zbladła.

— Boże wielki!... — wyrzekła — czyżby wiedział?... — i nie dokończyła.

⁷do. [przypis redakcyjny]

Zgrzytnęła zębami, twarz jej z bladej stała się siną; chciała biec do okna, zachwycić powietrza... nie mogła ręki wyciągnąć, zachwiała się i padła na fotel...

Katty, sądząc, że zemdlą, przyskoczyła i zaczęła gorset odpinać. Milady zerwała się na nogi:

— Czego chcesz odemnie?... — wymówiła — po co mnie dotykasz?

— Pani zemdlą, chciałam ją ratować — odrzekła pokojówka, przerażona wyrazem twarzy milady.

— Ja miałabym zemdleć!... ja! cóż ty o mnie myślisz? Gdy mnie znieważą... o! to ja nie mdleję, ja się mszczę wtedy, rozumiesz?

I dała znak Katty, aby się oddaliła.

ROZDZIAŁ IX. MARZENIA O ZEMŚCIE

Wieczorem milady rozkazała służbie, aby skoro tylko d'Artagnan według zwyczaju przybędzie, wprowadzono go do niej natychmiast. Czekala jednak daremnie.

Nazajutrz Katty poszła odwiedzić młodzieńca i opowiedziała mu, co zaszło dnia wczorajszego.

D'Artagnan słuchał z uśmiechem; udręczenia milady, złość i wstyd jej tu była dlań zemsta prawdziwa.

Drugiego wieczora milady, niecierpliwsza jeszcze, powtórzyła rozkaz, dotyczący gaskończyka, lecz znów czekała napróżno. Rano Katty zjawiła się u d'Artagnana, ale nie wesola i lekka, jak dawniej, przeciwnie, blada i smutna śmiertelnie. D'Artagnan pytał troskliwie, co jej jest; dziewczyna zamiast odpowiedzi list mu podała.

Poznał pismo milady; tylko tym razem adres był wyraźnie do d'Artagnana, a nie do hrabiego de Wardes.

Rozpieczętował i czytał:

„Kochany panie d'Artagnan; niedobrze jest zaniedbywać przyjaciół, a szczególnie, gdy ma się ich opuścić na czas tak długi. Szwagier mój i ja oczekiwaliśmy pana wczoraj i onegdaj, a pan się nie pokazałeś. Czy dziś wieczór będzie tak samo?

życzliwa Lady Clarick”

— Spodziewałem się tego listu — rzekł d'Artagnan — taki musiał być rezultat. Papiery moje idą w górę, gdy spadają wartości hrabiego de Wardes.

— Pójdiesz pan? — zapytała Katty⁸.

— Posłuchaj drogie dziecko — rzekł gaskończyk, starając się usprawiedliwić przed sobą samym, z niedotrzymania obietnicy, danej Athosowi — pojmujesz, że byłoby niepolitycznie wcale nie przyjąć tak wyraźnego zaproszenia. Gdybym nie poszedł, milady, nie mogąc pojąć, dlaczego bywać u niej przestałem, mogłaby tworzyć domysły rozmaite, a w końcu dojść prawdy. Niebezpieczna to rzecz zadzierać z kobietą tak mściwą, gdy przewidzieć niepodobna, co jest w stanie zrobić w zapędzie złości.

— O, mój Boże — rzekła Katty — pan potrafisz tak rzecz przedstawić, iż masz zawsze rację... Zacziesz się znów do niej umizgać; a jeżeli teraz spodobaś się i zdobędziesz jej serce pod własnym imieniem, we własnej postaci, o! to będzie jeszcze gorzej.

Biedna dziewczyna instynktem odgadywała to, co miało nastąpić. D'Artagnan pocieszał, jak mógł, dziewczynę i zapewniał, że oprze się mężnie wszelkim pokusom.

Kazał powiedzieć milady, iż czuje wdzięczność ogromną za jej łaskawość i stawi się na rozkaz, nie odważył się jednak odpisać, ze względu, iż wprawne jej oko mogłoby poznać jego pismo. Punktualnie o dziesiątej, d'Artagnan był już na placu Królewskim. Służba, uprzedzona zapewne, oczekiwała w przedpokoju, i zanim zdążył prosić, już jeden z lokajów oznajmił go milady.

— Prosić — rzekła pani domu głosem dźwięcznym i przenikliwym, tak, że d'Artagnan słyszał w przedpokoju.

— Nikogo więcej nie przyjmuję!... słyszycie, nikogo!

D'Artagnan obrzucił milady ciekawym wzrokiem: blada była, a oczy zaczerwienione świadczyły o łzach lub bezsennie spędzonej nocy.

⁸Katty. [przypis redakcyjny]

D'Artagnan przysunął się ze zwykłą galanterją; wtedy wysiłkiem nadludzkim przybrała wyraz spokoju i uprzejmości, choć zapewne nigdy uśmiech tak przyjemny nie gościł na twarzy równie zmienionej.

Na zapytanie d'Artagnana o zdrowie, odrzekła:

— Słaba jestem, bardzo nawet słaba...

— W takim razie mogę być natrętnym, pani potrzebuje wypocząć... zatem odchodzi...

— Przeciwnie — rzekła milady — zostań, panie d'Artagnan, miłe twoje towarzystwo pozwoli mi zapomnieć o cierpieniu.

— Oho!... — pomyślał d'Artagnan — nigdy jeszcze nie była tak przyjemna, miejmy się na baczności!

Milady roztoczyła cały swój powab; rozmawiała dowcipnie, uśmiechała się zalotnie, a jednocześnie gorączka, która ją na chwilę opuściła, powracała z całą potęgą, dodając blasku oczom i rozkosznego karminu usteczkom.

D'Artagnan widział znów Circeę, która go napowrót ujęła w sidła zaczarowane.

Miłość szalona, uśpiona na chwilę, zbudziła się w jego sercu... Milady uśmiechnęła się, a on czuł, że duszę oddałby za ten uśmiech...

Powoli milady stawała się coraz serdeczniejsza. Zapytywała d'Artagnana, czy miał kochankę?

— O! pani — rzekł młodzieniec z miną jak mógł najsentymentalniejszą — jesteś okrutna!... jak możesz pytać mnie o to, mnie... który od ujżenia ciebie, oddycham i wzdycham jedynie dla ciebie i przez ciebie!

Milady uśmiechnęła się znacząco.

— Więc pan mnie kochasz? — rzekła.

— Czyż potrzebuję mówić? czyż pani tego nie widzi?...

— Przyznaję... domyśliłam się miłości pańskiej; lecz wiesz zapewne, że serce harde trudno jest zdobyć.

— O!... przeszkody mnie nie przerażają; boję się jedynie niepodobieństwa.

— Niema nic niepodobnego dla miłości prawdziwej.

— Tak pani myśli?

— Tak mówię i tak myślę — odparła milady.

— O! do diabła! — pomyślał d'Artagnan — śpiewamy na inną nutę... — Czyżby się zakochała wypadkiem ta kapryśnica i czyżby miała zamiar obdarzyć mnie znów szafirem, podobnym do tego, jaki wziąłem za hrabiego de Wardes?

D'Artagnan przysunął się z krzesłem do fotelu milady.

— Ciekawa jestem — rzekła — w jaki sposób dowiódłbyś miłości, o której tak mówisz?..

— Gotów jestem na wszystko, na każde żądanie... Czekam rozkazu.

— Nie cofniesz się przed niczem?

— Nigdy! — zawołał d'Artagnan, wiedząc naprzód, że nie ryzykował wiele.

— Zatem, pogadajmy trochę — rzekła milady, przysuwając się jeszcze bliżej do młodego chłopca.

— Słucham z uwagą — rzekł tenże.

Milady milczała chwilę zakłopotana; jak gdyby odwagi jej zabrakło; nareszcie udając nagle postanowienie, rzekła:

— Mam wroga...

— Ty, pani!... — wykrzyknął d'Artagnan, udając zdziwienie — na Boga!... czyż to możebne? taka piękna i taka dobra!

— Wroga śmiertelnego...

— Naprawdę?...

— Nieprzyjaciela, który znieważył mnie okrutnie... między nami teraz walka na śmierć... Czy mogę rachować, że pan mi pomoże?

D'Artagnan zrozumiał, do czego milady zmierza.

— Możesz pani liczyć na mnie — rzekł z przesadą — ramię moje i życie należą do pani, równie jak miłość moja.

— A więc — zaczęła milady — ponieważ jesteś szlachetny i zakochany...

Przerwała.

— Cóż dalej?... — zapytał d'Artagnan.

— Co dalej? — ciągnęła milady. po chwili milczenia — przestań od dziś mówić o niepodobieństwach.

— O! pani, to szczęście nad siły moje — zawołał d'Artagnan, rzucając się na kolana i okrywając pocałunkami białe rączki, których mu nie broniono.

— Pomścij mnie, zabij niegodnego de Wardes — myślała milady, zaciskając zęby — a potrafię się pozbyć i ciebie, głupcze jakiś, narzędzie bierne w moich rękach!...

— Rzuć się dobrowolnie w objęcia moje, ty, coś się tak bezwstydnie ze mnie naigrawała, obłudnico, niebezpieczna kobieto — myślał ze swej strony d'Artagnan — a potem ja cię też wyśmieję, razem z tym, którego chcesz, abym zabił...

D'Artagnan podniósł głowę wyzywająco.

— Gotów jestem! — powiedział.

— Zrozumiałeś mię zatem, kochany panie d'Artagnan?

— Odgadywać będę chęci twoje ze spojrzenia...

— Gotów więc jesteś użyć dla mnie siły ramienia swego, tak już wslawionego powszechnie?

— Nawet w tej chwili.

— Lecz jakże zapłacę usługę podobną? znam dobrzezakochanych młodzieńców, nie lubią oni poświęcać się za darmo?

— Jednej tylko nagrody pragnę, wiesz o tem dobrze, jedynej, godnej mnie i ciebie! Objął ją ramieniem i przyciągnął delikatnie ku sobie.

Prawie się nie opierała.

— Interesowny młodzieńcze!... — rzekła z uśmiechem.

— O!... — wykrzyknął d'Artagnan, uniesiony namiętnością, którą ta kobieta umiała w sercach rozniecać — szczęście takie wydaje mi się niemożliwe i boję się, aby, jak sen, nie znikło, pragnę je jaknajprędzej w rzeczywistość zamienić!

— Trzeba najpierw zasłużyć na to mniemane szczęście.

— Co mam czynić? rozkazuj, pani!...

— Czy napewno? — rzekła milady z resztką wątpliwości.

— Wymień mi zbrodniarza, który wycisnął łzy z twoich pięknych oczu.

— Kto ci mówi, że płakałam?

— Zdawało mi się...

— Kobiety z mojem usposobieniem nie płaczą nigdy.

— Tem lepiej!... A teraz powiedz mi, jak on się nazywa?

— Pomyśl jednak, że imię jego to moja tajemnica.

— Trzeba przecież, abym ją poznał.

— Tak, masz rację; widzisz, jak ci ufam!

— Uszczęśliwiasz mnie pani. Jakże się on nazywa?

— Znasz go dobrze.

— Czy być może?

— Tak.

— Czy to jeden z przyjaciół moich? — podjął d'Artagnan wahająco, aby tem lepiej uwierzono w jego nieświadomość.

— A gdyby był przyjacielem, czy cofnąłbyś się wtedy? — zawołała milady i błysk złowrogi zaświecił w jej oczach.

— Nie, nigdy, choćby to był brat mój rodzony! — wykrzyknął d'Artagnan, udając wielki zapal.

Nasz gaskończyk puszczał się odważnie, wiedział bowiem do czego dąży.

— Podoba mi się twoje poświęcenie bezwarunkowe rzekła milady.

— Niestety! czy za to tylko mnie lubisz? — zapytał d'Artagnan.

— Kocham cię także, dla ciebie samego jedynie — rzekła, biorąc go za rękę.

D'Artagnana dreszcz przeszedł; gorączka, paląca milady, przez dotknięcie ręki udzieliła się także młodzieńcowi.

— Więc ty mnie kochasz?... — wykrzyknął — O!... gdyby to było prawdą, możnaby od niej rozum stracić!

Wziął ją w objęcia; nie broniła mu pocałunków, tylko im nie odpowiadała. Usta jej były zimne: zdawało się d'Artagnanowi, iż posąg całuje... Był jednak upojony, zelektryzowany miłością; uwierzył prawie we wzajemność milady; uwierzył prawie w zbrodnię hrabiego. Gdyby de Wardes znalazł się pod ręką, byłby go zabił bezwątpienia.

— Nazywa się... — zaczęła.

— De Wardes, wiem o tem — zawołał d'Artagnan.

— Kto ci powiedział?... — zapytała milady, chwytając go za ręce, i patrzyła mu w oczy, starając się czytać w głębi duszy młodzieńca.

D'Artagnan zmiarkował, że się wygadał niepotrzebnie.

— Powiedz, powiedz natychmiast!... — powtarzała milady — skąd wiesz o tem?

— Skąd się dowiedziałem?

— Tak, tak, powiedz.

— Stąd wiem, że de Wardes wczoraj, będąc w towarzystwie, gdzie i ja się znajdowałem, pokazywał pierścień, który, jak mówił, otrzymał od ciebie.

— A! nędznik!... — zawołała milady.

Nazwa ta dosadna odbiła się, jak można się domyślać, w głębi serca d'Artagnana.

— Co o nim myślisz?... — dodała milady.

— Zemszczę się strasznie nad tym nędznikiem — mówił d'Artagnan z miną Jafeta Armeńskiego.

— Dziękuję ci, zacny przyjacielu!... a kiedyż mnie pomścisz?

— Jutro, dziś, zaraz; kiedy tylko rozkażesz...

Milady chciała zawołać: natychmiast; rozmyśliła się jednak, gdyż pośpiech taki mógłby być nieprzyjemny dla d'Artagnana.

Oprócz powyższych względów, pragnęła udzielić mnóstwa przestróg, mnóstwa zastrzeżeń obrońcy swojemu, abymógł uniknąć wyjaśnień wobec świadków hrabiego de Wardes.

D'Artagnan uprzedził ją.

— Jutro zostaniesz pomszczona, albo ja żyć nie będę.

— Nie!... — rzekła — pomścisz mnie, lecz sam nie umrzesz. Hrabia jest tchórzem.

— Może z kobietami, lecz nie z mężczyznami; wiem trochę o tem...

— Zdaje mi się, że w walce z nim nie mogłeś się uskarżać na brak powodzenia.

— Powodzenie, to, jak kochanka: wczoraj cię kochała, a dziś znać nie chce.

— To znaczy, że się wahasz?

— Nie waham się, niech mię Bóg broni; lecz, czy słuszne jest z twej strony wysłać mnie na śmierć możliwą, nie dając nic, prócz odrobiny nadziei?..

Milady odpowiedziała spojrzeniem, które wyrażało:

— Jeżeli o to chodzi, mów śmiało, nie wstydź się?

Poczem dodała parę wyrazów objaśniających:

— Bardzo słusznie — wyrzekła czule.

— O!... jesteś aniołem — rzekł młodzieniec.

— Zatem wszystko już ułożone?... — podchwyciła.

— Oprócz tego, o co cię błagam, najdroższa!

— Mówię ci, że możesz zaufać mojemu uczuciu.

— Nie mam czasu czekać.

— Cicho; szwagier mój nadchodzi, nie chcę aby cię zobaczył!...

Zadzwoiła; weszła Katty.

— Wyjdź tędy — rzekła, otwierając drzwiczki, ukryte w ścianie — i powróć o jedenastej... dokończymy wtedy naszej rozmowy: Katty wprowadzi cię do mnie...

Biedne dziewczę o mało nie padło z przerażenia, słysząc te słowa.

— Co to znaczy?... cóż panna stoisz nieruchoma, jak statua? Prędziej, wyprowadź pana; a dziś o jedenastej, rozumiesz!...

— Widać jej schadzki zawsze odbywają się o jedenastej — pomyślał d'Artagnan — taki już jej obyczaj.

Milady wyciągnęła rękę, którą ucałował gorąco.

— Oho!... — rzekł, odchodząc i nie odpowiadając wcale na wyrzuty Katty — oho! nie trzeba być głupim; ta kobieta jest skończoną zbrodniarką: baczność!

Zamiast udać się za Katty, która go błagała, ażeby do niej wstąpił, d'Artagnan wyszedł z pałacu, a uczynił to dla dwóch powodów: po pierwsze unikał w ten sposób wymówek, oskarżeń i żalów biednej dziewczyny; po drugie pragnął sam pozostać, pragnął wejść w siebie, zajrzeć w głąb własnego serca i zastanowić się nad tą kobietą, która stanęła mu na drodze życia.

Wszelako najjaśniejszym w tej sprawie było, że d'Artagnan kocha szalenie, a ona nie kocha go wcale.

Przez chwilę zdawało mu się, iż najlepiej uczyni, gdy wróci do domu i napisze do milady list długi, w którym wyzna, że on i de Wardes to dotąd jedna i ta sama osoba i że z tego powodu nie może się podjąć zabicia hrabiego, ażeby nie dopuścić się samobójstwa.

Lecz i w nim także siedział demon zemsty dzikiej; pragnął posiadać koniecznie tę kobietę pod własnym swoim imieniem, a że ten sposób zemsty, wydawał mu się nad wyraz słodki, nie chciał go się wyrzec.

Chodził dokoła placu Królewskiego, spoglądając co chwila w okna apartamentów milady, w których przez żaluzje błyszczało światło; widocznie piękna pani nie śpieszyła się tak do sypialni, jak za pierwszym razem...

Nakoniec pałac cały pogrążył się w ciemnościach; razem ze światłem znikła ostatnia wątpliwość z serca d'Artagnana, przypomniał sobie szczegóły nocy ostatniej i z sercem webranem, z głową rozpaloną, powrócił do pałacu i wbiegł do pokoiku Katty.

Dziewczyna, jak trup, blada, drżąc całem ciałem, pragnęła zatrzymać kochanka; lecz milady stała na czatach i posłyszawszy hałas, drzwi otworzyła.

Odbyło się to z bezwstydem i czelnością niepojętą; d'Artagnan nie wierzył uszom swoim i oczom.

— Wchodź prędzej — rzekła.

Zdawało mu się, że cała ta intryga jest złudzeniem sennej wyobraźni, nie zaś rzeczywistością dotykalsną.

Pomimo to rzucił się ku milady, ulegając pociągowi niewytłumaczonemu, jak żelazo pod działaniem magnesu.

Drzwi się za nimi zamknęły. Teraz Katty rzuciła się na tę zaporę.

Zazdrość, gniew szalony, duma obrażona, wszystkie namiętności w sercu kobiety kochającej bez nadziei, popychały ją do odkrycia prawdy... Pomyślała jednak, że zgubi się sama, wyjawwszy, iż pomagała do mistyfikacji i że zdradzała panią... a nade wszystko d'Artagnan stracony będzie dla niej bezpowrotnie.

Ostatni ten wzgląd skłonił ją do milczenia, do tego jeszcze poświęcenia ostatniego.

D'Artagnan zaś znalazł się u szczytu pragnień: nie był to już rywal nienawistny, kochany i przyjmowany w jego osobie, lecz on sam, odbierający dowody miłości.

Głos wewnętrzny odzywał się wprawdzie w głębi serca, że jest on narzędziem zemsty jedynie, narzędziem, które głaskano z potrzeby, zanim śmierć zada wrogowi; lecz duma, miłość własna, szaleństwo jakieś kazały milczeć instynktom ostrzegawczym.

Nadomiar gaskończyk nasz zarozumiały i zaufany w sobie, porównywał się hrabią de Wardes i zapytywał w duchu, dlaczegoż i on nie mógłby być kochany pod własnym nazwiskiem?

Oddał się też cały wrażeniom chwili obecnej. Milady przestała być dla niego kobietą o uczuciach zgubnych, niegodziwych, które przed chwilą przerażały go okrutnie; widział w niej jedynie kochankę czułą, namiętną, oddającą się bez wyrachowania uczuciu, jakie zdawała się podzielać. Upłynęły tak dwie godziny.

Powoli uspokoili się, a milady, która nie miała powodu do uniesień, jak d'Artagnan, pierwsza wróciła do rzeczywistości i zapytała młodzieńca, czy poczynił już przygotowania do pojedynku jutrzejszego, czy postarał się wynaleźć przyczynę, któraby konieczne sprowadziła spotkanie pomiędzy nim i hrabią de Wardes.

Lecz d'Artagnan myślał zupełnie o czem innym; zapomniał się, jak głupiec jaki, i odpowiedział naiwnie, iż zapóźno już było, gdy wyszedł wieczorem od milady do wyzwania na szpady.

Obojętność, jaką okazał dla głównego celu milady, przeraziła ją niezmiernie. Nie ustała więc w podżeganiach i zapytaniach.

Wtedy d'Artagnan, który nie brał nigdy na serio tego pojedynku niemożliwego, postarał się zwrócić rozmowę na inny przedmiot, lecz mu się to nie powiodło.

Milady z żelazną wytrwałością wracała ciągle do swego założenia.

D'Artagnan sądził, że będzie bardzo sprytny i przebiegły, gdy doradzi milady odstąpić od zamiaru zemsty i przebaczyć zupełnie hrabiemu de Wardes. Na samą o tem wzmiankę, młoda kobieta trząść się zaczęła i odsunęła się od niego.

— Czyżbyś się bał, kochany d'Artagnanie?... — rzekła głosem cierpkim i drwiącym, który dziwnie zabrzmiał w ciemności.

— Nie myślisz tego, co mówisz, duszo moja droga!... — odrzekł d'Artagnan — a gdyby wypadkiem hrabia de Wardes nie był tyle winnym, jak sądzisz?

— W każdym razie — rzekła milady poważnie — znieważył mnie i przez to samo zasłużył na śmierć.

— Więc umrze, kiedyś go na śmierć skazała!... — mówił d'Artagnan serjo, tak że milady znów uwierzyła w poświęcenie prawdziwe.

Zaraz też przysunęła się do niego. Nie możemy zaręczyć, jak długą ta noc wydała się milady; lecz d'Artagnan myślał, że najwyżej parę chwil był u niej, gdy dzień zaświtał przez szpary okiennic i powoli rozjaśnił bladym światłem całą alkowę.

Wtedy milady, widząc, że d'Artagnan zamierza odejść, przypomniała mu obietnicę pomszczenia jej i zabicia hrabiego de Wardes.

— Gotów jestem to uczynić — rzekł d'Artagnan — lecz chciałbym być jeszcze pewnym jednej rzeczy?

— Czego?... — zapytała milady.

— Czy mnie kochasz, najdroższa?...

— Zdaje się, że dałam ci dowody...

— O tak, należą też do ciebie duszą i ciałem!...

— Dziękuję, mój drogi i zacny kochanku!... lecz, jak ja dowiodłam ci miłości mojej, tak i ty mi swojej dowiedziesz, nieprawdaż?

— Z pewnością. Ale ponieważ kochasz mnie, jak sama powiadasz, czy nie boisz się o mnie choć trochę?

— Czegóżbym się miała bać?

— Wszak mogę zostać raniony niebezpiecznie, nawet zabity...

— Niepodobna — rzekła milady — tyś taki waleczny, władasz szpadą tak znakomicie.

— Czyż nie wolałabyś — ciągnął d'Artagnan — użyć innego sposobu zemsty, któryby uczynił spotkanie niepotrzebnym?

Milady patrzyła na kochanka w milczeniu: blade światło poranku nadawało jej oczom wyraz dziki i straszny.

— Widzę, że obecnie straciłeś już ochotę do walki — rzekła.

— Nie waham się wcale, lecz żałuję szczerze hrabiego de Wardes, odkąd wiem, że kochać go przestałaś... zdaje mi się, iż utrata miłości twojej jest karą dość okrutną, i nie potrzeba mu innej obmyślać...

— Kto ci powiedział, że go kochałam? — zapytała milady.

— Bez wielkiej zarozumiałości, mogę wierzyć, że kochasz obecnie innego, — powiedział młodzieniec tonem pieszczotliwym — a powtarzam ci, hrabia mnie bardzo interesuje.

— On ciebie obchodzi?

— Tak, mnie...

— A toż dlaczego znów?

— Bo ja jeden tylko wiem...

— Co wiesz?

— Że on biedny nie zawinił tak bardzo, jak go posądzasz i jak się może wydawać.

— Doprawdy! — zawołała milady niespokojnie — wytłumacz się, bo nie rozumiem wcale, co chcesz powiedzieć.

I patrzyła na d'Artagnana, który ją trzymał w objęciu, a w jasnych jej oczach migwały błyskawice.

— Jestem człowiekiem uczciwym — zaczął d'Artagnan, zdecydowany raz już skończyć — i odtąd miłość twoja do mnie należy i pewny jestem jej zupełnie... bo do mnie ona należy, wszak prawda?

— Cała, caluteńka!... ale mów dalej...

— Otóż szczęście mnie przekształciło zupełnie, wyznanie pewne mi ciąży.

— Wyznanie?...

— Gdybym wątpił o twojej miłości, nigdybym się nie ośmielił; lecz ty mnie kochasz, moja najpiękniejsza? kochasz, powtórz mi raz jeszcze?

— Ależ kocham, kocham!

— Gdybym przez zbytek uczucia zawinił względem ciebie, czybyś mi przebaczyła?

— Może!

D'Artagnan próbował z najśłodszym, na jaki mógł zdobyć się, uśmiechem, zbliżyć usta do ust milady, lecz go odepchnęła.

— Chcę usłyszeć wyznanie — rzekła, blednąc — muszę wiedzieć o wszystkim.

— Oznaczyłaś schadzkię hrabiemu de Wardes zaszłego czwartku w tym samym pokoju, nieprawdaż?

— Ja?... wcale nie — rzekła milady głosem obojętnym i, nie zmieniawszy się na twarzy, tak że gdyby d'Artagnan nie miał dowodów dotykanych, byłby się zachwiał w swoim przekonaniu.

— Nie kłam, śliczny aniołku — rzekł ze śmiechem, na nic się to nie przyda.

— Dlaczego? powiedz-że nakoniec, umieram z ciekawości!...

— O! uspokój się najdroższa, nie zawiniłaś względem mnie wcale, już ci przebaczyłem!

— Cóż dalej!

— De Wardes nie może się niczem pochwalić...

— Dlaczego? Opowiadałeś przecie o pierścionku...

— Ten pierścień, duszo moja, ja go posiadam. Hrabia de Wardes czwartkowy i d'Artagnan dzisiejszy są jedną i tą samą osobą.

Niebaczny, spodziewał się, iż po tem wyznaniu, nastąpi zdziwienie, pomieszanie i zawstydenie niejaki; następnie mały wybuch gniewu, zakończony łzami. Pomylił się bardzo i prędko się o tem przekonał.

Milady wyprostowała się blada i straszna i odepchnęła d'Artagnana gwałtownem uderzeniem w piersi.

Rozwidniło się już zupełnie.

D'Artagnan starał się powstrzymać ją i uchwycił ręką peniuar z cienkiego indyjskiego muślinu, błagając o przebaczenie; lecz ona wrywała się gwałtownie, chcąc od niego uciec.

Cienki muślin rozdarł się i obnażył ramiona milady... Na jednym z tych ramion, okrągłych i białych jak kość słoniowa, d'Artagnan, wzruszony niewymownie, spostrzegł i poznał kwiat lilji, oznakę niczem niezmasaną, wyciśniętą hańbiącą ręką kata.

— Wielki Boże! — wykrzyknął d'Artagnan, puszczając peniuar i martwiejąc prawie z przerażenia.

Dosyć tego było dla milady, czuła się zdradzona tym jednym wykrzyknikiem d'Artagnana. Zapewne zobaczy!...

— Ten człowiek zna obecnie jej tajemnicę!... tajemnicę straszliwą, o której nikt w świecie nie wie... oprócz *niego*.

Odwróciła się, już nie, jak kobieta zła wściekła, lecz, jak zraniona pantera.

— A! nędzniku!... — rzekła — zdradziłeś mnie nikczemnie, a teraz znasz moją tajemnicę! Więc umrzesz!

Pobiegła do szkatułki ozdobnej, stojącej na toalecie, otworzyła ją drżącą ręką, wyjęła sztylet w złotej oprawie, z ostrzem cienko zakończonem i jednym skokiem rzuciła się na d'Artagnana.

Pomimo znanej odwagi młodzieniec przeląkł się; przeląkł się twarzy zmienionej, oczu rozszerzonych okropnie, błądności śmiertelnej i ust, do krwi przygryzionych; cofnął się do ściany, jak gdyby ujrzał żmiję, pełzającą ku sobie... i ręką, zimnym potem oblaną, ujął za szpadę i z pochwy ją wyciągnął.

Milady, na nic nie zważając, darła się do niego i starała się ostrzem do gardła mu dostać, a szpadę wytrącić z ręki.

D'Artagnan do tego nie dopuścił i końcem szpady mierzył raz w oczy, to piersi kobiety, a zasłaniając się w ten sposób, cofał się ku drzwiom pokoiku Katty.

Milady przez ten czas rzucała się na niego, jak wściekła, rycząc ze złości straszliwie.

Wyglądało to na pojedynek, to też d'Artagnan odzyskiwał powoli krew zimną.

— Dobrze, piękna pani, doskonale! — mówił — lecz na Boga uspokój się, albo narysuję ci szpadą drugi kwiat lilji na pięknej twojej buzi...

— Podły! nikczemny! — syczała milady.

D'Artagnan, szukając ciągle drzwi, trzymał się odpornie.

Słyszając wrzawę i hałas, jaki czynili, on, przewracając meble, ona, aby się dostać do niego, on zasłaniając się przed nią temiż meblami, Katty drzwi otworzyła. D'Artagnan jednym skokiem wypadł z sypialni milady do pokoiku służącej, i, szybki jak błyskawica, zamknął drzwi za sobą, oparł się o nie całym ciężarem, a tymczasem Katty zasuwiała rygle i zapory.

Wtedy milady próbowała wyważyć drzwi, zamykające jej drogę, lecz okazało się to nad siły kobiety. Gdy się przekonała nareszcie, że nic nie poradzi, biła ostrzem sztyletu w drzewo, aż koniec jego na drugą stronę przechodził.

Uderzeniom towarzyszyły przekleństwa straszne...

— Prędziej, Katty, prędziej — rzekł d'Artagnan pół głosem, gdy już drzwi obwarowali — wyprowadź mnie z pałacu, bo, jeżeli zostawimy jej czas na opamiętanie, każe mnie zamordować lokajom.

— Nie możesz przecie wyjść — rzekła Katty — jesteś prawie bez ubrania...

— To prawda — odpowiedział, spostrzegłszy wtedy dopiero, w jakim się znajdował kostiumie, — to prawda; ubierz mnie, jak będziesz mogła, lecz śpieszmy się; czy pojmujesz, że tu idzie o życie!

Katty pojmowała aż nadto dobrze; odziała go też prędko w jakąś suknię kraciatą; wsadziła mu na głowę duży kapelusz z woalem i dała płaszcz szeroki; pantofle włożył na gołe nogi.

W takim stroju dobra dziewczyna pociągnęła go na schody. Czas już był wielki, milady bowiem na gwałt dzwoniła i rozbudziła całą służbę.

Odźwierny właśnie otworzył bramę i przepuścił d'Artagnana w chwili, gdy milady nawpół naga, krzyczała z okna:

— Nie otwierać bramy!

ROZDZIAŁ XI. UMUNDUROWANIE ATHOSA

Młodzieniec uciekał, a ona mu jeszcze wygrażała z otwartego okna. W chwili, gdy straciła go z oczu, padła zemdlona na podłogę. D'Artagnan był tak dalece wzburzony, że, nie troszcząc się i nie myśląc, jak Katty da sobie radę, przebył pół Paryża, biegnąc ciągle, i zatrzymał się dopiero u drzwi mieszkania Athosa.

Przebiegł podwórze, przeskoczył jednym tchem dwa piętra i pukał do drzwi Athosa, co sił starczyło.

Grimaud zbudzony przyszedł otworzyć, ledwie roszerzając oczy zaspane. D'Artagnan wpadł do przedpokoju tak raptownie, że o mało go nie przewrócił.

— Hola!... — zawołał — czego chcesz, głupia dziewczyno?

D'Artagnan odrzucił zasłonę i oswobodził ręce z pod płaszcza; na widok wąsów i gołej szpady, rozespany służący spostrzegł, że ma do czynienia z mężczyzną, i pewny był, że to być musi złodziej albo morderca.

— Na pomoc!... na pomoc!... ratujcie! — zaczął wrzeszczeć!

— Cicho bądź, potępieńcze! — rzekł młodzieniec — czyż mnie nie poznajesz?... Gdzie jest twój pan?

— Pan d'Artagnan!... czy podobna?

— Grimaud — odezwał się Athos, wychodząc z pokoju — Grimaud, zdaje mi się, mój chłopcze, że ośmielasz się rozmawiać.

— A! panie...

— Cicho!

Grimaud nie odważył się już ust otworzyć, wskazał tylko ręką d'Artagnana. Athos poznał towarzysza i, pomimo powagi swej, wybuchnął śmiechem szalonym, coudra-wiedliwiawo dziwaczne przebranie, na które patrzył: kapelusz przekrzywiony, spodnie, opadające na pięty, rękawy zakasane i wąsy, najeżone ze wzruszenia.

— Nie śmieję się, przyjacielu — zawołał d'Artagnan — przez Boga żywego, nie śmieję się, bo, klnę się na moją duszę i powtarzam, niema się z czego śmiać...

Mówił to uroczyście i ze zgrozą tak rzetelną, że Athos ujął go zaraz za rękę, wołając:

— Możeś ranny, przyjacielu drogi?... Jakiś ty blady!

— Nie, nie, lecz zdarzył mi się wypadek okrutny. Czy sam jesteś Athosie?

I d'Artagnan wpadł do pokoju Athosa.

— No, opowiadaj! — rzekł tenże, zamykając drzwi na klucz dla bezpieczeństwa: Król może nie żyje? albo zabiłeś kardynała? widzę, że jesteś strasznie pomieszany: mów, dusza mi zamiera z niepokoju.

— Athosie — rzekł d'Artagnan, zdejmując ubranie kobiece i zostawszy w jednej koszuli — Athosie, przygotuj się do usłyszenia historii nieprawdopodobnej, niesłychanej...

— Włóż najpierw ten szlafrok — rzekł pocziwy muszkieter przyjacielowi.

— Słucham cię teraz.

— Otóż — odpowiedział d'Artagnan, nachylając się do ucha Athosa i, głos zniżając — milady ma wypiętnowany *kwiat lilji* na ramieniu.

— O!... — jęknął Athos, jak rażony kulą w serce.

— Powiedz mi — ciągnął d'Artagnan — czyś pewny, że *tamta* nie żyje?

— *Tamta?* — powiedział Athos głuchym głosem, iż zaledwie go d'Artagnan usłyszał.

— Tak, ta, o której opowiadałeś mi niedawno w Amiens.

Athos westchnął głęboko i twarz w dłonie ukrył.

— Ta, o której mówię — kończył d'Artagnan — ma także dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu lat.

— Blondynka?

— Tak.

— Oczy jasno-niebieskie, dziwnie przejrzyste, rzęsy i brwi czarne?

— Tak.

— Wysoka, dobrze zbudowana. Brak jej zęba bocznego z lewej strony?

— Tak.

— Kwiat lilji mały, czerwony, trochę zatarty, jakby od przykładania maści?

— Tak.

— Mówisz jednak, że jest Angielką?...

— Nazywają ją, milady, lecz może przecie być francuzką. A lord Winter nie jest jej bratem rodzonym, tylko szwagrem.

— D'Artagnanie, muszę ją koniecznie zobaczyć!...

— Strzeż się, Athosie, strzeż się... chciałeś ją zabić kiedyś, pamiętaj, że zdolna ci zapłacić podobną monetą, tylko że ona nie chybi...

— Nie będzie śmiała, nie odezwie się, boby się zdradziła.

— Do wszystkiego jest zdolna!... Czy widziałeś ją kiedy w gniewie?

— Nie — odrzekł Athos.

— To dzikie zwierzę, tygrysica, pantera! Athosie, mój drogi! boję się, czy nie ściągałem na nas obydwóch nieszczęścia, czy nie rozdrażniłem, nie pobudziłem do zemsty tej kobiety okrutnej!

Opowiedział następnie wszystko: złość bezrozumną milady i jej pogroźki śmierci.

— Masz rację i, na mą duszę, widzę, że gra nie warta świeczki — rzekł Athos. — Szczęśliwie się zdarza, że pojutrze opuszczamy Paryż, idziemy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na Roszellę, a gdy wyruszymy w drogę...

— Pójdzie ona na koniec świata za tobą, Athosie, jeżeli cię tylko pozna; pozwól, przyjacielu, niech ja jeden będę ofiarą zemsty tej strasznej kobiety.

— O!... mój drogi!... co mnie obchodzi, że będzie godziła na moje życie — rzekł Athos — czy sądzisz, że mi tak bardzo chodzi o to marne istnienie?

— Przeczuwam straszną tajemnicę w tem wszystkim... Athosie! ta kobieta jest szpiegiem kardynała, to pewne!...

— Życzę ci zatem, ażebyś się pilnował bacznie. Kardynał może być zachwycony odwagą twoją i sprytem, z powodu sprawy londyńskiej; niemniej przeto nienawidzi cię za to, że ci się powiodło. Jawnie o nic cię nie może oskarżyć, a jednak chce wyrzucić zemstę, więc powtarzam ci raz jeszcze, miej się na baczności! Nie wychodź sam nigdy; jedząc, strzeż się trucizny; nie dowierzaj nikomu i niczemu, strzeż się własnego cienia.

— Całe szczęście — rzekł d'Artagnan — że trzeba tylko do pojutrze wieczorem chodzić po Paryżu, bo, gdy wyruszymy do armji, spodziewam się, że tam tylko z nieprzyjacielem ojczyzny będzie robota.

— Tymczasem — rzekł Athos — nigdzie cię samego nie puszcze; wracaj na ulicę Grabarzy, będę ci towarzyszył.

— Bardzo to wprawdzie blisko, lecz jakżeż ja pójdę tak, jak jestem ubrany?

— Masz słusność — rzekł Athos i zadzwonił.

Wszedł Grimaud. Athos pokazał mu na migi, aby poszedł do d'Artagnana i przyniósł ubranie.

— Ależ to wcale nie przyspiesza naszego umundurowania, kochany przyjacielu — rzekł Athos — albowiem, jeśli się nie mylę, zostawiłeś swoje ubranie u milady, która nie będzie na tyle uprzejma, aby ci je zwrócić. Szczęście całe, że posiadasz szafir w pierścionku.

— Szafir do ciebie należy, kochany Athosie, czyż nie mówiłeś, że to twój klejnot rodzinny?

— Tak, ojciec mój kupił go za dwa tysiące talarów, jak mi to sam opowiadał niegdyś. Dostałem go od matki, a ja, głupi szaleniec, zamiast zachować pierścień, jak relikwię świętą, podarowałem tej nędzniczy.

— Zatem mój drogi, odbierz ten pierścień, jako drogą pamiątkę.

— Ja miałbym wziąć ten pierścionek, który był w ręku podłej istoty!... nigdy; d'Artagnanie, słuchaj: pierścień ten jest skalany.

— Więc go sprzedaj.

— Sprzedać klejnot! pochodzący od matki! Przyznaję, że uważałbym to za świętokradztwo.

— No to go zastaw; pożyczą ci na niego, tysiąc talarów conajmniej. Z taką sumą dasz sobie radę w obecnej potrzebie; a później kiedy pierwsze pieniądze przyjdą, wykupisz z zastawu i wróci on do ciebie czysty, obmyty z plam przeszłych, ponieważ przejdzie przez ręce lichwiarzy.

— Jesteś nieocenionym towarzyszem — rzekł Athos — mój drogi, wesołością nieprzebraną podnosisz z upadku umysł, pogrążony w rozpacz. Dobrze, zastawmy ten pierścień, lecz pod jednym warunkiem.

— Pod jakim.

— Pięćset talarów będzie dla ciebie, pięćset dla mnie.

— Cóż ty sobie myślisz, Athosie, ja nie potrzebuję nawet czwartej części tej sumy, a sprzedawszy siodło, będę już ją posiadał. A przytem, zdaje się, nie pamiętasz, że i ja mam pierścionek kosztowny.

— Który daleko więcej cenisz, niż ja swój; przynajmniej tak mi się zdawało.

— Tak, masz słusność, ponieważ w okolicznościach nieprzewidzianych może on nas wybawić nie tylko z wszelkiego kłopotu, ale jeszcze i z wielkiego niebezpieczeństwa; to nie jest djament jedynie drogocenny, to zaczarowany talizman.

— Nic nie rozumiem, lecz wierzę temu, co mówisz. Wracając do pierścionka mojego a raczej do twojego, weźmiesz połowę sumy, którą nam dadzą, albo rzucę go na dno Sekwany, i wątpię bardzo, czy jak, Polikratesowi, zwróci go nam jaka grzeczna i usłużna rybka.

— Kiedy tak, to przyjmuję — rzekł d'Artagnan.

Grimaud powrócił w towarzystwie Plancheta, który, niespokojny o pana swojego i ciekawy ujrzeć, co mu się przytrafiło, skorzystał ze sposobności i sam osobiście przyniósł ubranie.

D'Artagnan odział się pośpiesznie, Athos uczynił tak samo. Gdy już obydwaj mieli wychodzić, zwrócił się do Grimauda z takim ruchem, jak człowiek, biorący kogo na cel. Grimaud w tej chwili zdjął muszkiet ze ściany i podążył za panem. Przybyli bez żadnego wypadku na ulicę Grabarzy. Bonacieux stał u progu i patrzył drwiąco na d'Artagnana.

— Ehe! kochany mój lokatorze! — odezwał się — śpiesz się prędej, masz teraz śliczną młodą dziewczynę, która czeka na ciebie, a kobiety, jak ci wiadomo, nie lubią, gdy im każą czekać.

— A! to Katty! — zawołał d'Artagnan i pobiegł coperdej do siebie.

Rzeczywiście, na schodkach, prowadzących do pokoju, siedziało biedne dziewczę, przytulone do drzwi, drżąc ze strachu. Skoro tylko go zobaczyła, zawołała:

— Obiecałeś mi opiekę, przyrzekłeś mnie obronić od jej gniewu; pamiętaj, że ty mnie zgubiłeś!

— Przysięgam i dotrzymam — odpowiedział d'Artagnan — bądź spokojna, moja Katty. Ale opowiedz no mi, co się tam działo po moim odejściu?

— Czyż to podobna opowiedzieć? — zaczęła Katty. — Na krzyki jej cała służba nadbiegła, pani pieniała się ze złości; jakie są na świecie przekleństwa i wymysły, wszystkie spadły na twoją głowę. Wtedy to przyszło mi na myśl, że przypomni sobie, jak przez mój pokój dostałeś się do jej sypialni i domyśli się, że jestem twoją współpracowniczką, zabrałam tedy trochę pieniędzy, jakie miałam, zabrałam co lepsze ubranie i uciekłam coprędzej.

— Biedne dziecię! Cóż ja ci poradzę? Ja sam wychodzę na wojnę pojutrze!

— Rób, co chcesz ze mną, wypraw mnie z Paryża, choćby nawet z Francji.

— Nie mogę cię przecie wziąć z sobą, idąc oblegać — Roszellę — rzekł d'Artagnan.

— Wiem o tem; lecz możesz umieścić mnie gdziekolwiek na prowincji, u jakiej znajomej damy: w swoich stronach rodzinnych, na przykład...

— O, moja droga! tam, gdzie ja się urodziłem, nie trzymają pokojowych, damy same się ubierają. Ale, poczekaj no, zdaje mi się, że poradzimy jakkolwiek. Planchet, ruszaj do pana Aramisa, proś go niech przyjdzie coprędzej. Powiedz, że mamy coś nader ważnego.

— Aha, rozumiem — rzekł Athos — dlaczego jednak nie pošlesz po Porthosa? możeby jego margrabina...

— Margrabina, protektorka Porthosa, każe się ubierać dependentom swego męża — odparł Athosowi ze śmiechem. — A przytem Katty nie chciałaby zamieszkać przy ulicy Niedźwiedziej, nieprawdaż, Katty?

— Wszystko mi jedno, pójdę dokąd tylko panowie chcecie — odparła Katty — gdziebym się mogła ukryć dobrze i nikt nie wiedział, gdzie jestem.

— Teraz, Katty, kiedy się rozłączymy i, ma się rozumieć, nie jesteś już o mnie zazdrosną...

— O, panie d'Artagnan, zbliśka czy zdaleka, będę cię zawsze kochała...

— Do wszystkich djabłów! z taką stałością — mruknął Athos.

— O! ja także, droga Katty — odezwał się d'Artagnan — nie przestanę cię nigdy kochać, bądź pewna. Lecz odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie, czy nie mówiono u was o młodej kobiecie, którą pewnej nocy porwano i która zniknęła bez wieści?

— Poczekaj pan... Lecz na Boga, panie rycerzu, czyżbyś jeszcze i tę kobietę kochał?

— Nie, nie, jeden z moich przyjaciół za nią przepada. Athos, którego tu widzisz.

— Ja?... — krzyknął Athos takim głosem, jak gdyby na jaszczurkę nadepnął.

— Ty, ty, nie zapieraj się — ciągnął d'Artagnan, ściskając go za rękę. — Wiesz dobrze, jak my wszyscy interesujemy się nieszczęśliwą panią Bonacieux. A Katty nas nie zdradzi: prawda, moja droga?... Trzeba ci wiedzieć, dziecko kochane, że to żona tego obrzydliwego koczkodana, którego spotkałeś przed domem, idąc do mnie.

— O, mój Boże — zawołała Katty — przypomniałeś mi pan mój przestach, czy on mnie aby nie poznał!

— Więc już widziałeś tego człowieka?

— Przychodził dwa razy do milady.

— To tak? i kiedyż był?

— Mniej więcej temu dwa tygodnie.

— Spodziewałem się tego.

— Wczoraj także przychodził.

— Wczoraj wieczorem?

— Tak, na chwilę przed przyjściem pana.

— Mój drogi Athosie, jesteście otoczeni szpiegami! Cóż, Katty, sądzisz, że cię poznał?

— Nasunęłam wprawdzie na twarz zasłonę, lecz może już przedtem mnie poznał.

— Proszę cię, Athosie, zjedź na dół, on cię najmniej z nas wszystkich podejrzewa i zobacz, czy stoi jeszcze przed drzwiami.

Athos wyszedł i powrócił zaraz.

— Niema go nigdzie, a dom zamknięty.

— Poszedł z raportem, poszedł donieść, że wszystkie ptaszki są obecnie razem w klatce.

— Ulotnijmy się zatem — rzekł Athos — Planchet zostanie i doniesie nam, co nastąpi.

— Chwilkę, przyjacielu. Posłaliśmy po Aramisa, trzeba zaczekać.

— Sprawiedliwie mówisz, czekajmy na Aramisa.

Właśnie Aramis wchodził.

Przedstawiono mu rzecz całą i wytłumaczono, że musi jaknajrychlej znaleźć miejsce dla Katty, u której z wielkich dam, z którymi się przyjaźnił.

Aramis zamyślił się i zaczerwienił okrutnie, a potem rzekł:

— Czy naprawdę zależy ci na tem, kochany d'Artagnanie?

— Będę ci wdzięczny do śmierci.

— Pani de Bois-Tracy zapytywała mnie przez swoją przyjaciółkę, mieszkającą na prowincji, czy wypadkiem nie mógłbym jej przysłać osoby, godnej zaufania, do usług jej osobistych. Otóż, kochany przyjacielu, jeżeli możesz zaręczyć, że ta oto panienka...

— O! panie — zawołał Katty — będę wdzięczną i poświęcę się całą na usługi osobie, która da mi możliwość opuszczenia Paryża.

— Skoro tak, kochana panienko — rzekł Aramis — to wszystko będzie dobrze.

Usiadł przy stoliku, napisał parę słów, zapieczętował pierścionkiem i oddał do rąk Katty.

— Obecnie, moje dziecko, — odezwał się d'Artagnan — wiesz, że równie dla nas, jak i dla ciebie, niebezpiecznie tutaj zostawać, zatem rozłączmy się... Znajdziemy się kiedyś w lepszych czasach.

— Gdziekolwiek i kiedykolwiek się spotkamy — rzekła Katty — zastaniesz mnie pan zawsze równie kochającą, jak obecnie.

— Przysięga gracza! — mruczał Athos, gdy d'Artagnan odprowadzał Katty na schody.

Niezadługo młodzi ludzie pożegnali się, przyrzekając zejść się o czwartej u Athosa, i zostawili Plancheta na straży mieszkania.

Aramis powrócił do siebie, Athos zaś i d'Artagnan zajęli się zastawianiem szafra.

Jak przewidział nasz gaskończyk, znaleziono z łatwością amatora, który pożyczył na pierścionek trzysta pistołów. W dodatku żyd, dający pieniądze nadmienił, że, gdyby zdecydowano się sprzedać klejnot, bardzo mu przypadający do gustu, jako odpowiadający drugiemu, posiadanemu przez niego, wyliczyłby na stół natychmiast pięćset pistołów.

Athos i d'Artagnan z ruchliwością ludzi wojskowych, a w dodatku, jako znawcy prawdziwi, w ciągu trzech godzin niespełna, zakupili wszystko, co było niezbędne do całkowitego umundurowania dla muszkietera. Przytem Athos był hojny, jak wielki pan do szpiku kości.

Muszkieter wynalazł pod wierzch okazałego konia andaluzyjskiego, czarnego, jak heban, o sierści lśniącej, nozdrzach rozdętych, z nóżką suchą i zgrabną, pełnego ognia i to sześciolatka zaledwie. Obejrzał go okiem znawcy i żadnej wady nie odkrył. Zaceniono mu tysiąc liwrów.

Athos odrachował na stół sto pistołów.

Grimaud dostał też konia, przysadzistego i wytrwałego pikardyjczyka, za którego zapłacono trzysta liwrów.

Po kupieniu siodła na tegoż konia i zbroi dla Grimauda, nie pozostało Athosowi ani szeląga ze stu pięćdziesięciu pistołów. D'Artagnan ofiarował przyjacielowi część sumy, jaka na niego przypadła, z zastrzeżeniem zwrotu, gdy będzie w możliwości oddania.

Athos za całą odpowiedź wzruszył ramionami.

— Ile to żyd dawał za szafir, chcąc go nabyć na własność?... — zapytał.

— Pięćset pistołów.

— To znaczy dwieście pistołów więcej; sto dla ciebie, sto dla mnie. Ależ to majątek, mój przyjacielu; idź prędzej do tego żyda.

— Jakto?... czyżbyś pragnął...

— Pierścionek ten stanowczo przypominałby mi nader smutne okoliczności; z drugiej strony, czyż będziemy kiedy w posiadaniu trzystu pistołów, aby go wykupić?... w ten sposób tracimy dwa tysiące liwrów. Idź, idź, kochany d'Artagnanie, powiedz mu, iż pierścionek do niego należy i powracaj z dwustu pistolami.

— Namyśl się jeszcze, Athosie...

— Trudno bardzo o gotówkę obecnie, trzeba się poświęcić. Idź, nie czekając, d'Artagnanie. Grimaud będzie ci towarzyszył wraz ze swoim muszkietem.

D'Artagnan powrócił w pół godziny z dwoma tysiącami liwrów, bez żadnego wypadku.

Takim zbiegiem okoliczności, Athos znalazł pod ręką potrzebne na wyekwipowanie pieniądze, których nie spodziewał się wcale.

ROZDZIAŁ XII. ZJAWISKO

O godzinie czwartej czterej przyjaciele zeszli się już u Athosa. Ogólne zakłopotanie i myśli o umundurowaniu pierzchy bezpowrotnie, fizjognomja każdego zachowała jedynie wyraz osobistych i tajemnych obaw i pragnień; niestety! tak zawsze bywa, szczęście chwili obecnej zaćmiewa niepewność przyszłości.

Niespodziewanie ukazał się Planchet, niosąc dwa listy z adresem d'Artagnana. Jeden z nich był to bilecik, elegancko złożony, formy podłużnej z ładną pieczętką zieloną, na której wyciśnięty był gołąbek, z gałązką oliwną w dziobku.

Drugi list był wielki, w kwadrat złożony i opatrzone przejmującymi trwogą pieczęciami jego eminencji księcia kardynała.

Na widok bileciku, d'Artagnan poczuł bicie serca, zdawało mu się, iż poznaje od kogo pochodzi; chociaż raz tylko widział to pismo, utkwiło mu jednak w pamięci głęboko.

Pochwyił małeńki liścik i rozpieczętował żywo; list zawierał co następuje:

„Przechadzaj się w przyszły czwartek od szóstej do siódmej wieczorem po drodze z Chaillot i zaglądam do wszystkich karet, przejeżdżających tamtędy; lecz, jeżeli dbasz o swoje życie i o życie tych, którzy cię kochają, nie mów nic, nie czyn najmniejszego poruszenia, któreby pozwalało przypuszczać, iż poznałeś tę, którą naraża się na wszystko, aby cię ujrzeć choć na chwilę.”

Podpisu nie było.

— To zasadzka... — rzekł Athos — nie idź tam, d'Artagnanie.

— A jednakże pewny jestem, że znam to pismo.

— Może być naśladowane — podjął Athos — między szóstą a siódmą wieczorem droga z Chaillot jest najzupełniej pusta: zarówno bezpiecznie byłoby iść na spacer do lasu Bondy.

— A gdybyśmy poszli wszyscy!... — rzekł d'Artagnan — cóż u diabła, tożby nas nie pożarto wszystkich czterech, a do tego czterech lokajów, konie i broń.

— Będzie to dobra sposobność pokazania się w pełnym rynsztunku dodał Porthos.

— Jeżeli to pisze kobieta — odezwał się Aramis — i jeżeli pragnie być widziana przez ciebie jedynie, pomyśl, d'Artagnanie, iż ją kompromitujesz, sprowadzając nas wszystkich, a to niegodne prawdziwego szlachcica.

— Zostaniemy w tyle — rzekł Porthos — on sam zbliży się jedynie.

— Tak, ale strzał z pistoletu może paść z karety bardzo łatwo.

— Ba!... — odparł d'Artagnan — mam nadzieję, że mnie nie trafi. Wreszcie obstać pimy karete i zglądzimy ze świata w niej się znajdujących. Zawsze to nieźle, gdy mniej o kilku nieprzyjaciół prześladować nas będzie.

— Ma słuszność — rzekł Porthos — wojna to najmiłsza rzecz; trzeba przecie wypróbować broń naszą.

— O tak, zróbmy sobie tę małą uciechę — dodał Aramis tonem słodkim i niedbałym.

— Jak wam się podoba — rzekł Athos.

— Panowie — mówił d'Artagnan — jest już wpół do piątej, zaledwie wystarcza nam czas do stawienia się na drodze z Chaillot.

— A nadto, gdy zapóźno wyruszymy — dodał Porthos — nikt nas nie zobaczy, a to byłaby wielka szkoda. Dalej, panowie, szykujmy się co rychlej.

— Zapomniałeś o drugim liście — odezwał się Athos — zdaje mi się jednak, że pieczęcie wskazują jego ważność i wart przeczytania; co do mnie, oświadczam ci, kochany d'Artagnanie, że on mnie daleko więcej zajmuje, niż ten mały bilecik, któryś tak czule schował w okolicy serca.

D'Artagnan zaczerwienił się i odpowiedział:

— Zobaczmy tedy, moi panowie, czego chce odemnie jego eminencja.

Rozpieczętował list i czytał:

„Pan d'Artagnan z gwardji królewskiej, z kompanji Des Essarts, ma się stawić w pałacu Kardynalskim dziś wieczorem o godzinie ósmej.

La Hondinierie

Kapitan gwardji”

— Do diabła!... — rzekł Athos — otóż mamy rendez-vous w zupełnie innym rodzaju, niemniej przeto niepokojące.

— Udam się na drugie, powracając z pierwszego — odezwał się d'Artagnan — jedno jest na siódmą, drugie na ósmą; będzie czas na wszystko.

— Hm! jaby nie poszedł — wtrącił Aramis — dobrze wychowany kawaler nie może chybić rendez-vous, oznaczonego przez damę; lecz szlachcic przezorny może wytłumaczyć się z niestawienia na rozkaz Jego eminencji, nadewszystko, gdy ma powody przypuszczając, że nie o komplementa chodzi.

— Podzielim zdanie Aramisa — rzekł Porthos.

— Panowie — odparł d'Artagnan — odebrałem już raz przez pana de Cavois podobne zaproszenie od jego eminencji; nie stawilem się, a nazajutrz spotkało mnie straszne nieszczęście! Moja Konstancja znikła; niech się teraz, co chce, stanie, pójdę.

— Jeżeliś tak postanowił — rzekł Athos — to rób, jak ci się zdaje.

— A Bastylja?... — wtrącił Aramis.

— Ba!... nie boję się i stamtąd mnie wydostaniecie — odrzekł d'Artagnan.

— Bezwątpienia — odezwali się Aramis i Porthos z zadziwiającą siebie pewnością, jak gdyby to była rzecz prosta zupełnie — bezwątpienia wydostaniem cię; lecz tymczasem, ponieważ wyruszamy w pole pojutrze, lepiejbyś uczynił, nie narażając się na Bastylję.

— Ja wiem, jak się urządzimy — rzekł Athos — nie odstąpimy go ani na chwilę przez cały wieczór. Przy każdej bramie pałacu kardynalskiego będzie czekał jeden z nas wraz z trzema muszkietierami; gdy zobaczymy powóz zamknięty, ze spuszczonej firankami, o podejrzanym wyglądzie, wyjeżdżający z bramy, wpadniemy na niego niespodzianie: dawno już nie mieliśmy sposobności zajrzeć w oczy straży kardynalskiej, a pan de Tréville słusznie mógłby sądzić, że w nas zamarł duch wojowniczy.

— Stanowczo, Athosie — rzekł Aramis — byleś stworzony na dowódcę armji; jak wam się ten plan podoba?

— Zachwycający! pyszny!... — powtórzyli chórem młodzi ludzie.

— Zatem — mówił Porthos — biegnę do koszar uprzedzić towarzyszy, aby byli gotowi na ósmą wieczorem. Punkt zebrania na placu przed pałacem kardynalskim; a wy, panowie, przez ten czas, każcie pacholkom wierzchowce posiadłać.

— Lecz ja konia nie posiadam — odezwał się d'Artagnan — wezmę chyba od pana de Tréville.

— Nie potrzeba — rzekł Aramis — weźmiesz jednego z moich.

— Ileż ty ich więc masz?... — zapytał d'Artagnan.

— Trzy tylko, — odpowiedział Aramis z uśmiechem.

— Mój drogi — rzekł Athos — jesteś z największą pewnością poetą najlepiej uposażonym w całym królestwie Francji i Nawarry.

— Ale, mój drogi Aramisie, co będziesz robił z trzema wierzchowcami? nie pojmuję nawet, jak mogłeś aż trzy kupować?

— Nie kupowałem bynajmniej; trzeciego przyprowadził mi dziś rano służący bez liberji i nie chciał powiedzieć, do kogo należy, utrzymywał, iż dostał rozkaz od swojego pana...

— Albo od pani swojej — przerwał d'Artagnan.

— To wszystko jedno — ciągnął Aramis, czerwieniąc się.

— Tylko poetom zdarzają się podobne wypadki — dodał Athos poważnie.

— W takim razie porozumiejmy się, — rzekł d'Artagnan — na którym z dwóch wierzchowców będziesz jeździł, na kupionym przez siebie, czy na darowanym?

— Na przyprowadzonym dzisiaj, ma się rozumieć; pojmujesz, d'Artagnanie, iż nie mogę ubliżyć w ten sposób...

— Nieznanemu ofiarodawcy — podjął d'Artagnan.

— Lub tajemniczej protektorce — dodał Athos.

— Więc ci już niepotrzebny ten, którego kupiłeś?

— Prawie.

— Sam go wybrałeś?

— Z największą ostrożnością, gdyż bezpieczeństwo jeźdźca, jak wiesz o tem dobrze, zależy prawie zawsze od konia!

— Proszę cię, odstąp mi tego wierzchowca za cenę, jaką dałeś za niego!

— Chciałem ci go właśnie ofiarować, kochany d'Artagnanie, zostawiając swobodę zapłacenia mi tej bagatelki, kiedy ci się spodoba.
— Więc ileż kosztuje?
— Osiemset liwrów.
— Oto masz czterdzieści podwójnych pistolów, kochany przyjacielu — rzekł d'Artagnan, wyjmując złoto z kieszeni — wiem, że taką monetą płacą ci za twoje poematy.
— Jesteś, jak widzę, kapitalistą?
— Ależ tak mój drogi, kapitalistą, co się zowie.
I d'Artagnan brząknął resztą pistolów w kieszeni.
— Przyślij siodło do koszar muszkieterskich, a przyprowadzą ci konia razem z naszymi.
— Bardzo dobrze; ale oto piąta godzina niedługo, spieszmy się...

W kwadrans potem Porthos ukazał się na rogu ulicy Feron, na bardzo pięknym rumaku; Mousqueton jechał za nim na koniu owerniackim, małym, lecz także bardzo ładnym; Porthos jaśniał radością i dumą.

W tym samym czasie Aramis zjawił się z drugiej strony ulicy; dosiadał przepysznego bieguna angielskiego; Bazin dążył za nim na koniu rueńskim, trzymając za uzdę silnego meklemburczyka: był to wierzchowiec d'Artagnana.

Dwaj muszkietierowie spotkali się w bramie; Athos i d'Artagnan wyglądali oknem.

— A, do diabła! rzekł Aramis — pysznego masz konia, Porthosie.

— Tak — odparł Porthos — ten sam, którego miano mi przysłać odrazu; złośliwy figiel męża podstawił innego; ukarałem go też należycie i otrzymałem zadośćuczynienie.

Planchet i Grimaud stawili się także, prowadząc wierzchowce dla swoich panów; d'Artagnan i Athos zeszli na dół, siedli na koń, uszykowali się rzędem z przyjaciółmi i w takim porządku puścili się w drogę; Athos na koniu, którego zawdzięczał swej żonie, Aramis na wierzchowcu, podarowanym przez kochankę; Porthos na koniu zarobionym od notariuszowej, i d'Artagnan na koniu, którego mu zesłała jego szczęśliwa gwiazda, najlepsza kochanka, jaka być może. Pacholkiwie jechali tuż za nimi.

Przepowiednia Porthosa spełniła się, kawalkada sprawiała efekt znakomity; gdyby pani Coquenard znalazła się na drodze Porthosa i mogła była widzieć, jak wspaniałą miał minę na pysznym ogierze hiszpańskim, byłaby nie żałowała z pewnością talarów, wyciągniętych ze szkatuły męzowskiej.

Niedaleko Luwru przyjaciele nasi spotkali pana de Tréville, powracającego z Saint-Germain; zatrzymał ich i winszował pięknego umundurowania, świetnej zbroi i postawy marsowej, co w mgnieniu oka zgromadziło dokoła nich setki ciekawych.

D'Artagnan, korzystając ze sposobności, opowiedział panu de Tréville o liście z wielą pieczęcią i herbami książęcimi, rozumie się, że o małym bileciku ani pisał.

Pan de Tréville pochwalił zamiar, który powziął d'Artagnan i przyrzekł solennie, że, gdyby nazajutrz nie pokazał się, potrafi go odnaleźć, gdziekolwiekby się znajdował.

Zegar na wieży Samarytańskiej wydzwonił szóstą; przyjaciele przeprosili pana de Tréville, tłumacząc się umówioną schadzką, pożegnali i ruszyli w swoją stronę.

Wyciągniętym galopem dopadli drogi z Chaillot. Mrok zapadał, karety przejeżdżały w tę i w ową stronę; d'Artagnan, strzeżony zdala przez przyjaciół, zapuszczał wzrok w głąb powozów i nie mógł dojrzeć żadnej twarzy znajomej.

Nakoniec po kwadransie oczekiwania, gdy zmierzchno się zupełnie, ukazał się powóz, pędzący cwałem drogą do Sèvres; d'Artagnan przeczuł, że w tym powozie musi być osoba, która mu schadzkę wyznaczyła: młodzieniec nie mógł powstrzymać gwałtownego bicia serca... Prawie w tej chwili główka kobieca wyjrzała oknem karety, z paluszkami na ustach, jak gdyby nakazując milczenie lub przesyłając pocałunek; d'Artagnanowi wydarł się z piersi cichy okrzyk radości; tą kobietą, a raczej zjawiskiem, jako że kareta przemknęła z szybkością błyskawicy, była pani Bonacieux.

Nie panując nad sobą i niepomny przestrogi, przesłanej w liście, d'Artagnan spiął konia ostrogami i w kilku susach zrównał się z karecą; lecz okno zamknięto, frankę spuszczone, zjawisko znikło bezpowrotnie!

Wtedy d'Artagnan wspomniawszy słowa listu: „Jeżeli dbasz i życie własne i tych, co się kochają, udawaj, że nic nie widzisz, że nie poznajesz nikogo”.

Zatrzymał się więc, z obawy nie o siebie, lecz o nieszczęśliwą kobietę, która widocznie naraziła się na okrutne niebezpieczeństwo, wyznaczając mu to spotkanie.

Powóz oddalał się ciągle, pędząc co koń wyskoczy; wjechał do Paryża i przepadł bez śladu.

D'Artagnan stał na miejscu, jak przykuty, nie wiedząc, co myśleć, co począć... Jeżeli to była pani Bonacieux i jeżeli powracała do Paryża, dlaczego to widzenie przelotne, zamiana jedynie spojrzenia i pocałunku w powietrzu? Z drugiej strony, jeżeli to nie ona, co bardzo być mogło, ponieważ o zmroku łatwo się pomylić, więc jeżeli to nie pani Bonacieux, czyżby to miał być początek zemsty tej ręki, przeciw niemu uzbrojonej, wyzyskującej wpływ kobiety, o której wiedziano, iż była mu drogą nad wszystko?

Trzej towarzysze podjechali do niego. Wszyscy oni widzieli doskonale główkę kobiety, wyglądającą z okna powozu, lecz oprócz Athosa żaden z nich nie znał pani Bonacieux. Zdaniem jego była to ona sama, lecz mniej nią zajęty, widział też głowę mężczyzny, ukrytego w głębi.

— Jeżeli jest tak, jak mówisz — odezwał się d'Artagnan — to bezwątpienia przewożą ją z jednego więzienia, aby osadzić w innym. Czego oni chcą od tej istoty nieszczęśliwej, w jaki sposób będą mógł ją kiedykolwiek odnaleźć?

— Przyjacielu — rzekł Athos poważnie — pamiętaj, iż tylko z nieboszczykami nie można się spotkać na tej ziemi. Wiesz to również dobrze, jak ja, wszak, prawda? Jeżeli twoja ukochana nie umarła i jeżeli to ją widzieliśmy obecnie, przyjdzie dzień, w którym ją spotkasz. A może nawet, Bóg to raczy wiedzieć — dodał — może nawet prędzej, niżbyś pragnął...

Pół do ósmej wybiło; powóz zatem spóźnił się o dwadzieścia minut na oznaczone spotkanie.

Przyjaciele d'Artagnana przypomnieli mu o wizycie w pałacu kardynalskim, nadmieniając wszakże, że ma czas jeszcze cofnąć postanowienie.

Lecz d'Artagnan, uparty i ciekawy, nabił sobie głowę tą wizytą i pragnął usłyszeć, co powie Jego eminencja. Nic nie mogło skłonić go do zmiany raz powziętego zamiaru. Przybyli na ulicę Św. Honorego, na placu przed pałacem kardynalskim zastali dwunastu muszkietarów, spacerujących w oczekiwaniu na towarzyszy.

D'Artagnan był znany i miał dobrą opinię w prześwietnej kompanii muszkietarów królewskich, wiedziano bowiem, że przyjdzie czas, w którym zajmie w niej miejsce zaszczytne; traktowano go też, jako kolegę. Dlatego muszkietarowie stawili się z ochotą na wezwanie, a że w dodatku chodziło według wszelkiego prawdopodobieństwa o wypłatanie złośliwego figla panu kardynałowi i jego zausznikom, ochoczo brali udział w tej wyprawie.

Athos podzielił ich na trzy oddziały; sam stanął na czele jednego, drugi oddał pod komendę Aramisowi, a trzeci zlecił Porthosowi. Następnie każdy z oddziałów umieścił się na czatach, naprzeciw trzech bram pałacowych. D'Artagnan zaś wszedł śmiało przez bramę główną.

Jakkolwiek czuł plecy silne poza sobą, młodzieniec nie mógł się pozbyć pewnej obawy, gdy wchodził wolno na wielkie schody pałacowe. Postępek jego z milady wyglądał trochę na zdradę, a pewny był, że istnieją związki tajemne i polityczne pomiędzy tą kobietą a kardynałem; w dodatku de Wardes, któremu tak się przysłużył, był wiernym stronnikiem Jego eminencji. D'Artagnan wiedział, jak zresztą wszyscy, że kardynał, o ile był straszny dla swoich wrogów, o tyle bardzo przywiązany był i łaskaw dla przyjaciół.

— Jeżeli de Wardes opowiedział kardynałowi całe zdarzenie, o czym nie można wątpić, i w dodatku poznał mnie, co jest bardzo prawdopodobne, mogę się uważać za człowieka z góry potępionego — myślał d'Artagnan, kiwając głową. — Lecz dlaczego czekał aż do dnia dzisiejszego? Ha! to bardzo proste... milady przedstawiłaskargę z minką świętoszki, z którą jej tak do twarzy, iż niepodobna się oprzeć... a mój ostatni postępek przepelnił czarę cierpliwości kardynała...

Szczęśliwie się stało, że zacni moi przyjaciele czekają na dole, i nie pozwolą uprowadzić mnie bezkarnie. Jednakże pułk muszkietarów pana de Tréville nie może sam jeden wojować z kardynałem, który rozporządza siłami Francji całej i wobec którego królowa nawet jest bez znaczenia, a król nie ma własnej woli... D'Artagnanie, mój przyjacielu, je-

steś waleczny, przezorny, pełen przymiotów doskonałych, lecz z tem wszystkim zginesz marnie przez kobiety. Z tym smutnym wyrokiem wszedł do przedpokoju, oddał pismo oficerowi służbowemu, który go wpuścił do sali poczekalnej, a sam udał się do dalszych apartamentów pałacowych.

W sali tej znajdowało się pięciu czy sześciu ludzi ze straży pana kardynała, którzy poznawszy d'Artagnana i wiedząc, że to on porąbał Jussaca, patrzyli na niego z ukosa i uśmiechali się złowroźnie. Uśmiechy te wydały się d'Artagnanowi złą przepowiednią; ponieważ jednak gaskończyk nasz niełatwo dawał się nastraszyć, a raczej dzięki dumie i zarozumiałości, właściwej ludziom pochodzącym z tej prowincji, ukrywał, co miał w duszy, zwłaszcza, gdy tam było nieco trwogi, wyprostował się więc wyzywająco przed panami gwardzistami, wsparł ręką na biodrze i oczekiwał wezwania w postawie, pełnej powagi i godności.

Oficer służbowy powrócił i skinął na d'Artagnana, aby szedł za nim. Młodzieniec spostrzegł, że gwardziści, widząc go odchodzącego, szeptali coś pomiędzy sobą i kiwali głowami. Przeszedł korytarz, wielki salon i znalazł się w bibliotece, w której mężczyzna jakiś pisał przy biurku.

Oficer wprowadził go i odszedł, nie wyrzekłszy słowa.

D'Artagnan stał i przypatrywał się piszącemu. Sądził, że ma do czynienia z sędzią jakimś lub prawnikiem, przeglądającym akta sądowe; przekonał się jednak, że mężczyzna przy biurku nie pisał wcale, lecz poprawiał wiersze nierównej długości, skandując słowa na palcach; poznał tedy, że stoi wobec poety. Po niedługiej chwili poeta zamknął rękopis, na którego okładce wypisane było: *Mira, tragedia w pięciu aktach*, i podniósł głowę.

Wtedy poznał d'Artagnan, że to kardynał.

ROZDZIAŁ XIII. ODMOWA

Kardynał wsparł łokieć na rękopisie, twarz na rękę i patrzył przez chwilę na młodzieńca.

Nikt nie posiadał równie badawczego i głębokiego spojrzenia, jak kardynał de Richelieu, i d'Artagnan czuł się nawskroś przeniknięty tym wzrokiem.

Nie pokazywał tego jednak po sobie, trzymał kapelusz w ręce i czekał, aż Jego Eminencja przemówi raczy, a postawa jego nie wyrażała ani dumy, ani zbytej uniżoności.

— Panie — odezwał się kardynał — czy jesteś z tych d'Artagnanów, którzy pochodzą z Béarn?

— Tak, Wasza wielbność — odparł młodzieniec.

— Jest kilkanaście rodzin, noszących to nazwisko, w Tarbes i okolicach; do której z nich należysz?

— Jestem synem tego, który brał udział w wojnach religijnych wraz z wielkim królem Henrykiem, ojcem obecnie nam panującego monarchy.

— Tak, tak, to ten sam... To pan wyruszyłeś przed ośmiu miesiącami ze swoich stron rodzinnych, aby szukać szczęścia w stolicy?...

— Tak, Eminencjo.

— Przybyłeś przez Meung, gdzie cię spokała jakaś nieprzyjemność; nie wiem, co takiego, lecz zawsze coś tam było.

— Eminencjo! — rzekł d'Artagnan — oto co mi się przytrafiło...

— Niepotrzeba, niepotrzeba... — przerwał kardynał z uśmiechem, dającym do zrozumienia, iż zna równie dobrze całe zdarzenie, jak ten, co chciał je opowiadać, — byłeś polecony panu de Tréville, wszak prawda?...

— Tak, Eminencjo; lecz właśnie w tej niefortunnej sprawie w Meung...

— List ci zaginął — podjął kardynał — tak, wiem o tem; lecz pan de Tréville jest znakomitym fizjonomistą i ocenia ludzi z pierwszego wejrzenia, a wskutek tej oceny umieścił pana w pułku szwagra swojego, pana Des Essarts, pozwalając ci się spodziewać, iż niedługo wstąpisz do muszkietierów.

— Wasza Eminencja jest doskonale powiadomiony — rzekł d'Artagnan.

— Od owego czasu miałeś przeróżne zdarzenia: przechadzałeś się poza zabudowaniami Chatreux w dniu, kiedy byłoby stokroć lepiej, abyś się tam nie znajdował; następnie wraz z przyjaciółmi odbyłeś podróż do wód w Forges; towarzysze zostali po drodze, pan pojechałeś dalej. Nic dziwnego, ważne sprawy powoływały cię do Anglii...

— Eminencjo! — rzekł d'Artagnan zmieszany — jeździłem...

— Na polowanie do Windsoru, czy dokądindziej, nikomu nic do tego... Ja wiem wszystko, mój panie, bo powinienem wiedzieć. Po powrocie przywołany zostałeś przed oblicze znakomitej osoby i miło mi wiedzieć, że zachowujesz pamiątkę, jaką ci dała...

D'Artagnan dotknął ręką djamentu, który dostał od królowej, i odwrócił go szybko; zapóźno jednak.

— Nazajutrz odwiedził cię pan Cavors — ciągnął dalej kardynał — i prosił pana, abys przyszedł do mojego pałacu, nie posłuchałeś go i bardzo źle zrobiłeś...

— Eminencjo, obawiałem się... zdawało mi się, że zasłużył na niełaskę Waszej wielbności.

— A to za co, mój panie?... za to, żeś słuchał rozkazu przełożonych i wypełnił go ze sprytem i odwagą, na jaką możeby się nie zdobył nikt inny na twojem miejscu? zasłużyć miałeś na moją niełaskę, gdy jesteś pochwałą jedynie godzien!... Ja tylko nieposłusznych karzę, a nie takich, jak pan, co słuchają... zanadto nawet słuchają... A na dowód, wspomnij datę dnia, w którym wzywałem ciebie, i poszukaj w pamięci, co nastąpiło zaraz wieczorem...

— Tak, prawda, przypominam sobie, tego wieczora właśnie uwieziono panią Bonacieux. — D'Artagnan zdrzął; przyszło mu na pamięć, że przed pół godziną nieszczęśliwa kobieta była blisko niego, przemknęła, jak widmo, gnane z miejsca na miejsce przez tego samego człowieka, wszechmogącego.

— Nakoniec — prawil dalej kardynał — ponieważ nie slyszalem nic o panu od niejakego czasu, zapragnalem wiedziec, co porabiasz. Nadto nalezy mi sie niejaka wdziecznosc od pana; zauwazyles pewnie, jak we wszystkich okolicznosciach miano wzglad dla ciebie...

D'Artagnan uklonil sie z uszanowaniem.

— Otóz — mowil dalej kardynał — nie pochodzilo to jedynie z poczucia naturalnego slusznosci, lecz jeszcze z powodu planu, jaki nakreslilem sobie co do pana...

D'Artagnan, sluchajac, nie mogl wyjsc z podziwienia.

— Chcialem przedstawic ci plan mój tego wlasnie dnia, w którym po raz pierwszy wzywałem pana; nie stawiles sie, jak wiesz... Masz szczescie, że przez opóznienie nic nie tracisz, bo dziś dowiesz sie o wszystkim. Usiadz pan, proszę, tu przedemną, panie d'Artagnan; zanadto dobrym jesteś szlachcicem, aby sluchac, stojac...

Kardynał wskazal mlodziencowi krzeslo, a ten tak byl zdumiony tem, có nastapilo, że, aby usiadc, czekal znaku drugiego.

— Jesteś odważny, panie d'Artagnan — ciągnął kardynał — a co więcej, jesteś przeczorny. Lubię ludzi z głową i sercem; nie przerażaj się — mowil z usmiechem — ludźmi z sercem nazywam odważnych, nieustraszonych; lecz uważaj, co powiem: pan, chociaż mlody i zaledwie w świat wchodzący, masz już potężnych nieprzyjaciół: jeżeli strzec się nie będziesz, zgubią cię napewno!...

— Niestety! Eminencjo — odparł mlodzienc — przyjdzie im to z łatwością, albowiem silni są i liczni, gdy ja sam tylko jeden!

— Tak, to prawda; lecz chociaż sam jesteś, dokonałeś już wiele i dokażesz więcej, nie wątpię o tem... Jednakże sądzę, że potrzebujesz przewodnika w karjerze awanturniczej, jaką sobie obrałeś, bo, jeżeli się nie mylę, przybyłeś do Paryża, powodowany zuchwałą myślą zrobienia majątku?

— Jestem w wieku szalonych nadziei, Eminencjo — rzekł d'Artagnan.

— Szalone nadzieje są tylko dla głupców, a ty, mój panie, masz głowę nie dla proporcji. Cóżbyś powiedział na przykład o stopniu chorążego w gwardji mojej, a po kampanji o dowództwie pułku?...

— O!... Eminencjo!

— Przyjmujesz, wszak prawda?

— To jest... Eminencjo... — bakał d'Artagnan, pomieszany.

— Jakto! odmawiasz?... — zawolał zdziwiony kardynał.

— Służę w gwardji Jego Królewskiej Mości, Eminencjo, i nie mam powodu być niezadowolonym.

— Zdaje mi się — mowil kardynał — iż gwardja moja jest także gwardją królewską, i że kto tylko służy w armji francuskiej, przez to samo służy królowi.

— Wasza Eminencja źle pojął moje słowa.

— Pragniesz znaleźć powód, wszak prawda? Otóż jest: awans, kampanja, jaka się zapowiada, sposobność, jaką ci podaję, i masz już tłumaczenie przed światem; a dla ciebie samego — konieczność protekcji silnej i pewnej; albowiem potrzeba, abyś wiedział, mości d'Artagnanie, że ciężkie skargi na ciebie doszły uszu moich, wiem, iż nie wszystek czas twój w dzień a także i w nocy poświęcasz służbie króla...

D'Artagnan milczał; zaczerwienił się tylko okropnie.

— W dodatku — ciągnął kardynał, kładąc rękę na plice papierów — czytałem właśnie sprawozdanie, tyżące się pana, lecz, przed ukończeniem, zapragnąłem pomówić z tobą. Wiem, iż jesteś odważny i zdecydowany na wszystko, a postępowanie twoje, pod dobrym kierunkiem, zamiast cię na złą sprowadzić drogę, może ci zapewnić przyszłość świetną. Zastanów się tedy dobrze i zdecyduj się od razu.

— Dobroć Waszej Eminencji przejmuję mnie wdzięcznością głęboką, a poznając wielkość duszy jego, czuję się, jak robak, pełzający po ziemi; lecz ponieważ Wasza łaskawość pozwala mi mówić otwarcie...

Tu się zatrzymał.

— Tak, proszę i pozwalam, mów szczerze...

— A więc powiem Waszej Eminencji, że wszyscy moi przyjaciele służą w muszkietarach i w gwardji królewskiej, nieprzyjaciele zaś, jakimś fatalnym trafem, znajdują się w służbie Waszej Eminencji; byłbym zatem źle przyjęty przez jednych i niedobrze widziany przez drugich, gdy bym przyjął to, co mi ofiarowują tak łaskawie.

— Czyżbyś uważał, iż zamało ci daję według wartości twojej, mój panie? — rzekł kardynał pogardliwie.

— Przeciwnie!... Wasza wielebność jest stokroć lepszy dla mnie, niż zasłużyłem. Idziemy obiegać Roszellę, tam będę walczył pod okiem Waszej Eminencji, i jeżeli będę miał szczęście sprawić się w sposób, który zwróci Jego uwagę, to po wojnie będę przynajmniej posiadał jakieś prawo do łaski, co zarazem usprawiedliwi odznaczenie, jakim obecnie chce mnie Wasza Eminencja zaszczyścić. Wszystko powinno mieć swój czas: może później zdobędę prawo oddania się sam na usługi, gdy dzisiaj wyglądałoby, jak gdybym się sprzedał.

— To znaczy, że nie chcesz mi służyć, mój panie — rzekł kardynał tonem oburzonem, w którym jednak czuć było szacunek — zostań więc wolny i zachowaj swoją nienawiść i sympatje...

— Eminencjo!...

— Dobrze, dobrze — przerwał kardynał — nie mam żalu do pana; pojmujesz jednak, że dość sprawia kłopotu bronienie swoich przyjaciół i wynagradzanie ich... jednak dam ci pożyteczną radę: strzeż się i myśl o sobie, panie d'Artagnan, albowiem z chwilą, gdy wypuszczę cię z pod mojej opieki, życie twoje szeląga nie będzie warte.

— Będę baczny, Eminencjo — odparł gaskończyk z dumną pewnością siebie.

— Pamiętaj zaś w chwili nieszczęścia — rzekł Richelieu z dziwnym akcentem — że to ja sam ciebie szukałem i że robiłem, co było w mojej mocy, aby cię to nieszczęście ominęło.

— Cobądź się stanie — rzekł d'Artagnan, kładąc rękę na piersiach i kłaniając się — będę wdzięcznym do śmierci Waszej Eminencji za to, co obecnie dla mnie raczył uczynić.

— Zatem, jak już powiedziałem, panie d'Artagnan, zobaczmy się po skończonej kampanji; będę cię miał na oku, bo i ja się tam udaję — ciągnął kardynał, wskazując ręką pyszną zbroję, którą przywdziać zamierzał — a po powrocie porachujemy się!...

— A! Eminencjo! — zawołał d'Artagnan — oszczędź mi swojej nielaski; pozostan bierny, jeżeli raczysz uznać, iż postępuję obecnie, jak uczciwy człowiek.

— Młodzieńcze — rzekł Richelieu — jeżeli będę mógł raz jeszcze powtórzyć to, co dziś słyszałeś, przyrzekam, że ci to powiem.

Ostatnie słowa kardynała wyrażały okrutną wątpliwość; przeraziły też d'Artagnana więcej, niż groźba, bo były niejako przestrogą. Kardynał widocznie starał się uchronić go od grożącego niebezpieczeństwa... Otworzył usta, chciał odpowiedzieć, lecz Richelieu skinął ręką wyniośle i pożegnał.

D'Artagnan wyszedł; lecz na progu zachwiał się i mało brakowało, ażeby się nie cofnął. Wspomniał jednak poważną postać Athosa; gdyby się związał z kardynałem, gdyby przyjął, co mu proponował, Athos rękiby mu nie podał... nie chciałby znać go więcej.

Ta obawa jedynie powstrzymała go; taki to jest wpływ rzetelnie wielkiego charakteru na otaczających.

Młodzieniec wyszedł temi samymi schodami, które przebył przed godziną; zastał przed bramą Athosa i czterech oczekujących na niego muszkietierów, bardzo już zniecierpliwionych.

Uspokoił ich paru słowami, a Planchet pobiegł donieść innym posterunkom, że nie potrzebują pilnować dłużej, ponieważ d'Artagnan zdrów i cały wyszedł z pałacu Kardynańskiego.

Gdy już znaleźli się u siebie, Athos, Aramis i Porthos zapytali o powód tego nadzwyczajnego wezwania; d'Artagnan opowiedział jedynie, że pan de Richelieu kazał się stawić dla zaproponowania mu służby w gwardji, ze stopniem chorążego, lecz on nie przyjął tej łaski.

— Dobrze zrobiłeś — zawołali razem Porthos i Aramis. Athos zadumał się głęboko i milczał. Lecz gdy zostali sami, powiedział:

— Postąpiłeś, jakis był powinien, d'Artagnanie, lecz kto wie, może źle uczyniłeś...

D'Artagnan westchnął!... słowa przyjaciela odpowiadały myśli jego tajemnej; coś mu mówiło, że wielkie nieszczęścia czekają go w przyszłości.

Cały następny dzień upłynął na przygotowaniach do wymarszu; d'Artagnan poszedł pożegnać pana de Tréville.

Wierzono jeszcze, że rozłączenie gwardji od muszkietierów będzie chwilowe jedynie; król tegoż dnia miał odbyć narady w parlamencie, a nazajutrz także wyruszyć.

Pan de Tréville zapytał tylko d'Artagnana, czy może mu być w czem pomocny, na co tenże z dumą odrzekł, iż ma już wszystko, co potrzeba.

W nocy zebrali się wszyscy gwardziści pana Desessarts i muszkietrzy pana de Tréville, ci, których przyjaźń łączyła. Rozstawano się z nadzieją zobaczenia, kiedy się Bogu spodoba i jeżeli się Bogu spodoba.

Bawiono się wesoło, hałaśliwie, noc zesła szybko, bo wiadomo, że tylko nadzwyczajną hulanką i oddaniem się zabawie zagłuszyć można niepokój wewnętrzny.

Nazajutrz rano na pierwszy odgłos trąbki, przyjaciele rozłączyli się: muszkietierowie pośpieszyli do pałacu pana de Tréville, gwardziści do pana Desessarts. Dowódcy następnie poprowadzili swoje pułki do Luwru, gdzie król miał przegląd uczynić.

Król był smutny i cierpiący, co mu odjęło niemało rycerskiej postawy. Rzeczywiście w przeddzień dostał napadu febry podczas narad parlamentarnych, właśnie gdy sprawował urząd najwyższego sędziego sprawiedliwości.

Pomimo to zdecydowany był wyruszyć za armją wieczorem i teraz uparł się zrobić przegląd osobiście, spodziewając się pokonać chorobę ruchem i zajęciem.

Po przeglądzie jedynie gwardja wyruszyła, muszkietrzy mieli dopiero iść razem z królem, co pozwoliło Porthosowi przejechać się jeszcze w pysznem swoim umundurowaniu po ulicy Niedźwiedziej.

Notariuszowa oglądała go jeszcze, paradującego w nowym mundurze i na pięknym rumaku. Nie mogła obojętnie patrzeć, jak mijał jej dom, zanadto go kochała; dała znak, aby zsiadł z konia i przyszedł do niej. Porthos wyglądał wspaniale; ostrogi dzwoniły, pancerz błyszczał a szpada zuchwale objęła się po łydkach. Tym razem dependenci nie zdradzali ochoty do śmiechu; Porthos miał minę, jakby za najmniejsze ubliżenie uszy chciał obcinać.

Nasz piękny muszkietier wprowadzony został do pana Coquenard, którego małe siwe oczki paliły się złością na widok świetnego kuzynka, błyszczącego nowym strojem. Pewne przypuszczenie jednak pocieszało go wewnętrznie; mówiono, że kampanja będzie ciężka, wojna krwawa: miał zatem błogą nadzieję, że Porthos żywy nie powróci.

Porthos nagadał masę grzeczności panu Coquenard i pożegnał się z nim serdecznie; pan Coquenard ze swej strony życzył mu wszelkich możliwych pomyślności. Co się tyczy pani Coquenard, nie była ona w stanie zapanować nad wzruszeniem i zalała się łzami; lecz nikt nie ośmielił się fałszywie tłumaczyć tej boleści, wiedziano bowiem, że bardzo kocha krewnych swoich, z powodu których nieraz ciężkie utarczki staczała z mężem.

Prawdziwe pożegnanie nastąpiło dopiero w pokoju pani Coquenard a było rozdzierające...

Dopóki tylko notariuszowa mogła dojrzeć kochanka, dawała mu znaki pożegnania chustką białą, wychylając się oknem z taką nierozwagą, jakby miała zamiar rzucić się z wysokości i podążyć za najmilszym. Porthos przyjmował te oznaki czułości, jak człowiek przywykły do podobnych objawów. Dopiero, zawracając przy końcu ulicy, uniósł kapelusz w górę, na znak pożegnania.

Aramis inaczej używał chwil ostatnich: pisał długi list. Do kogo? Nikt o tem nie wiedział. W pokoju sąsiednim Katty, która tego jeszcze wieczora wyjeżdżała do Tours, oczekiwała na rozkazy.

Athos zaś małemi haustami wypróżniał ostatnią butelkę wina hiszpańskiego. Przez ten czas d'Artagnan maszerował w szeregach swojego pułku.

Na przedmieściu św. Antoniego odwrócił się i patrzył wesoło na Bastylję; lecz ponieważ Bastylji tylko się przypatrywał, nie widział milady, która, siedząc na pysznym koniu izabelowatym, wskazywała go palcem dwom ludziom podejrzanego powierzchowności, a ci zbliżyli się do szeregów, aby mu się dobrze przypatrzeć.

Nareszcie pokazali oczami d'Artagnana, a milady skinęła głową, że to właśnie ten sam. Następnie pewna, że się nie pomyła przy wykonaniu jej rozkazów, zacięła konia i znikła, jak widzenie.

Dwaj mężczyźni udali się za pułkiem; przy końcu przedmieścia św. Antoniego, dosiedli koni osiodłanych które, oczekując na nich, trzymał za uzdy służący bez liberji.

ROZDZIAŁ XIV. OBLĘŻENIE ROSZELLI

Oblężenie Roszelli było jednym z najdonioślejszych wydarzeń politycznych panowania Ludwika XIII i jednym z największych przedsięwzięć wojennych kardynała. Nie od rzeczy będzie powiedzieć słów parę o owem oblężeniu; wiele szczegółów z epoki tej wiąże się ściśle z historją, którą opowiedzieć zamierzylimy.

Widoki polityczne, jakie kardynał miał na celu, przedsiębiorąc oblężenie, były wielkiego znaczenia.

Z pomiędzy miast oddanych przez Henryka IV Hugonotom w posiadanie, jako miejsca obronne i pewne, pozostała w ich ręku jedynie Roszella. Chodziło więc o odebranie tego ostatniego posterunku, o wytępienie gniazda kalwinizmu, żywiołu niebezpiecznego, z którym łączyły się nieustannie fermenty buntownicze, lub zbiegi z wojsk cudzoziemskich. Hiszpanie, Anglicy, Włosi, awanturnicy wszelkich narodowości, błędni rycerze, należący do sekt przeróżnych, stawali na pierwsze wezwanie pod sztandary protestanckie, organizując się w rozległe stowarzyszenie, którego odnogi, rozbiegały się dowolnie po wszystkich punktach Europy.

Roszella nabrała nowego znaczenia wskutek upadku innych miast kalwińskich, była zatem ogniskiem niezgody i wygórowanych ambicji. W dodatku port Roszelli, stanowił jedyne wejście otwarte dla Anglików do królestwa francuskiego. Otóż, zamykając go przed nosem Anglii, odwiecznej nieprzyjaciółki Francji, kardynał kończył dzieło rozpoczęte przez Joannę d'Arc i księcia Gwizjusza.

To też Bassompierre, który był jednocześnie protestantem i katolikiem — protestantem z przekonania, a katolikiem jako komandor orderu Świętego Ducha; Bassompierre, Niemiec z urodzenia, a Francuz sercem, Bassompierre tedy, który miał dowództwo wyłączone przy oblężeniu Roszelli, mówił do magnatów protestanckich, tak samo, jak on, myślących:

— Zobaczycie, panowie, że będziemy tak głupi, iż zdobędziemy Roszellę!

Bassompierre miał rację; bombardowanie wyspy Ré pociągnęło za sobą prześladowanie protestantów w Cevennes; zdobycie Roszelli było przedmową edyktu Nantejskiego. Lecz, jak powiedzieliśmy wyżej, obok widoków ministra, wyrównywających i upraszczających położenie, których ocena do historii należy, kronikarz zmuszony jest zaznaczyć pewne dążenia człowieka zakochanego i zazdrosnego rywala.

Richelieu, jak wszystkim wiadomo, kochał szalenie królowę; czy miłość jego miała prosto cel polityczny, czy była jedną z tych głębokich namiętności, jakie wzbudzała Anna Austriacka w otaczających, nie możemy twierdzić stanowczo; w każdym razie wiadomo z początków naszego opowiadania, że Buckingham odniósł nad nim w miłości zwycięstwo, a w kilku okolicznościach, mianowicie z powodu zapinek brylantowych, dzięki poświęceniu trzech muszkietierów i odwadze niezrównanej d'Artagnana, zdrwił

z kardynała okrutnie.

Chodziło zatem Richelieuemu nie tylko o uwolnienie Francji od wroga, lecz i o zemstę nad rywalem szczęśliwym; w końcu zemsta powinna być straszna i głośna, godna człowieka dzierzącego w ręku, jako szpadę bojową, potęgę królestwa całego.

Richelieu wiedział dobrze, że, walcząc z Anglią, walczy z Buckinghamem; że, zwyciężwszy Anglię, zwycięży Buckingham, na koniec, iż, gdy upokorzy Anglię wobec Europy, upokorzy Buckingham w oczach królowej.

Buckingham zaś, mając przedewszystkiem na względzie honor Anglii, żywił jednak obok tego podobne nadzieje, jak kardynał; on także gonił za zemstą osobistą. Pod żadnym pozorem nie mógł powrócić do Francji w roli ambasadora, chciał zatem wejść, jako zwycięzca.

Dlatego stawką prawdziwą tej wielkiej gry, jaką dwa najpotężniejsze mocarstwa rozgrywały pomiędzy sobą dla przyjemności dwóch ludzi zakochanych, były piękne oczy Anny Austriackiej.

Pierwsze zwycięstwo było po stronie księcia Buckingham: przybył z nienacką pod wyspę Ré, prowadząc dziewięćdziesiąt okrętów i dwadzieścia tysięcy załogi, zaskoczył niespodzianie hrabiego de Toirac, rządzącego wyspą w imieniu króla i po krwawej utarczce, wyładował.

Hrabia de Toirac zamknął się w cytadeli Św. Marcina i osadził setką ludzi małą forteczkę, nazwaną La Prée.

Wypadek ten przyspieszył decyzję kardynała; nie czekając, zanim król i on sam będą mogli objąć dowództwo nad oblężeniem Roszelli, co było postanowione oddawna, wyprowadził brata królewskiego dla kierowania pierwszymi ruchami wojska i rozkazał ściągać na plac boju wszystkie siły wojenne, jakimi mógł rozporządzać.

Do jakiego właśnie oddziału, wysłanego, jako straż przednia, należał nasz przyjaciel d'Artagnan.

Król, jak już mówiliśmy, miał podążyć za wojskiem, zaraz po ukończeniu sądów najwyższych; lecz wychodzącego z izby sądowej, 23 lipca, napadła febra trawiąca; pomimo to wyjechał. Niedługo jednak był w stanie walczyć z niemocą, a czując pogorszenie gwałtowne, z wielkim żalem zatrzymał się w Villeroi. Gdzie król stanął, stanęli i muszkietierowie; wypadło stąd, że d'Artagnan, który był poprostu w gwardji, odłączył się, chwilowo przynajmniej, od swoich dobrych przyjaciół Athosa, Porthosa i Aramis. Rozłąka ta, która była dla niego przykrością jedynie, byłaby się stała niepokojem prawdziwym, gdyby mógł być przeczuć, jakie straszne groziły mu niebezpieczeństwa.

Przybył jednak bez żadnego wypadku do obozu naprzeciw Roszelli, około 10 września 1627 roku.

Wszystko tam znajdowało się w tym samym stanie: książę Buckingham i jego Anglicy byli panami wyspy Ré, oblegali w dalszym ciągu, chociaż bez skutku, cytadelę św. Marcina i forteczkę La Prée, a pierwsze kroki nieprzyjacielskie wobec Roszelli rozpoczęto, z powodu fortu, wystawionego z rozkazu księcia d'Angoulême pod bokiemi miasta. Gwardja pod dowództwem pana Desessarts obozowała w Minimes.

D'Artagnan, — zajęty, jak wiemy, myślą — aby jak najprędzej przejść do kompanji muszkietarów, niebardzo przyjaźnił się z kolegami; teraz więc był samotny i oddany na pastwę rozmyślań. A nie były to dumania wesołe: od dwóch lat, odkąd przybył do Paryża, plątał się nieustannie w sprawy publiczne; jego zaś interesy osobiste nie posunęły go naprzód ani w miłości, ani w bogactwie.

Jedyna kobieta, jaką ukochał, była to pani Bonacieux i ona właśnie zniknęła bez śladu i dotąd nie mógł dojść, co się z nią stało. Co do majątku, znaczenia... jakże się starał o te dobra ziemskie?... oto on, chudopacholek, zrobił sobie wroga z kardynała, to jest z człowieka, przed którym drżało królestwo potężne, począwszy od króla...

Ten człowiek mógł go na proch zetrzeć, a jednak tego nie uczynił: dla umysłu, przewidującego, jaki posiadał d'Artagnan, pobłażliwość ta była furtką, przez którą spoglądał w lepszą przyszłość.

Następnie zrobił sobie innego wroga, nie tak straszego, jak myślał, lecz pomimo to czuł instynktownie, że nie można nim było pogardzać: wrogiem tym była milady.

Wzamian zdobył protekcję i życzliwość królowej... ale życzliwość królowej w owym czasie była to jedna więcej przyczyna do prześladowania, a jej protekcja, jak wiadomo, bardzo źle osłaniała, czego dowodem był Chalais i pani Bonacieux.

Z tego więc, co dotąd zyskał, największą wartość — pięć a może sześć tysięcy liwrów — miał brylant, jaki błyszczał mu na palcu; a djament ten, jeżeli d'Artagnan w projektach ambitnych zechce go zachować, aby zapewnić sobie w przyszłości wdzięczność królowej, posiadał, jako że nie mógł być sprzedany, wartość tego kamyka, który wyczuwał pod nogą.

Mówimy tu o kamyku pod nogą, ponieważ d'Artagnan rozmyślał, spacerując samotnie po małej dróżce, wiodącej z obozu do wioski d'Angoutin. Rozmyślenia te zawiodły go dalej, niż sądził; dzień miał się ku schyłkowi, gdy nagle, przy ostatnim błysku zachodzącego słońca, zdało mu się, że widzi poza płotem błyszczącą lufę rusznicy.

D'Artagnan posiadał oko wprawne, a umysł nadzwyczaj bystry, zrozumiał odrazu, że rusznica nie przysłała tu sama, a ten, co ją trzyma, nie schował się za płot w zamiarach przyjacielskich. Postanowił zatem uciekać na czyste pole, gdy oto z drugiej strony drogi, z po za skały, ukazała się druga rusznica. A więc była to zasadzka!

Młody człowiek rzucił okiem na pierwszą lufę i dostrzegł z niemałym przerażeniem, iż zniżala się w kierunku jego osoby; w chwili, gdy ujrzał, że się zatrzymała, padł plackiem na ziemię. W tejże chwili rozległ się strzał, a kula świsnęła mu ponad głową.

Nie było czasu do stracenia, d'Artagnan zerwał się na nogi, a jednocześnie kula z drugiej rusznicy zaryła się w ziemię akurat w tem samym miejscu, gdzie leżał.

D'Artagnan nie był z tych junaków, którzy giną marną śmiercią, byle tylko powiedziano o nich, że nigdy strachu nie znali; w dodatku cóż tu znaczyła odwaga?... D'Artagnan wpadł widocznie w zasadzkę, z góry ułożoną.

— Jeżeli trzeci strzał padnie — mówił w duchu, — już będzie po mnie.

I wzięwszy natychmiast nogi za pas, zmykał w kierunku obozu, z szybkością gaskończyków, sławnych i znanych ze zręczności w biegu. Pomimo jednak gwałtownego pośpiechu pierwszy ze strzelających, mając czas do powtórnego nabicia fuzji, posłał mu drugi strzał tak celny, iż kula przeszła kapeluszu i wyrzuciła w powietrze na jakie dziesięć stóp odległości.

Ponieważ d'Artagnan nie posiadał drugiego nakrycia głowy, podniósł go zatem z ziemi i, nie ustając w biegu, dopadł zdyszany i błądy okrutnie mieszkania swego, usiadł, nic nie mówiąc nikomu, i począł nanowo rozmyślać. Zdarzenie to mogło mieć trzy przyczyny.

Pierwszą i najprawdopodobniejszą mogła być wycieczka obłożonych, którym uśmiechało się położenie trupem żołnierza z gwardji Jego Królewskiej Mości, boć to zawsze mniej o jednego nieprzyjaciela, a w dodatku ten nieprzyjaciel mógł posiadać woreczek, dobrze złotem nadziany.

D'Artagnan zdjął kapeluszu, opatrzył dziurę od kuli i pokiwał głową. Kula nie wypadła z muszkietu: była to kula z rusznicy; trafny strzał dawał do myślenia, że broń była specjalnie wybrana: zatem to nie wojenna zasadzka, ponieważ kula nie zdradzała muszkietu, używanego w wojsku.

Mogło to pochodzić także z polecenia kardynała. Pamiętamy, że w chwili, gdy w ostatnim odbłasku słońcaspostrzegł lufę, skierowaną ku sobie, rozmyślał właśnie nad cierpliwością, okazywaną mu przez Eminencję.

Lecz d'Artagnan odpędził tę myśl... Wobec ludzi, których mógł dosięgnąć jednym poruszeniem ręki, kardynał rzadko używał takich środków.

Mogła to być jeszcze zemsta milady.

Było to najprawdopodobniejsze... Napróżno starał się przypomnieć sobie fizjognomje lub ubranie morderców; tak szybko uciekał przed nimi, że nic a nic nie zauważył.

— O! przyjaciele moi, najmilszy przyjaciele — szeptał d'Artagnan — gdzież jesteście? jakże mi was brak!

Bardzo złą noc miał d'Artagnan. Po kilka razy zrywał się i chwycił szpadę w przekonaniu, że jakiś człowiek zbliża się do łóżka, by go przebić sztyltem. Dzień zaświtał jednakże, ciemności rozproszyły się, nie sprowadziwszy żadnego wypadku. D'Artagnan czuł dobrze, że, co się odwlekło, nie minęło bezpowrotnie.

Cały dzień nie opuszczał mieszkania: tłumaczył się przed sobą samym, że czas jest brzydki.

Nazajutrz o dziewiątej zrana uderzono w bębny. Książę Orleański objeżdżał stanowiska. Gwardja stanęła pod bronią, d'Artagnan zajął miejsce w szeregu.

Książę przesunął się wolno przed frontem armji; następnie wszyscy wyżsi oficerowie zbliżyli się, aby mu pokłon oddać; pan Desessarts, dowódca gwardji, podjechał wraz z innymi.

Po niejakię chwili d'Artagnan spostrzegł, iż pan Desessarts daje mu znak, by się zbliżył ku niemu; w obawie pomyłki — czekał jednak powtórnego znaku od swego dowódcy; gdy jednak skinienie się powtórzyło, wystąpił z szeregu i stanął się po rozkazy.

— Książę — rzekł pan Desessarts — potrzebuje ludzi odważnych do zlecenia niebezpiecznego, które okryje chwałą tych, co je wykonają; dałem ci zatem znak, abys się zbliżył i był w pogotowiu.

— Dziękuję, mój dowódco! — odrzekł d'Artagnan, który niczego tak nie pragnął, jak możliwości odznaczenia się pod okiem naczelnego wodza.

Stało się, że z Roszelli uczyniono wycieczkę pośród nocy i odebrano bastjon, zdobyty przez królewskich przed dwoma zaledwie dniami, chodziło więc o to, aby podsunąć rekonesans pod same mury dla zbadania, czy bastjon ów jest obsadzony wojskiem.

Książę, nie czekając długo, odezwał się głosem donośnym:

— Potrzebuję do tej sprawy trzech lub czterech ochotników, dowodzonych przez człowieka pewnego.

— Jeżeli idzie o kogoś pewnego, mam takiego pod ręką do usług waszej książęcej mości, — rzekł pan de Desessarts, wskazując d'Artagnana — co do czterech lub pięciu ochotników, niech tylko książę miłościwy da poznać swe zamiary, a ludzi nie zbraknie.

— Wzywam czterech ochotników za sobą, niech się stawia i dadzą zabić razem ze mną! — wyrzekł d'Artagnan, podnosząc szpadę.

Dwóch kolegów jego z gwardji przyskoczyło natychmiast, a dwóch żołnierzy przyłączyło się do nich; liczba wymagana była już gotowa.

D'Artagnan odmówił innym zgłaszającym się, nie chcąc czynić krzywdy tym, którzy mieli pierwszeństwo za sobą.

Nie było wiadomo, czy po wzięciu bastjonu rozszelcycy go opuścili, czy zostawili w nim załogę; trzeba zatem było zbadać pozycję zbliska i dowiedzieć się prawdy.

D'Artagnan puścił się z czterema towarzyszami i szedł pod osłoną okopów: dwaj gwardziści szli obok niego, a żołnierze nieco w tyle.

Tak dotarli, kryjąc się w dołach, na jakie sto kroków od bastjonu! Wtedy d'Artagnan odwrócił się i spostrzegł że dwaj żołnierze zniknęli. Pomyślał, iż ze strachu pozostali za wałem i szedł dalej, nie oglądając się na nich.

Minąwszy kontr-eskarpę, znaleźli się prawie o sześćdziesiąt kroków od bastjonu. Nikogo widać nie było, bastjon stał cichy i wydawał się pusty.

Trzej towarzysze stanęli na tej straconej placówce i namyślali się, czy iść dalej, gdy wtem chmura dymu zakryła olbrzymia kamiennego i kilkanaście kul gwizdnęło koło uszu d'Artagnana i jego kolegów. Dowiedzieli się więc, czego chcieli, bastjon miał załogę. Dłużej stać w miejscu tak niebezpiecznym nie byłoby wcale roztropnie ani potrzebnie; d'Artagnan z towarzyszami odwrócił się, by dokonać odwrotu, bardzo podobnego do ucieczki.

Dopadli tak do wału, mającego ich zasłonić, gdy wtem jeden z gwardzistów zwałił się na ziemię: kula pierś muprzeszyła. Drugi, dotąd nietknięty, uciekał w kierunku obozu.

D'Artagnan nie chciał opuścić kolegi i pochylił się, aby go podnieść i zabrać do swoich, lecz w tej chwili strzelono dwa razy; jedna kula roztrzaskała głowę gwardzisty rannego, druga spłaszczyła się o skałę, przeleciawszy o dwa cale nad głową d'Artagnana.

Młodzieniec odwrócił się szybko. Atak nie pochodził z bastjonu, zakrytego wysokim wałem; przyszli mu na myśl dwaj żołnierze, którzy zniknęli i przypomniał sobie morderców onegdajszych... postanowił przekonać się, co ma o tem sądzić, i upadł na ciało towarzysza, jak nieżywy.

Dwie głowy ukazały się ponad opuszczoną fortyfikacją, znajdującą się o jakie trzydzieści kroków: byli to owi dwaj żołnierze. D'Artagnan nie pomylił się. Ci dwaj ludzie poszli za nim z myślą zabójstwa, spodziewając się, iż śmierć młodzieńca policzona zostanie na karb nieprzyjaciela.

Ponieważ jednak mógł być jedynie ranny, a potem donieść o ich zbrodni, zbliżyli się, aby go dobić. Na szczęście, zwiedzeni podejściem d'Artagnana, zaniedbali koniecznej ostrożności i nie nabili powtórnie rusznic.

Gdy znaleźli się już o dziesięć kroków, d'Artagnan, który, padając, trzymał silnie szpadę w ręce, zerwał się niespodzianie i jednym skokiem był już koło nich.

Podli zbójce zrozumieli, że, gdyby uciekli do obozu, nie położywszy trupem młodzieńca, nie omieszkałby on wydać ich sprawki, postanowili więc natychmiast przejść do nieprzyjaciela. Pierwszy z nich ujął fuzję za lufę i wywinął nią, jak maczugą. Wymierzył okrutny cios w samą głowę d'Artagnana, lecz chybił, ponieważ tenże umknął szczęśliwie na stronę, ale ruchem tym dał swobodną drogę bandycie, z czego ten skorzystał i umykał w stronę bastjonu. Ponieważ jednak roszelczycy nie wiedzieli, w jakich zamiarach człowiek ten do nich przybywa, dali ognia i zabójca padł na ziemię, trafiony kulą, która strzaskala mu ramię.

Gdy się to działo, d'Artagnan pochwycił drugiego żołnierza, atakując go szpadą. Walka trwała krótko; nędznik miał za całą obronę rusznicę nienabitą; szpada gwardzisty, odpierając razy broni nieużytecznej, opuściła się niespodziewanie i przeszła na wylot udo mordercy, który upadł niezwłocznie, nie mogąc się na nogach utrzymać.

D'Artagnan przyłożył mu koniec szpady o gardła.

— O! nie zabijaj mnie! — krzyczał zbójca — łaski, łaski, panie oficerze! wszystko panu opowiem!...

— Czy twoja tajemnica warta jest przynajmniej, abym ci życie darował? — zapytał młodzieniec, powstrzymując pchnięcie.

— O! tak, szczególnie dla pana, jeżeli cenisz swe życie, będąc tak piękny i waleczny i mając z tego względu świetną przyszłość przed sobą.

— Nędzniku! — rzekł d'Artagnan — dalej, gadaj prędzej, z czyjego rozkazu chciałeś mnie zamordować?

— Z rozkazu kobiety, której nie znam wcale, lecz którą nazywają milady.

— Mówisz, że jej nie znasz, a skąd wiesz, jak ją nazywają?

— Mój współnik znał ją i tak nazywał, bo z nim się ona układała, nie ze mną; ma on nawet list w kieszeni od tej damy, list wielkiego znaczenia dla pana, jak sam opowiadał.

— Dlaczego wziąłeś udział w tym napadzie?...

— Zaproponował mi, abymy we dwóch podjęli się tej roboty i przystałem...

— Cóżście dostali za tę szlachetną wyprawę?

— Sto luidorów.

— Wcale nieźle — rzekł młodzieniec, rozweselony — widzę z tego, że coś wart jestem; sto luidorów!... to majątek dla takich nędzników; nie dziwię się też, że przystałeś i przebaczam, lecz pod jednym warunkiem!

— Pod jakim? — zapytał żołnierz niespokojny, widząc, że to jeszcze nie koniec.

— Oto pójdziesz i wyjmiesz list z kieszeni twego kamrata.

— Ależ, panie!... — zakrzyczał bandyta — chcesz mnie zabić, tylko innym sposobem; jak możesz żądać, abym szedł po list pod ogniem bastjonu?...

— Decyduj się i to szybko, bo klnę się na Boga, zginiesz z mojej ręki!...

— Łaski! panie, litości!... w imię młodej damy, którą kochasz... którą masz za umarłą... a która żyje!... — wołał zbójca, podnosząc się na kolana i podpierając ręką, bo siły go opuszczały wraz z utratą krwi.

— Skąd wiesz o kobiecie, którą kocham, kto ci powiedział, że myślę, iż ona nie żyje?...

— To wszystko jest w liście, który mój towarzysz ma w kieszeni

— Widzisz sam, iż muszę ten list posiąć koniecznie: nie ociągaj się zatem, nie wahaj, bo pomimo odrazy, jaką czuję do zmożenia mej szpady po raz drugi w podłej krwi twojej, przysięgam na honor uczciwego człowieka...

Przy tych słowach d'Artagnan uczynił gest tak groźny, że ranny pomimo osłabienia zerwał się na równe nogi.

— Wstrzymaj się pan! wstrzymaj!... — zawołał, nabierając odwagi pod wrażeniem strachu — pójde już... pójde!...

D'Artagnan odebrał broń bandycie, kazał mu stanąć przed sobą i pchnął go w stronę współnika, koląc go w plecy końcem szpady.

Straszny był widok nieszczęśliwego, znaczącego śladami krwi drogę przebytą, jak śmierć, bladego, a pomimo to, pragnącego zawlec się niedostrzeżenie do ciała współnika zbrodni, rozciągniętego o dwadzieścia kroków.

Trwoga tak okrutna malowała się na twarzy bandyty, złanej zimnym potem, że d'Artagnan zmiękł i, patrząc na niego z pogardą, zawołał:

— Stój! pokażę ci różnicę pomiędzy człowiekiem odważnym a podłym, jak ty, tchórzem; zostań, ja sam pójdę!..

I krokiem lekkim, baczny na wszystko, obserwując poruszenia nieprzyjaciela i zasłaniając się nierównością gruntu, d'Artagnan dotarł do drugiego żołnierza.

Miał dwa sposoby dojścia do celu: zrewidować mu kieszenie na miejscu, lub zabrać z sobą, czyniąc puklerz z ciała jego i dokonać rewizji pod tą osłoną.

D'Artagnan wybrał drugi sposób: zarzucił zbója oddychającego jeszcze na plecy w chwili właśnie, gdy nieprzyjaciel dał ognia.

Słabe wstrząśnienie, głuchy szmer trzech kul rozdzierających ciało, ostatni jęk i dreszcze konania, dowiodły młodzieńcowi, że ten, który pragnął go zamordować, ocalił mu obecnie życie.

D'Artagnan dostał się napowrót poza wał i cisnął trupa obok rannego, bladego już, jak nieboszczyk.

Natychmiast zajął się rewizją kieszeni, torby skórzanej, worka, w którym widocznie znajdowała się część sumy, jaką zbój otrzymał; kubek na kości do gry, jako też i kości ponumerowane, stanowiły całą pozostałość po umarłym. Zostawił kubek i kości, gdzie były, cisnął worek rannemu, a sam z niecierpliwością otworzył torbę...

Pomiędzy papierami bez znaczenia odnalazł list następujący, zdobyty z narażeniem życia.

„Ponieważ straciliście ślady kobiety, a ona jest obecnie w klasztorze bezpieczna i spokojna, dokąd nie powinniście byli jej dopuścić, starajcie się przynajmniej nie chybić człowieka, przezemnie wskazanego, w przeciwnym razie, wiecie o tem, że mam rękę długą, nie skryjecie się przede mną, dosięgnę was i drogo zapłacicie za sto ludiorów, które otrzymaliście odemnie”. Podpisu nie było.

Jednakże list pochodził widocznie od milady.

Schował go starannie, jako niezbity dowód i, usunąwszy się w miejsce, zakryte przez wał ziemny, począł badać rannego. Ten wyznał mu, iż podjął się wraz z kolegą, tym samym, który oto już zabity, porwać młodą damę, która miała pewnego dnia wyjeżdżać z Paryża roгатką de la Villette, i że, zatrzymawszy się w jakiejś oberży i zabanut, i powóz przejechał, zanim zdążyli na wskazane miejsce.

— Coście zamierzali uczynić z tą nieszczęśliwą? — zapytał d'Artagnan z sercem ścisnionem.

— Mieliśmy ją odstawić do pałacu na Placu królewskim — odrzekł ranny.

— Tak!... tak!... — mruknął d'Artagnan — to to samo: mieli ją odwieźć do milady.

Wtedy zrozumiał ze drżeniem, jakie okrutne pragnienie zemsty pchało tę kobietę, aby go zgubić koniecznie, jako i tych, których ukochał, i jak była wtajemniczona w sprawy dworu królewskiego, kiedy potrafiła odkryć wszystko. Zawdzięczała bezwątpienia wiadomości te kardynałowi, swojemu protektorowi.

Lecz pośród tych wszystkich machinacyj, widoczne było, co go przejęło radością prawdziwą, że królowa odkryła nakoniec, w którym więzieniu nieszczęśliwa pani Bonacieux pokutowała za poświęcenie swoje, i wyrwała ją z tej niewoli. I teraz ten bilecik, otrzymany od młodej kobiety, ukazanie się jej na drodze z Chaillot, ukazanie się, podobne do zjawiska błędnego, wszystko to jasne mu się stało.

Od tej chwili, jak to Athos przepowiedział, odnalezienie pani Bonacieux wydało mu się możebne; klasztor to przecie nie żadna forteca niezdołana!...

Przekonanie to wróciło mu spokój serca i duszy. Nachylił się nad rannym, który śledził niespokojnie przeróżne wrażenia, zmieniające jego oblicze i podał mu rękę.

— No, dalej — rzekł do niego — nie myślę porzucić cię tutaj... Oprzyj się na mnie i wracajmy do obozu.

— Dobrze — odezwał się ranny, nie mogąc pojąć na razie takiej wielkoduszności — ale czy przypadkiem nie każesz mnie tam powiesić?

— Nie, bądź spokojny, masz moje słowo, że oto po raz drugi daruję ci życie.

Zbójca zwlókl się na klęczki i całował na nowo nogi swego wybawiciela. D'Artagnan, nie mając już powodu zostawać dłużej w bliskości nieprzyjaciela, przerwał ten wylew wdzięczności.

Gwardzista, który po pierwszym wystrzale zemknął do obozu, doniósł o śmierci czterech wysłańców. Można wyobrazić sobie zdziwienie i radość ogólną w pułku, gdy d'Artagnan ukazał się zdrów i cały.

Młodzieniec skomponował naprędce historję o przyprowadzonym przez siebie ranym żołnierzu, jakoby przebity został szpadą w niespodzianej wycieczce z bastjonu. Mówił o zgonie drugiego żołnierza i o niebezpieczeństwach, jakie przebyli.

Opowiadanie to przyjęte z uwielbieniem, był to dzień triumfu dla naszego gaskończyka. Cała armja powtarzała szczegóły tej wyprawy od rana do wieczora, a książę orleański wieszował mu osobiście.

Nakoniec, ponieważ każdy czyn piękny znajduje nagrodę, zatem postępek d'Artagnana miał takie następstwo, iż przywrócił mu równowagę umysłu i pokój utracony.

W samej rzeczy d'Artagnan uważał się już za zabezpieczonego zupełnie, ponieważ z dwóch wrogów, jeden już nie żył, a drugi obowiązany mu był i wdzięczny, a przez to samo oddany mu wiernie. Spokój ten dowodził jedynie, że d'Artagnan nie znał jeszcze milady.

ROZDZIAŁ XV. WINO ANDEGAWEŃSKIE

Po wieściach prawie beznadziejnych o zdrowiu króla przyszła wiadomość do obozu, jakoby lepiej czuł się cokolwiek; a ponieważ wiadano, jak pilnie mu było stanąć osobiście na czele wojska, rozprowadano zatem, że skoro król będzie w stanie wsiąść na konia, wyruszy w drogę natychmiast.

Dotychczas zaś książę brat królewski, wiedząc, że stanowisko jego jest tymczasowe i że lada chwila zastąpi go książę d'Angoulême, Bassompierre lub Schomberg, którzy już nawet kłócili się o dowództwo, książę tedy nie działał prawie wcale. Tracił czas na małe podjazdy, bojąc się ryzykować i coś przedsięwziąć, aby raz przecie wypędzić Anglików z wyspy Ré, gdzie szturmowali ciągle do cytadeli Ś-go Marcina i forteczki La Prée, gdy Francuzi oblegali Roszellę.

D'Artagnan, jak wspominaliśmy, uspokoił się prawie zupełnie, i, jak to zwykle bywa po niebezpieczeństwie minionem, zdawało mu się, że ono nigdy już nie powróci. Została mu tylko jedna troska i to niemała, brak wiadomości o przyjaciółach.

Pewnego poranku, w miesiącu listopadzie znalazł rozwiązanie zagadki milczenia towarzyszy w liście datowanym z Villeroi:

„Panie d'Artagnan!

Panowie Athos, Porthos i Aramis po sutym bankiecie, wyprawionym u mnie, podchmieliwszy sobie nad miarę, w tak głośny sposób dokazywali, iż naczelnik policji królewskiej, człowiek nader surowy, zmuszony był zamknąć ich na kilka dni w areszcie. Ja zaś spełniam polecenie, i jakie mi zostawili, i odsyłam panu dwanaście butelek wina andegaweńskiego, pochodzącego z mojej piwnicy, które pańscy przyjaciele nadzwyczaj polubili, i pragną, abys wypił za ich zdrowie to ulubione wino.

Co zrobisz, pozostaję z szacunkiem pańskim sługą uniżonym i posłusznym

Godeau,

oberżysta i dostawca panów Muszkietarów”.

— A to wybornie! — zawołał d'Artagnan — kochani przyjaciele! myślą o mnie przy zabawie, tak jak ja o nich w zmartwieniu. Z pewnością, wypiję za ich zdrowie z całego serca; tylko nie będę pił sam...

Pobiegł do dwóch gwardzistów, z którymi był bardziej zaprzyjaźniony, aby ich zaprosić na wysmienite wino andegaweńskie, przywiezione tylko co z Villeroi.

Jeden z kolegów był już zaproszony na wieczór, drugi znów na dzień następny; zebranie zatem koleżeńskie oznaczono aż na trzeci dzień.

D'Artagnan, powróciwszy, odesłał swoje dwanaście butelek do bufetu gwardzistów, z poleceniem, aby je schowano starannie; w dzień uroczystości, ponieważ obiad był zamówiony na godzinę dwunastą, wysłał już o dziewiętej rano Plancheta, aby wszystko przygotował.

Planchet, dumny z wyniesienia do godności marszałka dworu, starał się urządzać ucztę, jak człowiek inteligentny i znający się na rzeczy; w tym celu przybrał sobie do pomocy lokaja jednego z gości, zaproszonych przez pana swojego, nazwiskiem Fourreau, i jeszcze tego fałszywego żołnierza, który chciał zabić d'Artagnana, a teraz, nie należąc do żadnego pułku, przyjął służbę u gaskończyka, a raczej u Plancheta, bardzo bowiem przywiązał się do d'Artagnana, od chwili, gdy tenże życie mu darował.

Godzina obiadu nadeszła, dwóch zaproszonych przybyło, zajęli miejsca, a potrawy ustawiono na stole. Planchet obsługiwał z serwetą pod pachą; Fourreau odkorkowywał butelki, a Brisemont — tak się nazywał rekonwalescent — przelewał wino do kryształowych karafek, bo ustalo się po zmęczeniu w podróży. Pierwsza butelka miała niejako męty na spodzie, Brisemont zlał je do szklanki, a d'Artagnan pozwolił mu wypić dla wzmocnienia, ponieważ nieborak był jeszcze okrutnie słaby.

Współbiesiadnicy, po zjedzeniu zupy, zamierzali wychylić pierwsze szklanki wina, gdy nagle rozległ się strzał armatni z fortu Ludwika, i z fortu Nowego; natychmiast gwardziści, sądząc, że chodzi o atak niespodziewany ze strony oblężonych, lub ze strony Anglików, zerwali się i pochwycili za szpady; d'Artagnan, niemniej zwinny, uczynił, jak oni, i wszyscy trzej wybiegli, aby zdążyć na swoje stanowiska.

Zaledwie jednak ubiegli kawałek drogi, a już wiedzieli, co znaczy cały ten ruch i hałas: okrzyki: „niech żyje król!”, „niech żyje kardynał!” rozlegały się dookoła, a bębny były na wszystkich punktach.

Rzeczywiście król niecierpliwy, jak to już mówiono, dążył bez wytchnienia i przybywał właśnie w tej chwili z całym dworem, prowadząc z sobą dziesięć tysięcy żołnierza świeżego; muszkietrzy szli przed nim i za nim. D'Artagnan, stojąc w szeregach pułku swojego, powitał gestem wymownym drogich przyjaciół, oni ścigali go wzrokiem, a i pan de Tréville poznał go odrazu.

Po skończonej ceremonii przyjęcia króla, czterech przyjaciół znalazło się prędko i uściśkało serdecznie.

— Przebóg!... — zawołał d'Artagnan — nie można było przybyć bardziej w porę; mięso na stole nie zdążyło ostygnąć jeszcze!... prawda, panowie?... — dorzucił młodzieniec, zwracając się do dwóch gwardzistów i prezentując ich przyjaciołom.

— Oha, jak widzę, bankietujemy tu sobie — rzekł Porthos.

— Spodziewam się, — dodał Aramis — że niema kobiet na waszym obiedzie.

— A czy jest wino możebne w waszej dziurze?... — zapytał Athos.

— Ależ na Boga!... jest wasze własne, drogi przyjacielu — odrzekł d'Artagnan.

— Nasze własne wino?... — zawołał Athos zdziwiony.

— Tak, tak, to, coście mi przysłali.

— My przysłaliśmy ci wino?...

— Wiecie przecie dobrze, wino młode ze wzgórz andegaweskich?

— Tak, wiem doskonale, o jakim winie chcesz mówić.

— O winie, które najlepiej lubisz.

— Zapewne, zapewne, jak nie mam szampańskiego, albo szambertina.

— Otóż w braku szampańskiego i szambertina, przyjmiecie to, jakie jest...

— A, tośmy sprowadzili winko andegaweskie, zostaliśmy już smakoszami?... — mówił Porthos z uśmiechem.

— Ależ nie, wino to od was pochodzi.

— Od nas?... — krzyknęli razem trzej muszkietierowie.

— Czy to ty, Aramisie? ... — zapytał Athos, przysłałeś to wino?

— Nie, może to ty, Porthosie?

— Nie, pewno to ty, Athosie?

— Nie.

— Jeżeli nie wy — rzekł d'Artagnan — to wasz oberżysta.

— Jaki oberżysta?...

— Oberżysta Godeau, dostawca muszkietierów.

— Na honor — przerwał Porthos — niech pochodzi skąd chce, wszystko mi jedno; spróbujmy wina, a jeżeli dobre, to pijmy!

— O, nie!... — rzekł Athos — nie pijmy wina z nieznanego źródła...

— Masz rację, jak zawsze, kochany Athosie. Żaden z was zatem nie dawał zlecenia oberżystce Godeau?

— Nie!... a jednak to niby od nas była ta przesyłka?

— Oto list!... — rzekł d'Artagnan i podał papier towarzyszom.

— To nie jego pismo!... — mówił Athos, znam go dobrze — ja sam, przed wyjazdem, załatwiałem z nim nasze wspólne rachunki.

— Cały list fałszywy — odezwał się Porthos — nie byliśmy nigdy zamknięci w areszcie.

— D'Artagnanie — rzekł Athos z wyrzutem — jak mogłeś uwierzyć, żeśmy hałasowali?...

D'Artagnan zbladł, dreszcz po nim przebiegł...

— Co ci jest, chłopcze kochany — zawołał Athos tkliwie — cóż znowu się stało?

— Biegnijmy, śpieszmy się, drodzy przyjaciele!... — krzyknął d'Artagnan — okropne podejrzenie przyszło mi do głowy! byłaby to jeszcze zemsta tej kobiety?

Teraz znów Athos pobladł śmiertelnie.

D'Artagnan puścił się w kierunku oberży, trzech muszkietierów i dwóch gwardzistów podążyło za nim.

Gdy tylko weszli do sali jadalnej, oczy ich uderzył widok Brisemonta, rozciągniętego na ziemi i wijącego się w strasznych konwulsjach.

Planchet i Fourreau, biali, jak płótno, próbowali wszelkich środków ratunku; widoczne jednak było, że pomoc na nic się nie przyda; skurczone bólem rysy nieszczęśliwego zwiastowały ostatnie chwile konania.

— A!... — zawołał ujrawszy d'Artagnana — a! to straszne!... to niegodziwe! pan darował mi niby życie, a teraz mnie otruje!

— Ja!... — rzekł d'Artagnan — ja? co mówisz, nieszczęsny?

— Mówię, żeś mi dał wina, żeś kazał je wypić... a! chciałeś się zemścić w ten sposób... a! to niegodnie z twej strony!

— Nie wierz temu, Brisemont, nie wierz, błagam cię; przysięgam...

— O! Bóg jest w niebie!... On cię ukarze... Boże mój, Boże, spraw, byś cierpiał kiedyś, jak ja obecnie!

— Na Ewangelię ci przysięgam — zawołał d'Artagnan, nachylając się nad konającym — że nie przeczuwałem wcale, iż wino jest zatrute i że, jak widziałeś, sam miałem go się napić.

— Nie wierzę, nie wierzę — wybełkotał żołnierz i skonał w przystępie męczarni.

— To straszne! niepojęte!... — mruczał d'Artagnan, gdy Porthos tłukł butelki z winem, a Aramis dawał rozkaz, (trochę spóźniony coprawda) aby sprowadzono spowiednika.

— O przyjaciele wierni!... — odezwał się d'Artagnan — ocaliliście mi życie, nietylko mnie, lecz i tym oto panom... Panowie — dodał, zwracając się do gwardzistów — proszę zachować w tajemnicy całe to zdarzenie, którego byliście świadkami; osoby, zajmujące stanowiska wysokie, wmieszane są prawdopodobnie w tę sprawę, a wszystko złe, jak się domyślacie, skrupiłoby się na nas.

— O panie mój!... — jękał Planchet nawpół umarły — o panie! jakże ja się szczęśliwie wykręciłem!...

— Jaktó, hultaju — zawołał d'Artagnan — więc i ty chciałeś napić się mojego wina?

— Za zdrowie króla, proszę pana; chciałem tyknąć właśnie małą szklaneczkę, lecz Fourreau mi przeszkodził, mówiąc, że mnie wołają...

— Niestety!... — rzekł Fourreau, dzwoniąc zębami ze strachu — chciałem go wyprowadzić, a sam się napić.

— Panowie — odezwał się d'Artagnan do gwardzistów — pojmujecie sami, iż nasza uczta byłaby nader smutna po tem, co się stało; raczcie wybaczyć na dziś; odłóżmy zebranie na później. Młodzieńcy przyjęli grzecznie przemówienia d'Artagnana i, widząc, że przyjaciele pragną sami pozostać, pożegnali się i odeszli.

Skoro gaskończyk nasz i trzech muszkietierów pozbyli się świadków, spojrzeli po sobie wzrokiem wyrażającym, iż pojmują całą ważność położenia.

— Naprzód — zaczął, Athos — wyjdźmy z tego pokoju; niedobra to kompanja z nieboszczykiem, który skończył śmiercią gwałtowną.

— Planchet — rzekł d'Artagnan — polecam ci ciało tego biedaka. Pochowaj go w ziemi poświęcanej. Popenił on zbrodnię, to prawda, lecz żałował.

Oberżysta dał im inny pokój, do którego przyniósł jajek na miękko i czystej wody (Athos sam jej zaczerpnął u źródła). W kilku słowach Porthos i Aramis zostali wtajemniczeni w położenie.

— A zatem — rzekł d'Artagnan do Athosa — widzisz drogi przyjacielu, że to walka śmiertelna.

Athos pokiwał głową.

— Tak, tak — odparł — widzę dobrze; czy sądzisz, że to znów ona?

— Jestem tego pewny.

— Pomimo wszystko, przyznam ci się, iż jeszcze wątpię.

— A kwiat lilji na ramieniu?

— To jakaś Angielka za przestępstwo, spełnione we Francji, napiętnowana sromotnie.

— Athosie, to twoja żona, mówię ci — powtarzał d'Artagnan — przypomnij sobie, jak rysopis zgadza się dokładnie.

— Byłem pewny, że tamta nie żyje, przecie ją powiesiłem doskonale.

Teraz d'Artagnan kiwał głową.

— Ale teraz powiedz, co robić?... — rzekł młodzieniec.

— To fakt, że niepodobna zostać tak z mieczem, wiekuiście wiszącym nad głową — mówił Athos — i trzeba koniecznie, w jakikolwiek bądź sposób, wyjść z tego położenia.

— Lecz w jaki?

— Posłuchaj no; postaraj się dostać do niej i rozmówić; powiedz jej stanowczo: pokój lub wojna! Daję słowo szlachcica, że nic nigdy o tobie nie powiem i nic przeciw tobie nie przedsięwzię, a ty zachowaj względem mnie neutralność: jeżeli się na to nie zgodzisz, pójdę do kanclerza, do króla samego, sprowadzę kata, podburzę dwór cały przeciw tobie, ogłoszę wszędzie, żeś jest piętnowana, stawię cię przed sądy, a gdy cię wyrokiem uwolnią, w takim razie zabiję cię, klnę się na honor mój szlachecki, zabiję cię, gdzie spotkam, na ulicy, w zaułku, zabiję, jak psa wściekłego.

— Doskonały środek — rzekł d'Artagnan — bardzo mi się spodobał; lecz, jak się do niej dostać?

— Czas, drogi przyjacielu, czas sprowadza sposobną chwilę, a taka chwila, to, jak zdwojona stawka w grze: im więcej postawisz na kartę, tem więcej wygrasz, jeżeli umiesz czekać...

— Tak, ale czekać otoczonemu przez morderców i trucicieli...

— Ba!... — rzekł Athos — Bóg nas strzegł dotąd i będzie dalej strzegł.

— Nas samych, wierzę temu; zresztą wszakżeśmy mężczyźni, nasza to rola narażać życie, lecz ona!... — dodał półgłosem.

— Co za ona?... — zapytał Athos.

— Konstancja.

— Pani Bonacieux!... a! to prawda — mówił Athos — biedny przyjacielu! zapomniałem, żeś zakochany.

— Dowiedziałeś się przecie — odezwał się Aramis — z listu, znalezione przy tym łotrze zabitym, że ona w klasztorze przebywa? O! w klasztorze jej bardzo dobrze i spokojnie, a po ukończeniu obłączenia Roszelli, przyrzekam wam, że ja także...

— Dobrze!... — rzekł Athos — dobrze, mój drogi Aramisie, znamy twoje powołanie i uczucia religijne.

— Jestem muszkietierem tymczasowym jedynie — odparł Aramis pokornie.

— Widać, że już dawno nie miał listu od kochanki, — szepnął Athos — lecz nie zwracajcie uwagi, znamy się przecie na tem.

— Otóż — rzekł Porthos — zdaje mi się, iż wynalazłem sposób bardzo prosty.

— Jakiż to? — zapytał d'Artagnan.

— Ona jest w klasztorze, powiadacie?... — ciągnął Porthos.

— Tak.

— A więc, jak tylko skończymy z oblężeniem, wykradniemy ją zaraz z klasztoru.
 — Trzeba się wprawdzie dowiedzieć, w którym jest klasztorze.
 — Tak, to prawda — rzekł Porthos.
 — Czy nie przychodzi ci na myśl, drogi d'Artagnanie, że to królowa sama oznaczyła klasztor na miejsce schronienia dla pani Bonacieux?
 — Tak przypuszczam.
 — Otóż Porthos nam w tem pomoże.
 — W jaki sposób, jeżeli wolno zapytać?
 — Ależ przez swoją margrabinę, księżnę czy księżniczkę, ona pewnie ma wpływ u dworu.
 — Cicho, sza!... — rzekł Porthos, kładąc palec na ustach — zdaje mi się, że moja margrabina należy do stronników kardynała i dlatego nic wiedzieć nie może...
 — Skoro tak — odezwał się Aramis — ja podejmuję się wywieźć o wszystkim.
 — Ty, Aramisie — krzyknęli razem przyjaciele — ty! w jakim sposobie?
 — Przez jałmużnika królowej, z którym jestem w wielkiej przyjaźni... — rzekł Aramis, czerwieniąc się po uszy.

Po tem zapewnieniu czterej przyjaciele, skończywszy skromny posiłek, rozeszli się z obietnicą widzenia się tego samego jeszcze wieczoru; d'Artagnan powrócił do Minimes, a trzech muszkietierów udało się do koszar królewskich, gdzie kazali sobie urządzać mieszkanie.

ROZDZIAŁ XVI. OBERŻA POD CZERWONYM GOŁĘBNIKIEM

Król tymczasem, zaledwie przybył do obozu, myślał tylko o tem, aby co rychlej uderzyć na nieprzyjaciela, miał on bowiem większą rację nienawidzić Buckinghama, niż kardynał nawet, i czynił przygotowania naprzód do wypędzenia Anglików z wyspy Ré, następnie do przyspieszenia oblężenia Roszelli. Lecz pomimo najlepszych chęci wszystko się opóźniało z powodu nieporozumień, wynikłych pomiędzy panami de Bassompierre i Schomberg, a księciem d'Angoulême.

Panowie Bassompierre i Schomberg piastowali godność marszałków Francji i upominali się o przynależne im prawa dowództwa armji pod rozkazami króla; ale kardynał, w strachu, aby Bassompierre, hugonota w duszy, nie chciał obchodzić się łagodnie z Anglikami i mieszkańcami Roszelli, jako jednowiercami, forytował księcia d'Angoulême, którego król, podlegany przez niego, zamianował namiestnikiem ogólnym.

Wynikło stąd, iż z obawy, aby panowie Bassompierre i Schomberg nie wycofali się z armji, musiano ustanowić naprędce pojedyncze dowództwa: Bassompierre objął część obozu na północ miasta, począwszy od Leu aż po Dampierre; księżę d'Angoulême na wschód, od Dampierre de Périgny; pan Schomberg na południe, od Périgny aż do Angoutin.

Kwaterna księcia orleańskiego, brata króla, była w Dampierre. Kwaterna królewska zaś to w Etré, to znów w Larie.

Nakoniec kwaterna kardynała na wzgórzach piaszczystych wzdłuż brzegów morza, przy moście kamiennym, w prostym domostwie, bez żadnych szańców ani okopów.

W ten sposób brat królewski miał na oku Bassompierre, król księcia d'Angoulême, a kardynał pana de Schomberg. Natychmiast po ukończeniu tej organizacji zabrano się do wypędzania Anglików z wyspy.

Ogólne przypuszczenia wróżyły zwycięstwo: Anglicy, którzy przedewszystkiem potrzebują dobrego pożywienia, aby być wytrwałymi żołnierzami, a jedli jedynie mięso solone i zepsute suchary, mieli znaczną liczbę chorych w swojej armji; w dodatku morze, straszliwie burzliwe w tej porze roku, na wszystkich wybrzeżach oceanu rozbijało każdego dnia po kilka statków małych, i brzeg nadmorski, od szczytu l'Aiguillon aż do okopów fortecznych po każdym przypływie i odpływie morza, pokryty był literalnie szczątkami łodzi żaglowych i szalup strzaskanych. Dlatego nawet ludzie królewscy nie ruszali się z obozu, bo spodziewano się, że lada dzień Buckingham, który siedział na wyspie Ré przez upór jedynie, będzie zmuszony odstąpić od oblężenia.

Ponieważ jednak pan de Toirac doniósł, iż w obozie nieprzyjacielskim czynią przygotowania do ponownego ataku, król zatem osądził, że trzeba raz już skończyć i wydał rozporządzenie do bitwy stanowczej.

Nie mamy zamiaru opisywać każdodziennych wydarzeń i postępów oblężenia, przeciwnie, postanowiliśmy zaznaczyć jedynie wydarzenia, mające związek z historją, którą opowiadamy. Poprzestaniemy zatem na wspomnieniu w kilku słowach, że wyprawa powiodła się świetnie.

Anglicy, wyparci co do nogi, zwyciężeni we wszystkich potyczkach, rozbici w cieśninie pod wyspą Loix, zmuszeni zostali schronić się z powrotem na okręty, pozostawiwszy na placu boju dwa tysiące poległych, pomiędzy którymi dwustu pięćdziesięciu kapitanów i dwudziestu znakomitej szlachty; cztery armaty i sześćdziesiąt sztandarów, które odstawił do Paryża Klaujdusz de Saint-Simon i zawiesił z wielką okazałością na sklepieniach w kościele Najświętszej Panny. Śpiewano *Te Deum* w obozie, a stamtąd echo niesło je po całej Francji.

Kardynał miał zatem swobodę czasowo przynajmniej, posuwać obleganie miasta, nie obawiając się niczego ze strony Anglików. Lecz, jak tylko co mówiliśmy, spokój to był jedynie chwilowy.

Pochwycono wysłannika księcia Buckingham, nazwiskiem Montaigu, i nabrano pewności co do istnienia przymierza pomiędzy Cesarstwem, Hiszpanją, Anglią i Lotaryngją. Przymierze zawarte zostało przeciw Francji.

Nadto, w mieszkaniu Buckingham, które zmuszony był opuścić prędkiej, niż sądził, znaleziono papiery, stwierdzające przymierze, a papiery te, jak zapewnia pan kardynał w pamiętnikach swoich, kompromitowały okropnie panią de Chevreuse, a tem samem i królową.

Richelieu znał energję, a nadewszystko zawziętość i nienawiść Buckingham; gdyby liga mocarstw, grożąca Francji, odniosła zwycięstwo, cały wpływ jego przypadłby bezpowrotnie.

Sam król, słuchający go we wszystkim, jak dziecko, nienawidził go tak samo, jak dziecko nienawidzi surowego nauczyciela, i oddałby go z pewnością na pastwę zemsty osobistej swego brata i królowej. Richelieu byłby zgubiony, a może z nim razem zginęłaby i Francja. Potrzeba się było zatem zabezpieczyć od ciosu tak okrutnego. Widziano też gońców, których liczba co chwila się zwiększała, zmieniających się dniem i nocą w małym domku przy moście kamiennym, gdzie kardynał obrał sobie siedzibę.

Snuli się mnichy, którym habit bardzo źle pasował, i rozpoznać było łatwo, że należeli przedewszystkiem do kościoła wojującego. Były kobiety, poprzebierane za paziów, którym zawadzał trochę ten kostjum, a szerokie poły ubrania nie maskowały dostatecznie kształtów zaokrąglonych; nakoniec byli tam chłopci z rękami usmolonemi, lecz o łydkach i nogach wykwintnych, których czuć było zdaleka pańskością i tytułami. Następnie były tam i wizyty mniej przyjemne, rozeszła się bowiem wieść kilkakrotnie, że chciano kardynała zamordować.

Coprawda, nieprzyjaciele eminencji rozpowiadali, że to on sam nasyłał na siebie tych niby morderców, aby w danym wypadku użyć prawa odwetu; lecz nie można dawać wiary ani temu, co mówią ministrowie, ani temu, co ich nieprzyjaciele rozgłaszają.

Nie przeszkadzało to jednak kardynałowi, któremu najzawziętsi wrogowie nie zaprzeczali odwagi osobistej, do robienia wycieczek nocnych; to dla zakomunikowania księciu d'Angoulême rozkazów wielkiej wagi, to znów dla porozumienia się z królem, nareszcie dla narady z wysłańcami, których nie chciał, aby widziano u niego w domu.

Muszkietierowie zaś, nie mający dużo do roboty przy oblężeniu, nie byli wcale krótko trzymani i wiedli życie nader wesołe. A jeszcze łatwiej im to przychodziło, zwłaszcza trzem naszym towarzyszom, że, będąc w przyjaźni z panem de Tréville, mieli wolność bawienia do późna poza obozem, a nawet po zamknięciu go mogli wracać, mając na to od niego pozwolenie wyłączone.

Otóż pewnego wieczoru, gdy d'Artagnan, stojący na warcie przy okopach, nie mógł im towarzyszyć, Athos, Porthos i Aramis na swoich bojowych koniach, okryci płaszczami wojskowymi, z ręką na kolbach pistoletów, powracali we trzech z małej oberży, którą Athos wynalazł przed paru dniami na drodze do La Jarie, oberży, nazwanej „Gołębnik Czerwony”. Posuwali się drogą, wiodącą do obozu, bacząc uważnie dokoła, aby nie wpaść w zasadzkę. Na jakie ćwierć mili od wioski de Boinar, zdało im się, iż słyszą zbliżający się orszak konny. Natychmiast wszyscy trzej zatrzymali się, stanęli w ścieśnionym szeregu

i oczekiwali, zajmując środek drogi.

Po niejakej chwili, ponieważ księżyc ukazał się właśnie z poza chmury, spostrzegli na zakręcie drogi dwóch jeźdźców, którzy na ich widok stanęli także, jakby się namyślając, czy jechać dalej, czy też zawrócić.

Wahanie to nasunęło niejake podejrzania trzem przyjaciółom. Athos więc wyjechał kilka kroków naprzód i głosem gromkim zawołał:

— Kto idzie?

— Kto idzie?... ja pytam — odrzekł jeden z jeźdźców.

— To nie jest odpowiedź wcale! — rzekł Athos — Kto idzie? powtarzam. Odpowiadajcie, albo damy ognia...

— Strzeżcie się panowie, namyślcie się dobrze nim strzelicie!... — odezwał się teraz głos dźwięczny, przyzwyczajony widocznie do rozkazywania.

— To jakiś oficer wyższej rangi, objeżdżający obóz z patrolem nocnym — rzekł Athos do swoich — co panowie czynić zamýślacie?...

— Coście za jedni? — mówił ten sam głos tonem rozkazującym — odpowiadajcie, albo pożałujecie ciężko nieposłuszeństwa.

— Jesteśmy muszkietierowie królewscy — rzekł Athos, coraz bardziej przekonany, iż ten, co ich wypytywał, miał do tego prawo.

— Z jakiego oddziału?

— Z oddziału pana de Tréville.

— Zbliżcie się w szeregu i zdajcie sprawę, co tu robicie o tej godzinie?

Trzej towarzysze podjechali z nosami na kwintę, albowiem wszyscy trzej przekonani byli, iż mieli do czynienia z mocniejszymi od siebie; zdali też na Athosa cały kłopot prowadzenia rozmowy.

Jeden z jeźdźców, ten, który z kolei drugi się odezwał, trzymał się na przedzie o jakie dziesięć kroków od towarzysza; Athos dał znak Porthosowi i Aramisowi, aby także zostali w tyle, a sam wysunął się naprzód.

— Wybacz, mój oficerze — zaczął — nie wiedzieliśmy z kim mamy do czynienia, lecz mogłeś sam zauważyć, iż dobrze straż pełnimy.

— Twoje nazwisko? — rzekł oficer, zakrywając płaszczem część twarzy.

— Ależ pan sam, mój panie — mówił Athos, którego to badanie burzyć poczynało — ależ pan także proszę, daj mi dowód, iż masz prawo mnie wypytywać?

— Nazwisko twoje? — powtórzył po raz drugi jeździec, opuszczając płaszcz w ten sposób, aby twarz było widać.

— Pan kardynał! — wybuchnął osłupiały muszkietier.

— Nazwisko twoje? — powtórzył po raz trzeci Jego Eminencja.

— Athos — odrzekł muszkietier.

Kardynał skinął na giermka, aby się zbliżył.

— Tych trzech muszkietierów pojedzie za nami — rzekł głosem cichym — nie chcę, aby dowiedziano się, że wyjechałem z obozu, a zabrawszy ich z sobą, będziemy pewni, że nie powiedzą o tem nikomu.

— Jesteśmy szlachtą, Wasza wielbność — odezwał się Athos — zażądaj od nas słowa honoru i nie troszcz się o nic więcej. Potrafimy dochować tajemnicy.

Kardynał zmierzył wzrokiem przesywającym śmiałego mówcę.

— Masz słuch znakomity, panie Athosie, ale teraz znów posłuchaj, co powiem: nie przez nieufność żadną proszę, abyście za mną jechali, tylko dla mego bezpieczeństwa; jeżeli się nie mylę, to z pewnością dwaj pańscy towarzysze są panowie Porthos i Aramis?

— Tak, Eminencjo — mówił Athos, gdy dwaj muszkietierowie zbliżyli się z kapelusami w rękach.

— Znam was, panowie — rzekł kardynał — znam was doskonale; wiem, że niezupełnie jesteście moimi przyjaciółmi, i przykre mi to bardzo, lecz wiem także, że jesteście dzielni i prawi szlachcice i że można wam zaufać. Panie Athosie, bądź łaskaw udać się za mną, jak i twoi dwaj przyjaciele, a wtedy będę miał eskortę, jakiej i najjaśniejszy pan mógłby mi pozazdrościć, jeżeli go przypadkiem spotkamy. Trzej muszkietierowie skłonili się jednocześnie, jak mogli najniżej.

— Na honor — odezwał się Athos — Wasza wielbność ma rację, zabierając nas z sobą; spotkaliśmy na drodze figury nader podejrzane i nawet z czterema z nich mieliśmy

zajście pod „Czerwonym Gołębnikiem”.

— Mielicie panowie zajście, o cóż wam poszło? — rzekł kardynał — nie lubię ludzi łatwych do kłótni, wiecie o tem!

— Dlatego też właśnie uprzedzam Waszą wielbność o tem, co się przytrafiło; kto inny mógłby donieść fałszywie i wina cała na nasby spadła.

— Jakież były następstwa tej zwady? — rzekł kardynał, marszcząc brwi.

— Oto obecny tutaj mój przyjaciel otrzymał lekkie draśnięcie szpadą w ramię, co mu nie przeszkodzi wcale iść jutro do szturm i wdzierać się na mury, jeżeli Wasza Eminencja rozkaże przypuścić atak.

— Ależ wy nie jesteście z takich, co to pozwalają sobie zadawać rany bezkarnie: no dalej, bądźcie otwarci, moi panowie, poczęstowaliście wy tam dobrze napastników; wyśpiewajcie się, bo wiecie, że mam prawo udzielić rozgrzeszenia.

— Ja, Eminencjo — rzekł Athos — nawet nie wydobywałem szpady, wziąłem tylko wpół tego, z którym miałem do czynienia i wyrzuciłem przez okno... Zdaje się, iż padając — ciągnął Athos z wahaniem — złamał sobie nogę.

— Aha! — mruknął kardynał — a pan Porthos co porabiał?

— Ja, Eminencjo, wiedząc, że pojedynki są zakazane, porwałem ławę jakąś i zwałem nią jednego ze zbójów... i jak mi się zdaje... krzyż mu przetrąciłem...

— Pojmuję — rzekł kardynał — a pan co, panie Aramisie?

— Ja, Eminencjo, ponieważ jestem z natury bardzo łagodny i, o czem zapewne Wasza wielbność nie wie, mam zamiar wstąpić niebawem do stanu duchownego, pragnąłem zatem przeszkodzić bójce i rozłączyć moich towarzyszy, gdy jeden z nędznych napastników podszedł mnie zdradziecko i ranił szpadą w lewe ramię. Wtedy zbrakło mi cierpliwości, wyjąłem też szpadę, a ponieważ w tej chwili łotr znowu napadał, zdaje mi się, iż poczułem, jakoby rzucając się na mnie, nadział się na szpadę, którą się zasłaniałem; wiem tylko, że upadł i że go wyniesiono razem z dwoma jego kompanami.

— A! do kaduka, moi panowie — rzekł kardynał — trzech ludzi niezdolnych do bitwy z powodu burdy karczemnej, nie próżnujcie, jak widzę; ale, z jakiego powodu powstała kłótnia?

— Nędznicy ci byli pijani — odparł Athos — a, widząc, że do oberży przybyła wieczorem kobieta, pragnęli drzwi wywalić i dostać się do niej.

— Drzwi wywalić!... — powtórzył kardynał — czegoż od niej chcieli?

— Chcieli zabawić się prawdopodobnie po swojemu — mówił Athos — miałem zaszczyt oznajmić Waszej Eminencji, iż nędznicy ci byli pijani...

— A kobieta była młoda i ładna?... — zapytał kardynał z pewną niespokojnością.

— Nie widzieliśmy jej, Eminencjo.

— Nie widzieliście jej?... o! to bardzo dobrze! — żywo podjął kardynał — mieliście słusność bronić honoru kobiety, a ponieważ ja także udaję się do oberży pod „Czerwonym Gołębnikiem”, przekonam się o prawdzie słów waszych.

— Eminencjo!... — odezwał się wyniośle Athos — jesteśmy szlachtą z urodzenia i nawet dla ocalenia głowy nie splamilibyśmy kłamstwem ust naszych.

— Ja też wierzę wam, moi panowie, i nie wątpiłem ani na chwilę, lecz — dodał, aby zmienić przedmiot rozmowy — czy dama ta była sama zupełnie?...

— Był tam jakiś mężczyzna, zamknięty z nią razemw pokoju — rzekł Athos — ponieważ jednak, pomimo hałasów i krzyków nie ukazał się wcale, można być pewnym, że jest nikczemnym tchórzem.

— Nie sądz lekkożylnie bliźniego twego, mówi Ewangelja — odparł kardynał.

Athos pochylił głowę.

— A teraz, panowie, dosyć o tem — mówił dalej Richelieu — wiem już, co chciałem wiedzieć, proszę za mną...

Trzej muszkietierowie stanęli poza kardynałem, który, zasłoniwszy twarz płaszczem, ruszył stępa, trzymając się o jakie dziesięć kroków przed swoją świtą.

Dojechali niebawem do milczącej i odludnej oberży.

Na dziesięć kroków przed drzwiami, kardynał skinął na giermka i na muszkietierów, aby się zatrzymali; koń osiodłany stał uwiązany do okiennicy zewnętrznej, kardynał uderzył w nią trzy razy, zapewne w umówiony sposób.

Mężczyzna otulony płaszczem, natychmiast wyszedł i zamienił szybko kilka słów z kardynałem; poczem odwiązał konia, wsiadł na niego i puścił się galopem w kierunku Surgeres, a może Paryża.

— Prawdą jest, coście mi opowiadali — dodał, zwracając się do trzech muszkieterów — nie moja będzie winą, jeżeli nasze spotkanie dzisiejsze nie wyjdzie wam na korzyść; tymczasem proszę za mną.

Oberżysta stał we drzwiach; dla niego kardynał był oficerem, odwiedzającym przejeżdżną damę.

— Czy masz pan jaki pokój na dole, gdzieby ci panowie mogli poczekać na mnie przy dobrym ogniu na kominku? — zapytał kardynał.

Gospodarz otworzył drzwi dużej izby, gdzie właśnie piec stary i popsuty zastąpiono dużym i doskonałym kominem.

— Mam tę izbę wolną — odpowiedział.

— Dobrze — rzekł kardynał — wejdźcie tam, panowie, i bądźcie łaskawi czekać na mnie; za pół godziny będę z powrotem.

Gdy nasi muszkieterowie wchodzili do pokoju na dole, kardynał, nie żądając żadnych objaśnień, wstąpił na schody i szedł śmiało, jak człowiek dobrze znający drogę.

ROZDZIAŁ XVII. POŻYTEK Z LUFTÓW PIECA

Widoczne było, iż powodowani rycerskością jedynie i usposobieniem awanturczym trzech nasi przyjaciele, nie przypuszczając tego nawet, wyświadczyli przysługę osobie, którą kardynał zaszczycał szczególną swoją protekcją.

Kto to mógł być mianowicie?... To pytanie zadali sobie trzech muszkieterowie; następnie widząc, iż żadna odpowiedź, jaka im przychodzi, nie zadawała ich bynajmniej, Porthos przywołał gospodarza i kazał przynieść gości do gry.

Porthos i Aramis zasiedli zaraz przy stole i zaczęli grać w najlepsze, Athos chodził po pokoju i rozmyślał.

Chodząc tak i rozmyślając, Athos mijał i znów przechodził koło rozebranego, sterczącego w murze, luftu od pieca, którego drugi koniec dotykał pokoju nad nimi położonego; za każdym razem, gdy mijał ową rurę, słyszał wyraźnie szmer rozmowy, co na koniec zwróciło jego uwagę.

Zbliżył się zatem i odróżnił parę słów, które, jak sądził, wielką miały doniosłość, skinął więc na towarzyszy, aby się uciszyli, a sam, pochylony, przyłożył ucho do otworu dolnego.

— Słuchaj dobrze, milady — mówił kardynał — sprawa jest wielkiego znaczenia, usiądź no i pogadajmy.

— Milady — mruknął Athos.

— Słucham waszą Eminencję z jak największą uwagą — odpowiedział głos kobiecy, na którego dźwięk Athos zatrzęsł się cały.

— Nieduży statek z załogą angielską, z kapitanem, zupełnie mi oddanym, oczekuje na ciebie przy ujściu rzeki Charente, obok warowni La Pointe; rozwinie on żagle jutro przede dniem.

— Czy mam się tam udać dziś zaraz w nocy?...

— Zaraz, natychmiast, to jest, gdy wysłuchasz moich zleceń. Wychodząc stąd, znajdziesz dwóch ludzi przy bramie, służyć ci oni będą za eskortę; ja wpierw się stąd oddalę, ty zaś po mnie w pół godziny.

— Rozumiem, Eminencjo. Wróćmy teraz do posłannictwa, jakie raczysz mi zlecić; a ponieważ pragnę i nadal zasługiwać na zaufanie Waszej Eminencji, racz mi wyłożyć jasno i zwięźle, co mam robić, abym nie popełniła omyłki.

Nastała cisza chwilowa; kardynał widocznie namyślał się, jak mówić, a milady skupiała władze umysłu, aby zrozumieć dokładnie i wyryć sobie w pamięci słowa kardynała.

Athos skorzystał z chwili milczenia i kazał towarzyszom zamknąć drzwi od wewnątrz, a potem przyjść i słuchać z nim razem.

Muszkieterowie, lubiący wygodę przysunęli krzesła dla siebie i Athosa. Wszyscy trzej usiedli następnie i przyłożyli uszy do otworu.

— Pojedziesz do Londynu — zaczął kardynał — i udasz się prosto do Buckinghamia.

— Ośmielałam się zwrócić uwagę Eminencji — rzekła milady — że od czasu sprawy z zapinkami brylantowymi, o którą książe mnie podejrzewał, wystrzega on się mnie

okrutnie.

— Tym razem — mówił kardynał — nie idzie wcale o zdobywanie zaufania; powinnaś przedstawić się księciu szczerze i uczciwie, jako pośredniczka.

— Szczerze i uczciwie — powtórzyła milady tonem, niewypowiedzianie dwuznacznym.

— Tak jest, szczerze i uczciwie — ciągnął kardynał tym samym tonem — całe to rokowanie musi być prowadzone jawnie.

— Wykonam dosłownie polecenia Waszej Eminencji, czekam teraz na rozkazy.

— Pójdiesz do Buckinghamu i oznajmisz, że ja cię przysyłam; powiesz mu, iż wiem o wszystkich przygotowaniach, przez niego czynionych, i wcale ich się nie boję, bo za pierwszym poruszeniem z jego strony zgubię królową bezpowrotnie.

— Czy on uwierzy, iż Wasza Eminencja jest w możności wykonać tę groźbę?

— Uwierzy, bo mam dowody w rękach.

— Potrzeba zatem, abym mu je przedstawiła?

— Bezwątpienia; powiesz mu także, że ogłoszę doniesienia Bois-Roberta i margrabiego de Beautru o spotkaniu się księcia z królową u pani konetablowej owego pamiętnego wieczoru, gdy ta pani wydawała bal maskowy. Powiesz mu, że wcale nie wątpię, iż był tam przebrany za Wielkiego Mogoła; kostjum ten miał przywdziać kawaler Gwizjusz, a książę odkupił go od niego za trzy tysiące pistołów.

— Dobrze, Eminencjo.

— Opowiesz mu wszystkie szczegóły wejścia i wyjścia nocnego z zamku królewskiego, gdzie się wcisnął przebrany za wróżbiarza Włocha; dodasz także, aby nie wątpił o prawdziwości moich wiadomości, iż miał ukrytą pod płaszczem długą białą szatę, usianą w deseń łez czarnych, głów trupich i kości, na krzyż złożonych: ponieważ, w razie wypadku niespodzianego, chciał uchodzić za ducha Białej Damy, ukazującej się, jak wiadomo, w Luwrze, przed każdym wypadkiem wielkiej doniosłości.

— Czy to już wszystko, eminencjo?

— Powiedz mu, że znam także szczegóły spotkania w Amiens, że zrobię z tego małą powiastkę romantyczną, dowcipnie ułożoną, z planem ogrodu i portretami głównych działaczy w awanturze nocnej.

— Powiem mu wszystko.

— Powiedz, że ująłem Montaigu, że trzymam go w Bastylji, że nie znaleziono przy nim żadnego dokumentu, lecz że tortura rozwiąże mu usta, i wyda on wszystko, co wie... a nawet to, o czym nigdy nie wiedział.

— Słucham, Eminencjo.

— Nakoniec dodaj, że książę miłościwy, opuszczając wyspę Ré, zapomniał w pośpiechu zabrać z mieszkania swojego pewnego liściku pani de Chevreuse, a liścik ten w dziwny sposób kompromituje królowę, wykazując jasno, iż Jej Królewska Mość nie tylko jest zdolna kochać nieprzyjaciół króla, ale w dodatku spiskuje z wrogami Francji. Czy dobrze zapamiętałaś wszystko, co mówiłem?

— Niech Wasza Eminencja osądzi: bal u pani konetablowej; wycieczka nocna do Luwru; wieczór spędzony w Amiens; schwytanie Montaigu; list pani de Chevreuse.

— Dobrze — rzekł kardynał — nic nie brakuje: masz doskonałą pamięć, milady.

— Jednak — podjęła ta, do której kardynał odezwał się w sposób tak pochlebny — jeżeli pomimo wszystko książę nie ulegnie i będzie w dalszym ciągu groził Francji?

— Książę jest zakochany, jak warjat, lub raczej, jak mazgaj — ciągnął Richelieu z goryczą — na wzór dawnych błędnych rycerzy wszczął wojnę obecną po to jedynie, aby otrzymać jedno spojrzenie uwielbianej piękności. Gdy przekona się, że wojna ta odbierze honor, a może i wolność władczyni myśli jego, jak się on wyraża, przysięgam ci, że zachwieje się w zamiarach.

— A jednak — mówiła milady z wytrwałością dowodzącą, że chciała zbadać dokładnie sprawę, którą jej polecono — gdyby po tem wszystkiem obstawał jeszcze przy swoim?

— Gdyby się jeszcze upierał... nie, nie, to niepodobna...

— To bardzo prawdopodobne — rzekła milady.

— Gdyby trwał przy swoim... — Jego Eminencja zatrzymał się, a po chwili zaczął: — Gdybyś przekonać go nie zdołała, w takim razie położę nadzieję całą w wypadku, w zdarzeniu, zmieniającem zwykle postać rządów...

— Gdyby Wasza Eminencja zechciał mi przytoczyć z historii choć jeden wypadek podobny — odezwała się milady — może i ja podzieliłabym także zaufanie jego do przyszłości.

— Więc słuchaj... oto na przykład — rzekł Richelieu — gdy w roku 1610, z podobnej przyczyny, jaka podnieca księcia Buckingham, król Henryk IV, zaszczytnej pamięci, szedł opanować jednocześnie Flandrję i Włochy, aby z dwóch stron następnie uderzyć na Austrię, czyż nie nastąpił wypadek, który Austrię zbawił?... Dlaczegożby król Francji nie mógł mieć tego szczęścia, co cesarz?

— Wasza Eminencja chce mówić o uderzeniu nożem przy ulicy de la Ferronnerie?

— Tak, właśnie — odparł kardynał.

— Czy wasza wielbność nie boi się, że skazanie na śmierć Ravaillaca nie odstraszy tych, co mieliby ochotę wejść w jego ślady?

— Po wszystkie czasy i we wszystkich krajach, tam zwłaszcza, gdzie ludność dzielą uczucia religijne, znajdują się fanatycy, pragnący stać się męczennikami. Otóż rzeczywiście przypominam sobie w tej chwili, że purytanie wściekli są na księcia Buckingham, a ich kaznodzieje wskazują nań, jako na Antychrysta.

— Więc cóż z tego? — przerwała milady.

— Otóż — mówił dalej kardynał tonem obojętnym — wypadaloby teraz, na przykład, znaleźć kobietę piękną, młodą i zreczną, która miałaby powód do zemsty osobistej na księciu. Kobietę taką możnaby łatwo spotkać; książę jest człowiekiem szczęśliwym do kobiet i, jeżeli nie budził uczuć miłosnych obietnicami stałości wiecznej, musiał w jednym sercu wzniecić nienawiść przez nieustanne wiarołomstwa.

— Zapewne — rzekła milady chłodno — kobietę taką możnaby napotkać.

— Otóż kobieta, któraby dała w rękę nóż Jakóba Clément, lub Ravaillaca fanatykowi, zbawiłaby Francję.

— Tak, lecz zostałaby współniczką zbrodni.

— A czy zna ktokolwiek współników Jakóba Clément lub Ravaillaca?

— Nie, bo może stali oni zbyt wysoko, aby się ośmielono aż tam ich szukać: nie podpala się Pałacu Sprawiedliwości dla byle kogo, Eminencjo.

— Więc sądzisz, że Pałac Sprawiedliwości spłonął nie trafem jedynie nieszczęśliwym? — zapytał Richelieu obojętnie, jak gdyby to była kwestja bez żadnego znaczenia.

— Ja, Eminencjo — odpowiedziała milady — ja nic nie sądzę, fakt przytaczam, nic więcej; dodam tylko, że gdybym nazywała się panną de Montpensier, lub królową Maryą Medicis, nie potrzebowałabym być tak ostrożna, jak, nazywając się poprostu lady Claric.

— Słusznie — rzekł Richelieu — czegoż więc żądasz?

— Pragnę rozkazu, potwierdzającego z góry wszystko, co uznam, iż powinnam uczynić dla dobra Francji.

— Trzeba najpierw znaleźć kobietę, o jakiej mówiłem, która miałaby urazę śmiertelną do księcia.

— Już ją znalazłam — rzekła milady.

— Następnie trzeba wyszukać podłego fanatyka, chcącego służyć za narzędzie sprawiedliwości bożej.

— I to się znajdzie.

— Wtedy — mówił kardynał — będzie pora dopiero wymagać rozkazu, jakiego żądasz obecnie.

— Wasza Eminencja ma rację — rzekła milady — to ja byłam w błędzie, widząc w poleceniu, jakim mnie zaszczyca, coś innego, niż jest ono w rzeczywistości, bo mam tylko oznajmić księciu od Eminencji, że zna wszystkie przebrania, z pomocą których zdołał on zbliżyć się do królowej na balu u pani konetablowej; że Eminencja posiada dowody widzenia się jego z królową w Luwrze, w kostjumie astrologa Włocha, że ukaże się romans bardzo dowcipny o awanturze w Amiens, z planami i portretami; że Montaignu siedzi w Bastylji i tortura przypomni mu, co zapomniał; наконец, że masz w ręku list pani de Chevreuse, kompromitujący ją i królową. Następnie, jeżeli pomimo wszystko ktoś zostanie niezłomny, to ponieważ misja moja tu się kończy, pozostanie mi tylko prosić Boga, aby cud uczynił dla ocalenia Francji. Wszak to mam zrobić, Eminencjo, i nic innego nie przedsiębrać?

— To tylko jedynie — odparł kardynał zimno.

— Obecnie — mówiła miłady, nie zwracając uwagi na raptowną oziębłość kardynała — obecnie, gdy już otrzymałam instrukcje od Waszej Eminencji co do postępowania z jego nieprzyjaciółmi, czy pozwoli mi wasza wielbność powiedzieć słów parę o moich znów wrogach?

— Więc pani masz wrogów? — zapytał Richelieu.

— Tak, panie; mam wrogów, przed którymi powinieneś mnie bronić, bo zrobiłam ich sobie, służąc Waszej Eminencji.

— Cóż to za jedni? — zapytał książę.

— Pierwszy — to mała kupcowa, znana intrygantka, nazywa się Bonacieux.

— Ona jest przecież zamknięta w więzieniu w Mantes.

— To jest była tam rzeczywiście, lecz królowa wyjednała rozkaz od króla i przeniosła ją do klasztoru.

— Do klasztoru? — zapytał książę.

— Tak, mam wiadomość pewną, że do klasztoru.

— Do którego?

— Nie wiem, tajemnica zachowana jest ściśle.

— O! ja będę wiedział!

— A czy Wasza Eminencja powie mi, w którym klasztorze ta kobieta się znajduje?

— Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym tego zrobić.

— Dziękuję za jedno, lecz mam drugiego wroga o wiele niebezpieczniejszego, niż pani Bonacieux.

— Któż to jest?

— Jej kochanek.

— Jak on się nazywa?

— O! Wasza wielbność zna go doskonale — krzyknęła miłady uniesiona gniewem — to nasz wspólny zły duch, to on w spotkaniu z gwardją Waszej Eminencji przechylił zwycięstwo na stronę muszkietierów królewskich; to on przebił szpadą trzykrotnie de Wardes'a, wysłańca Eminencji, to z jego winy nie udała się sprawa z brylantami; on to na koniec, wiedząc, że to ja porwałam panią Bonacieux, zaprzysiął mi śmierć.

— Aha! — rzekł kardynał — wiem już, o kim chcesz mówić.

— Ja mówię o tym łotrze, d'Artagnanie.

— To dzielny młodzieniec — rzekł kardynał.

— Dlatego właśnie, że taki dzielny, jest tem niebezpieczniejszy.

— Trzebaby posiadać dowody porozumiewania się jego z księciem Buckinghamem.

— Dowody! mam ich dziesięć!

— W takim razie to bardzo łatwo, pokaż mi je, a wyślę go do Bastylji.

— Dobrze Eminencjo! a co potem?

— Kto się dostanie do Bastylji, niema dla takiego przyszłości — rzekł kardynał ponuro. — O! na Boga, gdyby mi tak łatwo przychodziło pozbyć się moich wrogów, jak twoich osobistych, i gdybyś tylko o takich ukaranie prosiła...

— Eminencjo, sztuka za sztukę, życie za życie, człowiek za człowieka; oddaj mi tego, ja ci tamtego oddam.

— Nie wiem, co chcesz powiedzieć — odparł kardynał — nawet wiedzieć nie chcę; chcę ci się przysłużyć i nie widzę nic niestosownego w daniu ci tego, czego pragniesz, dla ukarania tak nieznacznej osobistości; tembardziej, że, jak powiadasz, d'Artagnan jest bezbożnikiem, pojedynkowiczem i zdrajcą.

— Pozbawiony czci wszelkiej, Eminencjo... podły...

— Podaj mi papier, pióro i atrament — rzekł kardynał.

— Oto jest, Eminencjo.

Nastąpiła cisza chwilowa, dowodząca, iż Richelieu namyślał się, co ma pisać. Athos nie stracił ani słowa z rozmowy, wziął teraz za ręce przyjaciół i pociągnął w drugi koniec pokoju.

— Czego chcesz? — odezwał się Porthos — czemu nie pozwalasz nam słuchać dalej.

— Sza! — rzekł Athos po cichu — słyszeliśmy wszystko, co potrzeba; wreszcie nie bronie wam słuchać, tylko sam wyjść stąd muszę.

— Chcesz wyjść — rzekł Porthos — lecz jeżeli kardynał cię zawezwie, cóż mu odpowiemy?

— Nie czekajcie aż mnie zawoła, powiedzcie mu pierwsi, iż wyjechałem na zwiady, ponieważ ze słów gospodarza zmiarkowałem, że drogi nie są bezpieczne; powiem też słów parę giermkowi kardynała; reszta do mnie należy, bądźcie spokojni.

— Bądź ostrożny, Athosie! — rzekł Aramis.

— Nie turbujcie się — wiecie, że mam krew zimną.

Porthos i Aramis usiedli napowrót przy lufcie piecowym. Athos zaś wyszedł śmiało, nie kryjąc się wcale, odwiązał konia od kółka przy okiennicy, przekonał kilkoma słowami giermka o potrzebie pojechania naprzód, obejrzał starannie proch na panewce pistoletu, wziął szpadę w zęby i poleciał, jak potępieniec, drogą, prowadzącą do obozu!

ROZDZIAŁ XVIII. SCENA MAŁŻEŃSKA

Jak to Athos przewidział, kardynał, niedługo poczekawszy, zszedł z góry, zajrzał do pokoju, gdzie byli muszkietierowie i zastał Porthosa, grającego zawzięcie w kości z Aramisem. Spojrzał szybko po wszystkich kątach sali i przekonał się, że brakuje jednego z muszkietarów.

— Gdzie się podział pan Athos?... — zapytał.

— Eminencjo — odrzekł Porthos — z opowiadań oberżysty nabrał on przekonania, iż drogi nie są bezpieczne i pojechał przodem na zwiady.

— A panowie coście przez ten czas porabiali, panie Porthosie?

— Ja wygrałem pięć pistoletów od Aramisa.

— A teraz, czy jesteście gotowi powracać ze mną razem?

— Jesteśmy na rozkazy Waszej Eminencji.

— Na koń zatem, panowie, bo już późno.

Giermek oczekiwał kardynała przy drzwiach oberży.

Giermek potwierdził wszystko, co mówili muszkietierowie, z powodu wyjazdu Athosa. Kardynał skinął ręką na znak zadowolenia, wspiął konia i ruszył z równymi ostrożnościami, jak kiedy tu jechał.

Athos tymczasem pędził co koń wyskoczy, lecz, oddaliwszy się tak, iż pewnym był, że go nikt nie dojrzy, zwrócił na prawo, objechał dokoła, znalazł się z powrotem o dwadzieścia kroków od karczmy i, ukryty w gęstwinie drzew, czatował na ukazanie się orszaku. Poznawszy kapelusze z galonami towarzyszy swoich i płaszcz, bramowany frendzlą złotą, pana kardynała, poczekał aż jeźdźcydotrą do skrzyżowania drogi, a gdy stracił ich z oczu, powrócił cwałem do oberży, gdzie go wpuszczono bez trudności.

— Mój oficer — rzekł Athos do oberżysty — zapomniał o ważnym zleceniu dla damy z pierwszego piętra i przysłał mnie do niej.

— Wejść pan — odparł gospodarz — jest ona jeszcze w swoim pokoju.

Athos skorzystał z pozwolenia, lekkim krokiem przebiegł schody i dopadł uchylonych drzwi w chwili, gdy milady kładła już kapelusz na głowę. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą. Na odgłos klucza w zamku, milady się odwróciła.

Athos stał przy drzwiach, owinięty płaszczem, w kapeluszu na oczy nasuniętym.

— Kto pan jesteś? czego tu chcesz?... — zawołała.

— O! to ona!... — mruknął Athos.

I, zrzucając płaszcz, oraz podnosząc kapelusz, postąpił ku milady.

— Poznajesz mnie pani?... — zapytał.

Milady zrobiła krok naprzód, następnie cofnęła się, jak gdyby węża ujrzała.

— No, no — mówił Athos — cieszę się, bo widzę, żeś mnie poznała.

— Hrabia de La Fère!... — szeptała milady, blednąc i cofając się do ściany.

— Tak, milady — odrzekł Athos — hrabia de La Fère, we własnej postaci, który przybył umyślnie z końca świata, aby mieć przyjemność ujrzeć panią. Usiądź pani i porozmawiajmy, jak mówi pan kardynał.

Milady, skamieniała z przerażenia, usiadła, nie wyrzekłszy ani jednego słowa.

— Jesteś szatanem wysłanym z piekła na ziemię!... — rzekł Athos. — Władza twoja jest wielka, wiem o tem; lecz z pomocą Boga, ludzie uczciwi dają radę i takim jak ty potworom. Raz już znalazłaś się na mej drodze; byłem pewny, iż pozbyłem się ciebie skutecznie, lecz omyliłem się widać, lub może piekło nie chciało cię przyjąć.

Milady, po tych słowach, przywodzących wspomnienia okrutne, opuściła głowę z głuchym jękiem.

— Sądziłaś, że nie żyję prawda? tak, jak ja pewny byłem, żeś umarła? imię Athosa zastąpiło nazwisko hrabiego de La Fère, tak samo, jak lady Clarick zastąpiła Annę de Bucil! Wszak się tak nazywałaś, gdy brat twój czcigodny błogosławił nasz związek?

— Lecz ostatecznie — mówiła milady głosem, przez strach stłumionym — co cię sprowadza? czego chcesz ode mnie? Wiesz zatem, co robiłam?

— Opowiedzieć ci mogę dzień po dniu od czasu, gdyś się zaciągnęła w służbę kardynała

Uśmiech niedowierzania przemknął po wargach zbielejących milady.

— Jeśli nie wierzysz, to posłuchaj: ty obcięłaś zapinki djamentowe z ramienia księcia Buckingham: ty kazałaś porwać panią Bonacieux; zakochana w panu de Wardes, i sądząc, że z nim noc spędzisz, wpuściłaś pana d'Artagnan; ty także, myśląc, że de Wardes cię oszukał, chciałaś, aby go rywal jego zabił; a kiedy ten rywal odkrył twoją tajemnicę haniebną, pragnęłaś i jego się pozbyć, nasyłając dwóch podłych na niego morderców, a zobaczywszy, że kule nie trafiły, posłałaś mu wina zatrutego wraz z fałszywym listem, aby ofiara twoja sądziła, że wino to pochodzi od przyjaciół. Nakoniec dziś w tym pokoju, siedząc na tem samym krześle, przyrzekłaś kardynałowi Richelieu zabić księcia Buckingham: wzamian za dane ci pozwolenie zamordowania d'Artagnana.

Milady stała się teraz sina.

— Chyba szatanem jesteś?... — wyrzekła.

— Może być — odparł Athos — w każdym razie słuchaj i pamiętaj dobrze, co teraz powiem: zabij sama lub każ zamordować księcia Buckingham, mało mnie to obchodzi! nie znam go: w dodatku jest Anglikiem; lecz nie waż się tknąć ani włosa z głowy d'Artagnana, który jest przyjacielem moim wiernym i którego bronić będę, albo przysięgam na głowę ojca mojego, zbrodnia ta byłaby twoją ostatnią...

— Pan d'Artagnan, ciężko mnie obraził — rzekła milady glucho.. — Pan d'Artagnan umrze.

— Nie wiedziałem doprawdy, że panią może coś jeszcze obrażać — rzekł, śmiejąc się Athos — a więc on miał nieszczęście ją obrazić i umrze?

— Umrze — odparła milady — najpierw ona, potem on...

Athosa szal ogarniał; widok tej istoty, pozbawionej kobiecości, przywiódł mu na pamięć zdarzenia okropne, wspomniął, że kiedyś w położeniu mniej niebezpiecznym, niż obecnie, chciał ją poświęcić dla zachowania czystości honoru swego; pragnienie krwi tej kobiety powróciło mu palące, i opanowało jak gorączka, wstał, wyjął pistolet z za pasa i nabił go...

Milady, jak trup blada, chciała krzyknąć, lecz głos jej zamarł; wydawała jedynie jęki nieludzkie, podobne do chrapania dzikiego zwierza.

Przytulona do ściany, na tle obicia ciemnego, z włosem rozwianym, wyglądała, jak obraz trwogi i okrutnego przerażenia. Athos podniósł wolno pistolet, wyciągnął rękę i dotknął lufą czoła milady, następnie głosem spokojnym, zdradzającym postanowienie nieodwołalne, rzekł:

— Pani, oddaj mi natychmiast papier, podpisany przez kardynała, albo na mą duszę w łeb ci wypalę.

— Zdecyduj się, zostawiam ci sekundę czasu.

Milady widziała po skurczeniu jego twarzy, że strzał padnie; wyjęła szybko papier z za stanika i podała Athosowi.

— Masz — rzekła — i bądz przeklęty!

Athos, schował pistolet za pas, wziął papier, — dla przekonania się, czy to ten sam, rozwinął go i czytał:

„Z mojego rozkazu i dla dobra państwa okaziciel niniejszego zrobił to, co zrobił.

3 grudnia 1627 roku.

Richelieu”.

— A teraz — rzekł Athos, wdziewając płaszcz i kładąc kapelusz na głowę — teraz gdy ci żądło wyrwałem, żmijo jadowita, kasań, jeżeli możesz.

I wyszedł z pokoju, nie obejrząwszy się nawet.

Przy bramie zastał dwóch ludzi, trzymających konie w pogotowiu.

— Panowie — rzekł — znacie rozkazy Eminencji, odprowadzicie tę damę do fortecy La Pointe, a nie wolno wam jej opuścić, dopóki nie wsiądzie na pokład okrętu.

Skłonili głowami na znak posłuszeństwa.

Athos zaś skoczył lekko na siodło i ruszył z kopyta; zamiast jednak udać się drogą do obozu, poleciał przez pola, zatrzymując się od czasu do czasu i nasłuchując.

Nareszcie doszedł go odgłos kopyt końskich. Nie wątpił już, że to kardynał i jego orszak. Wtedy puścił się jeszcze przed siebie, potem zatrzymał się, otarł pot z konia trawą i liśćmi z drzew i stanął w poprzek drogi na dwieście kroków od obozu.

— Kto idzie?... — zawołał, gdy jeźdźcy się ukazali.

— A! to nasz dzielny muszkieter zapewne tam stoi — rzekł kardynał.

— Tak, Eminencjo — odpowiedział Porthos — to on.

— Panie Athosie — rzekł Richelieu — przyjm sedeczne podziękowanie za dobrą wolę, nam okazaną. Panowie, jesteście już na miejscu, skierujcie się do bramy na lewo, hasło: *Król i Ról!*

Mówiąc to, kardynał skłonił głowę, na znak pożegnania, skręcił na prawo, i, mając giermka za sobą, udał się także do obozu, gdyż noc tę miał tam przepędzić.

— No cóż? — zapytali razem Porthos i Aramis, gdy ich kardynał nie mógł już słyszeć — czy podpisał papier, przez nią żądany?

— Tak — odrzekł Athos spokojnie — mam go już przy sobie.

Trzej przyjaciele nie odezwali się więcej do siebie, jechali w milczeniu aż do swej kwatery, raz tylko przemówiwszy, gdy straż o hasło pytały.

Posłano natychmiast Mousquetona, aby powiedział Planchetowi, że pan jego jest usilnie proszony, aby, gdy zejdzie z posterunku przy okopach, przybył w tej chwili do mieszkania muszkieterów.

Ze swej strony milady, jak to Athos przewidział, udała się bez oporu za swymi towarzyszami; miała wprawdzie ochotę kazać się zaprowadzić do kardynała i opowiedzieć mu wszystko, lecz odkrycie prawdy przez nią pociągnęłoby to samo ze strony Athosa: doniosłaby, że Athos ją powiesił, lecz on za to wydalby, że jest piętnowana.

Zdecydowała się zatem nic nie mówić i wyjechać z zachowaniem wszelkich ostrożności, dokonać ze zwykłą zręcznością trudnego dzieła, którego się podjęła, a następnie, spełniwszy wszystko ku zadowoleniu kardynała, stanąć przed nim i dopomnieć się o pomoc w zemście osobistej.

Wskutek tego postanowienia, po całonocnej podróży, o siódmej rano, była już w La Pointe, o ósmej wsiadła na okręt, o dziewiątej tenże okręt z listami polecającymi od kardynała, mając niby płynąć do Bayonny, podnosił kotwicę i rozwijał żagle ku Anglii.

ROZDZIAŁ XIX. BASTION ŚWIĘTEGO GERWAZEGO

Gdy d'Artagnan stawił się na wezwanie, zastał trzech przyjaciół zebranych w jednym pokoju: Athos rozmyślał, Porthos wąsy podkręcał, Aramis modlił się z prześlicznej księżeczki, oprawnej w błękitny aksamit.

— Na imię boskie! panowie — odezwał się — spodziewam się, że to, co usłyszę, warte jest zachodu, w przeciwnym razie uprzedzam, nie daruję wam tego; kazać mi przychodzić, zamiast zostawić w spokoju po nocy, spędzonej na szturmie do bastjonu, zdobyciu go i następnie zburzeniu... O! czemuż was tam nie było, panowie, gorącą mieliśmy rozprawę.

— Byliśmy gdzieś indziej, tam nie było też wcale zimno — odpowiedział Porthos, podkręcając wąsa, właściwym sobie sposobem.

— Sza!... — rzekł Athos.

— Oho! — mówił d'Artagnan, zrozumiawszy lekkie zmarszczenie brwi muszkietera — pokazuje się, iż mamy znów coś nowego.

— Aramis — zaczął Athos — byłeś podobno wczoraj na śniadaniu w oberży „Parpaillot?”

— Tak.

— Jakże ci się tam podobało?

— Bardzo niedobre jadłem śniadanie; onegdaj był dzień postny, a zastałem jedynie mięso.

— Jak to może być? — rzekł Athos — w porcie morskim nie mają ryb?

— Utrzymują — odparł Aramis, zatapiając się napowrót w modlitwie — że tama, którą każe wznosić pan kardynał, wypłasza je na pełne morze.

— Nie o to się pytałem — podjął Athos — pytałem, czy byłeś tam swobodny, czy nikt ci nie przeszkadzał?...

— Zdaje mi się, że oberża nie jest bardzo uczęszczana; tak, pewny jestem, że dla pogadania na osobności będzie nam wcale niezłe w „Parpaillot”.

— Idźmy więc do „Parpaillot”, bo tutaj ściany są, jak papier cienkie.

D’Artagnan, obyty ze sposobem postępowania przyjaciela, a nauczył się poznawać ze słowa jednego, z gestu, ze znaku najmniejszego ważność okoliczności, wziął Athosa pod rękę i wyszedł z nim, nic nie mówiąc; Porthos udał się za nimi, gawędząc z Aramisem.

Spotkano w drodze Grimauda; Athos dał znak, aby się zbliżył. Grimaud, podług zwyczaju, usłuchał w milczeniu; biedny chłopak zapomniał już prawie mówić.

Przybyli do oberży „Parpaillot”; była siódma zrana; zaczynało świtać; trzech przyjaciół zadysponowało śniadanie i udało się do sali, gdzie, jak zapewniał gospodarz, nikt im nie przeszkodzi.

Na nieszczęście, złą godzinę wybrali na schadzkę; właśnie bębniiono na poranny cap-strzyk, każdy zrywał się po nocnym śnie, i, aby się wytrzeźwić i rozgrzać, przychodził wychylić miarkę w oberży; dragoni, szwajcarzy, gwardziści, muszkietierowie, lekka kawalerja — zmieniali się, jak w kalejdoskopie, ku wielkiemu zadowoleniu oberżysty, lecz wcale nie na rękę naszym przyjaciołom.

Odpowiadali też bardzo chłodno na powitania, zaczepki i żarty przybywających panów.

— Widzę już — odezwał się Athos — że dopytamy się tutaj jakiej dobrej awantury, a nie potrzebna nam wcale w tej chwili. D’Artagnan, opowiedz nam, coś robił w nocy; my zaś później ci opowiemy.

— Czy w istocie — zaczął jeden z kawalerzystów, przestępując z nogi na nogę, ze szklanką wódki w ręce, którą cedził powoli — czy w istocie byliście na wałach tej nocy, panowie gwardziści? zdaje mi się, że mieliście na pieńku z roszelczykami?

D’Artagnan spojrzał pytająco na Athosa, czy ma odpowiedzieć natrętowi, mieszającemu się nieproszenie do rozmowy, czy też nie.

— No, cóż — odezwał się Athos — czy nie słyszysz pan de Busigny raczy przemawiać do ciebie? Opowiedz, co było tej nocy, kiedy panowie tego pragną.

— Podobno bastjon zdobyliście? — zapytał szwajcar, który pił rum kuflem od piwa.

— Tak, panie — odrzekł d’Artagnan — mieliśmy ten zaszczyt; podłożyliśmy nawet pod jeden węgiel baryłkę prochu, który, wybuchając, wysadził go w powietrze, a reszta budynku została porządnie zachwiana.

— Któryż to bastjon? — zapytał dragon, trzymając zatkniętą na końcu szpady gęś, którą przyniósł, aby mu ją upieczono.

— Bastjon świętego Gerwazego, — odparł d’Artagnan — z poza którego roszelczycy niepokoiłi naszych robotników.

— A ciepło tam było?

— O! i bardzo; straciliśmy pięciu ludzi, roszelczycy ośmiu czy dziesięciu.

— Sacrébleu! — wykrzyknął szwajcar, który pomimo obfitego repertuaru wymyśłów w języku niemieckim miał zwyczaj kląć po francusku.

— Prawdopodobnie — przerwał kawalerzysta — zaraz dziś rano przysłą pionierów i naprawią bastjon.

— Tak, być może — dodał d’Artagnan.

— Panowie! — odezwał się Athos — idźmy o zakład.

— A, tak! o zakład! — rzekł szwajcar.

— O jaki? — zapytał kawalerzysta.

— Czekajcie! — przerwał dragon, zasadzając szpadę, jak rożen, na hakach żelaznych, wbitych w mur komina — domyślam się, o co wam chodzi... Gospodarzu przeklęty! przynos natychmiast patelnię, nie chcę stracić ani kropelki tłuszczu z tego szacownego ptaszka.

— Masz rację — dodał szwajcar — szmalec gęsi wyborny jest z konfiturami.

— Dobrze już — rzekł dragon, podstawiając patelnię. — Teraz zobaczymy, o co zakład idzie. Panie Athosie, słuchamy!...

— Tak, słuchamy!... — potwierdził kawalerzysta.

— Otóż, panie Busigny, zakładam się z tobą — rzekł Athos — że moi towarzysze, panowie Porthos, Aramis, d'Artagnan i ja, zjemy śniadanie w bastjonie świętego Gerwazego i pozostaniemy tam przez godzinę, z zegarkiem w ręku, nie zważając na usiłowania nieprzyjaciela, aby nas stamtąd wysadzić.

Porthos i Aramis spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Czy wiesz? — szepnął d'Artagnan do ucha Athosowi — że prowadzisz nas na niechybną śmierć.

— Większe daleko niebezpieczeństwo nam grozi — odrzekł Athos — jeżeli tam nie pójdziemy.

— Na honor! panowie — zawołał Porthos, rozwalając się na krześle i podkreślając wężem — oto mi zakład, co się nazywa!...

— Przyjmuję — rzekł de Busigny — idzie tylko obecnie o ustanowienie stawki.

— Panów jest czterech — mówił Athos — i nas czterech; zatem obiad na ośmiu, przystajecie panowie?...

— Z ochotą — odparł de Busigny.

— Doskonale — dodał dragon.

— Zgadzam się — rzekł szwajcar. Czwarty słuchacz, milczący podczas całej tej rozmowy, i teraz skinął jedynie na znak zgody.

— Śniadanie dla panów gotowe — zawołał gospodarz.

— Przynies je tutaj — rzekł Athos.

Oberżysta wykonał rozkaz. Athos skinął na Grimauda, wskazał mu duży koszyk w kącie izby i objaśnił gestem, że trzeba zawinąć mięso w serwety.

Grimaud domyślił się zaraz, że chodzi o śniadanie na świeżem powietrzu; wziął koszyk, zapakował mięso, dołożył butelki i cały pakunek przewiesił na ręce.

— Gdzie panowie spożyją swoje śniadanie? — zapytał gospodarz.

— Co ci do tego, — rzekł Athos — jeżeli ci zapłacę?...

I cisnął majestatycznie na stół dwa pistole.

— Czy dać reszty, panie oficerze?

— Nie; dodaj tylko dwie butelki wina szampańskiego, a reszta za serwety.

Gospodarz nie tak znów świetny interes zrobił, jak myślał z początku, nagrodził jednak sobie, kładąc do kosza wino andegaweńskie, zamiast szampańskiego.

— Panie de Busigny, — odezwał się Athos — czy pozwolisz nastawić swój zegarek podług mojego, albo mój podług twojego?

— Z chęcią — odparł zapytany, wyjmując z kieszeniod kamizelki przepyszny złoty zegarek, wysadzany brylantami — obecnie wpół do ósmej.

— Siódma i trzydzieści pięć minut — rzekł Athos — wiadomo teraz, że zegarek mój śpieszy się o pięć minut.

Skłoniwszy się zebranym, osłupiałym ze zdziwienia, czterej młodzi ludzie skierowali się ku bastjonowi świętego Gerwazego, za nimi postępował Grimaud z koszykiem, nie wiedząc, dokąd idzie, lecz przyzwyczajony do biernego posłuszeństwa, nie myślał i teraz wypytywać.

Dopóki znajdowali się w obrębie obozu, nie przemówili ani słowa; w dodatku chmara ciekawych szła za nimi, wiedząc o zakładzie i chcąc się przekonać, jak też nasi przyjaciele wybrną z powziętego zamiaru. Gdy minęli szańce obozowe i znaleźli się w czystym polu, wtedy d'Artagnan, niewtajemniczony w zamiary przyjaciela, osądził, iż przyszedł czas dowiedzenia się prawdy.

— Teraz, kochany Athosie — rzekł — bądź łaskaw powiedzieć mi dokąd idziemy?...

— Widzisz dobrze — odparł Athos — że idziemy do bastjonu.

— Cóż tam robić będziemy?

— Wiesz przecie, że będziemy jedli śniadanie.

— Dlaczego nie w Parpaillot?

— Albowiem musimy o ważnych niesłychanie sprawach pogadać, a tam trudno mieć pięć minut spokojnych z tymi natrętami; wchodzą, wychodzą, kłaniają się, witają, zaczepiają... to nie do wytrzymania; tutaj przynajmniej — dodał Athos, wskazując bastjon — nikt nam chyba nie przeszkodzi.

— Zdaje mi się — rzekł d'Artagnan, z roztropnością, nie czyniącą ujmy odwadze — zdaje mi się, iż moglibyśmy znaleźć jakie oddalone miejsce nad morzem...

— Gdzieby nas widziano naradzających się we czterech, a za kwadrans kardynał jużby wiedział przez szpiegów swoich, że spiskujemy...

— Tak, tak — rzekł Aramis — Athos ma rację; *animae adventuntur in desertis*.

— Pustynia byłaby bardzo dobra — odezwał się Porthos — lecz trzebaby ją znaleźć. Niema na świecie takiej pustyni, gdzieby ptak nie przeleciał ponad głową, ryba nie wyskoczyła ponad wodę, a królik nie wybiegł z kryjówki, a ja przypuszczam, że ptak, ryba, królik — wszystkoto służy za szpiegów kardynała. Lepiej zatem dotrwać w naszym przedsięwzięciu, przed którym, coprawda, niepodobna się cofnąć bez wstydu; założyliśmy się, a nikt się nie domyśla, o co nam chodzi, wszyscy są pewni, że dla wygranej przez godzinę będziemy siedzieli w bastjonie. Albo nas atakować będą, albo nie. Jeżeli nam dadzą spokój, będziemy mieli aż nadto czasu do rozmowy, i nikt nas nie podsłucha, bo zaręczam, że ściany bastjonu uszu nie mają. Jeżeli zaś atak do nas przypuszczą, to i tak o interesach naszych pogadamy, a w dodatku, odpierając napaść, okryjemy się chwałą. Widzicie więc, że wszystko wychodzi na naszą korzyść.

— Tak — rzekł d'Artagnan — lecz kula nas nie minie z pewnością.

— E! mój drogi — odparł Athos — wiesz dobrze, że nie te kule są najstraszniejsze, które pochodzą na wojnie od nieprzyjaciela.

— Zdaje mi się, iż na taką wyprawę trzeba było zabrać nasze muszkiety.

— Głupi jesteś, przyjacielu Porthosie; na co mieliśmy się obarczać nieużytecznym ciężarem?...

— Przydałby się wobec nieprzyjaciela kalibrowy muszkiet, ze dwanaście nabojów i woreczek z prochem.

— A czy nie słyszałeś, co opowiadał d'Artagnan?

— Cóż on mówił? — zapytał Porthos.

— D'Artagnan mówił, że przy szturmie tej nocy poległo kilku Francuzów i tyłuż roszelczyków.

— Więc cóż z tego?

— Nie miano czasu ich obdrzeć, wszak prawda? było tam coś pilniejszego do roboty.

— Zatem?

— Zatem zabierzemy ich muszkiety, różki z prochem i naboje, zamiast czterech muszkietierów i dwunastu kul, będziemy posiadali strzelb najmniej piętnaście i ze sto pewnych wystrzałów.

— O, Athosie! rzekł Aramis — jesteś naprawdę wielki!

Porthos schylił głowę z uznaniem. D'Artagnan tylko nie wydawał się przekonany.

Zapewne Grimaud podzielał obawy młodzieńca, bo, widząc, że idą prosto do bastjonu, o czym dotąd powątpiewał, pociągnął swego pana za połą ubrania.

— Dokąd idziemy? — zapytał gościem.

Athos wskazał bastjon.

— Ależ my tam skórę zostawimy — odpowiedział Grimaud na migi.

Athos wznosił rękę i oczy ku niebu.

Grimaud postawił kosz na ziemi, usiadł i kiwał głową.

Athos wyjął pistolet z za pasa, obejrzał, czy dobrze nabity, odwiódł kurek i przyłożył lufę do ucha Grimaud'a.

Grimaud zerwał się na równe nogi.

Athos pokazał mu, ażeby wziął kosz i szedł przodem.

Doszedłszy w ten sposób do bastjonu, czterej przyjaciele stanęli i zwrócili się przodem do obozu.

Przeszło trzystu żołnierzy rozmaitej broni zgromadziło się przed obozem; na boku stali: pan de Busigny, dragon, szwajcar i czwarty, który nic nie mówił.

Athos zdjął kapelusz, włożył na koniec szpady, podniósł do góry i powiewał nim w powietrzu.

Zebrani przed obozem zrobili tak samo, dodając jeszcze głośnie „hurra!“, które aż do nich doszło.

Poczem zniknęli wszyscy czterej we wnętrzu bastjonu, gdzie ich już Grimaud wyprzedził.

Jak Athos przewidywał, bastjon zajęty był jedynie przez poległych Francuzów i roszelczyków.

— Panowie, — rzekł Athos, który objął dowództwo nad wyprawą — gdy Grimaud zajmie się przygotowaniem śniadania, zacznijmy od zebrania broni i naboju; możemy pomimo to rozmawiać, wykonywując tę czynność. Ci panowie — dodał, wskazując na nieboszczyków — nie usłyszą nas.

— Można by ich powrzucać do fosy — rzekł Porthos — po obejrzeniu wszakże, czy nie mają czego w kieszeniach.

— Tak — rzekł Athos — to należy do Grimaud'a.

— Dobrze — odezwał się d'Artagnan — niechże Grimaud ich zrewiduje i za mur poprzeczca.

— Niech Bóg broni — rzekł Athos — oni nam się jeszcze przydadzą.

— Jakto!... te trupy nam się przydadzą?... — mówił Porthos. — Oho! w głowie ci się pomieszało chyba, drogi przyjacielu.

— Nie sądz lekko myślą, mówi Ewangelja i pan kardynał — odparł Athos — ile tam mamy fuzyj?

— Dwanaście — rzekł Aramis.

— Ile naboju?... —

— Setka przeszło.

— W sam raz tyle co trzeba; nabijmy broń.

Czterech muszkieterów zabrało się do dzieła. Kończyli nabijać ostatnią fuzję, gdy Grimaud dał znak, iż śniadanie gotowe.

Athos odpowiedział także gościom, że zrozumiał, i wskazał Grimaudowi rodzaj strzelnicy, gdzie, jak tenże domyślił się, powinien był stanąć na czatach. Żeby jednak osłodzić pacholętkowi przykrość, Athos pozwolił mu zabrać z sobą bochenek chleba, dwa kotlety i butelkę wina.

— A teraz, proszę do stołu! — zawołał.

Czterech przyjaciół zasiadło na ziemi, z podłożonemi pod siebie nogami, jak Turcy na dywanie.

— A!... nareszcie... — zaczął d'Artagnan — teraz spokojny jesteś, że nas nikt nie usłyszy i mam nadzieję, iż wyjawisz nam swą tajemnicę.

— Pewny jestem, moi panowie, że wystarałem się dla was o przyjemność i sławę jednocześnie — mówił Athos. — Przespacerowaliście się cudownie; oczekuje nas śniadanie doskonale i pięćset osób tam przed obozem, jak to możecie widzieć przez strzelnice, patrzy na nas i ma za szaleńców lub bohaterów; dwa te gatunki głupców, bardzo są do siebie podobne.

— Ależ ten sekret?.. — zapytał d'Artagnan.

— Widziałem milady wczoraj wieczorem — odparł Athos.

D'Artagnan niósł właśnie szklankę do ust; gdy usłyszał wyraz *milady*, ręka zadrżała mu gwałtownie i postawił wino na ziemi.

— Widziałeś swoją żo... —

— Cicho bądź!... — przerwał Athos — zapominasz, że ci panowie nie są świadomi moich spraw małżeńskich; widziałem milady...

— Gdzie na Boga?... —

— O dwie mile stąd, w oberży pod Czerwonym Gołębnikiem.

— Kiedy tak, to już po mnie — rzekł d'Artagnan.

— Niezupełnie — podjął Athos — albowiem o tej godzinie powinna ona już była opuścić brzegi Francji.

D'Artagnan odetchnął.

— Ależ powiedzcie, proszę — zapytał Porthos — co to za jedna ta milady?

— Prześliczna kobietka — odrzekł Athos, kosztując wina musującego ze szklanki. — O!... lotr oberżysta! — wykrzyknął — wpakował nam wino andegaweńskie zamiast szampańskiego i myśli, że się nie poznamy!... Tak — mówił dalej — prześliczna kobietka, u której d'Artagnan miał łaski, lecz nie wiem, co tam przeszkrobał, dość że zapragnęła się

zemścić. Przed miesiącem nasadziła na niegozbójów z muszkietami, przed tygodniem chciała go otruć, a wczoraj zażądała głowy jego od kardynała.

— Jakto!... żądała głowy mojej od kardynała?... — krzyknął d'Artagnan, błąd z przeżenienia.

— Tak — odezwał się Porthos — to prawda, Jak Ewangelja; na własne uszy słyszałem.

— I ja także — dodał Aramis.

— Kiedy tak — rzekł d'Artagnan, opuszczając ręce, — na nic się nie przyda walczyć dłużej; lepiej sobie w łeb palnąć odrazu.

— To jest ostatnie głupstwo, jakie się robi, — mówił Athos — bo niema już na nie lekarstwa.

— Ależ nie zdołam wymknąć się wrogom tak potężnym. Najpierw nieznajomy z Meung; następnie de Wardes pokluty przezemnie szpadą; potem milady, której tajemnicę odkryłem; na koniec kardynał, którego zemsta spełza na niczem z mojego powodu.

— Więc jest ich czworo — rzekł Athos — i nas jest czterech, liczba zatem jednakowa... Na Boga!... jeśli wierzyć pantominom Grimauda, będziemy mieli do czynienia z daleko większą liczbą nieprzyjaciół. Co tam takiego, Grimaud? — rzekł Athos. — Ze względu na ważność okoliczności, pozwalam ci mówić, mój przyjacielu; tylko mów zwięźle, proszę cię. Coś ujrzał?

— Oddział.

— Z ilu osób?...

— Dwudziestu.

— Jacy to ludzie?

— Szesnastu pionierów, czterech żołnierzy.

— Jak są daleko?

— O pięćset kroków.

— Dobrze; mamy jeszcze czas dokończyć piecyste i wypić za zdrowie twoje, d'Artagnanie.

— Za twoje zdrowie! — powtórzyli Porthos i Aramis.

— Niechże będzie za moje zdrowie! chociaż nie wierzę, aby wasze życzenia przydały się na wiele...

— Ba! — rzekł Athos — Bóg jest wielki, jak mówią wyznawcy Mahometa, a przyszłość jest w Jego rękach.

Następnie wypił wino, postawił szklanke, podniósł się niedbale, wziął pierwszą z brze-gu fuzję i stanął przy strzelnicy.

Porthos, Aramis i d'Artagnan uczynili tak samo. Grimaud otrzymał rozkaz stania poza panami i nabijania broni.

Niezadługo ujrzeli oddział nieprzyjacielski; wsuwał się on w podkop forteczny, stanowiący komunikację pomiędzy bastjonem a miastem.

— Do licha! — zawołał Athos — warto było ruszać się z miejsca dla dwudziestu hultajów, uzbrojonych w motyki i łopaty! Grimaud mógłby być kiwnąć na nich, aby precz poszli, jestem przekonany, że byliby nas pozostawili w spokoju.

— Wątpię, — rzekł d'Artagnan — bo jakoś odważnie się podsuwają. A jest tam pomiędzy nimi czterech żołnierzy i brygadjer z muszkietami.

— Bo nas jeszcze nie spostrzegli — odrzekł Athos.

— Na honor! — odezwał się Aramis — wyznaję, iż czuję wstręt do celowania w tych nędznych mieszczan.

— Zły to ksiądz — przerwał Porthos — który ma litość dla heretyków!

— Słusznie mówi Aramis — odezwał się Athos — zaraz ja ich uprzedzę.

— Co ty robisz, u diabła? — zawołał d'Artagnan — chcesz dostać kulą, mój drogi?

Athos nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie i, stanąwszy w otworze muru, z fuzją z jednej, a z kapeluszem w drugiej ręce:

— Panowie — przemówił do żołnierzy i robotników, którzy, zdumieni zjawiskiem niespodziewanem, stanęli o pięćdziesiąt kroków od bastjonu, a on im klaniał się grzecznie. — Panowie! moi przyjaciele i ja zajęci jesteśmy właśnie spożywaniem śniadania tu, w tym bastjonie. Otóż, wiadomo wam, jak to nieprzyjemnie być odrywaniem od śniadania, i dlatego prosimy panów, jeżeli już koniecznie musicie wziąć się do roboty, abyście zaczekali, aż dokończymy naszego posiłku, lub przyszli trochę później; a może, co byłoby

najwłaściwsze, abyście powzięli zbawienną myśl rozstania się z buntownikami i przyszli wypić z nami za zdrowie króla Francji!

— Uwważaj, Athosie! — zawołał d'Artagnan — czy nie widzisz, że biorą cię na cel?

— Widzę, widzę — rzekł Athos — lecz te mieszczychy nie potrafią strzelać i nie odważą się zadrasnąć mnie nawet.

Rozległ się odgłos czterech strzałów, kule utkwily w murze koło Athosa, żadna go nie trafiła. Odpowiedziano im w tej chwili, lecz z lepszym skutkiem; trzech żołnierzy z pomiędzy napastników padło trupem i jeden robotnik ranę otrzymał.

— Grimaud, muszkiet świeży! — mówił Athos, stojąc ciągle na wyłomie.

Grimaud podał broń natychmiast. Jednocześnie i trzech przyjaciół nabiło broń; dano ognia powtórnie: brygadjer i dwóch pionierów padli nieżywi, reszta oddziału zaczęła się cofać.

— Dalej, panowie! urządzmy małą wycieczkę — rzekł Athos.

Czterej przyjaciele wybiegli z fortu, dotarli aż do pola bitwy, zabrali cztery muszkiety żołnierzom i małą dzidę brygadjera; a przekonani, że uciekinierzy nie oprą się aż w mieście, wrócili do bastjonu, obciążeni trafami zwycięstwa.

— Nabijaj broń, Grimaudzie — rzekł Athos — a my, panowie, wróćmy do śniadania i do naszej poprzedniej rozmowy. Na czymże stanęliśmy?

— Przypominam sobie, — odezwał się d'Artagnan — jak mówiłeś, że po żądaniu głowy mojej od kardynała, milady opuściła brzegi Francji. Dokądże się udała?

— Do Anglii — odpowiedział Athos.

— W jakim celu?

— Aby sama zamordowała, lub kazała zamordować Buckinghamą.

D'Artagnan wydał okrzyk zdziwienia i oburzenia zarazem.

— Ależ to haniebnie! — zawołał.

— O! — rzekł Athos — wierzaj mi, to mnie obchodzi bardzo mało... A teraz, kiedyś skończył nabijanie, Grimaud — ciągnął Athos — weź dzidę brygadjera, uwiąż na niej serwetę i zatknij na szczycie bastjonu, niech buntownicy z Roszelli widzą, iż mają do czynienia z walecznymi i wiernymi żołnierzami króla.

Grimaud usłuchał bez odpowiedzi.

W chwilę potem sztandar biały powiewał nad głowami czterech przyjaciół: burza oklasków powitała ukazanie się chorągwi; połowa obozu wyległa na wały.

— Jakto! — podjął d'Artagnan — tak mało cię obchodzi, czy ona zabije lub każe zabić Buckinghamą? Przecież księżę jest naszym przyjacielem?

— Księżę jest Anglikiem, księżę walczy przeciw nam; niech robi z księciem, co jej się podoba, tyle mnie to obchodzi, co próżna butelka.

Athos cisnął daleko od siebie butelkę, z której właśnie wysączył wino do ostatniej kropli.

— Za pozwoleniem — rzekł d'Artagnan — ja nie tak myślę o Buckinghamie; dał nam przecież owe piękne konie.

— A nadto prześliczne siodła — dodał Porthos, który miał właśnie na sobie płaszcz, przybrany galonami od siodła.

— Wreszcie — odezwał się Aramis — Bóg chce nawrócenia, a nie śmierci grzesznika.

— Amen — podchwycił Athos — wrócimy do tego później, jeśli taka wola wasza; lecz na razie chodziło mi przeważnie o odebranie tej kobiecie pewnego upoważnienia na okaziciela, jakie wydarła kardynałowi, i za pomocą którego miała bezkarnie pozbyć się ciebie, a może i nas wszystkich.

Ależ to djabeł nie kobieta — odezwał się Porthos, podsuwając swój talerz do Aramisa, który właśnie rozkrawał jedzenie.

— A ten blankiet — rzekł d'Artagnan, — ten blankiet pozostał w jej rękach?

— Nie, przeszedł już do moich; choć nie powiem, że z łatwością, bobym skłamał.

— Kochany Athosie! — zawołał d'Artagnan — ileż razy już zawdzięczam ci życie.

— Więc to dlatego, żeby wrócić do niej, wyjechałeś sam naprzód? — zapytał Aramis.

— Tak.

— Czy masz ten list kardynała? — rzekł d'Artagnan.

— Oto jest — odparł Athos, wyjmując papier szacowny z kieszeni kaftana.

D'Artagnan rozwinął go drżącymi rękami i czytał:

„Z mojego rozkazu i dla dobra państwa okaziciel niniejszego zrobił to, co zrobił.

3 grudnia 1627 roku.
Richelieu.”

— W rzeczy samej — odezwał się Aramis — jest to rozgrzeszenie. według wszelkich reguł.

— Trzeba podrzeć ten papier — rzekł d'Artagnan, któremu się zdawało, iż czyta wyrok śmierci na siebie.

— O! przeciwnie — przerwał Athos — trzeba go zachować starannie, nie oddałbym tego świstka, gdyby go nawet wzamian nakryto złotem.

— Cóż ona teraz przedsięwzięmie? — zapytał młodzieniec.

— Zdaje mi się — rzekł Athos niedbale — napisze prawdopodobnie do kardynała, że jakiś potępieniec muszkietier, nazwiskiem Athos, wydarł jej przemocą list bezpieczeństwa, i poradzi mu, ażeby pozbył się jednocześnie z nim, dwóch przyjaciół jego, Porthosa i Aramisa. Kardynał przypomni sobie, że tych ludzi ciągle na swej drodze spotyka... i pewnego pięknego poranku każe aresztować d'Artagnana, ażeby zaś nie nudził się bardzo w samotności, pośle nas dla jego towarzystwa do Bastylji.

— E! do licha! — wtrącił Porthos — twoje żarty wcale nie są zabawne, mój drogi.

— Ja nie żartuję — odparł Athos.

— Wiesz co, — dodał Porthos — że ukręcić łeb tej przeklętej milady, byłoby mniejszym grzechem, niż zabijać tych biedaków hugonotów, których cała wina na tem polega, że śpiewają po francusku psalmy, które my śpiewamy po łacinie.

— Cóż na to ksiądz dobrodziej? — zapytał Athos spokojnie.

— Mówię, że podzielał zdanie Porthosa — odpowiedział Aramis.

— O! i ja także! — dodał d'Artagnan.

— Co za szczęście, że jest ona daleko — wtrącił Porthos — bo tutaj bardzoby nam przeszkadzała.

— Przeszkadza mi ona i w Anglii tak samo, jak i we Francji — rzekł Athos.

— Ona mi wszędzie zawadza — dodał d'Artagnan.

— Ależ miałeś ją w rękach, Athosie, — wtrącił Porthos — dlaczegoś jej nie utopił, nie zadusił, albo nie powiesił? przecież tylko umarli nie powracają.

— Tak sądzisz, Porthosie? — odrzekł muszkietier z ponurym uśmiechem, zrozumianym tylko przez d'Artagnana.

— Przychodzi mi do głowy... — zaczął d'Artagnan.

— Co takiego? — odezwali się muszkietrzy.

— Do broni! — zawołał Grimaud.

Młodzieńcy zerwali się z miejsc i schwycili fuzje.

Tym razem zbliżał się mały oddziałek, złożony z dwudziestu do dwudziestu pięciu ludzi; nie byli to już robotnicy, lecz żołnierze z załogi.

— A gdybyśmy już powrócili do obozu? — odezwał się Porthos — zdaje mi się, że gra teraz nierówna.

— Niepodobna, a to dla trzech powodów — odparł Athos — po pierwsze nie skończyliśmy śniadania; po drugie mamy jeszcze wiele sobie do powiedzenia i to rzeczy wielkiej wagi, po trzecie brakuje jeszcze dziesięciu minut do oznaczonej godziny.

— Trzeba jednak ułożyć plan bitwy — rzekł Aramis.

— To bardzo proste — odparł Athos — skoro nieprzyjaciel zbliży się na odległość strzału, damy ognia; jeżeli zaś pomimo to dalej posuwać się będzie, damy znów ognia i strzelać tak będziemy, dopóki nabojuów starczy; jeżeli zaś reszta, jaka pozostanie z oddziału, zechce szturm przypuścić, pozwolimy oblegającym dotrzeć aż do fosy, a wtedy zepchniemy im na głowy ten kawał muru, który utrzymuje się jedynie jakimś cudem w równowadze.

— Brawo!... — zawołał Porthos — ty, Athosie, stanowczo urodziłeś się na dowódcę, a kardynał, który ma się za wielkiego wojownika, niczem jest przy tobie.

— Panowie — rzekł Athos — nie wolno pudłować, proszę was, bierzcie na cel każdy swojego człowieka.

— Mam już mojego — rzekł d'Artagnan.

— I ja mojego — odezwał się Porthos.
 — Ja idem — dodał Aramis.
 — Zatem ognia!... — zakomenderował Athos.
 Cztery strzały padły, jak jeden; czterech ludzi powaliło się na ziemię.
 Zabębniiono i mały oddział zbliżał się krokiem podwójnym.
 Teraz strzały następowały już nie miarowe, lecz zawsze jednakowo celne.
 Pomimo to rozszelanie, jak gdyby wiedzieli o małej liczbie obłożonych, szli naprzód coraz prędzej.
 Na trzy strzały dwóch ludzi padało, pozostali jednakże nie zwalniali kroku.
 Nieprzyjaciół, gdy się dostali do stóp bastjonu, było jeszcze dwunastu do piętnastu; przyjęły ich strzały ostatnie, lecz nie powstrzymały wcale; skoczyli do fosy i chcieli wdzierać się na mury.
 — Dalej, przyjaciele!.. — rzekł Athos — skończmy odrazu: do muru! do muru!
 Wszyscy czterej z pomocą Grimauda jęli pchać kolbami muszkietarów kawał muru, który począł chwiać się od wiatru i, oderwawszy się od podstawy, spadł z łoskotem okrutnym do fosy: dał się słyszeć następnie jeden wielki okrzyk, chmura kurzu wzniosła się pod niebiosa i po wszystkim...
 — Czyżbyśmy ich zmiażdżyli co do nogi?... — odezwał się Athos.
 — Na honor!... coś na to wygląda — rzekł d'Artagnan.
 — Nie — dodał Porthos — widzę oto, jak dwóch czy trzech zmyka, utykając na nogi.
 W samej rzeczy kilku biedaków, pokrytych krwią i kurzem, uciekało drogą ku miastu: tyle ich tylko pozostało z całego oddziału.
 Athos spojrział na zegarek.
 — Panowie — rzekł — godzina już upłynęła odkąd tu się znajdujemy i zakład już wygrany; lecz trzeba pokazać, co umiemy, a w dodatku d'Artagnan nie opowiedział nam swojego pomysłu.
 — Pomysłu mojego?... — zapytał d'Artagnan.
 — Tak... wszak mówiliś, że ci dobra myśl przyszła do głowy?
 — A! przypominam sobie: otóż wyruszam do Anglii po raz drugi i idę prosto do Buckinghamia.
 — Nie zrobisz tego d'Artagnanie — rzekł Athos surowo.
 — Dlaczego?... czy już raz tego nie zrobiłem?
 — Tak, lecz wtedy nie byliśmy na stopie wojennej; wtedy pan Buckingham był naszym sprzymierzeńcem a nie wrogiem; to, co chcesz zrobić, wyglądałoby na zdradę.
 D'Artagnan uznał słuszność dowodzenia i nic nie odpowiedział.
 — Czekajcie — rzekł Porthos — zdaje się, że i mnie coś do głowy przychodzi.
 — Słuchajmy pomysłu pana Porthosa!... — odezwał się Aramis.
 — Proszę o urlop pana de Tréville pod jakimkolwiek pozorem, który wy już wymyślicie: ja nie bardzo jestem sprytny do wynajdywania pozorów, przyznaję... Milady nie zna mnie wcale, zbliżam się do niej, ona mi zaufa, a jak dostanę w ręce piękną panią, to ją uduszę.
 — Nieźle!... — odrzekł Athos — podoba mi się pomysł Porthosa, możebym się nawet zgodził na niego...
 — Wstydzicie się!... — przerwał Aramis — zabijać kobietę! Nie; posłuchajcie, ja mam prawdziwie dobry pomysł.
 — Powiedz, Aramisie — rzekł Athos, który bardzo poważał młodego muszkietera.
 — Trzeba uprzedzić królową!
 — O! na honor! to racja — powiedzieli razem Porthos i d'Artagnan — znaleźliśmy sposób nareszcie.
 — Uprzedzić królową!... — rzekł Athos — w jaki sposób? Czy mamy stosunki u dworu? Alboż możemy posłać kogo do Paryża, zaradby dowiedziano się o tem w obozie? Stąd do Paryża sto czterdzieści mil; list nasz byłby w Angers za ledwie, a my siedzielibyśmy już w więzieniu.
 — Jeżeli chodzi o doręczenie listu Jej Królewskiej Mości — odezwał się Aramis, rumieniąc się jak panienka — ja się tego podejmę; znam w Tours pewną osobę, bardzo zręczną...
 Aramis umilkł, spostrzegłszy uśmiech Athosa.

— Więc uważasz ten środek za niemożliwy, Athosie?... — zapytał d'Artagnan.

— Niezupełnie — odparł Athos — chciałem jedynie zwrócić uwagę Aramis, iż nie może opuszczać obozu i że nikomu zaufać niepodobna; że w dwie godziny po wyprawieniu posłańca policja cała, wszystkie czarne duchy kardynała będą umieli twój list na pamięć i wpakują do więzienia ciebie i twoją zręczną osóbkę.

— Nie biorąc w rachubę tego — rzekł Porthos — że królowa ocali pana Buckingham, ale nas nie zasłoni przed zemstą kardynała.

— Panowie — dodał d'Artagnan — Porthos powiedział najświętszą prawdę.

— A! a! co tam się dzieje w mieście — przerwał Athos.

— Biją bębny na alarm.

Czterech przyjaciół umilkło i słuchało. Rzeczywiście odgłos bębnowych dochodził wyraźnie.

— Zobaczycie, że oni nam tu cały pułk sprowadzą — rzekł Athos.

— Nie myślisz przecie trzymać się tutaj wobec całego pułku? — mówił Porthos.

— Dlaczego nie?... — przerwał muszkieter — mam wielką ochotę; stawilibym czoło całej armii, gdybyśmy byli zabrali z sobą choć tuzin butelek więcej...

— Daję słowo, że słyhać bębny coraz bliżej — rzekł d'Artagnan.

— Pozwól im podejść blisko — mówił Athos — kwadrans drogi oddziela nas od miasta. Więcej to czasu, niż potrzebujemy, ażeby się zastanowić; jeżeli stąd się wyniesiemy, nie znajdziemy już nigdzie miejsca, równie odpowiedniego. A oto właśnie, moi panowie, mnie teraz przychodzi do głowy myśl doskonała.

— Mów...

— Pozwólcie mi wydać Grimaudowi kilka poleceń nieodzownych.

Athos skinął na służącego.

— Grimaud — rzekł Athos, wskazując na nieboszczyków koło bastjonu — weź tych panów podnieś i ustaw rzędem pod ścianą, włóż im kapeulsze na głowy a fuzje wpakuj im w łapy.

— O! wielki człowieku!... — wykrzyknął d'Artagnan — zaczynam cię pojmować.

— Zrozumiałeś go?... — rzekł Porthos.

— A ty czy rozumiesz, Grimaudzie?... — zapytał Aramis.

Grimaud dał znak, że wie, o co chodzi.

— Tego tylko potrzeba — rzekł Athos — a teraz powróćmy do mego projektu.

— A jednak i ja bym chciał zrozumieć — przerwał Porthos.

— To zbyt techniczne.

— Tak, tak, zaczynaj; jaki jest twój pomysł? — zawołali razem Aramis i d'Artagnan.

— Milady, ta kobieta, ten potwór, ten szatan, ma szwagra, jakżeś mi to mówił, d'Artagnanie.

— Znam go doskonale i zdaje mi się, że nie żywi on wielkiej sympatii dla bratowej.

— Nic w tem złego — rzekł Athos — gdyby ją nienawidził nawet, lepiejby jeszcze było.

— W takim razie mamy to, czego potrzeba.

— A jednak — przerwał Porthos — chciałbym koniecznie wiedzieć, co i dlaczego robi Grimaud.

— Cicho, Porthosie!... — rzekł Aramis.

— Jak się ten szwagier nazywa?

— Lord de Winter.

— Gdzie się znajduje obecnie?

— Wrócił do Londynu na pierwszą wieść o wojnie.

— Takiego człowieka właśnie potrzebujemy — mówił Athos — jego wypadu uprzedzić o wszystkim: doniesiemy mu, że zaczął jego bratowa zamierza spełnić morderstwo i prosić będziemy, żeby ją miał na oku. Spodziewam się, iż jest w Londynie jaki zakład, w rodzaju Magdalenek, lub Sióstr Pokutujących; zamknij tam panią bratową i będziemy spokojni.

— Tak — rzekł d'Artagnan — dopóki się stamtąd nie wymknie.

— O! na honor — mówił Athos — za wiele wymagasz, kochany d'Artagnanie, dałem, co mogłem i uprzedzam, że nic lepszego już wymyślić nie potrafię.

— Ja uważam, że nie można wymyślić nic lepszego — rzekł Aramis — uprzedzamy jednocześnie królową i lorda de Winter.

— Dobrze, ale kto zawiezie listy do Tours i do Londynu?

— Ręczę za Bazina.

— A ja za Plancheta — dodał d'Artagnan.

— W samej rzeczy, — odezwał się Porthos — jeżeli nam nie wolno opuszczać obozu, nasi służący mogą to uczynić w każdej chwili.

— Damy im pieniądze — ciągnął Athos — macie przecież pieniądze?

Przyjaciele spojrzeli po sobie; chmura smutku osiadła na czołach, na chwilę rozjaśnionych.

— Baczność! — krzyknął d'Artagnan — widzę punkciki czarne i czerwone, poruszające się w oddali; coś ty mówił o jednym pułku, Athosie? to armja prawdziwa.

— Na honor! tak jest — potwierdził Athos. — Widzisz ich, hipokrytów obrzydłych! podchodzą nas cichutko! Hola! Grimaud, skończyłeś robotę?

Grimaud dał znak, że ukończył, i wskazał kilkunastu truposzów, poustawianych w pozach malowniczych; jedni stali pod bronią; jak na warcie, inni celując z muszkietów, inni znów ze szpadą w ręce.

— Brawo! — rzekł Athos — czyni to honor bujnej fantazji.

— Wszystko mi jedno — zaczął znów Porthos — chciałbym jednakże zrozumieć...

— Zmykajmy najpierw — rzekł d'Artagnan — potem zrozumiesz...

— Chwilkę, panowie, chwileczkę, niech Grimaud sprzątnie nakrycie.

— Oho! — zawołał Aramis — otóż punkciki czarne i czerwone powiększają się nader widocznie; podzielam zdanie d'Artagnana; sądzę, że nie trzeba tracić czasu.

— Na uczciwość — rzekł Athos — nie mam już nic przeciw rejteradzie; założyliśmy się o godzinę, siedzieliśmy półtorej; nie opieram się zatem; wychodzmy, panowie, wychodzmy.

Grimaud już ich wyprzedził z nakryciem w koszu.

Czterech zuchów podążyło za nim i byli już kawałek drogi.

— A! do diabła, — krzyknął Athos — cośmy uczynili najlepszego?

— Zapomniałeś czego? — zapytał Aramis.

— A sztandar, na Boga! nie trzeba zostawiać swojej chorągwi, choćby ta chorągiew była jedynie serwetą.

Athos puścił się pędem z powrotem, dopadł bastjonu, wdrapał się na platformę i zerwał sztandar, ale rozszelczycy zbliżyli się już na odległość strzału i dali ognia strasznego do człowieka, który, jakby dla przyjemności, wystawiał się na strzały. Możliwyby rzecz, iż czary jakieś osłaniały Athosa, kule świstały dokoła niego, a żadna ani drasnęła. Athos potrząsł sztandarem, zwracając się tyłem do załogi miasta, a salutując wojsko w obozie.

Z dwóch stron wielki krzyk powstał; z jednej strony był to okrzyk wściekłości, z drugiej uwielbienia.

Druga kanonada nastąpiła po pierwszej; trzy kule trafiły serwetę i dziurawiąc, uczyniły z niej prawdziwy sztandar! Obóz cały wrzeszczał: Schodź na dół! Schodź prędzej!

Athos zszedł nareszcie: przyjaciele oczekiwali go z niepokojem, powitali z radością.

— Chodźmy, Athosie, chodźmy — rzekł d'Artagnan — wyciągajmy nogi; teraz, kiedyśmy wszystko znaleźli, prócz pieniędzy, byłoby głupio dać się zabić.

Lecz Athos kroczył wciąż poważnie, pomimo nalegań przyjaciół, którzy, przekonawszy się wreszcie, że nic nie wskórają, zastosowali się do niego zupełnie.

— Co to jest? — zapytał Porthos — do czego oni strzelają? nie słyszę ani gwizdania kul, ani też nie widzę nikogo.

— Walą w naszych truposzów — odparł Athos.

— Ależ oni im nie odpowiedzą?

— Rzeczywiście; pomyśl, że to zasadzka i zaczną się naradzać; wyślą parlamentarza, i kiedy przekonają się, że to żart jedynie, będziemy już daleko. Dlatego nie potrzebujemy męczyć się szybkim chodzeniem.

— A! teraz zrozumiałem! — rzekł Porthos zachwycony.

— No, przecie! — mruknął Athos, wzruszając ramionami.

Francuzi, widząc naszych przyjaciół, powracających wolnym krokiem, nie ustawali w okrzykach uwielbienia.

Nakoniec dała się słyszeć nowa kanonada: tym razem kule płaszczyły się o kamienie na drodze dokoła czterech przyjaciół i gwizdały grobowo około uszów. Roszelanie zdobyli bastjon nareszcie.

— To ludzie bardzo niezręczni — odezwał się Athos — iluśmy ich tam trupem położyli? dwunastu?

— Może piętnastu.

— Ilu zmiażdżyliśmy?

— Ośmiu lub dziesięciu.

— A my ani draśnięcia?... O! co to jest! co ci w rękę, d'Artagnanie? krew, jeśli się nie mylę.

— Bagatela — rzekł d'Artagnan.

— Kula zblakana?

— E! nie.

— Więc cóż zatem?

Mówiliśmy już, że Athos kochał d'Artagnana, jak dziecko własne; człowiek ten, niezłomny i zamknięty w sobie, okazywał niekiedy młodzieńcowi troskliwość iście ojcowską.

— Nic wielkiego — odparł d'Artagnan — ściana przygniotła mi palec, ten oto z pierścieniem i kamień zranił mnie do krwi...

— Ot widzisz, jaka to korzyść z posiadania djamentów i strojenia się, jak fanfaron — rzekł Athos z pogardą.

— Jakto? — zawołał Porthos — djament jest i my się uskarżamy na brak pieniędzy?

— Racja! — rzekł Aramis.

— Nareszcie i Porthos podał myśl dobrą.

— Bez wątpienia — odparł Porthos dumny z pochwały Athosa — ponieważ jest djament, sprzedajmy go...

— Ależ ten pierścień od królowej pochodzi — przerwał d'Artagnan.

— Tembardziej — podchwycił Athos — królowa ocala pana Buckinghama, swego kochanka; to bardzo słuszne, królowa nas ocala, swoich przyjaciół wiernych, nic moralniejszego: sprzedajmy zatem djament. Cóż pan opat o tem myśli? Nie pytam o zdanie Porthosa, on już je wygłosił.

— Myślę, — rzekł Aramis, czerwieniąc się — że pierścień jego nie pochodzi od kochanki, nie jest zatem zakładem miłości; d'Artagnan może go sprzedać.

— Mój drogi, mówisz, jak uosobiona teologja. Więc twojem zdaniem?...

— Sprzedać pierścione — odrzekł Aramis.

— Kiedy tak, — rzekł d'Artagnan wesoło — sprzedajmy djament i więcej o nim nie mówmy.

Strzelanie z bastjonu nie ustawało, lecz mało to obchodziło czterech przyjaciół, albowiem kule już ich nie dosięgały, a roszelanie strzelali tylko dla zaspokojenia sumienia.

— Na honor, w sam czas Porthos wystąpił ze swoim projektem, bo oto jesteście w obozie. Zatem, panowie, ani słowa więcej o tym interesie. Patrzą na nas, idą na spotkanie; zapewne porwą nas na ręce i poniosą triumfalnie.

W samej rzeczy, jak to już mówiliśmy, obóz cały był w ruchu: z górą dwa tysiące osób przypatrywało się szczęśliwej junakerji czterech przyjaciół; a nikt się nie domyślał prawdziwego jej powodu.

Rozlegały się okrzyki dokoła: niech żyje gwardja! niech żyją muszkietierowie!

Pan de Busigny podszedł pierwszy do Athosa, uściskał mu ręce i przyznał, że zakład przegrany. Dragon i Szwajcar podążyli za panem de Busigny, a za nimi wszyscy ich towarzysze.

Nastąpiły powinszowania, uściski rąk, pocałunki do nieskończoności i wybuchy śmiechu niepohamowanego, z powodu niezaradności roszelanów. Nakoniec zgłębł powstał tak okropny, że pan kardynał myślał, iż to bunt chyba; wysłał La Houdinièra, kapitana straży swojej, aby dowiedział się, co to znaczy.

Opowiedziano rzecz całą wysłańcowi z ubarwieniem, jak zwykle, pod wrażeniem uniesienia.

— No, cóż tam takiego? — zapytał kardynał, ujrawszy La Houdinièra.

— A to, Eminencjo — rzekł tenże — że trzech muszkietarów i jeden gwardzista założyli się z panem de Busigny, iż zjedzą śniadanie w bastjonie Świętego Gerwazego; poszli tam i, jedząc, odpierali nieprzyjaciela przez dwie godziny i natłukli masę ogromną roszelczyków.

— Czy dowiedziałeś się, jak się nazywają ci trzej muszkietarowie?

— Tak, Eminencjo.

— Jakże się nazywają?

— Panowie: Athos, Porthos i Aramis.

— Zawsze ci trzej waleczni!... — mruknął kardynał! — A gwardzista?...

— Pan d'Artagnan.

— Zawsze mój młody zapaleniec!... Stanowczo ci ludzie muszą do mnie należeć.

Wieczorem kardynał rozmawiał z panem de Tréville o wyprawie porannej; cały obóz o tem mówił jedynie.

Pan de Tréville, który słyszał o wszystkim od bohaterów wycieczki, opowiedział ją kardynałowi również ze wszystkimi szczegółami, nie pominawszy epizodu z serwetą.

— Dobrze, panie de Tréville — rzekł kardynał — zachowaj tę serwetę. Każę na niej wyhaftować trzy lilje złote i dam ją, jako sztandar dla twego pułku.

— Eminencjo — odrzekł pan de Tréville — będzie to z ujmą dla gwardji; pan d'Artagnan nie należy do mnie, lecz do pana Desessarts.

— No, to go sobie zabierz — odrzekł kardynał — niesłusznem jest, aby tych czterech kochających się dzielnych wojowników, nie było razem w jednym pułku.

Tego samego dnia pan de Tréville, oznajmił wieść dobrą trzem muszkietarom i d'Artagnanowi i zaprosił ich na śniadanie na dzień następny.

D'Artagnan nie posiadał się z radości.

Wiadomo iż marzeniem jego życia było zostać muszkietarom.

Trzej przyjaciele byli także uradowani niesłychanie.

— Na uczciwość — rzekł d'Artagnan do Athosa — pomysł twój był wzniosły i, jak przepowiedziałeś, okryliśmy się chwałą, a w dodatku mogliśmy tam porozmawiać o rzeczach wielkiego znaczenia.

— Możemy obecnie i tu się naradzać, a nikt nas podejrzewać nie będzie, albowiem, z pomocą Boga, możemy uchodzić teraz za kardynalistów.

D'Artagnan poszedł złożyć uszanowanie panu Desessarts i oznajmił mu o swoim wyniesieniu.

Pan Desessarts lubił bardzo d'Artagnana i ofiarował mu pomoc pieniężną, ponieważ zmiana kompanji pociągnęła za sobą wydatki na umundurowanie.

D'Artagnan odmówił, lecz korzystając ze sposobności, zostawił mu djament, prosząc, aby go ocenił, gdyż, potrzebując pieniędzy, pragnie go sprzedać.

Nazajutrz, o ósmej zrana, lokaj pana Desessarts wszedł do d'Artagnana i oddał mu woreczek złota, zawierający siedem tysięcy liwrow.

Była to wartość djamentu królowej.

ROZDZIAŁ XXI. INTERESY FAMILIJNE

Tak Athos nazwał obecne zajęcia. Sprawa rodzinna nie podlegała kontroli kardynała, ani też obchodziła kogokolwiek; można było zajmować się nią otwarcie.

Athos zatem wynalazł miano: *Interesy familijne*.

Aramis poddał myśl użycia pacholców.

Porthos wynalazł sposób wykonania, którym był: *Djament królowej*.

D'Artagnan jedynie nic nie odkrył, on, najpomysłowszy zwykle z nich czterech; przyznać wypada, że jego paraliżowało samo to słowo... *milady*.

A!... prawda... zapomnieliśmy: odkrył on kupca na djament!

Śniadanie u pana de Tréville odbyło się wesoło i przyjemnie. D'Artagnan miał już na sobie mundur. Ponieważ był jednakowego wzrostu z Aramisem, ten zaś, jak wiadomo, hojnie zapłacony przez księgarza, nabywcę poematu, kazał sobie zrobić parę kompletnych ubrań, — odstąpił przeto przyjacielowi całe umundurowanie.

D'Artagnan byłby już u szczytu marzeń, gdyby nie myśli o milady, które na podobieństwo groźnej chmury, zasłaniały mu horyzont.

Po śniadaniu postanowiono zejść się wieczorem w mieszkaniu Athosa i tam ostatecznie naradzić się, co dalej czynić. Nasz gaskończyk spędził dzień cały, na pokazywaniu się w ubraniu muszkieterskiem po wszystkich ulicach obozu.

Wieczorem, o umówionej godzinie, czterech przyjaciół znalazło się razem; należało postanowić trzy rzeczy: Conapisać do brata milady? Co napisać do zręcznej osóbkki w Tours? I którzy ze służących poniosą te listy?

Każdy zalecał swego.

Athos wychwalał dyskrecję Grimaud'a, mówiącego tylko wtedy, gdy mu pan jego głębiej odsznurował; Porthos rozповідаł o sile Mousquetona, który był tak ogromny, że mógł dać radę czterem ludziom zwyczajnego wzrostu; Aramis, ufając zręczności Bazina, wysławiał zdolności swego kandydata; nakoniec d'Artagnan pokładał ufność nieograniczoną w odwadze i śmiałości Plancheta i przypominał, jak się popisał w trudnej wyprawie londyńskiej.

Cztery te doskonałości długo walczyły o pierwszeństwo, a panowie ich rozprawiali i starali się dowieść, że każdy ma rację, czego powtarzać nie będziemy z obawy przed nudzeniem czytelnika.

— Niestety — rzekł Athos — ten, którego wysłemy, powinien posiadać cnoty wszystkich czterech.

— A gdzie znaleźć podobnego lokaja?

— Niema takiego na świecie — dodał Athos — wiem o tem doskonale: weźcie zatem Grimauda.

— Weźcie Mosquetona.

— Weźcie Plancheta; on jest odważny zręczny; to dwie najważniejsze zalety.

— Panowie — odezwał się Aramis — nie chodzi tu o to, który z naszych służących jest najdyskretniejszy, najsilniejszy, najzręczniejszy lub najodważniejszy; przedewszystkiem trzeba wiedzieć, który z nich najbardziej lubi pieniądze.

— Święta prawda, Aramisie — odparł Athos — trzeba rachować na wady ludzkie, a nie na cnoty. Księżę szanowny!... jesteś wielkim moralistą.

— Zapewne — rzekł Aramis — bo nietylko potrzebujemy być dobrze obsłużeni, aby się nam udało, ale jeszcze musimy się zabezpieczyć od przegranej, bo idzie tu o głowy, i to nie o lokajskie...

— Ciszej Aramisie!...

— Prawda: lokaje wyjdą cali, — ciągnął Aramis — ale ich panowie! Czy służący nasi są tak nam oddani, aby poświęcać życie swoje dla nas? Nie, z pewnością nie...

— Na honor — odezwał się d'Artagnan — ręczyłbym prawie za Plancheta.

— Kiedy tak, kochany przyjacielu, dodaj zatem do jego wierności dobrą sumkę pieniędzy, która zapewniłaby mu dostatek, a wtedy będziesz mógł ręczyć za niego z pewnością.

— O!... Boże wielki!... i tak zostaniecie oszukani rzekł Athos, wielki pesymista, gdy szło o ludzi. Przyrzekną wam wszystko, aby dostać pieniędzy, a w drodze strach im rozum odbierze. Gdy ich złapą, zastraszą, wygadają najtajniejsze polecenia. Cóż u diabła?... przecież nie jesteśmy dziećmi!... Aby dotrzeć do Anglii — Athos zniżył głos — trzeba przebyć całą Francję, zasianą szpiegami i kreaturami kardynała; trzeba paszportu, aby móc wsiąść na okręt; trzeba umieć po angielsku, aby dać sobie radę w Londynie. Przyznam się, że to mi się bardzo trudnym wydaje...

— Ależ gdzietam — rzekł d'Artagnan, który pragnął, ażeby rzecz przyszła do skutku — podług mnie, przeciwnie, niema nic łatwiejszego. Ma się rozumieć, że, gdy wypiszemy do lorda de Winter niestworzone rzeczy, okropności o kardynale...

— Ciszej! — przerwał Athos.

— O intrygach i tajemnicach stanu — ciągnął d'Artagnan, stosując się do przestrogi — wtedy bezwątpienia czeka nas łamanie kołem; lecz, na Boga, nie zapominaj, że sam mówiłeś, iż napiszemy w sprawie czysto familijnej, po to, tylko, aby milady, od chwili przybycia do Londynu, uczynił dla nas nieszkodliwą. Ja sam napiszę do niego mniej więcej w tym sensie:...

— Słuchamy — rzekł Aramis, przybierając naprzód minę krytyka.

— „Szanowny panie i drogi przyjacielu...”

— A! tak: „kochany przyjacielu” do Anglika — przerwał Athos — dobry początek!... brawo, d’Artagnanie!... Za to jedno słowo; będziesz poćwiartowany, zamiast być łamany kołem.

— No, to napiszę tylko: „panie”.

— Możesz nawet napisać: milordzie — dodał Athos, dbały o przyzwoitość.

— „Milordzie, czy pamiętasz małą łączkę, gdzie kozy się pasły, w Luksemburgu?”

— Dobryś! teraz Luksemburg! Pomyślą, że to aluzja do królowej matki! Dowcipnyś, ani słowa — rzekł Athos.

— Napiszę więc poprostu: „Milordzie, czy przypominasz sobie łąkę, gdzie ci życie darowano?”

— Kochany d’Artagnanie — odezwał się Athos — nie będziesz nigdy dobrym redaktorem: „Gdzie ci życie podarowano!” Fe, to niegodne. Nie przypomina się takiej przysługi uczciwemu człowiekowi. Dobrodziejstwo wymówione staje się obrazą.

— O! mój kochany — przerwał d’Artagnan — nieznosny jesteś i, jeżeli mam pisać pod twoją cenzurą, to, na honor, ani myślę...

— I dobrze zrobisz. Wywijaj muszkietem i szpadą, mój drogi, doskonale się z tych dwóch rzeczy wywiązujesz, lecz pióro oddaj księdzu dobrodziejowi, jemu się ono z prawa należy.

— O tak, rzeczywiście — rzekł Porthos — oddaj pióro Aramisowi, on przecie pisuje wypracowania po łacinie!

— Niechże tak będzie — rzekł d’Artagnan — zredaguj ten list, Aramisie; lecz uprzedzam cię, trzymaj się dobrze, bo i ja potrafię krytykować.

— Owszem, krytykuj — odezwał się Aramis z naiwną ufnością w siebie, jaką wogóle poeci się odznaczają — proszę tylko obeznać mnie ze szczegółami; wprawdzie słyszałem już, że ta pani jest wielkie ladaco i przekonałem się nawet o tem, słuchając rozmowy jej z kardynałem.

— Mówże ciszej, do wszystkich djabłów! — krzyknął Athos.

— Lecz — ciągnął Aramis — zapomniałem niektórych szczegółów...

— I ja także — dodał Porthos.

D’Artagnan i Athos spojrzeli po sobie w milczeniu... Nakoniec Athos, zbłądził okrutnie i uczynił po namyśle gest, który zrozumiał d’Artagnan i zaczął znów mówić:

— Otóż tak trzeba napisać: „Milordzie, bratowa twoja jest zbrodniarką, chciała ona kazać cię zabić, aby odziedziczyć twój majątek. Lecz nieprawnie poślubiła twego brata, ponieważ była zamężna we Francji, gdzie została...”

— Wypędzona przez męża — przerwał Athos.

— Ponieważ przekonał się, iż jest piętnowana — dodał d’Artagnan.

— Wielki Boże!... — krzyknął Porthos — więc ona chciała zabić swego szwagra?

— Tak.

— Była zamężna? — zapytał Aramis.

— Tak.

— Mąż jej dostrzegł, że ma kwiat lilji na ramieniu? — zawołał Porthos.

— Tak.

Te trzy *tak* wypowiadał Athos głosem coraz to smutniejszym.

— Kto jeszcze widział ten kwiat lilji?... — zapytał Aramis.

— D’Artagnan i ja, a raczej mówiąc ściślej, ja i d’Artagnan.

— Czy mąż tej ohydnej istoty żyje jeszcze?

— Tak, żyje...

— Jesteś tego pewny?

— Jak najpewniejszy.

Nastąpiła chwila grobowej ciszy; każdy czuł się po swojemu wzruszony.

— Tym razem — zaczął Athos, pierwszy przerywając milczenie — d’Artagnan dał nam doskonały program i to właśnie trzeba najpierw napisać.

— Do djabła! masz rację — odparł Aramis — ale zredagowanie tego jest nad wyraz trudne. Sam pan kanclerz byłby w kłopotcie, chcąc napisać list w tym sensie, a przecież kanclerz bardzo przyjemnie pisze. Mniejsza jednak o to! uciszcie się tylko, panowie, zacznijmy pisać.

Aramis wziął pióro, zamyślił się chwilę i nakreślił kilkanaście wierszy, prześlicznym, drobnym, iście kobiecym charakterem; następnie głosem słodkim i powolnym, kładąc nacisk na każde zdanie, czytał, co następuje:

„Milordzie!

Osoba, pisząca tych kilka słów, miała zaszczyt skrzyżować szpadę z panem na małym placu przy ulicy d'Enfer.

Od tego czasu byłeś łaskaw głosić się przyjacielem tej osoby, ona też wdzięczna za życzliwość, odplaca się, przesyłając przestrożę i dobrą radę.

Dwa razy już o mało nie stałeś się ofiarą zawziętości bliskiej krewnej twojej, którą uważasz za swoją spadkobierczynię, albowiem nie wiesz o tem, iż wprzód, nim zawarła małżeństwo w Anglii, była już zamężna we Francji. Lecz obecnie, za trzecim razem, możesz zostać zwyciężony. Krewna pańska wyjechała z Roszelli do Anglii w nocy. Jeżeli chcesz przekonać się, do czego jest zdolna, znajdziesz przeszłość jej wypisaną niezamazanym znakiem na lewym jej ramieniu”.

— Otóż to ślicznie napisane — rzekł Athos — masz styl sekretarza stanu, kochany Aramisie. Lord de Winter będzie się miał obecnie na baczności, jeśli tylko ostrzeżenie przyjdzie w porę; a gdyby nawet wpadło w ręce Jego Eminencji, nie może nas skompromitować. Ponieważ jednak służący, którego wysłamy, mógłby nas okłamać i powiedzieć, iż był w Londynie, a dotarł tylko zaledwie do Chatellerault, daj mu zatem razem z listem połowę tylko przyobiecanej sumy, resztę zaś niech dostanie wzamian za przyniesioną odpowiedź. Czy masz swój djament?

— Mam coś lepszego, bo pieniądze — i d'Artagnan cisnął worek na stół.

Na dźwięk złota Aramis się obejrzał, Porthos zadrżał, Athos zaś pozostał obojętny.

— Ile jest w tym woreczku? — zapytał.

— Siedem tysięcy liwrow w luidorach dwunasto-frankowych.

— Siedem tysięcy!... — zawołał Porthos — ten brzydki mały djament wart był aż tyle?

— Okazuje się, — rzekł Athos — ponieważ je tu widzimy, a wątpię, iżby nasz przyjaciel d'Artagnan dołożył co ze swoich pieniędzy.

— Z tem wszystkim, panowie — odezwał się d'Artagnan — zapominamy zupełnie o królowej. Trzeba pomyśleć też o bezpieczeństwie ukochanego jej Buckingham. Winniśmy to naszej królowej.

— Słusznie — rzekł Athos — lecz to do Aramisa należy.

— Cóż mam tedy uczynić? — odparł tenże, czerwieniąc się.

— Nic nadzwyczajnego: napisz drugi list do owej zręcznej osóbkki, która mieszka w Tours.

Aramis wziął znów pióro, zebrał myśli, napisał, co następuje, i poddał ocenie przyjaciół swoich.

„Kochana kuzynko!...”

— Aha! — przerwał Athos — ta pani, taka zręczna, jest twoją kuzynką?

— Siostrą cioteczną...

— Niechże będzie i tak...

Aramis czytał dalej:

„Kochana kuzynko! Jego Eminencja, pan kardynał, którego niech Bóg zachowa jaknajdłużej dla szczęścia Francji i hańby jej wrogów, zakończy niedługo rozprawę ze zbuntowanymi heretykami Roszelli; prawdopodobnie nie otrzymają oni pomocy od floty angielskiej. Zdaje mi się, że pan Buckingham, zaskoczony wypadkiem wielkiej doniosłości, nie będzie w stanie wyruszyć z pomocą. Jego Eminencja jest najznakomitszym politykiem czasów przeszłych, terażniejszych a prawdopodobnie i przyszłych. Zagasiłby on słońce samo, gdyby mu ono przeszkadzało. Opowiedz o tych szczęśliwych okolicznościach siostrze swej, droga moja kuzynko. Miałem sen, iż ten przekłety Anglik zginął... Nie mogę tylko sobie przypomnieć od żelaza, czy od

trucizny; to tylko pewne, iż mi się śniło, że zginął; a wiesz dobrze o tem: sny moje zawsze się sprawdzają. Bądź zdrowa, zobaczymy się niedługo.”

— Cudownie! — zawołał Athos — jesteś królem poetów, drogi Aramisie, wyrażasz się niezrozumiale, jak Apokalipsa, a prawdziwie, jak Ewangelja. Pozostaje jedynie napisanie adresu na tym liście.

— Nic łatwiejszego — rzekł Aramis. Złożył elegancko liścik i napisał:

„Do panny Michon, właścicielki składu bielizny w Tours“.

Trzech przyjaciół z uśmiechem spojrzęło na siebie.

— A teraz — rzekł Aramis — pojmujecie, panowie, że Bazin może tylko zanieść ten list do Tours; kuzynka moja zna go i ufa mu; każdy inny mógłby popsuć całą sprawę. W dodatku Bazin jest żądny wyniesienia i uczony; czytał on historję i wie doskonale, iż Syxtus V został papieżem, chociaż w młodości pasł trzodę chlewną. Otóż, ponieważ ma on zamiar wstąpić do stanu duchownego jednocześnie ze mną, nie wątpi zatem, że zostanie papieżem, a przynajmniej kardynałem. Pojmujecie zatem, że człowiek o takiej ambicji nie da się złapać, lub, jeżeli zostanie ujęty, pozwoli się umęczyć, ale nic nie wygada.

— Dobrze, dobrze — przerwał d'Artagnan — zgadzam się chętnie na Bazina, lecz proszę o uznanie i dla Plancheta: milady kazała go niegdyś za drzwi wyrzucić, kazała go obić okrutnie; Planchet ma dobrą pamięć i ręczę, że gdy mu się trafi sposobność zemsty, prędzej da się zamęczyć, niż się jej wyrzeknie. Nie mieszam się wcale do twoich interesów w Tours, Aramisie, lecz w Londynie jest moja sprawa osobista. Proszę zatem, aby Planchet tam się udał; był on już tam ze mną i potrafi bardzo poprawnie wypowiedzieć: *London, sir, if you please*, a także: *my master lord* d'Artagnan; widzicie więc, że da sobie radę i tam i z powrotem.

— Kiedy tak — rzekł Athos — to trzeba Planchetowi dać siedemset liwrow na drogę do Londynu i siedemset, jak powróci; Bazin dostanie trzysta liwrow i trzysta za powrotem. Zmniejszy to nasz kapitał do pięciu tysięcy liwrow, weźmiemy więc każdy po tysiącu i użyjemy, na co nam się spodoba, a tysiąc oddamy do schowania naszemu księżulkowi, aby mieć na wypadek nieprzewidziany, lub na potrzeby wspólne. Czy zgadzacie się, panowie?

— Kochany Athosie — rzekł Aramis — mówisz, jak Nestor, który był, jak wiadomo, największym mędrcom Grecji.

— Więc już ułożone — ciągnął Athos — Planchet i Bazin pojedą; nie gniewa mnie to wcale, że Grimaud zostaje przy mnie; zna już moje zwyczaje, a ja to lubię; dzień wczorajszy dużo go kosztował, podróżby go dobiła.

Przywołano Plancheta i objaśniono go, co ma robić.

— Schowam list za podszewkę ubrania — rzekł Planchet — i połknę go, gdy mnie złapią.

— Tym sposobem nie będziesz mógł spełnić polecenia — powiedział d'Artagnan.

— Niech mi pan da kopię listu dziś wieczorem, a jutro już będę umiał ją na pamięć.

D'Artagnan spojrzęł na przyjaciół, jak gdyby chciał im powiedzieć:

— A co, nie mówiłem?

— A teraz — dodał, zwracając się do Plancheta — masz osiem dni na dostanie się do lorda Wintera, osiem na drogę powrotną, razem dni szesnastę. Jeżeli szesnastego dnia od daty wyjazdu nie powrócisz o ósmej godzinie wieczorem, nie dostaniesz ani grosza, choćbyś powrócił o pięć minut po ósmej.

— Kiedy tak, to proszę pana o kupienie mi zegarka.

— Weź ten — rzekł Athos, dając mu swój z obojętnością pańską — i bądź chłopcem odważnym i uczciwym. Nie zapominaj, że gadulstwem, paplaniem i nieopatrznością narażasz głowę swojego pana, który tak wielką ufność pokłada w twojej wierności, iż zaręczył nam za ciebie. Lecz pamiętaj o tem, że, jeżeli z twojej winy spotka nieszczęście d'Artagnana, nie ukryjesz się wtedy przede mną, znajduję cię i rozplątam w kawały.

— O! panie łaskawy!... — przemówił Planchet, upokorzony podejrzeniem i przerażony poważną i spokojną miną muszkietera.

— A ja — dodał Porthos, wytrzeszczając oczy straszliwie — ja obedrę cię ze skóry.

— O! panie.

— Ja zaś — odezwał się Aramis głosem słodkim i melodyjnym — ja cię upiekę na wolnym ogniu, jak dziki człowiek.

— O! panie.

Planchet rozplakał się; nie śmiemy twierdzić, czy ze strachu z powodu pogroźek, jakie mu czyniono, czy z rozczulenia na widok jedności czterech przyjaciół.

D'Artagnan ucisnął mu rękę.

— Widzisz, Planchecie — rzekł — ci panowie mówią to wszystko przez przywiązanie do mnie, ale w gruncie oni cię bardzo lubią.

— Przysięgam panu — rzekł Planchet — albo zrobię wszystko podług rozkazu, albo mnie posiekają na drobne kawałki; lecz i w takim razie żadna cząsteczka moja nie piśnie o tajemnicy.

Postanowiono, iż Planchet wyruszy nazajutrz o ósmej zrana, aby mógł, jak o to prosił, nauczyć się listu na pamięć. Rano, gdy już dosiadł konia, d'Artagnan, który miał zawsze w sercu słabość dla księcia Buckinghama, odprowadził Plancheta na stronę i rzekł:

— Słuchaj dobrze, co ci powiem: gdy doręczysz list lordowi de Winter i gdy go już przeczyta, dodasz od siebie te słowa: „Strzeż pan dobrze Jego Wysokości księcia Buckinghama, gdyż chcą go zamordować”. Pamiętaj, Planchecie, że jest to tak ważne a konieczne, iż bez wiedzy przyjaciół moich powierzam ci tę tajemnicę, a nawet za tytuł generała nie napisałbym jej w liście.

— Niech pan będzie spokojny, przekona się pan, iż można na mnie rachować.

Wskoczył na doskonałego konia, którego miał zostawić o dwadzieścia mil od obozu, a dalej jechać pocztą, i puścił się galopem, z sercem nieco ściśniętem z powodu potrójnej obietnicy, uczynionej mu przez muszkietierów, lecz zresztą pełen otuchy i dobrej myśli.

Bazin wyjechał zrana do Tours; przeznaczono mu tydzień na spełnienie polecenia. Czterech przyjaciół przez czas nieobecności wysłańców więcej, niż zwykle, miało wytężony słuch, wzrok i węch. Całe dnie im schodziły na podsłuchiwanie, co mówiono, na szpiegowaniu, co się dzieje u kardynała i podpatrywaniu, skąd gońcy przybywają. Przestrach, niczem niepokonany, ogarniał ich, ilekroć wezwani zostali niespodzianie dla pełnienia jakiej czynności z rozkazu kardynała.

Musieli też strzec się zasadzki każdy z osobna; milady była zjawiskiem, które, gdy raz się komu ukazało, spędzało już sen spokojny z oczu tego człowieka.

W tydzień potem, Bazin, czysty i elegancki jak zawsze, uśmiechnięty podług zwyczaju, wszedł do oberży Parpaillot, gdzie czterej muszkietierowie siedzieli przy śniadaniu i rzekł, jak mu polecono:

— Panie Aramis, oto jest odpowiedź pańskiej kuzynki.

Współbiesiadnicy spojrzeli po sobie uszczęśliwieni: połowa zadania zatem spełniona, co prawda krótsza i łatwiejsza.

Aramis, czerwieniąc się mimowoli, wziął list, napisany charakterem niewprawnym i nieortograficznie.

— Boże wielki!... — zawołał, śmiejąc się — stanowczo tracę nadzieję, nigdy już widać ta biedna Michon nie będzie tak pisała, jak pan de Voiture.

— Cóż to za biedna Michon?... — zapytał szwajcar, który rozmawiał właśnie z muszkietierami, gdy list przyszedł.

— O mój Boże! mała rzecz — odrzekł Aramis — pewna właścicielka składu bielizny, śliczna dziewczyna, którą kochałem serdecznie, którą prosiłem o napisanie kilku słów do mnie na pamiątkę.

— Do licha!... — zawołał szwajcar — jeżeli taka piękna, jak jej pismo, nie zazdroścę ci szczęścia, mój towarzyszu.

Aramis przeczytał list i podał Athosowi.

— Zobacz, co ona pisze — powiedział.

Athos rzucił okiem na kartkę i dla odwrócenia podejrzeń wszelkich, czytał głośno:

„Kochany kuzynku, obydwie z siostrą doskonale sny odgadujemy i nawet boimy się ich okrutnie; lecz mam nadzieję, że o twoim śnie będzie można powiedzieć, *co sen to kłamstwo*. Adieu! życzymy ci zdrowia, a staraj się, abyśmy od czasu do czasu miały wiadomości od ciebie.

Aglae Michon”.

— O jakim śnie ona mówi?... — zapytał dragon, zbliżywszy się podczas czytania.

— Tak, o jakim śnie?... — dodał szwajcar.

— O! moi panowie — rzekł Aramis — to nic nadzwyczajnego miałem sen dziwny i opisałem go.

— O tak, to bardzo naturalne opowiadać sny swoje, lecz ja nigdy nie śnię!

— Bardzo pan szczęśliwy — odezwał się Athos, powstając — chciałbym o sobie to samo powiedzieć.

— Nigdy mi się nic nie śni — dodał szwajcar, zachwycony, że człowiek taki, jak Athos, zazdrości mu czegoś — nigdy! o! nigdy!

D'Artagnan, widząc, że Athos się podniósł, uczynił to samo, wziął go pod rękę i wyszedł z nim razem.

Porthos i Aramis pozostali jeszcze z dragonem i szwajcarem.

Bazin zaś poszedł i rzucił się spać na pęku słomy, a ponieważ miał bujniejszą imaginację, niż szwajcar, śnił zatem, że Aramis został papieżem i kładł mu na głowę kapelusz kardynalski.

Lecz, jak to mówiliśmy, Bazin, powróciwszy szczęśliwie, połowę tylko kłopotu zdjął z głowy czterem przyjaciółom. Dni oczekiwania długie bywają nieskończenie; d'Artagnan przedewszystkiem poszedłby był o zakład, iż mają one obecnie czterdzieści osiem godzin. Zapomniał o nieprzewidzianych przeszkodach w podróży morskiej, przesadzał w myśli wszechwładzę milady. Zdawało mu się, że tej kobiecie, przedstawiającej mu się w postaci szatana, pomaga duch ciemności. Gdy spostrzegł ruch jaki w obozie, lub hałas posłyszał, wyobrażał sobie natychmiast, że to Plancheta złapali, że go prowadzą dla skonfrontowania z nim i z jego towarzyszami. Co więcej: zaufanie, pokładane w zdolnościach zacnego Pikardyjczyka, zmniejszało się z dniem każdym. Tak był niespokojny, tak niepewny, że uczucia te udzielały się Porthosowi i Aramisowi. Jeden tylko Athos zachowywał się biernie, jak gdyby żadne niebezpieczeństwo mu nie groziło, i był pośród rozgorączkowanych przyjaciół chłodny i poważny, jak zwykle.

Szesnastego dnia przedewszystkiem niepokój tak gwałtowny opanował d'Artagnana, Porthosa i Aramisa, iż, nie mogąc usiedzieć na miejscu, snuli się, jak błędne cienie, po drodze, którą miał Planchet powracać.

— Doprawdy — mówił im Athos — nie jesteście ludźmi skończonymi, lecz chyba dziećmi, kiedy wam jedna kobieta takiego strachu napędza. O cóż wam chodzi przedewszystkiem? Wpakują nas do więzienia? Przecież wyciągną nas i stamtąd; dowodem pani Bonacieux, którą jednak potrafiiono uwolnić. Głowy nam utną? Toż codzień na fortyfikacjach narażamy się z wesołą myślą na gorsze rzeczy, ponieważ kula może nam nogę strzaskać, a przekonany jestem, że chirurg, odcinając nogę, więcej nam sprawia bólu, niż kat, ucinając głowę. Oczekujcie zatem cierpliwie. Za dwie, za cztery, za sześć godzin Planchet będzie tutaj: obiecał, a ja wielką pokładam ufność w obietnicy Plancheta, wydaje mi się on bowiem uczciwym i walecznym chłopakiem.

— A jeżeli nie przyjedzie?... — powiedział d'Artagnan.

— To cóż z tego, jeżeli nie przyjedzie, to widać go zatrzymano, ot i wszystko. Mógł zlecieć z konia, stoczyć się z mostu do wody, lub jechał tak szybko, że dostał zapalenia płuc. O!... panowie!... trzeba pamiętać, że różne wypadki czyhają na człowieka. Życie, jest to różaniec, złożony z przeciwności, którego ziarnka filozof przesuwają w rękach z uśmiechem na ustach. Bądźcie filozofami, jak ja, moi panowie, siadajcie do stołu i pijmy, nigdy przyszłość nie wydaje się tak różowa, jak gdy patrzy się na nią przez szklankę chambertina.

— Bardzo dobrze — odrzekł d'Artagnan — mnie już sprzykrzyła się obawa przy picu i to przypuszczenie, że wino pochodzi z piwnicy milady.

— Wybredny jesteś djabelnie — mówił Athos — taka piękna kobietka!...

— Kobietka piętnowana!... — dodał Porthos, grubo się śmiejąc.

Athos zatrzęsł się, otarł zimny pot z czoła i wstał także, nie mogąc powstrzymać nerwowego drżenia.

Dzień długi upłynął, wieczór, choć powoli, zbliżał się jednak; oberże napelniły się gośćmi; Athos, który wziął do kieszeni swoją część ze sprzedaży djamentu, nie wychodził prawie z Parpaillot. Znalazł w panu de Busigny, który dał im przewyborny obiad, partnera godnego siebie.

Grali też i pili razem, jak zwykle, gdy siódma wybiła; słychać było patrole przejeżdżające, warty zmieniające się; o wpół do ósmej zatrąbiono capstrzyk.

— Zgubieni jesteśmy — szepnął d'Artagnan do ucha Athosowi.

— Chcesz powiedzieć, że straciliśmy — rzekł Athos, spokojnie wyjmując cztery pistole z kieszeni i ciskając je na stół. — Dalej, panowie, *trąbią na capstrzyk, idźmy spać!*

Athos opuścił Parpaillot razem z d'Artagnanem. Aramis z Porthosem szli pod rękę za nimi. Aramis przeżuwał jakieś wiersze, Porthos od czasu do czasu targał wąsy na znak rozpaczy.

Lecz oto nagle, w ciemności, cień jakiś się rysuje, którego kształty znane są dobrze d'Artagnanowi, a głos znany odzywa się:

— Przynoszę płaszcz, proszę pana, wieczór mamy chłodny.

— Planchet!... — wykrzyknął d'Artagnan, nie posiadając się z radości.

— Planchet!... — powtórzyli Porthos i Aramis.

— No tak... Planchet — dodał Athos — cóż w tem dziwnego?... Obiecał powrócić o ósmej a właśnie ósma bije. Brawo, Planchet!... jesteś słowny i, jeżeli kiedykolwiek opuścisz pana swojego, przyjmę cię do służby.

— O!... nie... nigdy! — zawołał Planchet — nigdy nie odstąpię pana d'Artagnana.

I w tej chwili d'Artagnan poczuł, że Planchet wsuwa mu bilecik do ręki. Uszczęśliwiony, miał ochotę uściskać wiernego sługę, jak to zrobił, gdy go wyprawiał; lecz zląkł się, aby taka publiczna oznaka czułości dla lokaja nie wydała się podejrzana przechodniom i zostawił to na później.

— Mam list w ręku! — rzekł do przyjaciół.

— Chodźmy do siebie i przeczytamy — odparł Athos.

Bilet ten palił dłoń d'Artagnana i chciał pośpieszać co prędzej; lecz Athos wziął go pod rękę i młodzieniec musiał iść równie powoli, jak jego towarzysz.

Nakoniec weszli do namiotu; zapalono lampę, Planchet stanął przy drzwiach, aby nikt nie przeszkodził, d'Artagnan zaś ręką drżącą złamał pieczęć i otworzył list, tak oczekiwany.

Zawierał on tylko pół wiersza pisma prawdziwie angielskiego i prostoty prawdziwie spartańskiej.

„*Thank you, be easy*”.

Co znaczyło:

„Dziękuję, bądźcie spokojni”.

Athos wziął list z rąk d'Artagnana, zbliżył do lampy i spalił.

Następnie, wołając Plancheta, rzekł mu:

— Obecnie, mój chłopcze, masz prawo upomnieć się o swoje siedemset liwrow, lecz z tego widzisz, iż nie było niebezpieczeństwa, żeś miał przy sobie bilecik tej treści.

— O ja go tak strzegłem i tylu sposobów użyłem, aby go ukryć! — rzekł Planchet.

— Opowiedz nam to — powiedział d'Artagnan.

— O panie!... to bardzo długie.

— Masz rację, Planchecie — odezwał się Athos — capstrzyk już wytrąbiono, zwróciłoby to uwagę, gdyby u nas dłużej się świeciło, niż w innych namiotach.

— Niechże tak będzie — rzekł d'Artagnan — idźmy spać. Dobranoc, Planchet, śpij dobrze!

— O!... proszę pana, będę spał spokojnie pierwszy raz od dni szesnastu.

— I ja także! — rzekł d'Artagnan.

— I ja także! — odezwał się Porthos.

— I ja także! — dodał Aramis.

— Chcecie wiedzieć prawdę?... to i ja także — zakończył Athos.

ROZDZIAŁ XXII. ZRZĄDZENIE LOSU

Milady, pijana złością, rycząc prawie ze wściekłości, jak lwica w klatce zamknięta, gotowa była rzucić się w wodę i powrócić na brzeg morski, nie mogła się bowiem oswoić z myślą, iż d'Artagnan ją znieważył, Athos zaś jej groził; i że opuszcza Francję, nie zemściwszy się nad nimi. Po jakimś czasie położenie jej zdało się nie do wytrzymania; nie dbając zatem, co z tego dla niej samej wyniknąć może, poczęła błagać kapitana, aby ją na ląd wysadził. Kapitan zaś, któremu pilno było wyjść z fałszywego położenia, a znajdował się przytem pomiędzy strażami morskimi, z jednej strony angielskimi z drugiej francuskimi i pragnął jak najprędzej dostać się do Anglii, odmówił stanowczo posłuszeństwa temu, co nazywał kaprysem kobiecym, obiecując pasażerce, która mu była polecona szczególnie

przez kardynała, iż jeżeli morze będzie spokojne, a Francuzi pozwolą, wysadzi ją w jednym z portów Bretanii, w Lorient, lub w Brest.

Tymczasem wiatr dał przeciwnie, morze się wzburzyło, trzeba było lawirować, płynąc w zygzak, nie posuwając się naprzód.

W dziesięć dni po wyjeździe z Charente, milady, blada ze zmartwienia i wściekłości, ujrzała rysujące się w mgłę sinej brzegi Finisterru. Wyrachowała tedy, że do przebycia tego kawałka Francji i powrotu do kardynała, potrzebowałaby najmniej trzech dni i dzień jeden na wylądowanie, to razem cztery. Dodawszy do tego dziewięć dni podróży, to już trzynastcie straconych, trzynastcie dni straconych, podczas których tyle ważnych wypadków mogło zajść w Londynie! Pomyślała także, iż z pewnością, kardynał byłby oburzony jej powrotem, a co za tem idzie, słuchałby z większą uwagą skarg, któreby na nią się posypały, niż tych, jakieby ona przeciw innym zanosila. Pozwoliła też minąć Lorient i Brest, nie zwracając uwagi kapitana, który ze swej strony nie miał zamiaru tego jej przypominać. Tak więc milady płynęła dalej, a tego samego dnia, w którym Planchet wsiadał na okręt w Portsmouth z powrotem do Francji, wysłanka Jego Eminencji wkroczyła triumfalnie do portu.

Miasto całe było w poruszeniu; cztery wielkie okręty, tylko co wykończone, spuszczano na morze.

Na wybrzeżu, błyszczący od złota, lśniący według zwyczaju — djamentami i innymi drogiemi kamieniami, w kapeluszu z białem piórem, spadającym na ramię, stał Buckingham, otoczony świtą, prawie tak, jak on sam, świetną.

Był to jeden z tych pięknych, rzadkich dni zimowych, w których nawet Anglja przypomina sobie, iż jest słońce na niebie. Chociaż miało się już pod zachód, jednak promienie słoneczne oblewały purpurą morze i niebo, złociły szczyty domów i pałaców miejskich i paliły się w szybach okien, niby odbicie pożaru.

Wpłynęli do portu nareszcie; lecz w chwili, gdy zabierano się do zarzucenia kotwicy, mała szkuta, straszliwie uzbrojona, zbliżyła się do statku kupieckiego, niby straż pobrzeżna, spuściła łódź, która skierowała się ku drabinie. W łodzi znajdował się oficer, sternik i ośmiu wiosłarzy. Oficer tylko wszedł na pokład, gdzie go przyjęto z należnemi honorami.

Młody wojskowy przywołał patrona, mówił z nim chwilę i dał do przeczytania papiery, jakie miał przy sobie, poczem na rozkaz kapitana statku stawila się cała załoga: majtkowie, pasażerowie, wszystkich na pokład przywołano.

Po tym rodzaju apelu, oficer wypytywał na cały głos, z jakiego punktu statek odbił, którędy płynął; gdzie do lądu przybijał; na wszystkie te zapytania kapitan odpowiadał śmiało, bez wahania. Wtedy oficer uczynił przegląd zgromadzonych, a, zatrzymując się przy milady, popatrzył na nią uważnie lecz w milczeniu. Następnie zwrócił się do kapitana, przemówił słów parę i, jak gdyby odtąd jemu statek powinien być posłuszny, nakazał obrót, jaki w tej chwili wykonano. Statek ruszył z miejsca, eskortowany przez skutę, która równo z nim płynęła i zdawała się grozić sześcioma paszczami armat, skierowanych w bok okrętu kupieckiego, a łódź z tyłu kołysała się na falach, jak słaba łupina.

Podczas gdy młody oficer wpatrywał się w milady, ona także pożerała go wzrokiem. Pomimo jednak wprawy, jaką posiadała ta kobieta z oczami płomiennemi, do czytania w głębi duszy najskrytszych tajemnic ludzkich, natrafiła tym razem na fizjognomję skrytą, z której nic wybadać nie była w stanie. Młody człowiek, wpatrujący się w nią uporczywie, mógł mieć lat dwadzieścia sześć najwyżej, twarz jego była blada, a oczy jasno niebieskie posiadały zimny odblask stali; usta wąskie i zaciśnięte znamionowały skrytość, dół twarzy wydatny i broda silnie zarysowana, uprzedzały o mocy charakteru, który graniczy z uporem.

Gdy znalaziono się w porcie, noc już była kompletna. Mgła gęsta potęgowała ciemności i otaczała latarnie nadbrzeżne kręgiem podobnym do tego, jaki okala księżyc przed słońcem. Milady, tak zwykle odważna, drżała mimowoli.

Oficer kazał przenieść pakunki milady, i złożyć je do łodzi; następnie podał jej rękę i prosił, aby z nim poszła.

Spojrzała na niego niedowierzająco.

— Kto pan jesteś? — zapytała — dlaczego tak wyłącznie mną się opiekujesz?

— Powinnaś się pani domyśleć z mego uniformu; jestem oficerem marynarki angielskiej — odparł młody człowiek.

— Czyż to leży w zwyczajach oficerów marynarki angielskiej poświęcać się na usługi swych współrodaczek, gdy przybywają do portów Wielkiej Brytanji, i posuwać galanterję do tego stopnia, aby je aż na ląd wysadzać?

— Tak, milady, zwyczaj ten zachowujemy nie dla galanterji, lecz przez ostrożność, i w czasie wojennym przybywających cudzoziemców odprowadzamy do hotelu dla nich przeznaczonego, ażeby, do czasu zasięgnięcia o nich pewnych wiadomości, zostawali pod nadzorem rządu.

Słowa te wymówił z nadzwyczajną grzecznością; pomimo to jednak nie uspokoiły one milady.

— Nie jestem przecież cudzoziemką, mój panie odezwała się najczystszy akcentem, jaki można słyszeć od Portsmouth aż po Manchester — nazywam się lady Clarick i takie ostrożności...

— Są ogólne, milady, i napróżno starałabyś się pani ich uniknąć.

— Kiedy tak, więc idę z panem.

Podła rękę oficerowi i zesłała po drabinie do oczekującej łodzi, gdzie ogromny płaszcz rozesłany był na samym tyle. Młodzieniec posadził ją na nim, a sam zajął miejsce obok.

— Odbijać! — rzekł do majtków.

Osiem wiosel zanurzyło się w morze, jak jedno, i łódź poleciała, niby na skrzydłach.

Po upływie pięciu minut przybito do lądu. Oficer wyskoczył na brzeg i podał rękę milady. Powóz oczekiwał w bliskości.

— Ekwipaż ten dla nas jest przeznaczony? — zapytała milady.

— Tak, pani — odparł oficer.

— Czy daleko stąd do hotelu?

— To na drugim końcu miasta.

— Jedźmy zatem — rzekła milady i śmiało wsiadła do powozu.

Towarzysz jej, po dopilnowaniu, aby walizy milady uwiązano za powozem, usiadł przy niej i zamknął drzwiczki.

Natychmiast też woźnica, nie czekając rozkazu, ruszył, z kopyta i zapuścił się w kręte ulice miasta.

Przyjęcie tak niezwykle dało milady dużo do myślenia; widząc też, że oficer nieusposobiony jest wcale do rozmowy, wsunęła się w głąb powozu i rozważała wszelkie przypuszczenia, jakie jej przez głowę przechodziły.

Po niejakiem jednak czasie, zdziwiona długością drogi, wyjrzała oknem, dla przekonania się, dokąd ją wiozą.

Nie widać było już zabudowań; drzewa tylko wysokie stały przy drodze i przesuwwały się, jak złowrogie cienie.

Milady strach ogarnęła.

— To już nie miasto! — odezwała się.

Młody człowiek milczał.

— Uprzedzam pana, iż nie pojedę dalej, jeśli mi nie powiesz, dokąd mnie wiesz! Groźba ta nie spowodowała odpowiedzi.

— O! tego już za wiele! — krzyknęła milady — na pomoc!... ratunku!...

Nikt nie odpowiedział na wołanie, powóz pędził z jednakową szybkością; oficer siedział nieruchomy, jak posąg. Milady spojrzała na niego straszny wzrokiem, jaki tylko ona posiadała, a który miał przerażającą moc; oczy jej błyszczały w ciemności, jak dwa rubiny.

Młody człowiek nie poruszył się nawet. Milady chciała otworzyć portjerę i wyskoczyć z powozu.

— Ostrzegam panią — rzekł obojętnie oficer — zabijesz się na miejscu, wyskakując.

Milady usiadła, pieniąc się ze złości; oficer spojrzał na nią i zadziwił się, widząc tę twarz tak piękną, zmienioną obecnie, bo wściekłość czyniła ją prawie wstrętną.

Przewrotna kobieta poznała, iż gubi się, pozwalając tak czytać w swej duszy; wypogodziła więc twarz i głosem słodkim zapytała:

— Panie! na miłość boską, powiedz mi, czy tobie, czy rządowi waszemu, lub osobistemu nieprzyjacielowi zawdzięczam gwałt, jakiego się względem mnie dopuszczono?

— Nie jest to żaden gwałt, a to, co panią spotkało, jest wynikiem prostej ostrożności, jaką zmuszeni jesteście zachować względem wszystkich, przybywających do Anglii.

— Zatem pan nie znasz mnie wcale?

— Pierwszy raz mam zaszczyt widzieć panią.

— I nie masz pan do mnie żadnej nienawiści?...

— Żadnej a żadnej, przysięgam.

Tyle było szczerości, powagi, a nawet łagodności w odezwaniu się młodzieńca, iż milady uspokoiła się.

Nakoniec, po godzinie prawie jazdy, powóz zatrzymał się przed żelazną kratą, zamkniętą stromą drogą, wiodącą do ponurego i odosobnionego zupełnie zamku.

Przebyli dwa sklepienia i zatrzymali się w ciasnym i ciemnym dziedzińcu.

Drzwiczki powozu otworzyły się, młody człowiek wyskoczył lekko na ziemię i podał ramię milady, która, wspierając się na nim, wysiadła — pozornie spokojna.

— Widzę jednak — odezwała się, spojrzawszy dokoła, i zwracając następnie oczy na młodego oficera, z najmiłym uśmiechem, na jaki zdobyć się mogła — widzę, że jestem więźniem; lecz to trwać długo nie może; upewnia mnie — dodała — moje czyste sumienie, a grzeczność pana jest mi najlepszą gwarancją.

Pomimo tak pochlebnej przemowy oficer nie odpowiadał; wyjął z pasa małą srebrną gwizdawkę, podobną do używanych przez nadzorców robotników na statkach wojennych i gwizdnął po trzykroć coraz z innego tonu.

Przybiegło kilku ludzi, wyprzęgli konie okryte pianą, a powóz wtoczyli do wozowni.

Wtedy oficer, zawsze z tą samą obojętną grzecznością, prosił milady, aby weszła do domu. Ona zaś, uśmiechnięta ciągle, wzięła go pod rękę i z nim razem przestąpiła próg drzwi niskich, łukowatych, prowadzących poprzez korytarz, oświetlony tylko w głębi, do schodów kamiennych, które szły dokoła sklepień, także kamiennych.

Następnie stanęli przed drzwiami, mocno okutymi, młody oficer otworzył je kluczem, który miał przy sobie, i ukazał się pokój, przeznaczony dla milady.

Jednym rzutem oka oceniła ona apartament, do którego weszła. Był to pokój ze sprzętami zarówno stosownymi w więzieniu, jak i w zwyczajnym mieszkaniu; jednakże kraty żelazne w oknach i silne zewnętrzne zamki czyniły go stosowniejszym na więzienie.

Cała siła duszy, cała odwaga opuściła na chwilę tę istotę, wypróbowaną w przeróżnych okolicznościach; upadła na fotel, skrzyżowała ręce, zwiesiła głowę w przekonaniu, że ujrzy sędziego wychodzącego, aby zacząć badanie. Nikt się nie ukazywał, prócz kilku marynarzy, którzy przynieśli tłomoki i walizy i wyszli, nic nie mówiąc.

Oficer baczył na wszystko z równym spokojem, jaki milady już poznała; nie wyrzekł ani słowa, a rozkazy wydawał poruszeniem ręki, lub za pomocą świstawki.

Rzeczy można, iż dla tego człowieka i podwładnych jego mowa ludzka nie istniała, lub stała się niepotrzebna.

Nakoniec milady nie była w stanie wytrzymać dłużej i przerwała milczenie.

— Na miłość boską, panie! — zawołała — co znaczy to wszystko?... Powiedz mi prawdę; nie braknie mi odwagi, niebezpieczeństwo znane nie przerazi mnie... Gdzie ja jestem i co tu znaczę?... jeśli wolna, na co te kraty, te drzwi okute?... jeśli więźniem jestem, jakąż zbrodnię popełniłam?

— Jesteś pani w apartamencie, dla niej przeznaczonym. Rozkazano mi zabrać panią z okrętu i dostawić do tego zamku; polecenie to wypełniłem z surowością i ścisłością żołnierza, lecz sądzę, iż także z grzecznością szlachcica. Tu kończą się moje obowiązki względem pani, reszta należy do kogo innego.

— Kimże jest ta druga osoba? — zapytała milady — czy możesz mi pan powiedzieć jej nazwisko?...

Właśnie w tej chwili usłyszano brzęk ostróg na schodach; słychać było także zbliżającą się rozmowę kilku głosów, która następnie ucichła, i do drzwi podeszła jedna osoba.

— Pani, oto jest ten, o którym mówiłem — rzekł oficer, usuwając się na bok i przybierając postawę pełną szacunku i posłuszeństwa.

Jednocześnie drzwi się rozwarły, na progu ukazał się mężczyzna z gołą głową, ze szpadą przy boku.

Milady zdawało się, że poznaje tego człowieka; wsparła się ręką na fotelu i wyciągnęła szyję, jak gdyby chciała iść na spotkanie rzeczywistości.

Nieznamy postępował wolno; w miarę, jak zbliżał się do światła, milady cofała się mimowolnie. Gdy już nie miała wątpliwości, zawołała przerażona:

— Boże wielki! to mój brat!... czy to ty jesteś rzeczywiście?

— Tak, piękna pani! — odparł lord Winter z ukłonem nawpół uprzejmym a nawpół ironicznym — ja sam we własnej osobie.

— Więc ten zamek?...

— Jest moją własnością.

— A ten pokój?

— I ten pokój.

— Jestem zatem twoim więźniem?

— Prawie że tak.

— Okrutnie nadużywasz twej władzy.

— Bez deklamacji, moja pani; usiądźmy proszę i porozmawiajmy, jak przystoi bratu i siostrze.

A zwracając się do drzwi i widząc, że młody oficer oczekuje na rozkazy:

— Zadowolony jestem, dziękuję panu: a teraz zostaw nas samych, panie Felton.

ROZDZIAŁ XXIII. ROZMOWA BRATA Z SIOSTRĄ

Podczas gdy lord Winter zamykał drzwi, zapuszczał okiennice i krzesło przysuwał do fotela siostry, milady zadumana puściła wodze domysłem i pojęła, że spisku tego nie odgadnie, dopóki się nie dowie, z kim ma do czynienia. Znała szwagra, jako honorowego szlachcica, zapalonego myśliwego, gracza hazardownego, śmiałego i przedsiębiorczego z kobietami, lecz niezdolnego do przeprowadzenia jakiegokolwiek intrygi. Jakim cudem dowiedział się o jej przybyciu i kazał ją pochwycić? Dlaczego teraz jeszcze ją zatrzymuje?

Athos powtórzył wprawdzie niektóre wyjątki z rozmowy jej z kardynałem, nie mogła jednak przypuścić, by zdołał tak szybko i śmiało plany jej pokrzyżować. Bała się owszem, czy przeszłe jej sprawy nie zostały wypadkiem odkryte. Buckingham mógł być domyśleć się, że to ona właśnie oderżnęła mu dwie zapinki brylantowe i teraz zechce mścić się za zdradę... Lecz Buckingham niezdolny był używać przemocy nad kobietą, tembardziej, jeżeli ta kobieta mogła być posądzona, iż uczyniła to przez zazdrość.. Wydało jej się to jednak najprawdopodobniejsze; pewna była, że chciano zemścić się za przeszłość, nie wiedząc nic o jej teraźniejszym posłannictwie. W każdym razie i na wszelki wypadek, wolała, że wpadła w ręce szwagra, którego miała nadzieję otumanić, niż gdyby miała do czynienia z nieprzyjacielem stanowczym i rozumnym.

— Rozmawiajmy więc, braciszku drogi — rzekła wesoło, zdecydowana wyciągnąć z rozmowy pomimo woli lorda Winter wszelkie możliwe objaśnienia i do nich zastosować postępowanie w przyszłości.

— Wróciłaś tedy do Anglii — rzekł lord Winter — pomimo postanowienia, tyle razy objawianego w Paryżu, iż noga twoja nie postanie na terytorjum Wielkiej Brytanji?

Milady odpowiedziała zapytaniem:

— Przedewszystkiem, objaśnij mnie, dlaczego kazałeś mnie szpiegować, skąd dowiedziałeś się naprzód nietylko o mojem przybyciu, lecz o dniu, godzinie, a także porcie, do którego przybiję?

Lord Winter przyjął taktykę milady, sądząc słusznie, że skoro jej używała, musi być dobra.

— Ależ ty mi powiedz, kochana siostrzyczko, po co przybyłaś do Anglii?

— Czyż nie domyślasz się, że dla widzenia ciebie?... — odparła milady, nie przeczuwając, jak tą odpowiedzią utwierdza podejrzenia szwagra, wzbudzone listem d'Artagnana.

— A! dla widzenia się ze mną?... — rzekł podejrzliwie lord Winter.

— Bez wątpienia. Cóż w tem dziwnego?

— Nie miałaś innego celu?

— Nie.

— Dlatego jedynie naraziłaś się na przebycie la Manche?

— Dla ciebie tylko.

— Do kaduka! jakżeś czuła, siostrzyczko moja!

— Czyż nie jestem krewną twoją najbliższą?... — zapytała milady słodkim głosem.

— A nawet jedyną moją spadkobierczynią, wszak prawda?... — rzekł z kolei lord Winter, patrząc jej w oczy surowo.

Pomimo władzy nad sobą, milady nie mogła powstrzymać drżenia, a że przy ostatnich słowach lord Winter położył rękę na ramieniu siostry, drżenie to uwagi jego nie uszło.

W istocie, cios wymierzony był prosto i trafnie.

Pierwszą myślą milady było, iż Katty ją zdradziła i opowiedziała baronowi o interesowności, z jaką nie umiała się ukryć przed służącą. Przypomniała sobie, jak niebacznie wyrzucała d'Artagnanowi, iż nie zabił jej szwagra.

— Nie rozumiem nic, milordzie — wymówiła chcącyskać na czasie i pragnąc, aby przeciwnik jej mówił. Co chcesz przez to powiedzieć? czy słowa twoje mają myśl jaką ukrytą?

— O mój Boże! wcale nie — rzekł lord Winter z pozorną dobroduszością — chciałaś mnie widzieć i przyjechałaś do Anglii. Dowiaduję się o życzeniu, a właściwie domyślam się i, aby ci oszczędzić przykrości, towarzyszącym nocnemu przybyciu do portu, i fatygi wylądowania, wysłałem jednego z moich podkomendnych na twoje spotkanie; daję mu powóz, a on przywozi cię do zamku, którego jestem gubernatorem, gdzie codzień bywam i gdzie, aby dogodzić wspólnemu pragnieniu widywania się, przygotowuję pokój dla ciebie. Cóż w tem więcej jest zadziwiającego nad to, co ty mi opowiadasz?

— Zadziwia mnie jedynie, żeś był zawiadomiony o mojem przybyciu.

— To przecież bardzo proste: czyż nie widziałaś, jak kapitan waszego statku, wchodząc do portu, wysłał przodem małą łódkę z książką legitymacyjną i spisem załogi? Jestem komendantem portu, przyniesiono mi papiery, znalazłem w nich twoje nazwisko. Serce powiedziało mi, coś ustnie potwierdziła, to jest, w jakim celu podjęłaś niebezpieczną podróż, w porze najburzliwszego morza. Posłałem więc skutę na twoje spotkanie. Reszta ci wiadoma...

Milady domyśliła się, że lord Winter mówi nieprawdę, i to ją jeszcze bardziej przeraziło.

— Bracie mój — zaczęła — wszak to księcia Buckingham widziałam na wybrzeżu wieczorem?

— Jego samego. O! pojmuję, że ten widok zrobił na tobie wrażenie: przybywasz z kraju, gdzie bardzo się nim zajmują, a wiem także, iż zbrojenie się jego przeciw Francji niepokoi mocno twego przyjaciela kardynała.

— Mego przyjaciela kardynała? — krzyknęła milady, widząc, że i na tym punkcie lord Winter dobrze jest powiadomiony.

— Czyż nie jest twoim przyjacielem? — odparł milord niedbale — o! przepraszam, myślałem, że tak jest; powrócimy jeszcze do księcia-milorda, a teraz nie zmieniamy czułego nastroju rozmowy; mówisz zatem, że przybyłaś, aby się ze mną widzieć?

— Tak.

— Otóż odpowiedziałem ci, iż stanie się zadość twojej woli, będziemy się widywali codziennie.

— Mamże wiecznie tu pozostać? — zapytała milady z niepokojem.

— Czy nie wygodnie ci tutaj droga siostrzyczko? jeżeli czego ci brakuje, rozkaż tylko, a w tej chwili każe ci dostarczyć.

— Nie mam przecież kobiet moich służebnych, ani moich ludzi...

— Wszystko to się znajdzie, powiedz mi tylko, jak dom miałaś urządzone za pierwszego męża, a choć jestem szwagrem twoim jedynie, tak samo go ci urządzę.

— Za mego pierwszego męża! — zawołała milady, wpatrzywszy się w lorda.

— Tak, twego męża, Francuza; nie mówię tu o moim bracie. A zresztą, jeżeli zapomniałaś, to, ponieważ żyje jeszcze, mógłbym napisać do niego, przysłałby mi potrzebne wskazówki...

Pot zimny wystąpił na czoło milady.

— Żartujesz — wyrzekła głosem złamanym.

— Czyż wyglądam na to? — zapytał lord, powstając.

— A raczej znieważasz mnie — ciągnęła, wspierając się na fotelu, i wstając także.

— Ja ciebie znieważam! — rzekł lord Winter z pogardą — czyż naprawdę przypuszczasz pani, że to możliwe?

— Mój panie — odezwała się milady — jesteś albo pijany, albo zwarjowałeś, wyjdź pan stąd natychmiast i przyslij mi jaką kobietę.

— Kobiety nie są dyskretne, moja siostrze! czy nie mógłbym ci sam usłużyć? tym sposobem tajemnice nasze pozostałyby w rodzinie.

— Zuchwalcze! — krzyknęła milady i, jak poruszona sprężyną, rzuciła się na lorda, oczekującego ją z rękami założonemi, jednak opartemi na rękojeści szpady.

— Oho! — — powiedział — wiem ja, że masz zwyczaj mordować ludzi, lecz będę się bronił, a uprzedzam cię, moja pani, że chociaż jesteś kobietą...

— O! widzę, żeś podły do tego stopnia, iż podniesiesz rękę nawet na kobietę...

— Bardzo być może, a w dodatku mam wymówkę: rękamoja nie będzie pierwszą ręką męską, jaka dotknęła się ciebie, tak mi się zdaje przynajmniej.

Lord wskazał z pogardą lewe ramię milady i prawie dotknął go palcem.

Milady jęknęła głucho, cofnęła się w kąt pokoju, jak pantera szykująca się do napadu.

— O! jęcz, krzycz, ile chcesz — zawołał lord Winter — lecz nie próbuj kasać, bo uprzedzam, że wszystko obróci się przeciwko tobie. Niema tu notariusza, regulującego naprzód sukcesje, niema błędnego rycerza, któryby mnie wyzwiał na pojedynek za trzymanie w niewoli pięknej damy; lecz mam pod ręką sędziów, którzy osądzą właściwie bezwstydną kobietę, mającą śmiałość poślubić lorda de Winter, brata mojego starszego, gdy mąż jej pierwszy żyje dotąd. Bądź pani pewna, iż dostaniesz się znów w moc kata, a ten ci drugie ramię przyzdobi.

Oczy milady tak dziko zabłyśły, że on, choć mężczyzna i uzbrojony, — wobec kobiety bezbronnej, uczuł dreszcz przerażenia w całym ciele; pomimo to ciągnął dalej z wzrastającym uniesieniem:

— O tak, pojmuję to, odziedziczywszy mienie po moim bracie, miłoby ci było posiadać i mój majątek, lecz mówię ci, możesz mnie kazać zamordować, a na nic się to nie przyda, zabezpieczyłem się stosownie: nie dostaniesz ani szeląga... Czyż nie jesteś już dość bogata, posiadając około miliona? ale ty nurzasz się w zbrodniach jedynie dla przyjemności, to rozkosz twoja najwyższa spełniać występki po występku! O! gdyby mi nie chodziło o pamięć brata, zgniałabyś w więzieniu kryminalnym, lub wysłałbym cię do Tyburn na pociechę marynarzy, spragnionych obecności kobiet. Będę milczał jednak, lecz ty znoś cierpliwie niewolę. Za dwa tygodnie wychodzę z armją do Roszelli, w wilgę dnia mojego wyjazdu wsadzę cię na okręt i wyślę do naszych kolonji południowych. Dostaniesz towarzysza, który w łeb ci palnie, gdybyś próbowała powrócić do Anglii, lub na kontynent.

Milady słuchała uważnie, oczy jej coraz więcej błyszczwały.

— Obecnie zaś — mówił dalej lord Winter — pozostaniesz w tym zamku: mury tu są grube, drzwi dobrze okute, a kraty mocne; w dodatku okno twoje wychodzi wprost na morze. Ludzie mej załogi oddani mi są zupełnie, trzymają straż około twojego apartamentu i strzegą wszystkich przejść, prowadzących na dziedziniec, a tam są jeszcze trzy bramy żelazne do przebycia. Straż przy nich jest uprzedzona: krok jeden, jedno słowo, lub gest, zdradzający chęć ucieczki, a w tej chwili dają ognia do ciebie. Jeśli cię zabiją, mam nadzieję, że trybunały angielskie wdzięczne mi będą, że je wyręczył. Ah! rozpogodziłaś czoło, twarz ci się wyjaśniła: dwa tygodnie, myślisz sobie, ba! do tej pory wynajdę podstęp jaki; szatan mi pomoże, znajdę sposób, poświęcę kogo!... Za dwa tygodnie będę stąd daleko, mówisz sobie... O! spróbuj tylko!

Milady poznała, że brat ją odgadł, wpiła paznogie w ciało aby się powstrzymać, by nadać twarzy wyraz jedynie bóleści.

Lord Winter ciągnął:

— Oficera, dowodzącego w mojej nieobecności, widziałas już i znasz go zatem; umie on wypełniać rozkazy, pewny bowiem jestem, że jadąc tu z Portsmouth, próbowałaś go wciągnąć w rozmowę. Jak ci się wydaje? posąg marmurowy może mu tylko wyrównać? Próbowałaś wiele razy mocy twych dźwięków i, niestety, dużo mężczyzn dało się złapać; spróbuj, radzę, jego ujarzmić, a jeżeli ci się uda, nazwę cię chyba szatanem z piekła rodem.

Podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

— Przywołać pana Feltona, — wymówił. — Poczekaj chwilę, zaraz mu cię polecę.

Nastąpiło po tych słowach milczenie; dał się słyszeć chód wolny i miarowy, zbliżający się stopniowo. Następnie z cienia korytarza ukazał się młody wojskowy, którego już znamy, i stanął na progu, oczekując rozkazów barona.

— Wejdz tu, kochany John — rzekł lord Winter. — Wejdz i zamknij drzwi za sobą. Młody człowiek uczynił to według rozkazu.

— Teraz — rzekł lord — przypatrz się dobrze tej kobiecie: młoda ona i piękna, posiada wszelkie powaby ziemskie, otóż mówię ci!.. to jest potwór, który w dwudziestu pięciu latach spełnił tyle zbrodni, ile tylko możesz wyczytać przez rok w kronikach trybunalskich. Głos słodki uprzedza na jej korzyść; piękność służy za wędkę ofiarom, ciało jej dotrzymuje obietnic, trzeba oddać jej tęsprawiedliwość; będzie próbowała uwieść cię, a może nawet zabić... Wyciągnąłem cię z nędzy, Feltonie, zrobiłem moim adjutantem, ocaliłem życie, wiesz kiedy i w jakiej sprawie... Jestem nietylko opiekunem twoim, lecz przyjacielem; nietylko dobroczyńcą, lecz ojcem prawie. Ta kobieta powróciła do Anglii, aby godzić na moje życie; dostałem nareszcie do rąk tę gadzinę!... Otóż przyzwałem cię i mówię: przyjacielu Feltonie... John... dziecko moje!... strzeż mnie, a przede wszystkim strzeż siebie samego przed tą kobietą; przysięgnij na zbawienie, że pilnować jej będziesz aż do chwili wymiaru sprawiedliwości. Johnie Felton, polegam na twojem słowie. Johnie Felton, wierzę uczciwości twojej.

— Milordzie — odrzekł młody oficer, spojrzawszy z nienawiścią i pogardą — milordzie, przysięgam, że stanie się podług twojej woli.

Milady słuchała z miną ofiary zrezygnowanej; twarz jej piękna wyrażała słodycz i podanie. Lord Winter zaledwie poznawał rozjątrzoną tygrysić, którą gotował się pokonać przed chwilą.

— Noga jej nie przestąpi nigdy progu tego pokoju, słyszysz, Johnie — mówił baron dalej — nie wolno jej pisać do nikogo; mówić do ciebie będzie jedynie, jeżeli uczynisz jej ten zaszczyt i odezwiesz się do niej.

— Dosyć, milordzie... przysięgam i dotrzymam.

— A teraz, pani, staraj się pogodzić z Bogiem, ludzie już cię osądzili.

Milady opuściła głowę, niby zdruzgotana ostatnimi słowy.

Lord Winter wyszedł, skinąwszy na Feltona, który udał się za nim i drzwi na klucz zamknął.

Po chwili dał się słyszeć na korytarzu ciężki chód żołnierza z marynarki, który straż trzymał, z toporem u pasa i halabardą w ręce.

Milady przez kilka minut siedziała spokojnie, spodziewając się, że ją obserwują przez dziurkę od klucza. Następnie podniosła wolno głowę; twarz jej przybrała wyraz straszny, pełen groźby wyzywającej. Wstała, podbiegła do drzwi i słuchała, potem wyjrzała oknem, nareszcie padła na fotel i zaczęła rozmyślać.

ROZDZIAŁ XXIV. BACZNOŚĆ, PANOWIE!

Jego Eminencja, kardynał, oczekiwał wieści z Anglii, lecz nie nadchodziły inne, prócz złych i groźnych.

Chociaż Roszella była osaczona, choć zwycięstwo zdawało się pewne, dzięki ostrożnościom przedsięwziętym, a głównie z powodu tamy morskiej, niedającej przystępu statkom do miasta oblężonego, jednak trwać mogła długo jeszcze.

A był to wstyd niemały dla armji królewskiej i niedogodność wielka dla pana kardynała, który nie potrzebował już wprawdzie siać niezgody pomiędzy Ludwikiem XIII i Anną Austrjacką, bo to już było zrobione, lecz musiał godzić pana Bassompierre, poróżnionego z księciem d'Angoulême. Brat zaś króla, który dowodził oblężeniem przy rozpoczęciu, umył ręce od wszystkiego i pozostawił kardynałowi staranie o doprowadzenie go do końca.

Miasto Roszella, pomimo niesłychanej wytrwałości komendanta, buntowało się potrosze, okazując chęć poddania; komendant kazał powywieszać wichrzycieli bez sądu.

Środek ten ochłodził zapalone głowy i nakłonił mieszkańców do wytrwania, pomimo widma śmierci głodowej. Śmierć ta wydała im się mniej gwałtowną, niż zgon na szubienicy.

Ze swej strony, od czasu do czasu, oblegający chwyтали wysłańców z Roszelli, wyprawianych do Buckinghamu, lub szpiegów tegoż, starających się dostać do oblężonego miasta.

W jednym jak w drugim wypadku, sprawa kończyła się szybko: „Na szubienicę!“ mówił kardynał i proces skończony. Zapraszano zwykle króla na ceremonje wieszania. Jego

Królewska Mość przybywał słaby i omdlewający i obierał najlepsze miejsce dla przypatrzenia się operacji. To go rozrywało nieco podczas długiego oblężenia, lecz nudził się pomimo to śmiertelnie i ciągle mówił o powrocie do Paryża. Dostyc, że gdyby zbrakło było wysłańców i szpiegów, Jego Eminencja z całą pomysłowością swoją, znalazłby się w wielkim kłopotcie.

Czas upływał jednakże, a roszelanie się trzymali; ostatni szpieg, jakiego pojmano, niósł list do Buckinghama. W liście tym pisano, że miastu grozi zagłada; lecz zamiast pisać: „Jeżeli nie dacie nam pomocy przed upływem dwóch tygodni, poddamy się bezwarunkowo”, pisano po prostu: „Jeżeli nie przyjdziecie przed upływem dwóch tygodni, pomrzemy wszyscy z głodu”.

Roszelanie całą nadzieję pokładali w Buckinghamie. Księżę był ich Mesjaszem. Wiodoczne było, że, gdyby się przekonali, iż nie mogą rachować na Buckingham, wraz z tą nadzieją i odwaga ich rozchwiałyby się.

Czekali też niecierpliwie wiadomości z Anglii, któreby doniosły, że Buckingham już idzie.

Kwestja zdobycia miasta szturmem, rozbierana powielekroć na radzie królewskiej, odrzucana była zawsze. Naprzód dlatego, że Roszella uchodziła za niezdobytą, następnie kardynał pomimo wszystko, co o nim mówiono, wiedział doskonale, iż konieczność rozlewu krwi w tem spotkaniu, gdzie Francuz miał walczyć z Francuzem, była czynem, cofającym politykę o lat sześćdziesiąt, a kardynał w owej epoce uchodził za człowieka postępowego. Rzeczywiście, rabunek Roszelli i wymordowanie trzech do czterech tysięcy hugonotów, którzyby się dali zabić, nie ustępując, przypomniałyby zanadto w roku 1628 rzeź Świętego Bartłomieja z roku 1572. W dodatku ostateczny ten środek, jakiemu król, dobry katolik, nie miał nic do zarzucenia, upadał zawsze, zbijany argumentem dowódców oblężenia: „Roszella jest niezdobytą, można ją wziąć jedynie głodem”.

Kardynał nie mógł się opędzić złym przeczuciom z powodu milady, i on zrozumiał okrutny charakter tej kobiety, która raz pełzała, jak wąż, to znów groźna była, jak lwica. Miałażby go zdradzić?... a może umarła?... Znał ją bowiem dostyc, by wiedzieć, że czy z nim trzyma, czy jest przeciw niemu, czy jako przyjaciółka, czy jako wróg, nie siedziałyby spokojnie bez przyczyny. Lecz skąd biorą się przeszkody?... Tego nie mógł się domyśleć.

Zresztą miał podstawę, by liczyć na nią: odgadywał w przeszłości tej kobiety straszne tajemnice, jakie tylko pod cieniem jego purpury ukryć się mogły, i czuł dobrze, że była mu oddana dlatego, że czuła się bezpieczna pod tak wszechwładną opieką.

Postanowił prowadzić wojnę sam, nie oglądając się na pomoc obcą. Budował w dalszym ciągu sławną tamę, mającą za cel ogłodzenie Roszelli. Zwrócił wzrok na nieszczęśliwe miasto, zamykające w swych murach tyle zapału i tyle bohaterstwa, a, przywołując na pamięć słowa Ludwika XI, poprzednika swego w polityce, jak on sam był poprzednikiem Robespiera, powtarzał maksymę kuma Tristanowego; „Dziel, a będziesz panował”.

Henryk IV, oblegając Paryż, kazał ciskać przez mury miasta chleb i żywność; kardynał kazał rzucać świstki papieru, na których wystawiał Roszellanom, iż postępowanie ich dowódców jest egoistyczne i barbarzyńskie. Wodzowie mieli zboża pod dostatkiem, a nie dzielili się z nikim.

Przyjęli za zasadę, że nic nie znaczy śmierć kobiet, dzieci i starców, niech tylko ludzie zdolni do obrony murów będą silni i zdrowi.

Dotychczas, bądź przez poświęcenie, bądź przez niemożność przeciwdziałania, maksyma ta, nie będąc uznana ogólnie, przeszła jednakże z teorii w praktykę; kartki rzucane zachwiały ją teraz. Na kartkach było wypisane, że dzieci, kobiety i starcy, którym pozwalano z głodu umierać, są to dzieci, żony i ojcowie obrońców miasta. Słuszneby zatem było, aby rozdzielano równo pożywienie, i w jednakowym położeniu, jednakową zasadę wogóle przyjęto.

Odezwy te odniosły oczekiwany skutek: skłoniły znaczną liczbę mieszkańców do pojedynczego porozumienia się z armją królewską.

Lecz w chwili, gdy kardynał ujrzał już owoce swego pomysłu i radował się, że go użył, jeden z mieszkańców Roszelli zdołał prześlizgnąć się przez strażę królewską, a Bóg jeden wie tylko, jakim cudownym sposobem, tak wielką była czujność Bassompiera, Schomberga i księcia d'Angoulême, pilnowanych znów przez kardynała. Otóż jeden z mieszkań-

ców Roszelli, powtarzamy, dostał się do miasta, a powracał z Portsmouth, i opowiedział oblężonym, jako widział tam wspaniałą flotę, gotową rozwinąć żagle w przeciągu kilku dni.

Co więcej, Buckingham zawiadomił prezydenta miasta, iż nakoniec wielka liga przeciw Francji doszła do skutku, a państwo całe jednocześnie zajęte zostanie przez armie: angielską, cesarską i hiszpańską. List ten odczytywano na placach publicznych, kopje rozlepiano po rogach ulic, a ci nawet, którzy zaczęli rokować z królewskimi, zerwali układy, postanawiając czekać pomocy, tak szumnie zapowiedzianej.

Niespodziewane te wypadki popsuły szyki Richelieumu i zmusiły go wbrew woli do zwrócenia oczu na drugi brzeg kanału, w stronę, gdzie działała milady.

W tymże czasie, wolna od wzruszeń i kłopotów swego prawdziwego dowódcy, armia królewska pędziła wesołe życie. Nie brakło żywności w obozie, a tembardziej pieniędzy; pułki rywalizowały w zuchwałstwie i wybrykach wesołości. Łapać szpiegów, wieszać ich, robić hazardowne wycieczki na tamę lub na morze; obmyślać szalone projekty i wykonywać z zimną krwią, takie były zajęcia, skracające armji długie dni; długie nie tylko dla oblężonych, trawionych głodem i niepokojem, lecz i dla kardynała, który ich ścisłał blokadą, jak obręczą żelazną, aby nie dopuścić pomocy, ani posiłków.

Czasami, gdy kardynał, zawsze na koniu, jak ostatni z żandarmów, wodził zamyślony wzrok po fortyfikacjach, postępujących nie tak szybko, jak pragnął, które wznosili pod jego rozkazami inżynierowie, zwołani z całej Francji, i gdy przy takim objeździe napotkał muszkietera z kompanji pana de Tréville, zbliżał się i patrzył pilnie na niego, a, poznawszy, że to nie jeden z czterech towarzyszy, zapuszczał gdzieindziej bystry wzrok i myśl potężną.

Pewnego dnia, toczony śmiertelną nudą, straciwszy nadzieję układów z oblężonym miastem, bez żadnej wieści z Anglii, kardynał wyjechał z obozu bez celu, jedynie w towarzystwie Cahusaca i La Houdiniéra, a, postępując wzdłuż brzegów morskich, marzył, wpatrując się w ogrom oceanu.

Jadąc tak wolno, stanął na wzgórzu, z wysokości którego ujrzał poza płotem siedmiu ludzi, wyciągniętych na piasku, a dokoła nich próżne butelki.

Czterej z nich, byli to nasi muszkietierowie, oczekujący widocznie na głośnie czytanie listu, jaki jeden z nich tylko co odebrał. Musiał list ten być bardzo ważny, skoro skłonił ich do porzucenia kart i kości, leżących nieopodal na bębnie.

Trzech ludzi było zajętych odkorkowywaniem ogromnej butelki wina z Collioure; byli to służący tych panów.

Kardynał, jak wspomnieliśmy, był w złem usposobieniu, a wtedy nic go tak nie gniewało, jak wesołość innych. Dziwne miał uprzedzenie, że to, co go gniewa i martwi, sprawia otaczającym przyjemność. Skinał więc na la Houdiniéra i Cahusaca, by się zatrzymali, sam zaś zsiadł z konia i podsunął się do wesołej kompanji, bardzo mu podejrzananej, w nadziei, że piasek stłumi odgłos kroków, a płot osłoni go, i że pochwyci choć kilka słów rozmowy, jak się zdawało interesującej nadzwyczaj. Gdy był już o dziesięć kroków, rozpoznał narzeczę gaskońskie, a ponieważ wiedział już, że to muszkietierowie, nie wątpił, iż trzech z pomiędzy nich są to, jak ich nazywano, *nierozłączni*, to jest: Athos, Porthos i Aramis.

Łatwo pojąć, jak pragnął usłyszeć, o czem rozmawiają. Oczy mu dziwnym zaświeciły blaskiem i, jak kot, skradął się do płotu.

Nie pochwycił jeszcze słowa, gdy naraz odezwał się dźwięczny głos, zwracający uwagę muszkietierów.

— Baczość, oficer nadchodzi! — zawołał Grimaud.

— Odzywasz się, głupcze jakiś? — rzekł Athos, unosząc się na łokciu i wzrokiem piorunując Grimauda.

Grimaud nie dodał ani słowa, wskazał tylko palcem w kierunku kardynała i jego eskorty.

Muszkietierowie zerwali się na nogi i skłonili się z szacunkiem.

Kardynał pienieł się ze złości.

— Panowie muszkietierowie — rzekł — każą się pilnować, jak widzę! Czyżby się bali napadu Anglików?... lub też prości muszkietierowie uważają się za wyższych oficerów?

— Eminencjo — odparł Athos, on jeden bowiem zachował zimną krew w tym wypadku — Eminencjo, muszkietierowie, gdy nie są na służbie, piją i grają w kości, a wtedy

są oficerami wyższymi dla swych lokajów.

— Lokaje! — mruzczał kardynał — którzy mają rozkaz ostrzegać panów o zbliżeniu kogokolwiek, to nie są lokaje, to poprostu warta.

— Wasza Eminencja ma jednak dowód, iż gdyby nie ta ostrożność, bylibyśmy narażeni na niemożność złożenia mu uszanowania i podziękowania za to, iż raczył d'Artagnana do nas przyłączyć. D'Artagnanie, ty, któryś właśnie pragnął wyrazić swą wdzięczność Eminencji, zbliż się i korzystaj ze sposobności.

Wszystko to wypowiedziane zostało z powagą i zimną krwią, odznaczającą Athosa w chwilach niebezpieczeństwa, a razem z wyszukaną grzecznością, dającą mu pozór godności iście królewskiej.

D'Artagnan wyjąkał parę słów podziękii, które zamarły mu na ustach, pod groźnym spojrzaniem kardynała.

— Wszelako, moi panowie — ciągnął kardynał, nie odstępując od myśli pierwotnej i nie zważając, co Athos mówi — nie lubię ja, aby prości żołnierze, dlatego, że służą w pułku uprzywilejowanym, udawali wielkich panów; karność wojskowa jest dla nich taką samą jak dla wszystkich.

Athos pozwolił kardynałowi skończyć, a, skłaniając głowę na znak zgody, zaczął mówić:

— Eminencjo, nie zapomnieliśmy karności wojskowej. Nie będąc dziś na służbie, sądziliśmy, iż wolno nam zabawić się według upodobania. Gdybyśmy jednak mieli szczęście otrzymać polecenie osobiste waszej Eminencji, gotowi jesteśmy do posłuszeństwa natychmiast. Widzi Wasza dostojność — mówił dalej Athos, marszcząc brwi, albowiem ten rodzaj indagacji poczynił go niecierpliwie — iż, aby gotowymi być na wypadek alarmu, jesteśmy tu z bronią nawet.

Wskazał na cztery muszkiety, ustawione obok bębna z kartami i kośćmi.

— Wasza dostojność raczy wierzyć — dodał d'Artagnan — pośpieszylibyśmy na Jego spotkanie, gdybyśmy przypuszczali, że to on zbliża się ku nam z tak małą eskortą.

Kardynał gryzł usta ze złości.

— Czy wiecie, panowie, — rzekł — na co wyglądacietak zawsze razem, uzbrojeni i strzeżeni przez lokajów? wyglądacie na spiskowców.

— O! co do tego Wasza Eminencja ma rację — odezwał się Athos — spiskujemy, jak to już można było widzieć, lecz przeciw Roszelanom jedynie.

— O! panowie umiecie politykować!... — rzekł kardynał, marszcząc brwi — znalazłoby się w waszych głowach dużo rzeczy, o których nie wiemy, gdyby można tam czytać, jak to wy czytaliście ten list, schowany za mojem nadejściem.

Athosowi krew uderzyła do twarzy, przystąpił do kardynała i rzekł:

— Zdaje się, iż rzeczywiście podejrzewasz nas, Eminencjo, i że podlegamy prawdziwej indagacji, jeżeli tak, to niech Wasza wielebność raczy powiedzieć, o co chodzi, a będziemy przynajmniej wiedzieli, czego się trzymać.

— A gdyby to było badanie?... — odparł kardynał — nie tacy, jak wy, podlegali mu, panie Athosie, i musieli odpowiadać.

— Mówiłem już, Eminencjo, racz pytać, gotowi jesteśmy odpowiadać.

— Co to był za list, który miałeś czytać panie Aramisie, a który schowałeś?

— List od kobiety, Eminencjo.

— O! pojmuję — rzekł kardynał — trzeba być dyskretnym z taką korespondencją; jednakże można ją pokazać spowiednikowi, a wiecie zapewne, że ja otrzymałem święcenia.

— Eminencjo — odezwał się Athos ze spokojem tem straszniejszym, iż głowę narażał, tak odpowiadając — list od kobiety, lecz nie nosi podpisu ani *Marion de Lorme* ani *pani d'Auignon*.

Kardynał zbladł śmiertelnie, oczy mu dziko zabłyśły, odwrócił się, niby chcąc coś rozkazać La Houdinièrowi i Cahusacowi. Athos widział to poruszenie i posunął się do muszkietów, na które trzech przyjaciół patrzyło już z minami ludzi, jacy nie dadzą się wziąć łatwo.

Kardynał był samotrzeć; muszkieterów razem z lokajami było siedmiu; pomyślał zatem, że partja nierówna, tembardziej, iż miał to przekonanie, że Athos i jego towarzysze spiskują rzeczywiście; nagłym więc zwrotem opanował gniew i roześmiał się wesoło.

— No, no — zawołał — jesteście mężni młodzieńcy, zuchwali przy blasku słońca, wierni w ciemnościach; dobrze jest być strzeżonym, jeżeli drugich strzeże się uczciwie. Panowie, pamiętam tę noc, kiedyście mnie przeprowadzali do Czerwonego Gołębnika; gdyby było jakie niebezpieczeństwo na drodze, w którą się udaję, prosiłbym, abyście ze mną jechali, lecz, ponieważ nie mam się czego obawiać, zostańcie, gdzie jesteście, dokończcie butelek i listu waszego. Adieu, panowie.

Dosiadł konia, podanego przez Cahusaca, pożegnał ich ręką i odjechał.

Młodzi ludzie, stojąc nieruchomo, ścigali go wzrokiem i milczeli, aż im znikł z oczu. Następnie spojrzeli po sobie.

Wszyscy mieli miny przerażone, czuli dobrze, iż pomimo łaskawego pożegnania kardynał odjechał z furją w duszy.

Athos tylko uśmiechał się wzgardliwie.

A gdy kardynał już nie mógł ich słyszeć:

— Grimaud za późno nas ostrzegł!... — zawołał Porthos, chcąc na kimś wyrzucić złość swoją.

Grimaud chciał się tłumaczyć.

Athos położył palec na ustach i Grimaud zamilkł.

— Aramisie, czy byłbyś list oddał?... — zapytał d'Artagnan.

— Byłem zdecydowany — odrzekł Aramis głosem słodziutkim — gdyby zażądał był listu, podać mu jedną rękę a drugą przebić go szpadą na wylot.

— Spodziewałem się tego — rzekł Athos — i stanąłem pomiędzy nim a tobą. Kardynał jest nieostrożny bardzo, odzywając się w ten sposób do ludzi; możnaby myśleć, że miał jedynie w życiu do czynienia z kobietami i dziećmi.

— Kochany Athosie — rzekł d'Artagnan — podziwiam cię, lecz pomimo to, my nie mieliśmy racji...

— Jakto! my racji nie mieliśmy! — przerwał Athos. — Czyjeż to powietrze, którem oddychamy? Czyj ocean, na który patrzymy? Czyj piasek, na którym leżeliśmy? Do kogo należy list twojej kochanki? Czy do kardynała? Na honor, człowiek ten wyobraża sobie, iż świat cały do niego należy. Staliście teraz, jękając się, osłupieli, upokorzeni, jak przed Bogiem; rzecby można, że Bastylję ujrzeście lub że Meduza w kamienie was zamieniła. Kochasz kobietę, którą kardynał kazał uwięzić, chcesz ją wydostać z rąk jego; jest to partja, jaką rozgrywasz z Jego Eminencją: ten list, to twoje atu; pocóż pokazywać atu przeciwnikowi? tak się nie robi. Niech sam odgadnie, i owszem! O!... my odgadujemy doskonale jego zamiary.

— W rzeczy samej, bardzo rozsądnie to powiedziałaś, Athosie — rzekł d'Artagnan.

— Niechże nie będzie więcej mowy o całym zdarzeniu i niech Aramis czyta list kuzynki, od miejsca, w którym kardynał nam przerwał.

Aramis wyjął list z kieszeni, towarzysze przysunęli się, a lokaje zajęli się napowrót butelką z winem.

— Przeczytałaś zaledwie parę wierszy, zacznij od początku — rzekł d'Artagnan.

„Kochany kuzynku!

„Zdecydowana jestem jechać do Stenay, gdzie siostra moja umieściła naszą kuzynkę w klasztorze karmelitek. Biedne dziecko, pogodziło się z losem, przekonana jest bowiem, że tam tylko znajdzie zbawienie duszy. Sądzę jednakże, jeżeli nasze interesy familijne ułożą się po myśli, wtedy powróci ona do tych, których tak bardzo kocha, tembardziej, iż wie o tem, że myślą o niej bezustannie. Oczekując tej zmiany, niebardzo się martwi, pragnie jedynie listu od narzeczonego. Wiem, że ten rodzaj kontrabandy z trudnością przechodzi kraty klasztorne; lecz dałam ci już dowód zręczności w tej mierze, drogi kuzynku, i teraz podejmę się z ochotą zlecenia. Siostra moja zasyła ci podziękowanie za twoją stałą o niej pamięć. Miała bardzo przykre chwile do przebycia; lecz uspokoiła się nakoniec trochę, wysłała bowiem wiernego sługę tam, dokąd wiesz, aby pilnował jej interesów. Adieu, kochany kuzynku, pisz do nas, jak możesz najczęściej, to jest, gdy będziesz miał pewność, że listy twoje dojdą rąk naszych. Całuję cię serdecznie.

Maryja Michon”.

— O! ileż ja ci zawdzięczam, drogi Aramisie! — zawołał d'Artagnan. — Kochana moja Konstancja! mam na koniec o niej wiadomość; żyje, jest bezpieczna w klasztorze, jest w Stenay! Athosie, powiedz mi gdzie leży Stenay?

— Kilka mil od granicy Alzacji, w Lotaryngji; jak tylko oblężenie się skończy, możemy wybrać się w te okolice...

— Niedługo to nastąpi, mam nadzieję — odezwał się Porthos — dziś rano powieszono szpiega, który zeznał, że Roszelczycy zjadają już skórę z trzewików. Przypuśćmy, że, zjadłszy skórę, wezmą się do podeszew to niedługo nie pozostanie im nic innego, jak zjadać się wzajemnie.

— Biedni głupcy! — rzekł Athos, wypróżniając szklankę doskonałego Bordeaux, które choć nie posiadało w owej epoce sławy dzisiejszej, niemniej na nią zasługiwało. — Nieszczęśliwi, bezrozumni! jak gdyby religja katolicka nie była najkorzystniejszą i najprzyjemniejszą ze wszystkich wyznań! A jednak — dodał, smakując z upodobaniem wino — to dzielni ludzie... Aramisie, co ty u diabła robisz? — ciągnął Athos — chowasz ten list do kieszeni?

— Trzeba go spalić — rzekł d'Artagnan — a nawet kto wie, czy pan kardynał nie ma sposobu wygrzebywania tajemnicy z popiołów?

— Z pewnością go posiada — odparł Athos.

— Cóż zatem chcesz zrobić z tym listem? zapytał Porthos.

— Zbliź się, Grimaud — zawołał Athos.

Grimaud wstał i słuchał.

— Za karę, że odezwałeś się bez pozwolenia, mój przyjacielu, zjesz natychmiast ten kawałek papieru; następnie w nagrodę usługi, jakąś nam oddaś, wypijesz tę oto szklankę wina. Masz najpierw list; dalej! gryź prędko.

Grimaud uśmiechnął się i z oczami utkwionymi w szklankę, którą Athos winem nappełnił, pożał papier i polknął go...

— Brawo, panie Grimaud! — rzekł Athos, — teraz bierz i pij; możesz nie dziękować.

Grimaud w cichości polykał Bordeaux, lecz wzrok, wzniesiony w niebo, bardziej był wymowny przez cały czas miłego zajęcia.

— A teraz, — rzekł Athos, — jeżeli tylko panu kardynałowi nie przyjdzie dowcipna myśl utworzenia żołądka Grimaudowi, to, jak mi się zdaje, możemy być prawie spokojni.

Przez ten czas Jego Eminencja odbywał dalej samotną przejażdżkę, mrużąc pod wąsami:

— Ci ludzie muszą do mnie należeć; muszą, stanowczo!

ROZDZIAŁ XXV. PIERWSZY DZIEŃ NIEWOLI

Powróćmy do milady, którą straciliśmy z oczu, zatrzymawszy się na brzegach Francji.

Odnajdujemy ją w położeniu rozpaczliwym, w jakim ją pozostawiliśmy; w przepaści czarnych rozmyślań, czarnych, jak piekło, u drzwi którego zostawiła prawie nadzieję: pierwszy raz bowiem ogarnęło ją zwątpienie, pierwszy raz się lękała.

Po dwakroć zwykle szczęście jej nie dopisało, po dwakroć odkryto ją i zdradzono, a obydwą razy rozbilo się powodzenie jej o ten genjusz fatalny, zesłany przez Boga na jej pogńębienie: d'Artagnan zwyciężył ją, tę siłę, w złem niewyciężoną.

Nadużył miłości, upokorzył dumę, oszukał ambicję, a teraz oto gubi ją bezpowrotnie, czycha na swobodę, życiu jej nawet zagraża. Co więcej, zdarł z niej maskę, którą się osłaniała, i pod którą była tak silna!

D'Artagnan odwrócił od nienawistnego jej Buckingham'a (bo nienawidzi go, jak wszystko, co kiedyś kochała) burzę grożącą mu od Richelieu'go z powodu królowej.

D'Artagnan udawał de Wardesa, dla którego miała jedną z tych fantazyj zwierzęcych, niepohamowanych, jakim podlegają kobiety jej charakteru. D'Artagnan zna straszną tajemnicę i żyje jednak, a przysięgła przecież, iż każdy, co ją pozna, umrzeć musi...

Nakoniec w chwili, gdy zdobyła wyrok od kardynała, za pomocą którego pewna była zemsty nad nieprzyjacielem, wydarto jej ten wyrok, a teraz znów d'Artagnan wepchnął ją do więzienia i przyczynił się, iż zostanie wysłana do Botany — Bay, do ohydnego Tyburn, za ocean Indyjski!...

Wszystko to jego sprawa napewno; skądżeby mogło przyjść tyle nieszczęść? On tylko mógł lordowi de Winter odkryć jej straszną przeszłość, poznaną dziwnym zrzędzeniem

losu... On zna jej szwagra i napisał do niego bezwątpienia. Jakaż nienawiść wzbiera w jej sercu, gdy siedzi nieruchoma, z oczami palającymi, utkwionymi w pokój pusty; co chwila z piersi wydobywa się jęk stłumiony, a wtóruje mu łoskot bałwanów morskich, rozbijających się z rykiem, jak rozpacz wieczna a bezsilna, o podnóże skały, na której stoi zamek ponury.

W głowie roją się tysiączne plany zemsty, nad panią Bonacieux, Buckinghamem, a nadewszystko nad d'Artagnanem!

Tak, lecz chcąc się mścić, trzeba być wolną; więzień, chcący się wydostać na swobodę, musi przebić mury, wyłamać kraty, wyrwać podłogi. Wszystko to dobre dla mężczyzny silnego i cierpliwego, lecz nie dla kobiety nerwowej i słabej fizycznie. W dodatku potrzeba na to czasu, miesięcy, lat całych, a ona... ona ma dwanaście dni, jak jej zapowiedział lord Winter, okrutny dozorca więzienny. Jednak, gdyby była mężczyzną, próbowałaby wszystkiego, możeby się udało uwolnić; oh! poco Stwórca się pomylił i duszę męską i silną dał kobiecie słabej i delikatnej! Pierwsze chwile niewoli były straszne; szarpała się, trzęsła, nie mogąc powstrzymać objawów słabości kobiecej.

Powoli uspakajała się, pokonała wybuchy szalonego gniewu, drżenie nerwowe ustało i rozmyślała, siedząc beczynn timer, jak wąż znużony, gdy odpoczywa.

— Dosyć tego, szalona byłam, unosząc się w ten sposób — rzekła do siebie, patrząc w lustro, odbijające wzrok palający, jakim przypatrywała się sobie. — Dosyć gwałtów i krzyków, to dowód właśnie słabości. W ten sposób nigdy nie postawiłam na swoim: gdybym użyła siły z kobietą, może byłaby słabsza odemnie, lecz ja walczę z mężczyzną i powinnam o tem pamiętać... Walczmy zatem, jak kobieta; siła moja jest właśnie w słabości...

Następnie dla przekonania, jakie zmiany nakazać może twarzy swojej, przybierała po kolei od wyrazu złości, wykrzywiającej rysy, aż do najczulszego, tkliwego i najponętniejszego uśmiechu.

Potem rozpuściła włosy i ułożyła tak, aby podnosiły piękność twarzy. Nakoniec zadowolona szepnęła:

— Nic niema straconego... Jestem zawsze bardzo piękna...

Wieczór się zbliżył, godzina ósma wybiła, milady spostrzegła łóżko zasłane. Pomyślała, że kilka godzin spoczynku nietylko umysł odświeży, lecz doda blasku śnieżnej pici. Przed położeniem się jednak powzięła inne postanowienie.

Słyszała, iż mówiono o kolacji, a że od godziny przeszło zamknięta już była, spodziewała się zatem, iż niebawem posiłek jej przyniosą. Nie chciała czasu tracić i postanowiła od chwili obecnej zbadać położenie, studując charaktery ludzi, którym straż nad nią powierzono.

Światło ukazało się przez drzwi; zwiastowało ono powrót dozorców. Milady rzuciła się coperdziej na fotel, głowę w tył przechyliła; piękne włosy rozpuszczone sięgały podłogi, pierś na pół odkryta wyglądała z pod koronek sukni, ręką jedną trzymała się za serce, drugą bezwładnie spuściła ku ziemi.

Otworzono zamki, drzwi na zawiasach zgrzytnęły, do pokoju weszło osób kilka.

— Postawcie ten stół — dał się słyszeć głos, po którym milady poznała Feltona.

Wykonano rozkaz bezzwłocznie.

— Przynieście tu światło i każcie zmienić wartę — mówił Felton.

Milady domyśliła się po tym rozkazie, że ludzie jej usługujący byli żołnierzami.

Polecenie Feltona wykonano szybko i w milczeniu, co dawało dobre wyobrażenie o karności, w jakiej trzymał podwładnych. Nakoniec Felton, który dotąd nie patrzył na milady, zwrócił się do niej.

— A!... — wyrzekł — ona śpi; to dobrze, po przebudzeniu zje kolację.

I zawrócił się ku wyjściu.

— Panie poruczniku — odezwał się jeden z żołnierzy, mniej surowy, niż jego dowódca — ona nie śpi...

— Jakto nie śpi?... — rzekł Felton — cóż robi zatem?

— Zemdlała; patrz pan, jaka biała leży i bez oddechu!

— Masz rację — przyznał Felton, przyjrawszy się milady zdaleka — idź, donieś lordowi de Winter, że tapani zemdlała, ja nie wiem, co na to poradzić, ponieważ nie

przewidzieliśmy tego wypadku.

Żołnierz wyszedł, a Felton usiadł przy drzwiach i czekał, nic nie mówiąc. Milady posiadała dar widzenia poprzez rzęsy, nie otwierając oczu wcale. Widziała, że Felton jest obrócony tyłem i, przez jakie dziesięć minut patrząc na niego, przekonała się, że jej nieczuły dozorca nie odwrócił się ani razu.

Przyszło jej na myśl, że z przybyciem lorda, Felton umocni się jeszcze w obojętności. Pierwsza próba nie udała się; co robić, rachowała na inne jeszcze sposoby, podniosła też głowę, otworzyła oczy i westchnęła lekko.

Na odgłos ten, młody oficer odwrócił się nareszcie.

— A! obudziłaś się, pani — rzekł — niepotrzebny więc tu już jestem. Jak pani będziesz czego potrzebować, proszę zadzwonić.

— O Boże, mój Boże! jakże cierpiałam!... — wymówiła milady głosem harmonijnym, jakim czarodziejki starożytne usidlały tych, których zgubić postanowiły.

Felton się podniósł.

— Podadzą pani posiłek trzy razy na dzień — powiedział — o dziewiątej rano, pierwszej z południa i ósmej wieczorem. Jeżeli to nie podoba się, pani, oznacz inne godziny, a pod tym względem, zastosujemy się do życzeń twoich.

— Czyż zawsze mam być sama jedna w tym wielkim i ponurym pokoju?... — zapytała milady.

— Będziesz pani miała od jutra kobietę do usług, która stawi się na każde zawołanie.

— Dziękuję panu — odpowiedziała milady pokornie.

Felton skłonił się lekko i skierował ku drzwiom. Gdy miał próg przestąpić, lord Winter ukazał się na korytarzu wraz z żołnierzem, który go uwiadomił o zemdleńiu milady. Lord trzymał w ręku flakon z solami trzeźwiącymi.

— Co tu się dzieje?... — zapytał drwiąco, ujrawszy milady na nogach, a Feltona wychodzącego. — Czy nieboszczka już zmartwychwstała?... Przebóg, Feltonie, mój synu, czy nie widzisz, że mają cię za nowicjusza i odgrywają przed tobą pierwszy akt komedji, której dalszy ciąg będziemy mieli przyjemność ujrzeć w przyszłości?

— Tak też myślałem, milordzie — rzekł Felton — lecz ponieważ to kobieta, więc, jako człowiek dobrze urodzony, chciałem okazać względy należne płci, nie już przez szacunek dla niej, lecz dla siebie samego.

Milady dreszcz przeszedł. Słowa Feltona ścięły jej krew w żyłach.

— Zatem — mówił lord Winter — te piękne włosy do ziemi rozpuszczone i te spojżenia omdlewające nie zwiodły cię, ty, człowieku z kamiennem sercem?

— Nie, milordzie — odrzekł obojętnie młodzieniec — wierz mi, potrzeba daleko więcej sztuki i kokieterji, aby mnie oszukać.

— W takim razie, dzielny mój poruczniku, zostawmy milady, niech szuka innych sposobów, a sami chodźmy na kolację. Bądź spokojny! ma ona płodną imaginację, drugi akt komedji nastąpi niebawem po pierwszym.

Z temi słowy lord Winter wziął pod rękę Feltona i, śmiejąc się, zmierzał ku drzwiom.

— O! znajdę, co ci potrzeba — mruzczała milady przez zęby — bądź pewny, biedny mnichu niedoszły! znajdę sposób, biedny żołnierzu nawrócony, który wykroileś sobie mundur z habitu!

— Ale, ale — dodał lord Winter, zatrzymując się na progu — droga milady, niech ci ten zawód apetytu nie psuje. Spróbuj kurczęcia i ryb, nie kazałem ich zatruć, słowo honoru. Dobrego mam kucharza, a ponieważ nie dziedziczy po mnie, pokładam w nim ufność zupełną. Ufaj mu więc także. Adieu, kochana siostrzyczko, zobaczymy się przy zemdleńiu powtórnem.

Tego już zawiele było dla milady; zacisnęła ręce kurczowo, zgrzytnęła zębami i wzrok ponury utkwiała w drzwi, zamykające się za lordem i Feltonem. Gdy już sama została, nowy paroksyzm rozpaczy ją napadł, spostrzegła nóż na stole, zerwała się i schwyciła go; niestety! rozczarowanie ją spotkało okrutne: ostrze było tępe, ze srebra miękkiego...

Śmiech głośny się rozległ, drzwi się roztworzyły.

— A! a!... — wołał lord Winter — a! a! a! widzisz, dzielny Feltonie, czy ci nie mówiłem?... Ten nóż, dla ciebie był przeznaczony; dla ciebie, moje dziecko, onaby cię nim przebiła. Jest to jeden z jej sposobów pozbywania się ludzi, którzy jej zawadzają. Gdybym

cię był posłuchał, dałbym jej był nóż stalowy i ostry: a wtedy już po Feltonie! byłaby ci gardło poderżnęła, a potem wszystkim, którychby na drodze swej napotkała. Spójrz no, John, jak ona umie nóż trzymać doskonale.

Rzeczywiście, milady trzymała wciąż w ręce zaciśniętej nóż srebrny, lecz ostatnie słowa, zawierające najwyższą zniewagę, odebrały jej siłę... nóż upadł na ziemię.

— Prawdę mówiłeś, milordzie — rzekł Felton z głęboką pogardą — masz rację, jak zawsze, ja to byłem w błędzie.

I obydwaj opuścili pokój. Lecz teraz milady słuchała uważniej, niż za pierwszym razem, dopóki ostatnie echo kroków nie ucichło w głębi korytarza.

— Zgubionam — mruzczała — zgubionam bezpowrotnie... Jestem w mocy ludzi zimnych, okrutnych; nie zdobędę ich sobie, to posągi z brązu, czy z granitu. Zrozumieli mnie, odgadli i opancerzyli się stosownie na wszystkie moje pociski... Niepodobna jednak, aby to się miało tak skończyć, jak oni pragną...

Milady zasiadła do stołu, jadła z apetytem, wypila trochę wina hiszpańskiego i poczuła, że odwaga jej powróciła.

Przed udaniem się na spoczynek, przeszła w pamięci każde słowo, każde stąpienie, gest, poruszenie, aż do milczenia swoich interlokutorów, a z tego przeglądu ścisłego wypadło, że Felton, pomimo pozorów łatwiejszy był do podejścia, niż lord Winter.

Jedno przedewszystkiem przychodziło jej na pamięć.

— Gdybym cię był posłuchał — powiedział lord do Feltona.

Zatem Felton ujmował się za nią, skoro Winter nie chciał go usłuchać.

— Słaby jest, czy silny — powtórzyła milady — człowiek ten ma jednak iskrę litości w duszy; z tej iskry rozniecę pożar, który go pochłonie.

Co się tyczy tamtego, on zna mnie dobrze, lęka się i wie, czego może się spodziewać, jeżeli kiedykolwiek z rąk jego się wydostanie. Nie warto zatem próbować z nim cokolwiek. Felton to co innego; młody jest, naiwny, czysty i wydaje się cnotliwy; na tego mam sposób pewny...

Milady położyła się i zasnęła z uśmiechem na ustach; widząc ją śpiącą, rzekłbyś, młode dziewczę, śniące o wieńcu z kwiatów, którym ma nazajutrz główkę przyozdobić.

ROZDZIAŁ XXVI. DRUGI DZIEŃ NIEWOLI

Milady śniła, iż dostała nakoniec d'Artagnana, iż patrzy na śmierć jego i właśnie widok krwi nienawistnej, płynącej z pod topora katowskiego, wywołał na usteczka te uśmiech prześliczny. Spała, jak śpi więzień, kołysany pierwszą nadzieją wolności.

Nazajutrz, gdy zajrzano do pokoju, leżała jeszcze w łóżku. Felton zatrzymał się na korytarzu: przyprowadził właśnie kobietę, o której wczoraj wspomniał. Kobieta przystąpiła do łóżka, ofiarując usługi. Milady była zwykle blada, wygląd jej zatem mógł oszukać każdego, co ją po raz pierwszy zobaczył.

— Mam gorączkę — rzekła — całą noc długą spędziłam bezsennie, cierpię straszliwie: czy będziesz litościwszą, niż ci, którzy mnie wczoraj odwiedzali? Niczego nie pragnę, tylko pozwolenia na pozostanie w łóżku.

— Czy chce pani, abym przywołała doktora? — odpowiedziała kobieta.

Felton słuchał rozmowy, lecz się nie odzywał.

Milady rozważyła, że im więcej ludzi będzie koło niej, tem więcej będzie roboty z ich rozczulaniem, a lord Winter czujność podwoi. Doktor wreszcie może poznać, że choroba udana, a milady po przegraniu pierwszej partji, drugiej przegrać nie chciała.

— Na co wołać doktora — rzekła — ci panowie zdecydowali wczoraj, że moja choroba jest komedją, tak samo byłoby i dzisiaj; od wczorajszego wieczoru mieli dość czasu, aby doktora uprzedzić.

— A więc — rzekł Felton zniecierpliwiony — niech pani sama powie, jakiego chce lekarstwa.

— O mój Boże, czyż ja wiem? czuję się chora, ot i wszystko; dajcie mi, czego chcecie, mało mnie to obchodzi.

— Poproście lorda de Winter — rzekł Felton, znudzony ciąglem narzekaniem.

— O! nie, nie! — krzyknęła milady — nie wołajcie go, błagam pana, zdrowa jestem, nic mi nie trzeba, niech nie przychodzi.

Tyle było pośpiechu, tyle wymowy pociągającej w tym okrzyku, że Felton pomimo woli wszedł do pokoju.

— Aha, przyszedł — pomyślała milady.

— Jednakże, jeżeli pani cierpi *rzeczywiście* — odezwał się — pošemy po doktora, a jeżeli pani nas zwodzi, ha! tem gorzej dla niej, my przynajmniej z naszej strony nie będziemy mieli sobie nic do wyrzucenia.

Milady nie odpowiedziała; tylko, przechyliwszy na poduszkę śliczną główkę, zaczęła łkać głośno.

Felton patrzył przez chwilę ze zwykłą obojętnością; nareszcie, widząc, że kryzys się przeciąga, wyszedł z pokoju; za nim wyszła i kobieta. Lord de Winter nie ukazał się.

— Zdaje mi się, że zaczynam pojmować jasno — szeptała milady z dziką radością, nakrywając się prześcieradłami, by ukryć przed oczami, mogącemi ją podpatrywać, wybuch zadowolenia.

Dwie godziny upłynęły.

— Czas już wyzdrowieć — rzekła — wstawajmy i starajmy się otrzymać jakąkolwiek korzyść z dnia dzisiejszego; mam tylko dni dziesięć, a dziś wieczorem dwa już upłyną.

Nazajutrz rano przyniesiono milady śniadanie; pewna była, iż niebawem przyjdą stół zabrać i że wtedy Feltona zobaczy.

Nie omyliła się; Felton wszedł i, nie zważając, czy milady jadła już, rozkazał wynieść stół, który zwykle przynoszono nakryty i zastawiony.

Felton został jeszcze; w rękę trzymał jakąś książkę.

Milady, wyciągnięta w fotelu obok kominka, piękna, blada, z wyrazem rezygnacji na twarzy, wyglądała, jak święta dziewica, oczekująca męczeństwa.

Młody człowiek zbliżył się i rzekł:

— Lord de Winter, będąc sam katolikiem jako i ty pani, pomyślał, iż brak modlitw i obrządków twojego wyznania może być pani przykry; zgadza się zatem, abyś pani choć przeczytała każdego dnia *mszę swoją*, a oto książka, zawierająca cały rytuał.

Widząc minę, z jaką Felton położył książkę na stoliczku obok niej, słysząc głos, jakim wymówił te słowa *swoją mszę*, i uśmiech wzgardliwy, towarzyszący tym słowom, milady podniosła głowę i patrzyła na niego uważnie.

Wtedy z włosów, zaczesanych gładko, z ubrania skromnego do przesady, z czoła gładkiego, jak marmur, lecz, jak tenże twardego i nieprzeniknionego, domyśliła się w nim jednego z tych ponurych purytanów, jakich spotykała tak często na dworze króla Jakóba, jak i na dworze króla Francji, gdzie pomimo wspomnienia nocy Świętego Bartłomieja, przebywali niekiedy, szukając schronienia. Przyszło jej nagle jedno z tych natchnień, jakie miewają tylko ludzie genialni w chwilach stanowczych, decydujących, o losie całego życia.

Dwa te słowa *msza swoją* i spojrzenie uważne na Feltona objaśniły ją o całej ważności odpowiedzi, jaką dać zamierzała.

Z szybkością sobie właściwą znalazła ją gotową:

— Ja? — rzekła z równą pogardą, jaką zauważyła w głosie Feltona — ja mam odczytywać *mszę swoją*? Lord de Winter, katolik skażony, wie doskonale, że nie jestem tego, co on wyznania, a to są zapewne nowe sidła, które na mnie zastawia.

— Jakieżże religji pani jesteś? — zapytał Felton, ze źle ukrytem zdziwieniem.

— Wyznam to — zawołała milady, udając egzaltację — lecz wyznam w dniu, w którym już dosyć wycierpię za moją wiarę.

Spojrzenie Feltona odkryło milady, jaki wyłom zrobiła w jego przekonaniach.

Młody oficer pozostał jednak milczący i nieruchomy; wzrok jego mówił jedynie.

— Jestem w rękach nieprzyjaciół moich — ciągnęła z entuzjazmem, właściwym purytanom — czy mnie Bóg mój wybawi, czy zginę dla Boga mojego, wszystko mi jedno! Oto odpowiedź, którą, proszę, zanieś pan lordowi de Winter. A co do tej książki — do dała, wskazując ją końcem palca zdaleka, jak gdyby się obawiała splamić dotknięciem — możesz ją pan zabrać i użyć dla siebie; bezwątpienia bowiem jesteś podwójnym współnikiem lorda Wintera, współnikiem w prześladowaniu i współnikiem w herezji.

Felton nie odpowiedział, zabrał książkę z tem samem uczuciem pogardy, jak, kiedy ją przyniósł, i wyszedł zamyślony.

O piątej wieczorem przyszedł lord Winter; milady miała czas przez dzień cały nakreślić plan postępowania; przyjęła go też, jak kobieta, czująca, że przy niej zwycięstwo.

— Zdaje się — rzekł baron, siadając na fotelu naprzeciw milady i wyciągając niedbale nogi przed ogniem — zdaje się, że popełniliśmy małą apostazję!

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że od ostatniego naszego widzenia się zmieniliśmy religję; czyś pani przypadkiem nie wyszła trzeci raz zamaż, za protestanta?...

— Wytłomacz się, milordzie — odparła uwięziona z powagą — oświadczam, iż nie rozumiem wcale słów twoich.

— To znaczy, że nie masz żadnej religji; wolę cię nawet taką — rzekł drwiąco milord.

— Z pewnością, że przypadałoby to bardziej do twoich przekonań.

— O! przyznaję, iż mi to wszystko jedno.

— Choćbyś się nie przyznał do religijnej obojętności, poznać ją łatwo po rozwiązłym życiu i twoich występkach.

— Co! ty mówisz o rozpuszcie, pani Messalino!... ty, lady Makbet!... Albo mnie słuch myli, lub też jesteś bardzo bezczelna!...

— Mówisz w ten sposób, bo wiesz, że nas podsłuchują, mój panie — odrzekła wyniosłe milady — chcesz podburzyć przeciwko mnie dozorców i prześladowców moich!

— Dozorców!... prześladowców!... O, pani, zanadto patetycznie się wyrażasz; wczorajsza komedia zamienia się w tragedję, jak widzę. Mniejsza o to, za osiem dni znajdziesz się pani na właściwym miejscu, a wtedy skończy się moje zadanie.

— Zadanie haniebne! bezbożne!... — odparła milady z uniesieniem ofiary, wyzywającej sędziego.

— Na honor! sądzę, że ta hultajka dostaje warjacji. No, no, uspokój się zacna purytanko, w przeciwnym razie w lochu cię zamknę. Prawdopodobnie wino szampańskie poszło ci do głowy?... Uspokój się, to przejdzie bez śladu i szkodliwych następstw.

Lord Winter wyszedł, klnąc straszliwie, co w owym czasie było przyzwyczajeniem wysokiej szlachty.

Felton znajdował się rzeczywiście za drzwiami i nie stracił ani słowa z prowadzonej rozmowy.

Milady wiedziała, co robi.

— Idź, idź — mówiła w myśli do szwagra — zbliża się stanowcza chwila, lecz ty się dowiesz o wszystkim, stary głupcze, gdy będzie już po niewczynie.

Cisza zaległa, znów dwie godziny upłynęły, przyniesiono kolację; milady odmawiała głośno modlitwy, jakich się nauczyła od zażartego purytanina, starego sługi swego drugiego męża.

Była, jak w zachwyceniu, i udawała, że nie słyszy, co się koło niej dzieje. Felton skinął, by jej nie przeszkadzano i wyszedł pocichu razem z żołnierzami.

Milady wiedziała, że ją obeserwują, odmawiała też modlitwy do końca i zdawało się jej, że żołnierze, będący na warcie, przestali chodzić, tylko słuchali jej głosu.

Tęgo właśnie pragnęła; po ukończeniu nabożeństwa, powstała, usiadła przy stole, zjadła trochę i piła jedynie wodę.

W godzinę potem żołnierze zabrali stół z nakryciem, lecz tym razem Felton im nie towarzyszył.

— Obawia się więc za często mnie widywać... — pomyślała i odwróciła się do ściany, by ukryć uśmiech triumfu, mogący ją zdradzić.

Po niejaki chwili cisza zaległa stary zamek, słychać było jedynie nieustający szmer fali morskiej; wtedy głosem harmonijnym i dźwięcznym zaczęła śpiewać pierwszą strofkę psalmu, znanego i najwięcej ulubionego przez purytanów:

Boże! odwracasz się od nas,
Pozostawiasz własnym siłom,
Lecz w chwilach niedoli
Wyciągasz ku nam prawicę wszechmocną.

Wiersz nie był dobry, nie było w nim miary ni rymu, lecz purytanie nie znali się na poezji.

Milady, śpiewając, nasłuchiwała; straż zatrzymała się, jak skamieniała. Mogła zatem osądzić, iż uczyniła wrażenie.

Śpiewała dalej zawzięcie z niewymownym uczuciem; zdawało jej się, że śpiew rozlega się daleko pod sklepieniami i jak urok magiczny miękczy serca jej stróżów.

Pokazało się jednak, że żołnierz na warcie, zapewne zagorzały katolik, otrząsł się z wrażenia i przez drzwi zawołał:

— Uciszyć się pani nareszcie, śpiew twój smutny, jak *De profundis*, a połączony z przyjemnością stania na warcie, staje się nie do wytrzymania.

— Milczeć!... — odezwał się poważny głos, po którym rozpoznała Feltona — nie mieszaj się w nieswoje rzeczy, błażnie! Czy masz rozkaz nie pozwalać śpiewać tej kobiecie?... Nie. Kazano ci pilnować, kazano strzelać do niej, gdyby chciała uciekać. Strzeż jej zatem; zabij, gdy będzie trzeba, lecz nie zmieniaj rozkazów, jakie otrzymałeś.

Radość niepohamowana rozjaśniła oblicze milady i, jak błyskawica, przemknęła po twarzy, lecz, udając, że nie słyszy rozmowy, z której każde słówko zapamiętała, zaczęła znów, nadając głosowi urok, rozciągłość i dźwięk, którymi ją sam szatan obdarzył:

W nagrodę łez i niedoli
Za wygnanie i kajdany
Mam tylko młodość i modlitwę
I Boga, który cierpienia policzy.

Głos cudowny nadawał prostym wierszom psalmu wyraz i urok, jakie purytanie najzapamiętalsi rzadko znajdowali w śpiewach swych braci; Feltonowi też zdawało się, że słyszy śpiew anioła, pocieszającego trzech Hebrajczyków, w piec gorejący rzuconych na spalenie.

Milady ciągnęła dalej:

Lecz dzień wyzwolenia nadejdzie dla nas;
O Boże mocny, Boże sprawiedliwy;
A gdy i tego odmówisz nam biednym,
Przyjmiemy cierpienie i śmierć z ręki Twojej.

Ostatnią strofkę okrutna czarodziejka oddała z takim uczuciem porywającym, że młody oficer nie był w stanie słuchać dłużej: otworzył drzwi gwałtownie i ukazał się na progu błądy; jak zawsze, jeno oczy mu ogniem pały.

— Dlaczego pani śpiewasz — odezwał się — i po co takim głosem rozdzierającym?

— Przebac pan — rzekła milady łagodnie — zapomniałam, że pieśni moje źle brzmią w tym domu. Obraziłam pana, jako katolika, lecz, przysięgam, nieumyślnie; przebac mi winę, wielką zapewne, lecz mimowolną.

Milady piękna była, mówiąc to, uniesienie religijne, w jakim zdawała się być pogrążona, taki nadziemski wyraz nadawało jej fizjonomji, iż Felton olśniony sądził, że widzi teraz anioła, którego przedtem słyszał jedynie.

— Tak, pani — odpowiedział — zakłócasz spokój ludzi, mieszkających w zamku.

Biedny szaleniec nie spostrzegł, iż odpowiedź ta bez związku, odkrywa milady głębie jego duszy.

— Nie będę już śpiewała — rzekła milady, spuszczać oczy z pokorą i rezygnacją.

— Tego nie żądam; śpiewaj pani, tylko nie tak głośno, a głównie podczas nocy...

Z temi słowy, czując, że dłużej nie potrafi być surowym, młody człowiek oddalił się pośpiesznie.

— Dobrze zrobiłeś, panie poruczniku — odezwał się żołnierz — te psalmy zakłócają spokój duszy... można się jednak do nich przyzwyczaić: ona głos ma taki piękny!

ROZDZIAŁ XXVII. TRZECI DZIEŃ NIEWOLI

Felton przyszedł nareszcie... lecz tego nie dosyć; potrzeba, aby sam z nią pozostał; a milady nie wiedziała jeszcze, jakiego sposobu użyć, aby tego dokazać.

Trzeba na koniec rozruszać go, uczynić rozmowniejszym, aby móc do niego także wprost przemówić; bo milady wiedziała, że głos jej ma urok nieprzyzwyczajony, że nikt mu się oprzeć nie zdoła.

Pomimo tylu ponęt, mogło jej się nie udać, bo Felton był uprzedzony na wszelkie pokusy z jej strony.

Zaczęła też odgadnąć obserwować go pilnie, każde słowo, spojrzenie, gest każdy, a nawet oddech przyspieszony, mogący uchodzić za westchnienie, nie uszły jej uwagi. Robiła na koniec, jak zręczny aktor, któremu dano rolę, jakiej nie grał jeszcze.

Łatwiej było dać sobie radę z lordem de Winter; od wczoraj też nakreśliła plan postępowania zamierzonego: milczeć z godnością w jego obecności, od czasu do czasu oburzyć go pogardą udaną, słowem znieważającym, zmusić do pogroźek i gwałtów, aby lepiej uwydatnić swoją rezygnację; taki był jej projekt. Felton będzie świadkiem i choć się nie odezwie, lecz zobaczy...

Rano przyszedł Felton, jak zwykle; milady pozwoliła mu zająć się przygotowaniem śniadania, nie zwracając się wcale do niego. Zdawało jej się, że w chwili wyjścia miał zamiar przemówić, poruszył nawet ustami, lecz powstrzymał się i wyszedł.

Okolo południa ukazał się lord de Winter.

Dzień był piękny, bład promień słońca przedzierał się przez kraty więzienne, oświecając, lecz nie grzejąc, jak to bywa w Anglii.

Milady patrzyła przez okno, udając, że nic nie słyszy.

— O!... — odezwał się lord Winter — po komedji graliśmy tragedję, a teraz przyszła kolej na melancholję.

Uwięziona nie odpowiedziała.

— Tak... tak... — ciągnął lord Winter — rozumiem; chciałabyś się wydostać na wybrzeże; wsiąść na okręt i pruć fale szmaragdowe; pragnęłabyś na łodzi lub na wodzie urządzić mi zasadzkę, jedną z tych, które tak doskonale obmyślać potrafisz. Cierpliwości!... cierpliwości!... moja pani! Za cztery dni znajdziesz się na wybrzeżu, potem na pełnym morzu; za cztery dni bowiem uwolnię Anglję od twojej obecności.

Milady złożyła rączki, a piękne oczy w niebie utkwiała:

— Boże!... Boże wszechmocny!... — wyrzekła z anielską słodyczą — przebac temu człowiekowi, jak ja mu przebaczam!...

— Módl się, módl przeklęta — zawołał lord — prosz Boga o przebaczenie dla mnie, bo przysięgam ci, że jesteś w rękach człowieka, który tobie nigdy nie przebaczy...

Z temi słowy opuścił pokój.

Gdy drzwi otwierał, milady spostrzegła Feltona, jak chował się, aby nie być przez nią widzianym.

Wtedy padła na kolana i głośno mówiła:

— Boże, mój Boże!... Ty wiesz, dla jak świętej sprawy znoszę cierpienia; dodaj mi siły, o Boże wielki!

Drzwi cicho się uchyliły; piękna pokutnica, udając, że nic nie słyszy, modliła się dalej.

— Boże mścicielu!... Boże dobroci!... czyż pozwolisz, aby się spełniły ohydne zamiary tego człowieka!

Teraz dopiero niby usłyszała kroki Feltona, zerwała się szybko, zarumieniła, jak gdyby zawstydzona, iż ją widziano klęczącą.

— Nie lubię przerywać modlitwy — rzekł Felton poważnie — niech pani nie wstaje, zaklinam panią.

— Skąd pan wie, że ja się modliłam — mówiła milady głosem, przez łkanie przyrywanym — mylisz się pan, nie modliłam się wcale.

— Myślisz pani zatem — odrzekł Felton poważnie, lecz słodko zarazem — iż czuję się w prawie przeszkadzać istocie stworzonej, gdy korzy się przed Stworzycielem? O niech Bóg uchwali! Winowajca powinien żałować za grzechy; choćby nawet zbrodnię popełnił, nietykalny jest dla mnie, gdy modli się do Boga.

— Ja!... posądzona o zbrodnię — rzekła milady z uśmiechem, któryby aniola rozbroił w dniu sądu ostatecznego. — Ja!... zbrodniarka!... mój Boże... Ty wiesz, czy nią jestem... Powiedz pan, że jestem skazaną, potępioną, to będziesz miał rację. Ale wiesz pewnie, że Bóg kocha cierpiących i pozwala niekiedy, aby skazywano niewinnych.

— Czyś pani potępiona niesłusznie, niewinna lub męczennica — odparł Felton — to jeden powód więcej do błagania Boga; i ja sam modlić się będę za ciebie.

— O!... ty jesteś sprawiedliwy — zawołała milady, do nóg mu się rzucając — dłużej już nie wytrzymam, lękam się, iż sił mi zbraknie w chwili walki, gdy będę musiała wyznać

moją wiarę; wysłuchaj więc błagania kobiety, przywiezionej do rozpacz. Oszukują pana, nie wierz im, tu chodzi o co innego, ja tylko o jedną łaskę proszę, a jeśli mnie wysłuchasz, błogosławić cię będę na tym i na tamtym świecie.

— Mów pani z moim przełożonym — rzekł Felton — na szczęście nie polecono mi przebaczać, ani karać; wyżej ode mnie postawieni dostali od Boga tę władzę.

— Z panem... z panem tylko chcę mówić. Wysłuchaj mnie... nie przyczyniaj się do mej zguby, do hańby!...

— Jeżeli zasłużyłaś pani na ten wstyd i hańbę, trzeba znieść z pokorą, ofiarując to Bogu.

— Co pan mówisz!... O!... nie zrozumiałeś mnie! Mówię o hańbie, a ty myślisz, że mówię o karze za nią, o więzieniu lub śmierci!... O!... dałby Bóg, żeby tak było! Cóż dla mnie znaczy śmierć lub niewola!

— Teraz ja pani nie rozumiem!

— Lub udajesz, że nie rozumiesz!... — odparła milady z uśmiechem powątpiewania.

— Nie, pani, na honor żołnierski, na wiarę moją przysięgam!

— Jakto?... więc nie domyślasz się pan zamiarów lorda de Winter?...

— Nie wiem o niczem.

— Niepodobna... pan, jego powiernik?...

— Pani, ja nigdy nie kłamię.

— O!... mogłeś pan sam odgadnąć.

— Nie staram się odgadywać... czekam, aż mi powiedzą, a prócz tego, co mówił przy pani lord de Winter, z niczem mi się nie zwierzał.

— Nie jesteś zatem jego spółnikiem — zawołała milady z akcentem prawdy w głosie — nie wiesz, że przeznacza mi hańbę... przewyższającą w okropności najstraszniejszą karę na ziemi?

— Mylisz się pani — rzekł Felton, czerwieniąc się — lord de Winter niezdolny jest do zbrodni podobnej.

— Dobrze — pomyślała milady, nie wie, o co chodzi, a już nazywa to zbrodnią!... — i głośno dodała:

— Przyjacieli pozbawionego czci, zdolny jest do wszystkiego.

— Kogo pani nazywasz czci pozbawionym?... — zapytał Felton.

— Czyż jest w Anglii dwóch ludzi, godnych tego imienia?

— Chcesz pani mówić o Jerzym Villier? — rzekł Felton, a wzrok mu zapałał.

— Którego poganie niewierni nazywają księciem Buckingham — odparła milady — nie przypuszczałam, aby znalazł się w Anglii choć jeden prawdziwy syn tej ziemi, któremu trzeba było tak długiego tłumaczenia, dla poznania, o kim chcę mówić.

— Ręka Stwórcy ciąży nad nim i nie uniknie kary zasłużonej.

Felton wyraził jedynie opinię, jaką księżę miał u rodaków; nawet katolicy nazywali go zdziercą, łupieżcą i rozwiązyłym, a purytanie poprostu szatanem.

— O!... Boże, mój Boże!... — wołała milady — zrozumiejże pan nakoniec, iż, błagając cię o ukaranie tego człowieka, nie pragnę zemsty, mnie przynależnej, lecz oswobodzenia narodu, jęczącego pod jego przemocą!...

— Znasz go pani zatem?... — zapytał Felton.

— Nareszcie zapytuje — pomyślała milady u szczytu radości. — O!... tak!... znam go na moje nieszczęście! — powiedziała i załamała ręce w paroksyzmie bóleści.

Felton czuł, że siły go opuszczają i postąpił ku wyjściu; milady nie spuszczała go z oczu, poskoczyła za nim i powstrzymała.

— Panie!... — krzyknęła — łaski!... miłosierdzia!... wysłuchaj mej prośby: oddaj nóż, wydarty przez mego prześladowcę, bo wie on, jaki użytek z niego zrobię... O! wysłuchaj mnie do końca!... ten nóż... daj go na chwilę jedną, przez litość daj mi go!... Całuję nogi twoje!... Zamkniesz sam drzwi, bo ja nie godzę na twoje życie!... Jakże mogłabym powziąć myśl podobną, ty!... jedyna istota sprawiedliwa, dobra i litościwa, jaką napotkałam, ty!... mój zbawco prawdopodobnie. Daj na chwilę ten nóż, na jedną minutę, zwrócę ci go przez szparę we drzwiach. Na jedną minutę, panie Felton, a ocalisz część moją niewieścią!...

— Chcesz się zabić!... — krzyknął Felton przerażony, zapominając wyrwać rąk z objęć uwięzionej — chcesz się zabić?

— Tak, panie — narzekała milady, głos zniżając i padając bezsilna na ziemię — wydałam moją tajemnicę! On wie wszystko!... mój Boże, jestem zgubiona!...

Felton stał nieruchomy, nie wiedząc, co robić!

— Wątpi jeszcze, waha się — myślała milady — niedość prawdziwie odegrałam rolę. W korytarzu rozległ się szelest; milady poznała chód lorda de Winter.

Felton poznał także i ku drzwiom postąpił.

Milady rzuciła się za nim:

— O!... ani słowa — rzekła głosem stłumionym — ani słowa przed tym człowiekiem, co ci mówiłam, albo będę zgubiona, i ty... ty...

Ponieważ zbliżano się, uchyliła ze strachu, aby nie usłyszano głosu; następnie z gestem przerażenia położyła piękną rączkę na ustach Feltona.

Młody człowiek odsunął delikatnie milady, a ona padła wyczerpana na sofę.

Lord de Winter minął drzwi i słychać było, że poszedł w inną stronę.

Felton, jak śmierć bladej, stał przez chwilę nasłuchując, a gdy odgłos kroków uchlił zupełnie, odetchnął ciężko, jak ze snu zbudzony, i wybiegł z pokoju.

— A!... — mówiła milady, słysząc, że Felton poszedł w przeciwną stronę, niż lord Winter — na koniec! do mnie już należysz!...

Następnie — zachmurzyła czoło.

— Jeżeli opowie lordowi — mówiła — jestem zgubiona... lord wie dobrze, że ja sobie życia nie odbiorę, da mi nóż w rękę w jego obecności i wtedy przekona go, że ta straszna rozpacz była tylko komedią...

Przystąpiła do lustra i napawała się widokiem swoim; nigdy jeszcze nie była tak piękna.

— Mogę być spokojna — pomyślała — on nic nie powie...

Wieczorem, razem z kolacją, przyszedł lord de Winter.

— Panie — rzekła milady — czy obecność twoja jest koniecznym dodatkiem do mojej niewoli? czy nie mógłbyś mi oszczędzić dodatkowej tortury, jaką mi sprawiają odwiedziny twoje?

— Jakto?... droga siostrzyczko!... — rzekł Winter — czyż nie słyszałem na własne uszy, jak te śliczne usteczka, tak srogie obecnie, zapewniały mnie, że przybyłaś do Anglii, aby się nacieszyć moim widokiem i że w tym celu jedynie naraziłaś się na chorobę morską, burzę, niewolę!... Otóż jestem, ciesz się, kochanko; tym razem jednak odwiedziny moje nie są bez powodu...

Milady zadrżała, sądziła, że Felton się wygadał. Nigdy w życiu ta kobieta, która doświadczyła tyle wrażeń przeróżnych, nie czuła tak silnego bicia serca.

Siedziała na fotelu, lord Winter przysunął drugi i usiadł obok, następnie wyjął z kieszeni papier i rozłożył powolnie.

— Otóż — rzekł do niej — mam zamiar pokazać ci pewien rodzaj paszportu, jaki ci będzie służył za numer porządkowy na resztę życia.

I zwracając z milady oczu na papier, czytał:

„Rozkaz odstawienia do. Nazwa miejsca nie wpisana — przerwał de Winter — pozwalam ci wybierać, byleby tylko znajdowało się ono o jakie tysiąc mil ode mnie, z ochotą je wpiszę. Zaczynam tedy:

Rozkaz odstawienia do. tak zwanej Karoliny Backson, a piętnowanej z wyroku sądów królestwa Francuskiego i uwolnionej po odcierpieniu kary. Skazana jest na przebywanie w miejscu wyżej wymienionem i niewydalanie się z niego dalej, nad trzy mile. W razie zamiaru ucieczki, śmiercią zostanie ukarana. Pobierać będzie pięć szylingów dziennie na mieszkanie i życie”.

— Rozkaz ten mnie nie dotyczy — rzekła chłodno milady — ponieważ nie na moje nazwisko jest wydany.

— Czyż pani masz jakie nazwisko?

— Mam to, jakie mi brat twój nadał.

— Jesteś w błędzie, brat mój był drugim mężem tylko, a pierwszy żyje jeszcze... Powiedz mi jego nazwisko, położę go na miejscu Karoliny Backson. Nie?... nie chcesz?... milczysz uparcie? Dobrze! będziesz skazana pod imieniem Karoliny Backson.

Milady nie odezwała się; siedziała, jak martwa; tylko tym razem nie było to udane, lecz prawdziwe przerażenie.

Widziała wyrok, sądziła, że go wykonają natychmiast, że lord Winter przyspieszy deportację, że skazana jest na wyjazd w tej chwili...

Wszystko stracone zatem... lecz, myśląc tak, rzuciła okiem na papier i spostrzegła, iż niema żadnego podpisu.

Nie mogła ukryć radości z tego powodu.

— Tak, tak — rzekł lord Winter, który widział, co się z nią dzieje — szukasz podpisu i mówisz sobie: nie wszystko stracone, bo akt niepodpisany; pokazują mi go, aby zastraszyć... Otóż mylisz się, moja pani; jutro ten wyrok pošlę do księcia Buckingham; pojutrze wróci do mnie, podpisany jego ręką i opatrzony pieczęcią, a we dwadzieścia cztery godziny, ja ci to zaręczam, zacznie się jego wykonanie. Żegnam panią, oto wszystko, co miałem ci powiedzieć.

— A ja ci powiadam, mój panie, że nadużycie władzy, że to wygnanie pod obcym nazwiskiem jest podłością...

— Czy wolisz być powieszoną pod własnym nazwiskiem? Wiesz o tem, że prawa angielskie surowe są dla frymarzczących małżeństwem; powiedz otwarcie: pomimo, że nazwisko moje, a raczej mego brata wmieszane jest w tę sprawę, narażę się na skandal procesu publicznego, aby tylko być pewnym, że uwolnię się od ciebie.

Milady nie odpowiadała, lecz, jak trup zbladła.

— O!... widzę, że wolisz się przejechać. Masz pani rację; stare przysłowie powiada, że podróże kształcą młodość. Na honor, dobrze pani robisz, boć, mimo wszystko, życie jest niezłe... Dlatego też nie życzę sobie, żebyś mnie go pozbawiła. Pozostaje nam jeszcze kwestja pięciu szylingów; jestem trochę skąpy, nieprawdaż? a to dlatego, ażebyś nie mogła przekupić straży!... A! prawda, pozostają ci jeszcze wdzięki, masz czem uwodzić. Probuj pani, jeżeli cię nie zniechęcił zawód, jaki cię spotkał u Feltona, probuj używania sztuczek w tym rodzaju.

— Felton nic nie powiedział — myślała milady — zatem nie wszystko stracone...

— A teraz do widzenia pani, przyjdę jutro oznajmić o wyjeździe posłańca.

Lord powstał, skłonił się ironicznie i wyszedł.

Milady odetchnęła: miała jeszcze cztery dni przed sobą; cztery dni wystarczą do uwiedzenia Feltona.

Straszna myśl przyszła jej do głowy; lord Winter może wysłać Feltona z wyrokiem do podpisania; wtedy Felton się wymknie, a tu ażeby dopiąć celu, trzeba go mieć przy sobie.

Jedna rzecz ją uspakajała jednakże. Felton nic nie powiedział lordowi.

Nie chciała okazać, że ją groźby lorda przeraziły, zabrała się zatem do jedzenia.

Następnie, jak dnia poprzedniego, uklękła i modliła się głośno.

Tak samo, jak wczoraj, żołnierz przestał chodzić i słuchał pode drzwiami.

Za chwilę usłyszała lekkie kroki, zbliżające się z głębi korytarza i zatrzymujące się przy drzwiach.

— To on — rzekła do siebie i zaczęła śpiewać ten sam psalm, który wczoraj tak rozegzaltował Feltona. Pomimo, że głos jej słodki, pełny i dźwięczny, rozbrzmiewał bardziej harmonijnie i przejmująco, niż zawsze, drzwi się nie rozwarły.

Zdawało się milady, że widzi w małym otworze wzrok pałający młodzieńca; niewiadomo, czy była to rzeczywistość, czy złudzenie, to tylko pewne, iż znalazł dość siły, by nie wejść do pokoju. Jednak, gdy skończyła śpiewać, usłyszała głębokie westchnienie i cichy chód, oddalający się, jak gdyby z żalem.

ROZDZIAŁ XXVIII. CZWARTY DZIEŃ NIEWOLI

Nazajutrz, gdy Felton wszedł do milady, zastał ją stojącą na fotelu; w rękę trzymała sznur, skręcony z chusteczek batystowych, podartych na pasy i powiązanych.

Na odgłos drzwi otwieranych, milady zeskoczyła lekko na ziemię i starała się ukryć poza sobą improwizowaną linę, jaką w ręce trzymała.

Młodzieniec był błdniejszy, niż zwykle, a oczy zaczerwienione od bezsenności, świadczyły o nocy spędzonej w gorączce.

Na czole widniała surowość niezwykła.

Zbliżył się powoli ku milady, siedzącej teraz, i biorąc koniec sznura, który przez nieuwagę lub umyślnie źle był ukryty, zapytał surowo:

— Co to jest, proszę pani?...

— To?... nic... — odparła milady, z bolesnym uśmiechem — nuda jest śmiertelnym wrogiem więźniów; nudziłam się i bawiło mnie splatanie tej liny.

Felton spojrział na ścianę pokoju, przed którą zastał milady, stojącą na tym samym fotelu, na którym siedziała obecnie; po nad jej głową spostrzegł wbity w mur hak pozłacany, do wieszania ubrania i broni.

Zadrżał, a milady, pomimo oczu spuszczonej, widziała to dobrze.

— Czemu przypisać, że zastałem panią, stojącą na fotelu? — zapytał.

— Co to pana może obchodzić? — odpowiedziała.

— Pragnę wiedzieć koniecznie.

— Nie pytaj mnie pan — rzekła uwodzicielka — wiesz dobrze, że nam, prawdziwym chrześcijanom nie wolno jest mówić nieprawdy.

— Otóż ja powiem, co pani robiłaś, a raczej, co zamierzałaś zrobić; chciałaś dokończyć dzieła fatalnego, jakie masz na myśli; pamiętaj pani jednak, że jeżeli Bóg nasz zabrania kłamstwa, zabrania surowiej daleko samobójstwa.

— Gdy Bóg widzi istotę, cierpiącą niesłusznie, mającą do wyboru samobójstwo lub hańbę, wierz mi panie — mówiła milady tonem głębokiego przekonania — że Bóg przebacza samobójstwo, bo jest ono wtedy męczeństwem.

— Mówisz pani za wiele, lub za mało; na Boga, wytłumacz się jaśniej!...

— Mamże panu opowiadać moją niedolę, abys to uważał za bajkę; mamże zwierzać się z zamiarów, abys doniósł o nich memu prześladowcy; nie, panie; a przytem, cóż cię obchodzić może życie lub śmierć biednej skazanej?... Odpowiadasz tylko za ciało moje... wszak prawda?... i bylebyś przedstawił trupa, którego uznają za mnie, nic więcej od pana żądać nie będą... a może nawet dostałbyś podwójną nagrodę!...

— Ja... pani, ja?... — zawołał Felton — przypuszczasz, że wziąłbym nagrodę za życie twoje?... o!... nie myślisz tego, co mówisz.

— Pozwól mi zrobić, co chcę, Feltonie, pozwól mi — rzekła milady, unosząc się — każdy żołnierz powinien być ambitny, wszak prawda?... jesteś porucznikiem, otóż za moim pogrzebem będziesz szedł już, jako kapitan.

— Cóż zawiniłem — odrzekł Felton złamany, że obarczasz mnie pani taką odpowiedzialnością przed ludźmi i Bogiem?... Za kilka dni będziesz stąd daleko, życie twoje nie będzie pod moją strażą i — dodał z westchnieniem — wtedy zrobisz z niem, co będziesz chciała.

— A więc tak — zawołał milady, jakby nie mogła powstrzymać oburzenia — pan, człowiek religijny, którego zowią sprawiedliwym, pan pragniesz tylko jednej rzeczy: nie odpowiadać za śmierć moją.

— Strzec powinienem życia pani i strzec go będę.

— Czy pojmujesz pan swoje zadanie?... jest ono okrutne, jeśli jestem winną; lecz jakże nazwiesz je, gdy Bóg osądzi, żem niewinna?

— Żołnierzem jestem i spełniam rozkazy.

— Czy myślisz, że w dzień sądu ostatecznego Bóg odłączy katów zaślepionych od sędziów niesprawiedliwych?... nie chcesz, bym zabiła ciało, a pomagasz temu, który chce zabić moją duszę?

— Powtarzam pani — podjął Felton zachwiany — żadne niebezpieczeństwo ci nie grozi... ręczę za lorda de Winter, jak za siebie samego.

— Biedny szaleńcze — zawołała milady — ośmielasz się ręczyć za drugiego, gdy najmędrsi nawet, według Boga, wahają się ręczyć za siebie samych!... on staje po stronie mocniejszego i szczęśliwszego, aby zgniebić słabą i nieszczęśliwą!

— Niepodobna, pani, niepodobna — mówił Felton, czując w głębi serca prawdę tego argumentu — dopókiś uwięziona, nie otrzymasz przeze mnie wolności; dopóki żyjesz, nie stracisz przeze mnie życia.

— Tak! — krzyknęła milady — lecz stracę to, co mi jest droższe, niż życie, stracę honor, Feltonie; i to ty! ty odpowiesz przed Bogiem i ludźmi za mój wstyd i niesławę.

Tym razem Felton, pomimo obojętności prawdziwej czy udanej, nie mógł oprzeć się tajemnemu wpływowi, jaki już nim oświadczył. Patrzył na kobietę piękną, jasną, jak

najczystsze marzenie, naprzemian we łzach tonącą lub groźną; wytrzymać naraz wpływ piękności i boleści zanadto było dla fanatyka, zanadto dla głowy zapalanej, sekciarskiej, dla serca, płonącego miłością nieba i pożeranego nienawiścią do ludzi.

Milady spostrzegła pomieszanie, odczuła płomień żądzy, pałący krew w żyłach młodego ascety i, na podobieństwo umiejętnego wodza, który w chwili, gdy nieprzyjaciel słabnie, uderza na niego z okrzykiem zwycięstwa, podniosła się, piękna, jak bóstwo starożytne, natchniona, jak dziewica chrześcijańska, z ręką w górę wzniesioną, z szyją odkrytą, z włosami rozpuszczonymi, ściągając skromnie drugą ręką suknię na piersiach, i z ogniem w spojrzeniu, który już pobudził zmysły młodego purytanina, szła prosto do niego, i podniesionym głosem, z akcentem wstrząsającym śpiewała:

Wydaj Baalowi jego ofiarę,
Lwom na pożarcie ją oddaj,
Odpowiesz za to przed Bogiem!...
Wołam do niego z otchłani...

Felton stał, jak wryty.

— Kto ty jesteś? — zawołał, składając ręce — czy zesłanką Boga?... czy piekło cię wydało? czyś anioł, czy szatan, na imię ci Eloë, czy Astarte?...

— Czyś mnie nie poznał, Feltonie?... nie jestem ani aniołem, ani szatanem, jestem córką tej ziemi i siostrą twoją, jednej z tobą wiary.

— Tak!... tak!... — rzekł Felton — wątpiłem jeszcze, lecz teraz wierzę.

— Wierzysz... a jednak spiskujesz z synem Beliala, którego nazywają lordem de Winter!... Wierzysz, a pozostawiasz mnie w mocy nieprzyjaciół, nie tylko moich, lecz Anglii i Boga?... Wierzysz, a wydajesz mnie temu, co świat gorszy herezją i życiem rozwiązałem, temu Sardanapalowi ohydnemu, którego zaślepieni zwą księciem Buckingham, a prawowierni Antychrystem nazywają.

— Ja, miałbym cię wydać Buckinghamowi? ja? co mówisz?...

— Mają oczy — zawołała milady — a nie będą widzieli; mają uszy, a nie będą słyszeli!

— Tak, tak — rzekł Felton, trąc ręką czoło, potem złane, jakby dla odpędzenia ostatnich wątpliwości — tak, słyszę ten głos w snach moich; tak, poznaję rysy anioła, ukazującego mi się podczas nocy bezsennych i mówiącego do duszy mojej: „Uderz śmiało, zbaw Anglię, zbaw siebie samego, albowiem umrzesz, nie przebłagawszy Boga!” Mów, mów pani! — zawołał Felton — teraz już cię rozumiem.

Błyskawica okrutnej radości, szybka, jak myśl błysnęła w oczach milady.

Felton dojrzał zabójcze światło i zadrżał, zdawało mu się, że ujrzał głębię serca tej kobiety.

Przyszły mu na pamięć przestrogi lorda Winter, powaby milady i pierwsze jej próby uwiedzenia skoro tylko przybyła; cofnął się, spuścił głowę, lecz patrzył, jak oczarowany przez tę dziwną istotę; oczy jego nie mogły się oderwać od jej oczu.

Milady spostrzegła wahanie. Pomimo pozorów egzaltacji, zachowała zimną krew. Felton nie zdążył przemówić, a ona, czując, że nie zdoła dalej utrzymać się w roli tak trudnej, opuściła ręce i głowę, zwalczona niby słabością kobiecą.

— O nie — rzekła — ja nie potrafię zostać Judytą, uwalniającą Betulję od Holofernesa. Miecz sprawiedliwości przedwiecznej za ciężki dla mego ramienia. Pozwól mi uniknąć hańby przez śmierć... pozwól mi zostać męczennicą. Nie żądam wolności, jakby to zrobiła występna, ani zemsty, jak bezbożna. Pozwól mi umrzeć, tego tylko pragnę. Proszę cię, błagam na kolanach; pozwól mi umrzeć, a ostatnie moje westchnienie będzie błogosławieństwem dla zbawcy!

Na ten głos słodki i błagalny, na spojrzenie nieśmiałe, Felton znowu się zbliżył.

Powoli czarodziejka przybrała się we wszystkie swoje powaby, a temi były: piękność, słodycz, lzy a nadewszystko powab rozkoszy mistycznej, najniebezpieczniejszy ze wszystkich powabów.

— Niestety! — rzekł Felton — jedno tylko jest w mocy mojej: żałować panią, jeżeli dowiedziesz, że jesteś ofiarą przemocy. Jesteś chrześcijanką, jednej ze mną religii; czuję pociąg do ciebie, ja, który dotąd kochałem tylko mego dobroczyńcę; ja, który w życiu napotykałem jedynie zdrajców bezbożnych. Lecz ty pani, tak piękna, tak napozór czysta,

skoro lord de Winter prześladował cię tak okrutnie, musiałaś chyba spełnić niesłychane zbrodnie!

— Mają oczy — powtórzyła milady z wyrazem bezmiernej bolesti — a nie będą widzieli; mają uszy, a słyszeć nie będą.

— Więc powiedz mi pani! — zawołał młody oficer — o! powiedz wszystko!...

— Zwierzyć mam ci moją hańbę! — krzyknęła milady z rumieńcem wstydu na twarzy, bo często bywa, że zbrodnia jednego, jest wstydem dla drugiego — ja, kobieta, mam opowiadać mężczyźnie! O! — ciągnęła, zakrywając rączką cudne oczy — o! nigdy, nigdybym nie mogła!...

— Jakto, mnie, bratu? — dodał Felton.

Milady patrzyła na niego długo z wyrazem, który młody człowiek wziął za niedowierzanie, a który był tylko badaniem i chęcią ujarznienia.

Teraz Felton złożył ręce błagalnie.

— Więc zaufam bratu! — rzekła milady — i znajdę odwagę!...

Naraz dały się słyszeć kroki lorda Wintera; lecz tym razem okrutny szwagier milady, nie postąpił, jak wczoraj, nie minął drzwi więzienia, lecz zatrzymał się, przemówił do straży i wszedł do pokoju.

Felton miał czas odskoczyć na bok i lord zastał go w przyzwoitem oddaleniu od uwięzionej.

Baron wszedł powoli i patrzył bacznie na młodego człowieka i jego towarzyszkę.

— Coś bardzo długo, Johnie, siedzisz tutaj, czy ta pani opowiadała ci o wszystkich swoich zbrodniach?... W takim razie nie dziwiłbym się długości posiedzenia.

Felton przeraził się, a milady czuła się zgubiona, jeżeli nie przyjdzie w pomoc mieszanemu purytaninowi.

— O! lękasz się, żeby ci się ofiara nie wymknęła — rzekła — otóż zapytaj twego godnego pomocnika, o jaką łaskę prosiłam go właśnie.

— Żądałaś łaski?... — zapytał baron podejrzliwie.

— Tak, milordzie — odrzekł młody człowiek.

— Jakiej-że to łaski, powiedz-no?

— Żądała noża, który miała mi oddać za chwilę przez okienko we drzwiach — odpowiedział Felton.

— Jest więc tu ktoś ukryty, któremu ta miła osóбка chce gardło poderznąć? — rzekł lord Winter z pogardą.

— Ja jestem — odparła milady.

— Dałem ci do wyboru Amerykę i Tyburn — mówił lord — wybierz Tyburn, milady: wierz mi, postronek pewniejszy od noża.

Felton zbladł, wspomniawszy, iż, gdy wszedł tutaj, milady właśnie sznur w rękę trzymała.

— Masz rację — rzekła — myślałam już i o tem — i dodała stłumionym głosem: — I pomyślę jeszcze...

Felton poczuł dreszcz, przebiegający go aż do szpiku kości; prawdopodobnie lord Winter to spostrzegł.

— Nie dowierzaj jej, John — powiedział — John, mój przyjacielu, zaufałem ci bezwarunkowo, miej się na baczności! Uprowadziłem cię przecie!... A wreszcie odwagi, mój chłopcze, za trzy dni uwolnimy się od tego stworzenia; tam, dokąd ją pošlę, nie będzie już szkodziła nikomu.

— Czy słyszysz go? — zawołała milady, wybuchając, aby baron myślał, że wzywa na świadka niebo, a Felton wziął to do siebie.

Purytanin opuścił głowę w zadumie.

Baron wziął oficera za rękę, pociągnął za sobą, nie spuszczać wzroku z milady, dopóki się drzwi za nimi nie zamknęły.

— Widzę — rzekła uwięziona, pozostawszy sama — że dużo mam jeszcze do zrobienia. Winter ze zwyczajnego głupca przemienił się w przezornego nad wyraz; co to znaczy chęć zemsty i jak to pragnienie jej kształci człowieka! Felton zaś waha się jeszcze! Nie jest on taki, jak ten przeklęty d'Artagnan! Purytanin uwielbia tylko czyste dziewice, uwielbia je ze złożonymi rękami. Muszkietier kocha kobiety, kocha, ściskając w objęciach.

Jednakże milady oczekiwała niecierpliwie, pewna, że dziś jeszcze zobaczy Feltona. Nakoniec w godzinę po scenie, przez nas opisaną, usłyszała cichą rozmowę, następnie

drzwi się otworzyły i Felton się ukazał.

Młodzieniec wszedł prędko, zostawiając drzwi otwarte, i dawał znaki milady by się nie odzywała; twarz miał okrutnie zmienioną.

— Czego chcesz odemnie? — zapytała.

— Słuchaj — odparł Felton po cichu — oddaliłem straż, aby zostać u ciebie i rozmówić się bez wiedzy niczyjej. Baron opowiedział mi straszną historję...

Milady kiwała głową i uśmiechała się, jak ofiara, na wszystko zrezygnowana.

— Albo jesteś wcielonym szatanem — ciągnął Felton — albo baron, mój dobroczyńca, mój ojciec, jest potworem. Znam cię od czterech dni, jego kocham od dwóch lat; mogę zatem wahać się, któremu z was wierzyć: nie przerażaj się, ja potrzebuję dowodów. Dziś po północy przyjdę tutaj, a pani mnie przekonasz...

— Nie, Feltonie, nie mój bracie, poświęcenie to za wielkie z twej strony, czuję, ile cię to kosztuje... Jestem już zgubiona, nie gub się ze mną razem... Zgon mój będzie wymowniejszy, niż życie, a milczenie trupa przekona lepiej stokroć, niż słowa uwięzionej.

— Milcz pani! — krzyknął Felton — nie mów do mnie w ten sposób; przyszedłem poto, abyś mi przyrzekła na honor, abyś przysięgła na wszystko, co najświętsze, iż nie będziesz godziła na swoje życie.

— Nie mogę przyrzekać — rzekła milady — za wiele mam szacunku dla przysięgi i musiałabym jej dotrzymać.

— Przyrzeknij zatem, tylko do chwili, aż się zobaczymy. Jeżeli potem będziesz jeszcze pragnęła śmierci, zostawię ci swobodę, a nawet sam przyniosę broń, jakiej pragniesz.

— Przyrzekam! będę czekała na ciebie...

— Przysięgnij!

— Przysięgam na imię Boga naszego... Czyś zadowolony?...

— Dobrze, do widzenia, dziś w nocy!...

Wybiegł z pokoju, zamknął drzwi i oczekiwał z bronią żołnierską w ręku, jak gdyby straż pełnił w zastępstwie warty.

Żołnierz powrócił, Felton broń mu oddał.

Wtedy przez otwór w drzwiach, milady dojrzała, jak młodzieniec przeżegnał się naobnie i poszedł w głąb korytarza.

Ona zaś powróciła na miejsce z uśmiechem pogardy na ustach, bluźniąc przeciw Bogu, na którego imię przysięgała, a którego nie znała i nie umiała kochać.

— Oszalały fanatyk! — mówiła — moim Bogiem jest ten, który mi dopomoże w zemście.

ROZDZIAŁ XXIX. PIĄTY DZIEŃ NIEWOLI

Milady jednak zwyciężyła w połowie, a to podwajało jej energję. Łatwo dotąd zwyciężała ludzi światowych, których wychowanie dworskie pociągało w zastawione sieci. Milady pięknoscią podbijała zmysły, a zręcznością i sprytem działała i zwyciężała stronę moralną. Lecz obecnie miała do zwalczenia naturę zamkniętą w sobie i niedostępną, z powodu surowości obyczajów; religja i prywatje uczyniły z Feltona człowieka, nieczulego na zwyczajne pokusy. Głowę miał nabitą planami rozległemi, nieokreślonymi i egzaltowanemi, nie było tam miejsca dla miłości i zachcianek zmysłowych, tych uczuć, jakie podsycą próżnowanie i zepsucie. Milady z udaną cnotą zrobiła już wyłom w wyobrazeniach człowieka, uprzedzonego straszliwie, a urodą swoją w sercu i uczuciach człowieka skromnego i czystego. Przyznawała sama, że najtrudniejszym zadaniem, jakie miała w życiu, było właśnie podbicie młodzieńca, opancerzonego fanatyzmem. Pomimo to przez cały wieczór napa-dało ją zwątpienie; nie wierzyła sobie ani losowi. Nie wzywała Boga, wiemy o tem, lecz ufała w moc złego, w tę nieskończoną potęgę, rządzącą w życiu ludzkim, której, według baśni arabskiej, dosyć jednego ziarnka granatu, dla odbudowania świata zburzonego.

Milady, umiejętnie przygotowana na przyjęcie Feltona, marzyła, co dzień jutrzejszy przyniesie. Wiedziała, że ma już dwa dni zaledwie, że skoro tylko Buckingham wyrok podpisze (a podpisze go tem łatwiej, że było tam nazwisko fałszywe, i nie domyśli się nawet, o jaką kobietę chodzi), baron wsadzi ją na okręt natychmiast. Wiedziała także, że kobiety skazane na zesłanie daleko mniej mają powabu, niż kobiety, uważane za cnotliwe, otoczone blaskiem wielkiego świata, podnoszącym ich urodę, będące w modzie, bogate, a w dodatku pochodzenia arystokratycznego. Kobieta, skazana na karę hańbiącą, może być

jeszcze piękna, lecz nie może już zostać znakomita. Jak wszyscy ludzie rozumni, milady wiedziała, jakie otoczenie przypada najlepiej jej naturze i upodobaniom. Czowała odrazę do ubóstwa, pogarda świata przejmowała ją strachem. Milady królowała, otoczona dworem; potrzebowała koniecznie dumę zadowolić. Rządzić istotami bez znaczenia było dla niej poniżeniem, nie zaś przyjemnością. Z pewnością powróciłaby z wygnania, nie wątpiła o tem na chwilę nawet; lecz, jak długo to wygnanie trwać mogło?

Dla natury czynnej i ambitnej, jaką posiadała, dnie, w których się nie wznosi, są dniami feralnymi! jakże nazwać zatem dnie, w których się na dół zstępuje! Stracić rok, dwa, trzy lata, to wieczność cała; powrócić wtedy, gdy d'Artagnan, szczęśliwy i triumfujący, otrzyma już wraz z przyjaciółmi zasłużoną nagrodę od królowej, za usługi oddane, były to przypuszczenia, których taka kobieta, jak milady, znieść nie była w stanie. Burza, która się wewnątrz niej srożyła, podwajała zawziętość, i rozbiłaby mury więzienia, gdyby siły fizyczne odpowiadały moralnym.

W dodatku pobudzało ją jeszcze do czynu wspomnienie kardynała. Co mógł myśleć, co powiedzieć o jej milczeniu, kardynał niedowierzający, niespokojny, podejrzliwy; kardynał, jej podpora jedyna, jedyny protektor w teraźniejszości i główny czynnik powodzenia i zemsty w przyszłości? Znała go, wiedziała, że za powrotem, po bezowocnej podróży, choćby niewiadomo jak opowiadała o więzieniu, cierpiniach przebytych, kardynał odpowie ze spokojem sceptyka, silnego władzą i genjuszem: „Trzeba było nie dać się podejść”.

Wtedy milady zbierała całą energję, wymawiając w myśli nazwisko Feltona, jedyne światelko, przeblyskujące w piekle, do którego się dostała; i jak wąż, rozwijający pierścienie, by się przekonać o swej sile, otaczała naprzód Feltona tysiącami podejściami bujnej imaginacji.

Czas ubiegał, godziny jedna za drugą zdawały się budzić dzwon w przechodzie a każde uderzenie młotka spiżowego odzywało się w sercu uwięzionej. O dziewiątej lord de Winter przyszedł, jak zwykle, obejrzał okno i kraty żelazne, zbadał posadzkę, ściany, kominek i drzwi, a podczas tej długiej rewizji ani on ani milady nie przemówili do siebie.

— No, no — rzekł baron, odchodząc — nie uciekniesz jeszcze tej nocy!

O dziesiątej Felton przyszedł straż rozstawić; milady poznała go po chodzie. Odgađywała, jak kochanka odgađuje wybranego sercem, a pomimo to nienawidziła go i pogardzała słabym fanatykiem.

Godzina umówiona nie nadeszła jeszcze, Felton nie wszedł. W dwie godziny potem, gdy północ uderzyła, zmieniła się warta. Teraz milady oczekiwała niecierpliwie.

Po upływie dziesięciu minut Felton nadszedł.

— Słuchaj — rzekł młody człowiek do sztydwa — pod żadnym pozorem nie oddalaj się od tych drzwi; wiesz, że przeszłej nocy, milord ukarał żołnierza, który opuścił stanowisko na chwilę, a jednak to ja sam przez krótką nieobecność jego czuwałem w zastępstwie.

— Wiem o tem — odparł żołnierz.

— Polecam ci baczność jak największą. Ja zaś — dodał — wejdę dla obejrzenia potwórnego pokoju tej kobiety, która, jak się zdaje, ma samobójcze zamiary i której mam rozkaz pilnować.

— Dobrze — szepnęła milady — surowy purytanin kłamać zaczyna.

Żołnierz uśmiechnął się tylko.

— Do licha! panie poruczniku — powiedział — nie wielkie to nieszczęście dostać takie polecenie, nadewszystko, jeżeli milord upoważnił cię pilnować jej nawet w łóżku.

Felton poczerwieniał i w innej okoliczności, byłby złał żołnierza za żart podobny, lecz teraz sumienie nieczyste nie pozwoliło mu ust otworzyć.

— Jeżeli cię zawołam, wchodź natychmiast; tak samo, jeżeli kto nadejdzie, to ty mnie zawołaj.

— Dobrze, panie poruczniku.

Felton udał się do milady, ona zerwała się z siedzenia.

— Jesteś więc? — zawołała.

— Przyrzekłem przyjść — odpowiedział Felton — i dotrzymałem słowa.

— Jedną rzecz mi jeszcze obiecałeś.

— Co takiego? na Boga — rzekł młody człowiek, który, pomimo panowania nad sobą, czuł, że kolana uginają się pod nim i pot kroplisty występuje na czoło.

— Przyrzekłeś przynieść nóż i zostawić go po naszej rozmowie.

— Nie wspominaj pani o tem, niema tak rozpaczliwego położenia, któreby upoważniało istotę, stworzoną na obraz i podobieństwo boskie, do odebrania sobie życia. Zastanawiałem się i przekonałem, że nie mogę pomagać do takiego grzechu.

— A! zastanawiałeś się — rzekła uwieczniona, siadając na fotelu i śmiejąc się pogardliwie — i ja także się zastanawiałam.

— Nad czem?

— Że nie mam nic do powiedzenia człowiekowi, niedotrzymującemu danego słowa.

— O Boże! mój Boże — wyszeptał Felton.

— Możesz pan odejść, nic mu nie powiem.

— Oto jest nóż! — rzekł Felton, wyciągając z kieszeni broń obiecaną, którą wahał się dotąd dać w ręce milady.

— Pokaż pan...

— Co chcesz pani uczynić?

— Honorem ręczę, że oddam za chwilę, położysz go tylko na stole i staniesz pomiędzy nim i mną.

Felton podał nóż milady, ona obejrzała pilnie oprawę i spróbowała ostrza na palcu.

— Dobrze — rzekła, oddając — nóż jest z doskonałej stali; wierny z ciebie przyjaciel, Feltonie.

Młody człowiek odebrał nóż, i według umowy, położył go na stoliku. Milady spostrzegła to z ukontentowaniem.

— A teraz posłuchaj pan!

Zalecenie było niepotrzebne. Felton stał przed nią i oczekiwał niecierpliwie.

— Feltonie! — zaczęła milady z powagą i melancholją — Feltonie, gdyby siostra twoja, córka twojego ojca powiedziała ci:

„Młoda i na nieszczęście piękna, wpadłam w zasadzkę i oparłam się; otoczono mnie matnią niegodziwości; próbowano gwałtu, ale oparłam się; bluźniono przeciw religii, jaką wyznaję, przeciw Bogu, którego wielbię, bo przyzywam go na pomoc, oparłam się jednak; wtedy znieważono mnie, a nie mogąc zgubić mej duszy, postanowiono splamić na zawsze ciało moje, nakoniec...”

Milady przerwała i gorzki uśmiech ukazał się na jej ustach.

— Nakoniec — rzekł Felton — nakoniec co z tobą zrobiono?...

— Postanowiono podejściem pokonać mój upór. Pewnego wieczora domieszano mi do wody silnego narkotyku; zaledwie skończyłam skromny posiłek, uczułam ociężałość, napadającą mnie stopniowo. Chociaż nic nie podejrzewałam, jednak strach mnie ogarnął i walczyłam ze snem, zamykającym mi oczy; wstałam, chciałam biec do okna, wołać na pomoc, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Wyciągnęłam ręce, próbowałam mówić, lecz tylko słowa bez związku wydobywały się z gardła zaciśnionego... Zdrętwiałam cała... chwyciłam się krzesła, czując, że padam, lecz i ta podpora okazała się bezskuteczna; upadłam na kolana, chciałam się modlić... język mi zeszywniał... Bóg opuścił mnie widać w tej chwili... osunęłam się na podłogę i zasnęłam snem twardym...

„Co się stało podczas snu mego i jak długo trwał, nic nie wiem; jedno tylko przypominam sobie, iż obudziłam się w pokoju okrągłym, zbyt kownie umeblowanym, do którego światło wpadało przez otwór w suficie.

Zresztą żadne drzwi nie prowadziły do niego, rzekłbyś więzienie wspaniałe.

Nie mogłam długo zdać sobie sprawy, gdzie się znajduję, jak i ze wszystkich szczegółów wyżej przytoczonych; umysł mój walczył bezskutecznie z ciężkim snem, z którego otrząsnąć się nie byłam w stanie. Miałam niejasne wspomnienie przestrzeni przebytej, turkotu powozowego, snów strasznych i czułam wyczerpanie sił fizycznych.

Wszystko to majaczyło ciemno i niewyraźnie w głowie, tak, że zdawało się dotyczyć innej jakiejś osoby, związanej ze mną fantastycznym podobieństwem.

Stan, w jakim się znajdowałam, trudny był do pojęcia, myślałam, że znowu śnię.

Podniosłam się, chwyciłam na nogach; ubranie moje leżało na krześle: nie pamiętałam, czy się rozbierałam i kładłam do łóżka...

Wtedy, zwolna, rzeczywistość stanęła przedemną, pełna przypuszczeń, obrażających skromność dziewiczą.

Znajdowałam się w domu nieznanym; o ile mogłam wnosić ze słońca, dzień już był na schyłku!... więc to wczoraj wieczorem straciłam przytomność; sen zatem trwał blisko dobę całą Co się działo ze mną, podczas tego snu długiego?...

Ubrałam się, jak mogłam najprędzej. Ociężałość w członkach dowodziła, iż działanie narkotyku nie ustało jeszcze.

Wreszcie pokój był przygotowany dla kobiety, a kokietka najbardziej wymagająca musiałaby czuć się zadowolona z otoczenia.

Nie ja pierwsza, z pewnością, dostałam się do tego pysznego więzienia, lecz pojmujesz, Feltonie, im piękniejsze było więzienie, tem większą obawą mnie przejmowało.

Napróżno szukałam wyjścia, badałam ściany, nigdzie żadnego śladu... Dwadzieścia razy najmniej obeszłam pokój, szukając, zawsze napróżno, nareszcie wyczerpana padłam na fotel, jak nieżywa.

Przez ten czas ściemniło się, a z ciemnością przerażenie me rosło; bałam się zostać na miejscu, zdawało mi się, że na każdym kroku zguba czyha na mnie.

Pomimo, że od wczoraj nic w ustach nie miałam, wcale nie czułam głodu.

Żaden głos zewnątrz nie dochodził, nic, z czego mogłabym czas obliczyć; przeczuwałam tylko, że musi być około ósmej wieczorem, a że to było w październiku, zatem noc czarna już zapadła.

Naraz zadrżałam: drzwi na zawiasach skrzypnęły, okno w górze zajaśniało, rzucając snop światła do pokoju, i ujrzałam z przerażeniem mężczyznę, stojącego o parę kroków przede mną.

Stolik z parą nakryć i jedzeniem przygotowanym znalazł się cudownym sposobem na środku.

W mężczyźnie tym poznałam tego, co mnie od roku prześladował, co zaprzysiągł mnie posiąść i który, odezawszy się, dał mi do zrozumienia, że należałam do niego zeszłej nocy”.

— Podły!... — mruknął Felton.

— O!... tak, podły — zawołała milady, widząc, jak całą duszą młody oficer słucha tej historii, o! tak, podły! — powtórzyła — sądził, iż dosyć było zwyciężyć mnie w śnie głębokim, abym zgodziła się na hańbę i następnie z własnej woli należała do niego; przychodził ofiarować mi bogactwa wzamian za miłość moją...

„Cały ogrom pogardy, jaki może wezbrać w sercu kobiety, popłynął z ust moich w słowach obelżywych...

Człowiek ten musiał być przyzwyczajony do wyrzutów podobnych, słuchał bowiem spokojnie, z uśmiechem, z rękami na piersiach skrzyżowanymi. Następnie, myśląc, że skończyłam, zbliżył się, poskoczyłam do stołu, porwałam nóż i przyłożyłam go do piersi.

— Uczyni krok jeden więcej — zawołałam — a oprócz hańby, mieć będziesz śmierć moją na sumieniu.

Była bezwątpienia w moim spojrzeniu, w głosie, w całej postaci taka prawda, jaka przekonywa dusze najbardziej zepsute; zatrzymał się bowiem...

— Twoją śmierć!... — powiedział — o! nie, jesteś zanadto przyjemną kochanką, abym w ten sposób chciał cię postradać, gdyś zaledwie raz jeden do mnie należała. Do widzenia moja piękna! poczekam z drugą wizytą na laskawsze usposobienie.

Po tych słowach dał znak gwizdnięciem; światło zniknęło, znalazłam się pogrążona w ciemnościach. Drzwi znów obróciły się na zawiasach, potem rozjaśniło się w pokoju, lecz znalazłam się już sama.

Chwila to była straszna; nie wątpiłam już o swojej niedoli; wszystko pierzchno wobec rzeczywistości rozpaczliwej: byłam w mocy człowieka, którego nie tylko nienawidziłam, lecz którym pogardzałam; człowieka, ważącego się na wszystko, który dał mi już miarę, do czego jest zdolny“.

— Lecz któż on był? — zapytał Felton.

— Spędziłam noc na krześle, drząc za najmniejszym hałasem; około północy lampa zagasła i znów znalazłam się w ciemności. Lecz noc przeszła, mój prześladowca nie dawał znaku życia; rozwidniło się: stół z nakryciem przepadł gdzieś, został mi tylko nóż w ręce.

W nożu tym złożyłam całą nadzieję.

Byłam zmęczona śmiertelnie, bezsenność paliła miocy; nie śmiałam oka zmrużyć przez całą noc, dzień mi dopiero odwagi dodał; rzuciłam się na łóżko, nie rozłączając się z nożem, który włożyłam pod poduszkę.

Obudziwszy się, zastałam znów stolik nakryty.

Tym razem, pomimo strachu, pomimo udręczenia, poczułam głód okrutny. Od czterdziestu ośmiu godzin nic w ustach nie miałam, zjadłam więc kawałek chleba i trochę owoców. Wspomniawszy narkotyk, jaki wypiliśmy z wodą, nie dotknęłam się stojącej na stole, lecz napełniłam szklankę wodą, tryskającą z fontanny, umieszczonej obok toalety. Pomimo tej ostrożności, niepokój mnie ogarnął; tym razem jednak obawy okazały się nieuzasadnione: spędziłam dzień, nie doświadczając niczego takiego, czego się obawiałam. Wyprowadziłam karafkę do połowy, aby nie spostrzeżono mojej nieufności.

Nadszedł wieczór, a z nim ciemności; wzrok mój zaczął się przyzwyczajać, mogłam rozróżniać przedmioty i widziałam stolik, zapadający w podłogę; po kwadransie może, ukazał się znów z potrawami zastawionymi, a po chwili lampa oświeciła mój pokój.

Postanowiłam używać jedynie pokarmów, do jakich nie można domieszać substancji usypiających; parę jaj i trochę owoców wystarczyło mi w zupełności, następnie napiłam się wody z opiekuńczej fontanny.

Po wypiciu pół szklanki, poczułam, że smak ma inny niż rano: przestałam pić, po dejrzeniu mnie ogarnęło.

Wylałam resztę z odrazą i czekałam, zlna potem z przestachu. Zapewne jakiś niewidzialny świadek obserwował mnie i skorzystał z mojej ufności, aby tem pewniej doprowadzić swój plan do skutku.

Nie upłynęło pół godziny, a już poczułam działanie narkotyku; ponieważ jednak tym razem wypiliśmy tylko pół szklanki, nie poddawałam się długo i zamiast usnąć, wpadłam w półsen, pozwalający rozumieć, co się działo dokoła... lecz nie miałam siły bronić się ani uciekać.

Zawlokłam się do łóżka, aby poszukać jedynej obrony, zbawczego noża, lecz nie byłam w stanie dojść do celu, padłam na kolana, uczepiwszy się rękami kolumny, podpierającej łóżko, wtedy pojęłam, że jestem zgubiona bez ratunku...”

Felton zbladł okrutnie, dreszcz konwulsyjny przeszedł go całego.

„Najokropniejsze jednak było — ciągnęła milady głosem zmienionym, jak gdyby obecnie jeszcze czuła niebezpieczeństwo, grożące w owej strasznej chwili — najstraszniejsze to, że dusza moja czuwała, a chociaż ciało we śnie pogrążone było, widziałam, słyszałam wszystko: prawda, że wydawało mi się to jakby snem, ale tembardziej było przerażające.

Widziałam światło unoszące się w górę, i pozostawiające mnie w ciemności; następnie słyszałam znane mi już skrzypnięcie drzwi, choć je dopiero dwa razy słyszałam.

Czułam instynktownie, że zbliżano się do mnie: powiadają, że nieszczęśliwy zbłąkany w puszczech Ameryki czuje także zbliżanie się węża jadowitego.

Zebrałam wszystkie siły, próbowałam krzyknąć; wysiłkiem woli zerwałam się nawet, lecz upadłam zaraz... i upadłam w objęcia prześladowcy mojego”.

— Powiedz mi pani, kto był ten człowiek?... — zawołał młody oficer.

Milady widziała, jak jej opowiadanie przejmuje Feltona, jak cierpi nad każdym szczegółem, nie chciała mu jednak oszczędzić tortury. O ile więcej zakrwawi mu serce, o tyle pewniej go zwycięży. Mówiła dalej, udając, że nie słyszy zapytania, a może osądziła, że nie czas jeszcze na odpowiedź.

— „Tym razem jednak już nie ciało nieczułe, bez życia, niecny uwodziciel trzymał w objęciach... Mówiłam ci już: nie mogłam władać sobą, pozostało mi wszakże poczucie niebezpieczeństwa: broniłam się z całych sił i z pewnością, pomimo osłabienia, długo się opierałam, ponieważ słyszałam, jak zawołał:

— Przekłete purytanki! wiedziałem dobrze, że potrafią znużyć swych oprawców, lecz sądziłem, że z kochankami nie są tak odporne.

Niestety! opór desperacki nie mógł trwać długo, czułam, że siły mnie opuszczają i tym razem nie ze snu mojego skorzystał niegodziwiec, lecz z omdlenia...”

Felton wydał jęk głuchy; pot kroplisty spływał mu z czoła, a ręka pod ubraniem pierś szarpała.

„Pierwszą myślą, jaka mi przyszła po wróceniu do przytomności, było poszukać noża pod poduszką, którego nie miałam siły przedtem wydostać: do obrony mi nie posłużył, chciałam, aby przynajmniej winy moje zmazał.

Lecz gdy poczułam nóż w ręce, Feltonie, straszna myśl przyszła mi do głowy. Przyśięgłam ci wszystko wyjawić, obiecałam prawdę i powiem ją, choćby mnie miała zgubić”.

— Przyszła ci myśl zemsty nad tym człowiekiem, wszak prawda?... — zawołał Felton.

— A więc tak!... — rzekła milady — myśl to niegodna chrześcijanki, wiem o tem; podsunął mi ją pewnie wieczny nieprzyjaciel duszy, co, jak lew rozjuszony, krąży bezustannie dokoła człowieka; on mi ją pewnie podszeptał. Cóż ci mam powiedzieć więcej?... — ciągnęła milady tonem kobiety, przyznającej się do zbrodni — myśl ta mnie opanowała i nie mogłam jej odpędzić od siebie... Za tę chęć zabójstwa ponoszę teraz karę...

— Mów pani, mów dalej — przerwał Felton — pilno mi usłyszeć, jakieś się zemściła...

— O!... postanowiłam zrobić to jak najprędzej; nie wątpiłam, że mój prześladowca powróci nocy następnej.

„W dzień biały nie miałam się czego obawiać.

Gdy nadeszła godzina śniadania, nie wahałam się jeść i pić, wieczorem zato postanowiłam udawać, że spożywam kolację, lecz nic do ust nie brać: miał zatem posiłek ranny ochronić mnie od głodu wieczorem.

Szklankę wody ukryłam jedynie z mojego śniadania, bo pragnienie mi dokuczalo.

Dzień cały upłynął, lecz nie przyniósł zmiany w powziętem postanowieniu: starałam się tylko, aby twarz moja nie zdradziła zamiarów tajemnych, nie wątpiłam bowiem, że mnie obserwują; kilka razy nawet uśmiech zagościł na moich ustach... Feltonie! nie mam odwagi wyznać ci, do jakiej myśli się uśmiechałam... odwróciłbyś się odemnie ze wstrętem...”

— Mów pani, mów dalej — rzekł Felton — widzisz, że słucham i pragnę dowiedzieć się końca...

— „Wieczorem wszystko odbyło się, jak zwykle; kolacja zjawiła się po ciemku, następnie lampa zajaśniała i usiadłam do stołu.

Zjadłam parę owoców jedynie; udawałam, że nalewam wody z karafki, a piłam tylko tę, którą rano schowałam; przemieniłam ją zresztą tak szybko i zręcznie, że gdyby nawet szpiegi nasadzeni patrzyli, nie mogliby powziąć najmniejszego podejrzenia.

Po kolacji udałam ociężałość, jak dnia poprzedniego; lecz tym razem, jak gdybym upadała ze zmęczenia, lub jak gdybym się już oswoiła z niebezpieczeństwem, powlokłam się do łóżka, zrzuciłam ubranie i położyłam się...

Znalazłam teraz nóż pod poduszką i, śpiąc niby, ściszałam go w ręce konwulsyjnie.

Dwie godziny minęły, nikt nie przychodził — tym razem, o mój Boże, ktoby to przewidział wczoraj!... — zaczynałam się bać, że może nie przyjdzie!

Nakoniec lampa uniosła się w górę i znikła w otworze sufitu; pokój zaległy ciemności, lecz wysilałam się, żeby je przebić wzrokiem. Przez jakiś czas cicho było; słyszałam tylko bicie własnego serca.

Błagałam nieba, ażeby przyszedł nareszcie. Naraz usłyszałam znany mi szelest drzwi otwieranych; usłyszałam, pomimo grubości dywanu, skrzyp podłogi; dostrzegłam, pomimo ciemności, cień, zbliżający się do łóżka”.

— Śpiesz się pani! śpiesz się!... — przerwał Felton — czyż nie widzisz, że każde słowo twoje pali mnie, jak ołów roztopiony!

— „Wtedy — mówiła milady — wtedy zebrałam wszystkie siły, przywołam na pamięć, że wybiła godzina zemsty, a raczej sprawiedliwości. Wyobrażałam sobie, że jestem drugą Judytą; usiadłam z nożem w ręce, i gdy już blisko i wyciągnął ręce, szukając ofiary swojej, wtedy z krzykiem boleści i rozpacz, uderzyłam go w piersi.

Nędznik!... wszystko przewidział: pierś miał opancerzoną siatką stalową; nóż obsunął się tylko!

— A! a!... — zawołał, chwytając mnie za rękę i wrywając broń, która mi tak źle posłużyła — chcesz mi życie odebrać, piękna purytanko! to coś więcej, niż nienawiść, to niewdzięczność! No, no, uspokój się piękne dziecko! sądziłem, żeś się już udobruchała. Nie jestem ja tyranem, trzymającym kobiety przemocą: nie kochasz mnie, byłem tyle zarozumiały, że sądziłem inaczej; obecnie się przekonałem... Jutro będziesz wolna.

Miałam tylko jedno życzenie... ażeby mnie zabił.

— Strzeż się!... — powiedziała — wolność moja, to twoja hańba.

— Wytłumacz się jaśniej, piękna Sybillo?

— Tak, bo skoro tylko stąd wyjdę, opowiem wszystko, opowiem, jakiego gwałtu użyłeś nade mną, jak mnie więziłeś. Ogłoszę o tym pałacu, przeznaczonym dla rozpusty; wysokie zajmujesz stanowisko, milordzie, lecz drzyj! Ponad tobą jest król, ponad królem jest Bóg!

Chociaż mój prześladowca panował nad sobą, zatrzęsł się jednak z gniewu. Nie mogłam widzieć wyrazu twarzy, lecz czułam drżenie ramienia, na którym rękę trzymałam.

— Skoro tak, nie wyjdiesz stąd nigdy!... powiedział.

— Bardzo dobrze!... — zawołałam — wtedy miejsce moich cierpień, stanie się także grobem moim. Umrę tutaj! a przekonasz się wtedy, że widmo oskarżające straszniejsze jest jeszcze, niż groźby żyjącej!

— Nie pozostawię ci żadnej broni.

— Jest jedna, jaką rozpacz uczyniła przystępną każdej istocie, mającej odwagę jej użyć... Zamorzę się głodem.

— Posłuchaj — rzekł nędznik — czyż pokój nie lepszy jest od takiej wojny? Powracam ci wolność natychmiast, ogłaszam i wychwałam twoją cnotę, nazywam cię Lukrecją Anglii...

— A ja cię nazywam Sekstusem, wydaję twoje zbrodnie przed ludźmi, jak już oskarżyłam cię przed Bogiem; a gdy będzie potrzeba, abym, jak Lukrecja, krwią podpisała akt oskarżenia, podpiszę go z ochotą.

— A! a!... — odezwał się wróg mój tonem szyderczym — to zmienia postać rzeczy zupełnie. Na honor! zważywszy wszystko, bardzo ci tu dobrze, niczego ci nie braknie, a jeżeli umrzesz z głodu, to będzie twoją winą jedynie.

Po tych słowach oddalił się; słyszałam, jak drzwi zamknął, a ja pogrążyłam się nie tyle w rozpacz, przyznając, jak we wstydzie, że się nie zemściłam. Dotrzymał słowa. Upłynął dzień i noc i nie pokazał się... Ja także dotrzymałam obietnicy, nie jadłam i nie piłam wcale; postanowiłam, jak mu to powiedziałam, umrzeć z głodu. Cały dzień i noc całą modliłam się, błagając Boga, aby mi przebaczył samobójstwo.

Na drugą noc drzwi się znów otworzyły; leżałam na podłodze, siły zaczynały mnie opuszczać.

Słyszając szelest, uniosłam się na rękach.

— Na i cóż?... — odezwał się głos, dobrze mi znany — czy uspokoiłeś się trochę i oplacisz wolność obietnicą milczenia?... Ja jestem władcą łaskawym i choć nie lubię purytanów, oddaję im jednak sprawiedliwość, jak i purytankom, jeżeli są ładne. No, dalej przysięgnij mi na ten krzyż; więcej niczego nie żądam.

— Ja mam przysięgać!... — zawołałam, powstając, gdyż na ten głos wstrętne odzyskałam siły. — Otóż przysięgam na krzyż Zbawiciela, że żadna obietnica, żadna groźba, tortura nie zmusi mnie do milczenia; przysięgam, że okrzyczę cię wszędzie jako zbójcę, łotra bez honoru, jako podłego rozpustnika: przysięgam! że jeżeli kiedy stąd się uwolnię, błagać będę cały świat o zemstę nad tobą.

— Strzeż się!... — rzekł groźnie — mam ja sposób nieomylny, którego użyję tylko w ostateczności, aby ci zamknąć usta, lub przynajmniej, aby cię o tyle nieszkodliwą uczynić, że nikt twoim słowom nie będzie wierzył.

Zebrałam wszystkie siły, aby mu odpowiedzieć wybuchem śmiechu. Poznał, że odtąd między nami wojna wieczna; wojna na śmierć.

— Posłuchaj — rzekł — zostawiam ci jeszcze tę noc i dzień jutrzejszy — namyśl się: przyrzeknij, że będziesz milczała, a bogactwa, szacunek, dostojeństwa nawet będą twym udziałem; w przeciwnym razie, skażę cię na hańbę.

— Ty!... — krzyknęłam — ty?

— Na hańbę wieczną, niezmyślaną!

— Ty?... — powtórzyłam. — O! Feltonie, myślałam, że ten człowiek zmysły postradał.

— Tak, ja!... — odparł.

— A!... zostaw mnie — powiedziała — wychodź, jeżeli nie chcesz, abym w twoich oczach głowę o mur roztrzaskała!

— Wychodź — odrzekł — chcesz tego, a więc do jutra wieczorem!

— Do jutra!... — odpowiedziałam i padłam na ziemię, gryząc kobierzec z wściekłości...”

Felton oparł się o krzesło, milady spostrzegła z radością szatańską, iż może mu sił zbraknąć przed końcem opowiadania.

ROZDZIAŁ XXX. SCENA Z TRAGEDJI KLASYCZNEJ

Po chwili przerwy milady ciągnęła opowiadanie:

„Od trzech dni już prawie nic nie jadłam, ani piłam, cierpiałam tortury niesłychane; chwilami mgła zasłaniała mi oczy i ciążyła na czole; był to początek obłądu.

Z nadejściem wieczoru tak osłabłam, iż co chwila omdlewałam, a za każdym razem dziękowałam Bogu, bo sądziłam, że już umieram.

Podczas jednego z tych omdleń, posłyszałam otwieranie drzwi; przerażenie wróciło mi przytomność.

Wszedł mój prześladowca, za nim człowiek jakiś zamaskowany; i on także miał maskę na twarzy, lecz poznałam go po chodzie, po głosie, po postawie, nakazującej szacunek, jaką piekło mu pewnie dało na zgubę i nieszczęście ludzi.

— No, cóż? — zapytał — zdecydowałaś się nareszcie wykonać przysięgę, jakiej wymagałem?...

— Wiesz o tem, purytanie mają tylko jedno słowo; moje słyszałeś, a mianowicie, że będą dochodziła krzywdy na ziemi przed trybunałem Boskim!

— Zatem obstajesz przy swoim?

— Przysięgam przed Bogiem, który mnie słyszy, że wzywać będę świat cały na świadka twej zbrodni, aż dopóki nie znajdę mściciela.

— Jesteś nierządnicą — zawołał głosem grzmącym — i jako taka, poniesiesz karę! Zbeczyszczona w oczach świata, do którego się odwołujesz, spróbuj go przekonać, że nie jesteś ani występna, ani szalona!

„Następnie, zwracając się do człowieka, który mu towarzyszył:

— Zbliź się kacie — rzekł — i czyn powinność swoją!

— O!... nazwisko jego!... — zawołał Felton — powiedz mi jego nazwisko!...

— Wtedy, pomimo krzyków, pomimo oporu mojego (dorożumiewałam się bowiem, że chodziło o coś gorszego, niż o śmierć nawet) kat porwał mnie, przewrócił na podłogę, obezwładnił silnymi rękami i, wtedy to łkając boleśnie, wzywając Boga, który mnie nie słyszał, wydałam naraz jęk okrutny z bólu i wstydu. Żelazo rozpalone, żelazo katowskie, odbiło się na moim ramieniu. Patrz! — rzekła milady, podnosząc się z godnością królowej — patrz Feltonie, jakie wymyślono nowe męczeństwo dla dziewczyny młodej, niewinnej, a pomimo to ofiary zwierzęcej namiętności człowieka bez sumienia. Naucz się znać lepiej serca ludzkie, i odtąd bądź mniej powolny w służeniu za narzędzie zemsty niesprawiedliwej...

Szybkim ruchem rozpięła suknię, rozdarła batyst, okrywający łono, i zaczerwieniła udanym gniewem i niby zawstydzona, pokazała młodemu człowiekowi znak, niczem niezatarty, który hańbił to śliczne ramię.

— Ale — krzyknął Felton — to jest kwiat lilji!...

— W tem właśnie jest cała podłość — odrzekła milady. — Gdyby to było piętno angielskie!... trzeba by dowieść, jaki sąd je nakazał, a ja wtedy odwołałabym się do wszystkich trybunałów królestwa; lecz piętno francuskie... o!... takie mnie rzeczywiście hańbiło.

Blady, nieruchomy, przybity straszmem wyznaniem, olśniony nadludzką pięknnością tej kobiety, obnażającej się bezwstydnie, co on uważał za wzniosłe, Felton upadł na kolana przed nią, jak czynili pierwsi chrześcijanie przed czystemi, świętymi męczennicami, które prześladowania Cezarów skazywały na krwawe igrzyska w cyrkach. Nie widział piętna hańbiącego, widział piękność jedynie.

— Przebacz!... o!... przebacz!... — wołał.

Milady czytała w oczach jego: Kocham! Kocham!...

— Co mam przebaczyć? — zapytała.

— Przebacz! że pomagałem twoim prześladowcom!...

Milady podała mu rączkę.

— Taka piękna!... taka młoda!... — wołał Felton, okrywając tę rączkę pocałunkami.

Felton był purytaninem; puścił rękę kobiety, aby całować jej nogi. Obecnie już jej nie kochał, uwielbiał ją...

Gdy ochłonął trochę, gdy milady odzyskała zimną krew, której, coprawda nigdy nie traciła; gdy nareszcie zakryła skromnie przed nim powaby, aby ich pragnął goręcej:

— A!... obecnie — wyrzekł — o jedno jeszcze pytam?... o nazwisko prawdziwego kata, podług mnie bowiem jest tylko jeden, bo ten drugi ślepe narzędzie jedynie!

— Jakto... mój bracie!... — zawołała milady — czy potrzeba, żebym ci go nazwała, nie odgadłeś sam dotąd.

— Co?... — odparł Felton — on?... znów on?...

— Prawdziwym winowajcą!... — przerwała milady — jest ciemieżca Anglii, przesładowca prawowiernych, podły przeniwierca honoru kobiecego, ten, który dla fantazji serca zepsutego, każe przelewać krew anglikom, co dziś proteguje protestantów, a jutro ich zdradzi...

— Więc to Buckingham!... — wykrzyknął Felton.

Milady zakryła twarz rękami, jak gdyby nie mogła bez wstydu słyszeć tego nazwiska.

— Buckingham katem tej anielskiej istoty!... — wołał Felton. — I Tyś go nie spiorunował! o Boże!... pozwoliłeś mu zostać wielkim, czczonym, wszechwładnym na naszą zgubę!

— Bóg opuszcza tych, co sobie nie pomagają — rzekła milady.

— Więc on chce ściągnąć na głowę swoją karę, przeznaczoną dla przeklętych!... — ciągnął Felton z wzrastającą egzaltacją — chce, aby zemsta ludzka uprzedziła sprawiedliwość Boską!...

— Ludzie lękają się go i przebaczą.

— O!... ja — rzekł Felton — ja go się nie boję i nie będę go oszczędzał!...

Milady uczuła w duszy radość piekielną.

— W jaki sposób lord de Winter, mój opiekun, mój ojciec, wmieszany jest w to wszystko?...

— Posłuchaj, Feltonie — odparła milady — pomiędzy podłymi i godnymi pogardy, znajdują się jeszcze ludzie wyżsi i szlachetni. Miałam narzeczonego; kochaliśmy się wzajemnie; serce miał, jak ty, Feltonie, jak ty był prawdziwym człowiekiem. Przyszłam do niego i opowiedziałam wszystko; znał on mnie dobrze i ani na chwilę nie wątpił. Był to wielki pan i pod każdym względem stał na równi z Buckinghamem. Nie nie mówił, tylko przypasał spadek, narzucił płaszcz i udał się wprost do pałacu Buckinghamu.

— Tak, tak — rzekł Felton — rozumiem; chociaż z ludźmi podobnymi, nie szpady używać trzeba, lecz sztyletu...

— Buckingham w przeddzień wyjechał, wysłany jako ambasador do Hiszpanji, gdzie miał prosić o rękę infantki dla króla Karola I-go, wówczas jeszcze księcia Walji, nie zastał go więc i powrócił z niczem.

— Posłuchaj — rzekł do mnie — człowiek ten wyjechał i w ten sposób uniknął na razie zemsty mojej; lecz my się połączymy; jak to już było postanowione, a potem zdaj na lorda de Winter troskę o honor jego i jego żony.

— Lorda de Winter? — wykrzyknął Felton.

— Tak — odparła milady — lorda de Winter, a teraz powinieneś wszystko zrozumieć, wszak prawda? Buckingham rok cały bawił w Hiszpanji. Na tydzień przed jego powrotem, lord de Winter zmarł nagle, a ja zostałam jedyną jego spadkobierczynią. Kto był winien jego śmierci? Bóg, wszystko wiedzący, wie i to zapewne, ja, nie obwiniam nikogo!...

— O!... co za straszne rzeczy!... — wołał Felton.

— Lord de Winter zmarł, nie powiedziawszy nic bratu. Okrutną tajemnicę ukrywał przed światem, aż do chwili, gdy miała spaść, jak piorun, na głowę winowajcy. Twój opiekun niechętny był małżeństwu brata starszego z dziewczyną ubogą. Czułam to dobrze, że nie mogę spodziewać się opieki od człowieka, zawiedzionego w nadziei otrzymania dziedzictwa. Wyjechałam tedy do Francji z postanowieniem spędzenia tam reszty życia. Lecz całe mienie moje znajduje się w Anglii, komunikacja z powodu wojny jest utrudniona, zabrakło mi zatem funduszków i zmuszona zostałam powrócić; sześć dni temu wyładowałam w Portsmouth!...

— Cóż dalej?... — rzekł Felton.

— Co dalej?... Buckingham oto dowiedział się zapewne o moim powrocie, mówił z lordem de Winter, który zawsze był źle dla mnie uprzedzony, i nagadał mu, że jego bratowa jest nierządnicą, kobietą piętnowaną... Lord de Winter uwierzył wszystkiemu tem łatwiej, że leżało to w jego interesie. Rozkazał mi przytrzymać, sprowadził tutaj i oddał pod straż twoją. Reszta ci wiadoma: pojutrze skazuje mnie on na wygnanie, na deportację... pojutrze strąca mnie pomiędzy zbrodniarki. O!... spisek dobrze uknuty, podstęp zręczny, zabije ciebie na zawsze!... Widzisz sam, iż winnam umrzeć... Feltonie!... Feltonie!... daj mi ten nóż!...

Przy tych słowach, jak gdyby siły traciła, milady pochyliła się słaba i omdlewająca w ramiona młodego oficera, który, pijany miłością, oburzeniem i żądzą nieznaną, objął ją, przycisnął do serca, drżąc pod oddechem usteczek cudownych, pod dotknięciem łona drgającego.

— Nie, nie — mówił — ty będziesz żyła, otoczona szacunkiem, czysta; żyć będziesz, aby upokorzyć wrogów.

Milady odpychała go niby rączką, lecz wzrokiem wabiła; Felton nie potrzebował już zachęty, trzymał ją w objęciach i błagał jak bóstwo.

— O!... śmierci... śmierci!... — wołała słabym głosem i, przymykając oczy — śmierć przenoszę nad hańbę; Feltonie, bracie, przyjacielu, zaklinam cię!...

— Nie — zawołał Felton — nie, ty będziesz żyła i będziesz pomszczona!

— Feltonie, ja sprowadzam nieszczęście na tych, co mnie otaczają! opuść mnie, Feltonie, pozwól mi umrzeć!

— Umrzemy więc razem! — zawołał, przyciskając usta do ust uwięzionej.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi; tym razem milady naprawdę go odepchnęła.

— Czy słyszysz?... — rzekła — ktoś nadchodzi, podsłuchano nas!... już po wszystkim, jesteście zgubieni!

— Nie — rzekł Felton — to straż tylko daje mi znać, że patrol nadchodzi.

— Biegnij zatem i sam otwórz...

Felton usłuchał; zaprzedał już tej kobiecie ciało i duszę.

W drzwiach ukazał się sierżant, dowodzący patrolem.

— Co się stało? — zapytał porucznik.

— Kazaleś mi pan otworzyć na wypadek, gdybym słyszał wołanie o pomoc — odezwał się żołnierz — a zapomniałeś pan klucz mi zostawić, słyszałem krzyki niezrozumiałe, chciałem drzwi roztworzyć, lecz były zewnątrz zamknięte; zatem przywołałem sierżanta.

— Ja się też stawilem natychmiast — dodał sierżant.

Felton, bezprzytomny, obłąkany prawie, stał, nie mogąc głosu wydobyć. Milady zrozumiała, że musi zawiadnąć położeniem, pobiegła do stołu i schwyciła nóż.

— Jakiem prawem zabraniasz mi umrzeć?... — zawołała.

— Boże wielki!... — krzyknął Felton, widząc nóż, błyszczący w jej ręce.

W tej chwili właśnie śmiech ironiczny rozległ się na korytarzu. Lord, zwabiony hałasem, w szlafroku, bez szpady, stanął na progu.

— A!... a!... — odezwał się — jesteście, jak widzę, w ostatnim akcie tragedji; a co, Feltonie, przekonałeś się, dramat przechodził wszystkie fazy, jakie ci przepowiedziałem... Bądź jednak spokojny, obejdzie się tu bez krwi rozlewu.

Milady zrozumiała, że będzie zgubiona w opinji Feltona, jeśli nie da dowodu szybkiej i strasznej odwagi.

— Mylisz się, milordzie, krew tu popłynie i niech ta krew spadnie na tych, którzy doprowadzili do tego!...

Felton wydał okrzyk przerażenia i rzucił się ku niej, zapóźno jednak, milady ugodziła w pierś nożem.

Lecz trafił on szczęśliwie, przyznać musimy, bardzo zręcznie, w bryłkę żelazną, jaka w owej epoce, osłaniała, jak pancerz, piersi kobiet, ześlizgnął się, rozdzierając suknię i zadrasnął ukosem ciało pomiędzy żebrami.

Suknia jednak w tej chwili krwią się splamiła. Milady padła na wznak, udając zemdloną. Felton wyrwał jej nóż.

— Spójrz, milordzie — rzekł ponuro — ta kobieta, oddana pod moją opiekę, życie sobie odebrała!

— Uspokój się, Feltonie — rzekł lord — nie zabiła się ona, szatani nie umierają tak łatwo; uspokój się, idź do mnie i czekaj tam...

— Ależ, milordzie...

— Idź, rozkazuję ci.

Na takie polecenie zwierzchnika, Felton był posłuszny, lecz, wychodząc, ukrył nóż na piersiach.

Lord de Winter przywołał jedynie kobietę, usługującą milady.

A że rana, pomimo jego podejrzeń, mogła być rzeczywiście niebezpieczna, posłał natychmiast służącego na koniu, aby sprowadził doktora.

ROZDZIAŁ XXXI. UCIECZKA

Jak to lord de Winter przewidział, rana milady nie była niebezpieczna; skoro tylko została sama z kobietą, przywołaną przez barona, która rozbierała ją pośpiesznie, uznała za właściwe otworzyć oczy.

Potrzeba było jednak grać rolę słabej i cierpiącej; nie było to trudne dla tak wytrawnej komedjantki, oszukała też kompletnie prostą kobietę, która pomimo usilnej prośby milady, uparła się, iż siedzieć będzie przy niej noc całą. Lecz obecność dozorczyńi nie przeszkadzała milady rozmyślać.

Nie ulegało wątpliwości, że Felton został przekonany i należał do niej zupełnie: gdyby anioł z nieba zstąpił i potępił milady, on w takim usposobieniu, jak obecnie, wziąłby go za wysłańca z piekła.

Milady uśmiechała się, myśląc o tem, albowiem Felton był teraz jedyną jej nadzieją, jedynym sposobem ocalenia. Lord de Winter może go jednak podejrzewać, może nad nim czuwać...

Okolo czwartej zrana zjawił się doktor; rana już się zasklepiła, doktor nie mógł zbadać jej głębokości, poznał tylko po pulsie chorej, iż jest bardzo mało znacząca.

Rano milady pod pozorem, iż całą noc nie spała i potrzebuje spoczynku, odprawiła kobietę, czuwającą przy niej. Spodziewała się zobaczyć Feltona w porze śniadania; lecz Felton nie przyszedł. Czyż jej obawy się sprawdziły?

Miałaby Felton nie dopisać w chwili stanowczej? tylko jeden dzień jej pozostał⁹: lord de Winter oznajmił, że odstawi ją na okręt 23-go, a oto poranek 22-go.

Pomimo to czekała cierpliwie do południa.

Obiad przyniesiono jej o zwykłej godzinie: milady ujrzała wtedy z trwogą niesłychaną, że już inni żołnierze jej pilnują.

Zapytała nieśmiało, co się dzieje z Feltonem.

Zapytała nieśmiało, co się dzieje z Feltonem. Odpowiedziano, że Felton przed godziną wyjechał gdzieś na koniu.

Starła się dowiedzieć, czy baron znajduje się w zamku; żołnierz odpowiedział, że tak i że ma rozkaz uprzedzić go, jeżeli uwięziona pragnęłaby z nim pomówić.

Milady odparła, że czuje się zbyt słaba w tej chwili, a jedynym życzeniem jej jest samotność.

Żołnierz wyszedł, pozostawiając obiad na stole. Feltona oddalono, straż zamieniono, nie ufano więc Feltonowi.

Był to okrutny cios dla uwięzionej.

Zostawszy sama, podniosła się; łożko, na którym leżała przez ostrożność, a także, aby myślano, że jest ciężko ranna, piekło ją, jak trzon gorący. Rzuciła okiem na drzwi: baron kazał przybić deskę w miejscu, gdzie było okienko. Bał się z pewnością, aby przez otwór nie uwiodła straży jaką szatańską sztuką.

Milady uśmiechnęła się; mogła zatem nie hamować uniesień, bo jej nie obserwowano. Biegała po pokoju, jak furjatka lub, jak tygrysica, zamknięta w klatce żelaznej.

Gdyby choć nóż zostawiono, byłaby pomyślała z pewnością nie o zabiciu siebie samej, lecz tym razem o zamordowaniu barona.

O szóstej wieczorem wszedł lord Winter, uzbrojony kompletnie. Człowiek ten, uważany dotąd przez milady za szlachcica dosyć głupkowatego, stał się znakomitym dozorcą więziennym. Jedno spojrzenie na milady odkryło mu stan jej duszy.

⁹Pierwszy wyraz nieczytelny, prawdopodobnie powinno być *Już tylko jeden dzień jej pozostał*. [przypis edytorski]

— Oho!... — powiedział — nie zabijesz mnie dziś jeszcze, moja pani; nie masz już broni, a przytem ja mam się na baczności. Zaczęłaś przewracać w głowie biednemu Feltonowi: poddawał się już wpływowi twoim szatańskim, lecz chcę go ratować, nie ujrzy cię więcej, wszystko skończone. Zbierz swoje manatki, jutro wyjedziesz. Postanowiłem odjazd na 24-go, lecz myślę, że im prędzej, tem pewniej. Jutro w południe będę już miał w rękach wyrok na ciebie, podpisany przez Buckinghama. Jeżeli słówko piśniesz do kogokolwiekbądź, nim wsiądziesz na okręt, sierżant mój głowę ci roztrzaska, taki ma rozkaz; jeżeli zaś na okręcie przemówisz do kogo bez pozwolenia kapitana, tenże kapitan każe cię w morze wrzucić! Do widzenia! Jutro jeszcze zobaczę cię i pożegnaję na wieki!

To powiedziawszy, baron się oddalił.

Milady słuchała tych pogroźek z uśmiechem pogardy na ustach, ale w sercu z wściekłością straszną.

Podano kolację; milady czuła potrzebę pokrzepienia sił, nie wiedziała, co stać się może w nocy, która zapowiadała się groźnie. Straszna też burza wybuchła około dziesiątej wieczorem: milady doznała ulgi, widząc, że stan natury odpowiada temu, co się w jej duszy dzieje. Pioruny huczały w powietrzu, jak wściekłość w jej głowie; zdawało jej się, że fala, przelatując, muska jej czoło, jak drzew wierzchołki, które pochyla i odziera z liści.

Naraz usłyszała stuknięcie w szybę a przy świetle błyskawicy spostrzegła twarz mężczyzny poza kratami.

Poskoczyła do okna i otworzyła.

— Felton!.. — krzyknęła — jestem ocalona!

— Tak — rzekł Felton — lecz cicho na Boga! potrzebuję czasu na przepiłowanie kraty. Uważaj tylko, aby cię nie dostrzeżono przez otwór we drzwiach.

— O!... to dowód, że Bóg jest z nami, Feltonie — odparła milady — zabili dziś otwór deską...

— To dobrze, Bóg im rozum odebrał! — rzekł Felton.

— Cóż mam robić?... — zapytała.

— Nic, nic, zamknij okno. Połóż się spać, lub przynajmniej połóż się do łóżka w ubrani; jak skończę, zastukam w szybę. Lecz czy będziesz w stanie iść z mną?

— O! tak!

— A twoja rana?

— Boli mnie jeszcze, lecz nie przeszkodzi do ucieczki.

— Bądź gotowa na pierwsze wezwanie.

Milady zamknęła okno, zgasła lampę i, według zalecenia Feltona, wsunęła się pod kołdrę. Pośród huku burzy słyszała zgrzyt piły o żelazo.

Tak leżała godzinę, bez tchu prawie, oblana potem, z sercem, zamierającym ze strasznej obawy na każdy najmniejszy ruch, jaki ją dochodził z korytarza. Są w życiu godziny, jak lata długie. Nareszcie Felton zastukał.

Milady wyskoczyła z łóżka i pobiegnęła otworzyć. Dwie kraty wypiłowane dawały możliwe przejście.

— Czy jesteś gotowa?... — zapytał Felton.

— Tak... czy mam zabrać co z sobą?

— Złoto, jeżeli je posiadasz.

— Na szczęście, nie zabrano mi tego, co miałam.

— Tem lepiej, bo ja użyłem swego na wynajęcie barki.

— Weź to — rzekła, podając mu worek luidorów, który Felton wziął i rzucił go na dół pod mur.

— Teraz — rzekł — czy chcesz wyjść?

— Jestem.

Milady stanęła na fotelu i przesunęła się do połowy ciała przez okno: ujrzała młodego oficera, wiszącego nad przepaścią na drabinie sznurowej.

Pierwszy raz w życiu zlekła się, jak prawdziwa kobieta. Przepaść ją przeraziła.

— Spodziewałem się tego — rzekł Felton.

— To nic, to nic!... — odparła milady — zejść z zamkniętymi oczami.

— Czy ufasz mi pani?

— O! jeszcze się pytasz!

— Złóż ręce na krzyż: tak, dobrze.

Związał jej ręce chustką, a z wierzchu potem mocnym sznurem.

— Co robisz?... — zapytała milady zdziwiona.

— Załóż mi ręce na szyję i nie bój się niczego.

— Stracisz równowagę i spadniemy w przepaść oboje.

— Bądź spokojna, jestem marynarzem.

Nie było chwili do stracenia; milady zarzuciła ręce na szyję Feltonowi i dała się wyciągnąć przez okno.

Młody człowiek zaczął schodzić powoli z drabiny. Pomimo ciężaru dwojga ciał, huragan bujał nimi w powietrzu. Naraz Felton stanął.

— Co się stało?... — zapytała milady.

— Cicho — rzekł Felton — słyszę nadchodzących.

— Odkryto nas!

Nastąpiła cisza chwilowa.

— Nie — rzekł Felton — to nic nie znaczy.

— A ten szmer?

— Patrol idzie zwyczajną drogą.

— Którędy przechodzić będzie?

— Pod naszymi nogami.

— Spostrzegą nas.

— Nie, bo już się nie błyska.

— Potrąca o koniec drabiny.

— Na szczęście za krótka jest o sześć stóp.

— Nadchodzą już, mój Boże!

— Cicho!

I oboje pozostali zawieszani, bez ruchu, bojąc się odetchnąć, o dwadzieścia stóp ponad ziemią, gdy żołnierze przechodzili pod nimi, śmiejąc się i rozmawiając głośno.

Patrol przeszedł, słychać było odgłos kroków oddalających się i szmer głosów coraz cichszy.

— O! teraz — odezwał się Felton — jesteśmy ocaleni.

Milady westchnęła i zemdląła.

Felton nie przestawał opuszczać się. Gdy poczuł już koniec drabiny i próżnię pod nogami uczepił się silnie rękami i tak zstąpił na ostatni szczebel, następnie zwił w powietrzu, puścił drabinę i stanął na ziemi. Nachylił się, podniósł woreczek ze złotem i ujął go w zęby.

Potem wziął milady na ręce i oddalił się szybko w przeciwną stronę, niż patrol. Niedługo zmienił kierunek, zeszedł na dół pomiędzy skałami i, przybywszy na brzeg morza, gwizdnął donośnie.

Odpowiedziano mu podobnie: w pięć minut potem ujrzał barkę, wiosłowaną przez czterech ludzi.

Statek zbliżył się do wybrzeża, ale nie mógł dotrzeć do lądu; Felton wszedł po pas w wodę, nie chcąc powierzyć nikomu drogiego ciężaru.

— Dalej, odbijaj — rzekł Felton — i płynąć, jak najspieszniej.

Czterech ludzi rzuciło się do wiosła; lecz morze zanadto było wzburzone, aby mu podołać mogli.

Noc ciemna i burzliwa osłoniła płaszczem uciekających, nie widać było lądu, a tem bardziej niepodobna było dojrzeć barki z wybrzeża.

Podczas, gdy łódź oddalała się, popychana siłą wiosła, Felton odwiązywał sznur, a potem chustkę, krępujące rączki milady. Następnie, gdy ręce już były wolne, zaczerpnął wody morskiej i zlał jej twarz całą.

Milady westchnęła i otworzyła oczy.

— Gdzie jestem?... — wyrzekła.

— Ocalona — odparł młodzieniec.

— Ocalona! ocalona!... — zawołała. — Tak, jak widzę, niebo, widzę morze! Powietrze, którem oddycham!... wszystko mówi mi o wolności. A! dzięki... dzięki ci, Feltonie!

Młodzieniec przycisnął ją do serca.

— Co to się stało z mojami rękami?... — zapytała milady — mam takie uczucie, jak gdyby były zgruchotane?

— Niestety!... — rzekł Felton, patrząc na te śliczne rączki i, kiwając głową z rozrzewnieniem.

— O! to nic nie znaczy!... — zawołała milady — przypominam sobie teraz wszystko! Potem zaczęła szukać dokoła siebie.

— On jest tam — rzekł Felton, trącając nogą worek ze złotem.

Zbliżano się do statku, stojącego na pełnym morzu. Majtek na straży odezwał się: odpowiedziano mu z barki.

— Co to za statek?... — zapytała milady.

— Ten, który nająłem dla ciebie.

— Dokąd mnie on zawiezie?

— Dokąd zechcesz, bylebyś mnie wysadzić kazała na ląd w Portsmouth.

— Co masz do czynienia w Portsmouth?... — zapytała.

— Muszę wykonać polecenie lorda de Winter — odrzekł z uśmiechem zagadkowym.

— Jakie polecenie?

— Czyż nie rozumiesz?

— Nie; wytłumacz mi, proszę...

— Nie ufał mi, więc zapragnął sam cię pilnować, a mnie wysłał do Buckingham, żeby podpisał twój wyrok na deportację.

— Jeżeli ci nie ufał, jak mógł ci powierzyć ten wyrok?

— Myślał, że nie wiem, co wiozę.

— To prawda. Jedziesz więc do Portsmouth?

— Muszę się śpieszyć: jutro 23-ci i Buckingham odpływa z flotą.

— Jutro już?... a dokąd się udaje?

— Do Roszelli.

— Nie powinien odpłynąć!... — zawołała milady, zapominając zwykłej roztropności.

— Bądź spokojna — odparł Felton — nie odpłynie...

Milady zadrżała z radości; czytała w głębi serca młodego człowieka: śmierć Buckingham wypisana tam była wyraźnie.

— Feltonie... — rzekła — jesteś wielki, jak Juda Machabeusz! Jeśli umrzesz, ja umrę z tobą razem: to wszystko, co powiedzieć ci mogę.

— Cicho!... — rzekł Felton — już przybyliśmy.

Przybijano do statku. Felton wstąpił pierwszy na drabinę i podał rękę milady, a majtkowie ją podtrzymywali, ponieważ morze było jeszcze bardzo wzburzone.

— Kapitanie — przemówił Felton — oto osoba, o której ci mówiłem, odprowadzisz ją z całą troskliwością do Francji.

— Za cenę tysiąca pistołów — odrzekł kapitan

— Wylczyłem ci już pięćset.

— Prawda — rzekł kapitan.

— Oto jest drugie pięćset — odezwała się milady, biorąc worek ze złotem.

— Nie — rzekł kapitan — teraz nie wezmę; dałem słowo temu młodemu panu: drugie pięćset pistołów należą mi się dopiero po przybyciu do Boulogne.

— A przybędziemy tam?

— Cali i zdrowi — rzekł kapitan — zaręczam honorem Jakóba Buttlera.

— Dobrze więc!... — rzekła milady — jeżeli dotrzymasz słowa, to nie pięćset a tysiąc pistołów dostaniesz ode mnie.

— Niech żyje piękna pani!... — zawołał kapitan — i niech Bóg raczy zsyłać często tak zacne osoby, abym mógł im służyć!

— A tymczasem — rzekł Felton — płyn z nami do małej zatoki... o której ci już mówiłem.

Kapitan w odpowiedzi wydał rozkazy stosowne, a około siódmej zrana, mały statek zarzucał kotwicę w oznaczonej zatoce.

Ze swej strony milady utwierdziła Feltona w powziętym zamiarze; spostrzegła jednak niebawem, że młody fanatyk potrzebował raczej, aby miarkowano jego zapal.

Ułożono, że milady oczekiwać będzie Feltona do dziesiątej; jeżeli o tej godzinie nie będzie z powrotem, wyruszy sama.

Wtedy, przypuszczając, że będzie wolny, podąży do Francji i połączy się tam z nią w klasztorze Karmelitek w Bethune.

Felton pożegnał milady, jak brat siostrę, gdy idzie na niewinną przechadzkę, to jest, całując ją w rękę.

Wydawał się spokojny, jak zwykle, oczy mu tylko błyszcząły gorączkowo; czoło miało bledsze, zęby zacisnięte, a głos ostry i urywany zdradzał burzę wewnętrzną.

Stojąc na czólnie, odwożącym go do brzegu, patrzył ciągle na milady, ona też z pokładu ścigała go wzrokiem. Oboje pewni byli, że unikną pogoni: zwykle o dziewiątej dopiero przychodzono do pokoju milady, a zamek odalony był od Londynu o trzy godziny drogi.

Felton wysiadł na brzeg, wszedł na pagórek, pożegnał milady po raz ostatni i zwrócił się w stronę miasta.

Zaczął bieć w stronę Portsmouth, ukazującego przed nim szczyty wieżyc i domów we mgle porannej.

Felton, idąc szybko, przywodził na pamięć wszystko, co przez dwa lata rozmyślał i długi pobyt pomiędzy purytanami słyszał z zarzutów prawdziwych lub zmyślonych przeciw ulubieńcowi Jakóba VI-go i Karola I-go.

Porównywał zbrodnie publiczne ministra wszechwładnego, zbrodnie świetne, europejskie, jeżeli można się tak wyrazić, ze zbrodniami prywatnymi i nieznanymi, o jakich milady mu opowiadała, i doszedł do wniosku, że z dwóch ludzi, z jakich składał się Buckingham, gorszym był ten, który działał w ukryciu. Uczucie nieznanne, nowe, a gorące przedstawiało mu oskarżenia, podle i wymyślone przez lady de Winter, tak, jak widzimy przez szkło powiększające atomy niedostrzeżone, powiększone do rozmiarów przerażających.

Szybkość biegu krew mu rozpałała; myślał, iż pozostawia za sobą wystawioną na zemstę okrutną kobietę, którą kochał, a raczej czcił, jak świętą; wzruszenia przebyte, zmęczenie obecne, wszystko podniecało umysł ponad zwykle uczucia ludzkie.

Stanął w Portsmouth około ósmej rano; cała ludność była w ruchu; bębniiono w porcie i na ulicach; oddziały wojska, przeznaczone na okręty, schodziły ku morzu.

Felton przyszedł do pałacu Admiralicji, zlany potem i kurzem okryty; twarz, zwykle blada, czerwieniła się od gorąca i gniewu. Straż pałacu zabroniła mu wstępu; Felton zawołał na dowodzącego i, wyjmując z kieszeni papier opieczętowany, powiedział:

— Zlecenie pilne od lorda de Winter.

Wiedziano, że lord de Winter posiadał zaufanie Jego Wysokości, dowodzący zatem strażą wydał rozkaz przepuszczenia Feltona, co tem łatwiej poszło, że młody człowiek miał na sobie mundur marynarki wojskowej.

W tej samej chwili, gdy nareszcie dostał się do przedsionka, wchodził tam człowiek okryty kurzawą, zmęczony, bez tchu prawie, który przed bramą pałacową zsiadł z konia, upadającego także z wycieńczenia.

Felton jednocześnie z nowoprzybyłym zwrócił się do Patrycego, ulubionego pokojowca księcia.

Felton wymienił lorda de Winter, a nieznajomy nie chciał powiedzieć, kto go przysyła i utrzymywał, że księciu jedynie może to oznajmić.

Każdy z nich żądał, aby wpięrow go wpuszczono.

Patrycy wiedział, że lord de Winter miał interesy służbowe i stosunki przyjaźni z księciem, dał zatem pierwszeństwo przybyłemu w jego imieniu. Drugi czekać musiał, a widoczne było, jak przeklinał w duszy opóźnienie.

Pokojowiec prowadził Feltona przez wielką salę, gdzie oczekiwali deputowani z Roszelli, z księciem Soubisse na czele, i wpuścił go do gabinetu, w którym Buckingham, wyszedłszy z kąpieli, kończył się ubierać, z wielką starannością i elegancją, jak zawsze.

— Porucznik Felton — rzekł Patrycy — przysłany przez lorda de Winter.

— Od lorda de Winter! — powtórzył Buckingham — niech wejdzie.

Felton wszedł. Buckingham właśnie zrzucił na kanapę szlafrok, lamowany złotem, aby przywdziać spencer z aksamitu niebieskiego, cały perłami wyhaftowany.

— Dlaczego lord sam nie przybył? — zapytał Buckingham — oczekiwałem go dziś rano.

— Poleciał oznajmić Waszej Wysokości — odparł Felton — iż przykro mu to bardzo, lecz zmuszony jest osobiście strzec swego zamku.

— Tak, tak — rzekł Buckingham — wiem o tem, ma tam jakąś uwięzioną.
— O tej uwięzionej właśnie chciałem mówić Waszej wysokości.
— Mów zatem!
— To, z czem przyszedłem, mogę tylko wam, milordzie, powiedzieć.
— Zostaw nas, Patryku — rzekł Buckingham — lecz nie oddalaj się, przywołam cię za chwilę.

Patrycy wyszedł.

— Sami jesteśmy — odezwał się Buckingham — zaczynaj pan.
— Milordzie — rzekł Felton — baron de Winter pisał do Waszej miłości z prośbą, abyś podpisał wyrok deportacji na młodą kobietę, Karolinę Backson.

— Tak, panie, a ja odpowiedziałem, ażeby przyniósł mi go, lub przysłał takowy, to go podpiszę.

— Oto jest, milordzie.

— Daj mi go pan, proszę.

Biorąc pismo z rąk Feltona, rzucił okiem na papier. Przekonawszy się, że to ten właśnie, jakiego się spodziewał, położył na stole, wziął pióro i zamierzał podpisać.

— Wybacz, milordzie — rzekł Felton, wstrzymując księcia — czy Wasza miłość wie, że nazwisko Karoliny Backson nie jest prawdziwym nazwiskiem tej kobiety?

— Tak, panie, wiem o tem — odparł książę, maczając pióro w kałamarzu.

— Zatem Wasza wysokość zna prawdziwe jej nazwisko? — zapytał Felton głosem ostrym.

— Znam je...

Książę zbliżył pióro do papieru.

Felton zbladł okrutnie.

— I znając jej prawdziwe nazwisko, książę jednak podpisze?...

— Z pewnością — rzekł Buckingham — podpisałbym dwa razy nawet.

— Nie mogę w to uwierzyć, — ciągnął Felton, głosem coraz więcej ostrym i urywanym — aby Wasza wysokość wiedział, że chodzi tu o lady de Winter...

— Wiem doskonale, choć dziwi mnie niezmiernie, że i pan wiesz o tem?

— I książę miłościwy podpisze bez wyrzutu sumienia?..

Buckingham spojrział z dumą na młodzieńca.

— Czy wiesz, mój panie — rzekł do niego — że dziwne zadajesz pytania i że jestem bardzo naiwny, skoro ci odpowiadam?...

— Odpowiadaj, mości książę — mówił Felton — położenie ważniejsze jest, niż przypuścić możesz.

Buckingham pomyślał, że młody człowiek, przysłany przez lorda de Winter, odzywał się w jego imieniu w ten sposób, więc złagodniał nieco.

— Bez najmniejszego wyrzutu — mówił — lord wie tak, jak i ja, że milady de Winter jest bardzo występna i że przez skazanie na deportację czyni się jej prawie łaskę.

Książę dotknął piórem papieru.

— Nie podpiszesz tego wyroku, milordzie — rzekł Felton, przysuwając się do księcia.

— Ja, nie podpiszę?... — rzekł Buckingham — a to dlaczego?...

— Bo zastanowisz się, milordzie, i oddasz sprawiedliwość milady.

— Najlepsze dla niej uznanie to zesłanie do Tyburn — mówił Buckingham — milady jest zbrodniarką.

— Mości książę, milady jest aniołem, wiesz dobrze o tem, i ja żądam jej uwolnienia.

— Oho! — przerwał Buckingham — czyś oszalał, że śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób?

— Milordzie, wybacz!... mówię, jak mogę; i staram się panować nad sobą. Jednak, milordzie, pomyśl dobrze nad tem, co uczynić zamierzasz i strzeż się, abyś miary nie przebrał.

— Czyż mnie słuch nie myli?... Boże miłosierdzia!... zdaje się, że on mi śmie grozić?

— Nie, milordzie, proszę jeszcze i powiadam ci: kropla jedna wody jest dostateczną, aby czarę przepęlić; mały błąd napozór, może ściągnąć karę na głowę, dotąd oszczędzaną, pomimo zbrodni bez liku.

— Panie Felton! — rzekł Buckingham — wyjdiesz stąd i udasz się do aresztu wojskowego w tej chwili.

— Wysłuchasz mnie do końca, milordzie. Uwiodłeś młodą dziewczynę, znieważyłś ją, splamileś; napraw swą winę, wypuść ją na wolność, nic więcej nie będę wymagał.

— Nie będziesz wymagał?... — rzekł Buckingham, patrząc na Feltona z podziwieniem i wymawiając dobitnie te słowa.

— Milordzie — ciągnął Felton, egzaltując się własnymi słowy — milordzie, strzeż się, cała Anglja znuzona już twojemi występkami; milordzie, nadużyłeś władzy królewskiej, którą posiadłeś bezprawnie, wstrętny jesteś ludziom i Bogu; Stwórca ukarze cię później, lecz ja uczynię to dziś jeszcze.

— O! tego już za wiele!... — krzyknął Buckingham i posunął się ku drzwiom.

Felton zagroził mu drogę.

— Proszę pokornie — powiedział — podpisz pan rozkaz uwolnienia lady de Winter; pomyśl, że to kobieta, którą czci pozbawiłeś.

— Odsuń się, mój panie — rzekł Buckingham — albo zawołam ludzi i każę cię zakuć w kajdany.

— Nie zawołasz — przerwał Felton, zasłaniając sobą dzwonek umieszczony na gerydonie, srebrem inkrustowanym — strzeż się, milordzie, albowiem znajdziesz się w ręku Boga — mściciela!

— W ręku szatana, chciałeś powiedzieć — zawołał Buckingham, podnosząc głos, aby zwrócić uwagę służby, lecz wprost jej nie przyzywając.

— Podpisz, milordzie, podpisz uwolnienie lady de Winter — rzekł Felton, podsuwając papier księciu.

— Przemocą?... żartujesz chyba!... hola, Patrycy...

— Podpisz, milordzie!...

— Nigdy!

— Nigdy?

— Do mnie!... — krzyknął książę i jednocześnie porwał za szpadę.

Felton nie dał mu czasu na wyjęcie jej z pochwy; trzymał na piersiach otwarty nóż, którym milady się zraniła, i jednym skokiem był już przy księciu.

W tej chwili właśnie Patrycy wszedł do sali, wołając:

— Milordzie! list z Francji!...

— Z Francji!... — krzyknął Buckingham, zapomniawszy o wszystkim, na myśl, od kogo list ten może pochodzić.

Felton skorzystał z tego i zagłębił mu nóż w boku, po samą rękkojeść.

— A! zdrajco!... — jęknął Buckingham — zabiłeś mnie...

— Na pomoc!... — wrzasnął Patrycy.

Felton powiódł wzrokiem dokoła, szukając, którędyby uciec, a widząc drzwi wolne, wpadł do pokoju sąsiedniego, w którym oczekiwali, jak to już mówiliśmy, deputowani z Roszelli, przebiegł go pędem i rzucił się na schody.

Na pierwszym stopniu napotkał lorda de Winter, a ten, widząc go bladego, pomieszanego, ze śladami krwi na ręku i twarzy, schwytał go za kark, wołając:

— Wiedziałem, ale odgadłem zapóźno o jedną minutę!... O! ja nieszczęśliwy...

Felton nie opierał się; lord de Winter oddał go w ręce straży, która, czekając dalszych rozkazów, wyprowadziła mordercę na taras zamkowy z widokiem na morze, lord zaś pobiegł do gabinetu Buckinghamama.

Na krzyk księcia, na wołanie Patrycego, człowiek, którego Felton spotkał w przedpokoju, wpadł także do gabinetu.

Zastał księcia, rozciągniętego na sofie, przyciskającego ranę ręką stygnącą.

— Laporte — mówił książę głosem gasnącym — Laporte, czy ty od niej przybywasz?

— Tak, mości książę — odrzekł wierny sługa Anny Austriackiej — lecz może zapóźno.

Cicho... Laporte!... mogą cię usłyszeć; Patrycy, nie wpuszczaj tu nikogo: o! niech dowiem się, co ona pisze! Boże! Boże mój! umieram!...

Książę zemdlął.

Pomimo to, lord de Winter, deputowani, szef poselstwa, oficerowie pałacowi Buckinghamama wdarli się do gabinetu; dokoła rozległy się krzyki rozpaczcy.

Wieść bolesna, napelniając pałac jękami i żalem, przedostała się niezadługo i na miasto.

Wystrzał armatni oznajmił, że zaszło coś nowego i niespodziewanego.

Lord Winter włosy darł z głowy.

— Spóźniłem się o minutę — jęczał — o jedną minutę! o Boże! mój Boże! co za nieszczęście!

Okolo siódmej zrana powiedziano mu, iż drabina jest uwiązana u jednego z okien zamkowych; pobiegł natychmiast do pokoju milady, zastał go pustym, ujrzał okno otwarte, kraty przepiłowane. Przypomniał sobie ustne polecenie, jakie przesłał mu d'Artagnan przez wysłańca swojego, zadrżał na myśl o księciu, pobiegł do stajni i, nie czekając aż mu konia osiodlają, wskoczył na pierwszego lepszego, popędził cwałem, zeskoczył z konia w podwórzcu pałacowem, wpadł na schody i na pierwszym stopniu, jak to już mówiliśmy, napotkał Feltona.

Księżę jednak nie umarł jeszcze: omdlenie przeszło, otworzył oczy, a nadzieja wstąpiła w serca otaczających.

— Panowie!... — odezwał się — zostawcie mnie z Patrycym i Laportem. A! to ty, de Winter?... przysłałeś mi dziś rano oryginalnego szaleńca, patrz, co ze mną zrobił!

— O milordzie!... — zawołał baron — nie pocieszę się nigdy...

— Źle zrobisz, kochany mój de Winter — mówił Buckingham, podając mu rękę — nie znam człowieka, któryby godnym był, aby go drugi żałował przez całe życie!... lecz zostaw nas, proszę cię.

Baron wyszedł, zanosząc się od płaczu.

W gabinecie pozostał tylko śmiertelnie ranny księżę, Laporte i Patrycy.

Poszukiwano wszędzie doktora, nie mogąc go znaleźć.

— Będziesz żył, milordzie, będziesz żył — powtarzał, klęcząc obok sofy, wierny sługa Anny Austrjackiej.

— Co ona pisze do mnie?... — rzekł słabym głosem Buckingham, cały krwią zlany, pokonywając straszne bóle, aby mówić o ukochanej — co ona pisze? Czytaj mi jej list.

— O! milordzie!... — zakał Laporte.

— Bądź posłuszny, Laporte!... czy nie widzisz, że nie mam czasu do stracenia?...

Laporte złamał pieczęć i umieścił pergamin przed oczami księcia; lecz Buckingham napróżno wzrok wysilał.

— Czytaj-że — wymówił — czytaj prędzej... ja niewidzę już... czytaj!... niezadługo może... nie usłyszę nic i umrę, nie dowiedziawszy się, co ona pisze.

Laporte nie wzdragał się dłużej i czytał:

„Milordzie!

Ponieważ od czasu, jak cię poznałam, cierpiałam dla ciebie i przez ciebie, zaklinam cię, jeżeli dbasz o mój spokój, zaprzestań strasznych uzbrojeń przeciw Francji i daj pokój wojnie, o której mówią głośno, że powodem jawnym do niej jest religia, a po cichu, że miłość twoja dla mnie jest powodem ukrytym. Wojna ta może być nie tylko przyczyną wielkich katastrof dla Francji i Anglii, lecz i dla ciebie, milordzie, może stać się nieszczęściem, po jakim byłabym niepokieszona.

Strzeż twego życia, któremu grozi niebezpieczeństwo, a które droższe mi się jeszcze stanie od chwili, gdy nie będę zmuszona widzieć w tobie wroga mej ojczyzny.

Kochająca cię

Anna”.

Buckingham zatrzymał siłą woli życie uciekające, dla wysłuchania listu; po skończeniu go doznał gorzkiego rozczarowania:

— I nie masz nic innego do powiedzenia mi od niej?... — zapytał.

— O tak, mości księżę: królowa kazała mi powiedzieć, żebyś czuwał nad sobą, albowiem zawiadomiona została, że chcą cię zamordować.

— I to już wszystko, wszystko?... — przerwał Buckingham niecierpliwie.

— Kazała także powiedzieć, że kocha księcia zawsze jednakowo.

— A!... — rzekł Buckingham — chwala Bogu, śmierć moja zatem nie będzie dla niej śmiercią obcego...

Laporte płakał rzewnie.
— Patrycy — wymówił książę — przynieś szkatułkę, w której były zapinki brylantowe.
Patrycy przyniósł przedmiot żądany; Laporte poznał, że należał on kiedyś do królowej.
— Podaj także torebkę atlasową białą, gdzie jej cyfry wyhaftowane są perłami.
A gdy i to podano, powiedział:
— Weź to, Laporte, oto jedyne pamiątki, jakim miałod niej, ta szkatulka srebrna i te dwie litery. Zwrócisz to Jej Królewskiej Mości, a jako ostatnie wspomnienie... (począł szukać dokoła czegoś drogiego)... oddasz jej...
Szukał ciągle, lecz wzrok, przyćmiony mgłą śmierci, dojrzał jedynie nóż, wypadły z rąk Feltona, ociekły krwią purpurową na ostrzu...
— Oddasz jej ten nóż — rzekł książę, ściskając Laporta za rękę.
Włożył jeszcze torebkę do szkatułki srebrnej, dołączył nóż i dał znak Laportowi, że nie może już mówić.
Porwały go ostatnie konwulsje, nad którymi zapanować już nie był w stanie i zsunął się z sofy na posadzkę.
Patrycy zaczął krzyczeć...
Buckingham chciał uśmiechnąć się raz ostatni, lecz śmierć zatrzymała myśl jego i wyryła na czole wyraz szczęścia, jak przy pierwszym pocałunku miłosnym.
W tej chwili wszedł przerażony nadworny doktor księcia: znajdował się już na pokładzie okrętu admirałskiego i musiano go aż stamtąd sprowadzić.
Stanął nad księciem, ujął go za rękę, potrzymał chwilę i puścił.
— Nic nie pomogę — powiedział — on już nie żyje...
— Nie żyje, nie żyje!... — wołał Patrycy.
Na ten okrzyk tłum powrócił do sali, a stąd się rozproszył, siejąc dokoła popłoch i trwogę.
Skoro tylko lord de Winter przekonał się, że Buckingham nie żyje, pobiegł natychmiast do Feltona, będącego pod strażą na tarasie pałacowym.
— Nędzniku — rzekł do młodego człowieka, który od chwili zadania śmierci księciu, odzyskał spokój i zimną krew, jakie mu pozostały już do śmierci — nędzniku! coś uczynił?
— Zemściłem się — odpowiedział.
— Ty!... — zawołał baron — powiedz raczej, żeś był narzędziem tej przeklętej kobiety; lecz ja teraz ci przysięgam, że to jej ostatnia zbrodnia.
— Nie rozumiem, co pan mówisz — odrzekł Felton spokojnie — nie wiem, o kim mówisz, milordzie, zabiłem Buckingham, ponieważ odmówił podwakoć panu, podpisania nominacji mojej na kapitana: ukarałem go za niesprawiedliwość i na tem koniec.
De Winter osłupiały patrzył na ludzi, krępujących Feltona, sam, nie wiedząc, co sądzić o podobnej zatwardziałości.
Była jednak pewna rzecz, rzucająca cień na pogodne czoło Feltona.
Oto w szmerze każdym, jaki go dochodził, naiwny purytanin rozpoznawał kroki miłady, biegnącej, by rzucić się w jego objęcia, oskarżyć się i zginąć z nim razem.
Naraz zatrząsł się cały i utkwiał wzrok w punkt czarny na morzu, ponad którym taras się wznosił. Orlim wzrokiem marynarza rozpoznał tam, gdzie innyby widział tylko mewę bujającą ponad tonią, rozpoznał żagle małego statku, kierującego się do brzegów Francji.
Zbladł, uchwycił się za serce, pękające z bólu, i zrozumiał nareszcie podłą zdradę.
— Milordzie, błagam o ostatnią łaskę!... — rzekł do barona.
— Czego żądasz?... — zapytał tenże.
— Która godzina?
Baron wyjął zegarek.
— Dziewiąta, za dziesięć minut — powiedział.
Miłady przyspieszyła odjazd o półtorej godziny; skoro tylko usłyszała strzał armatni, zwiastujący nieszczęsny wypadek, wydała rozkaz podniesienia kotwicy.
Statek żeglował w niebieskim przestworzu, oddalając się szybko od brzegu.
— Bóg chciał tego — rzekł z poddaniem się fanatyk, nie mogąc jednak oderwać oczu od statku, na którego pokładzie widział pewnie biały cień tej, dla której życie poświęcił.
De Winter patrzył w kierunku wzroku jego, widział rozpacz na twarzy młodzieńca i odgadł wszystko.

— Ty sam teraz poniesiesz karę, nędzniku — rzekł lord de Winter do Feltona, którego wprowadzano, a on ciągle jeszcze patrzył się na morze — lecz klnę się na pamięć brata, tak mi drogiego, że współniczka twoja, nie ujdzie mej zemsty. Felton spuścił głowę i milczał. De Winter zaś zbiegł gwałtownie ze schodów i udał się do portu.

ROZDZIAŁ XXXIII. WE FRANCJI

Król angielski, Jakób I-szy, dowiedziawszy się o śmierci Buckinghama, zląkł się, aby straszna wieść nie zniechęciła oblężonych w Roszelli. Starał się, jak mówi Richelieu w swoich pamiętnikach, ukryć ją przed nimi, jak tylko da się, najdłużej, i w tym celu rozkazał pozamykać wszystkie porty w państwie, bacząc starannie, aby żaden okręt nie wydostał się na morze, dopóki armja zgromadzona przez Buckinghama nie wyruszy. Podjął się, w braku zmarłego wodza, sam osobiście dopilnować odjazdu.

Posunął ostrożność do tego stopnia, iż zatrzymał w Anglii posłów duńskich, którzy już mieli pozwolenie na powrót do kraju i posła holenderskiego, który miał odprowadzić do portu Flissingen okręty z Indyj, jakie Karol I-szy rozkazał zwrócić.

Rozkaz wydany został w pięć godzin po wypadku, to jest o drugiej po południu, gdy już dwa statki wypłynęły z portu.

Jeden z nich, jak wiadomo, uwoził milady, która nie wątpiła o tem, co się stało, a w czem utwierdził ją jeszcze widok czarnej chorągwi, zawieszanej na szczycie maszty okrętu admirałskiego.

Co się tyczy drugiego statku, powiemy później, kto nim wypłynął i w jaki sposób z portu się wydostał.

W obozie pod Roszellą nic nie zaszło nowego; król tylko, jak zawsze zresztą, nudził się śmiertelnie, a może nawet więcej jeszcze w obozie, niż gdziekolwiekindziej. Postanowił zatem udać się incognito do Saint — Germain i tam spędzić dzień Świętego Ludwika. Wezwał kardynała, by mu zorganizował eskortę z dwudziestu muszkietarów jedynie. Kardynał, któremu nuda królewska udzielała się także niekiedy, dał z wielką radością urlop swemu dostojnemu adjutantowi, a ten przyobiecał wrócić do obozu około 15-go września. Pan de Tréville, zawiadomiony przez Eminencję, spakował manatki, a choć nie znał przyczyny, wiedział, że jego przyjaciele mają gorącą chęć, a nawet potrzebę nieodzowną powrócić do Paryża; ich też wyznaczył do eskorty królewskiej.

W kwadrans po panu de Tréville czterej młodzieńcy wiedzieli już o postanowieniu; ich pierwszych zawiadomił dowódca. Wtedy d'Artagnan ocenił w pełni łaskę kardynała, iż go nakoniec przeniósł do muszkietarów; gdyby nie ta okoliczność, byłby zmuszony pozostać w obozie, a jego towarzysze wyjechałoby sami.

Domyślają się czytelnicy, że gwałtowna chęć powrotu do Paryża miała źródło w obawie o panią Bonacieux, której groziło spotkanie z milady w klasztorze de Bethune, z milady, jej śmiertelną nieprzyjaciółką. To też, jak mówiliśmy, Aramis napisał bezzwłocznie do Marji Michon, owej właścicielki składu bielizny w Tours, mającej także wysokie stosunki, aby wyjednała u królowej upoważnienie dla pani Bonacieux, do opuszczenia klasztoru i udania się do Lotaryngji lub Belgji. Nie czekano długo na odpowiedź; w dziesięć dni już odebrał Aramis list tej treści:

„Kochany kuzynku!

Posyłam ci upoważnienie mojej siostry, za którem odbierzesz z klasztoru w Bethune naszą poczciwą dziewczynkę, bo, jak mówisz, powietrze klasztorne jej nie służy. Siostra moja z wielką przyjemnością udziela ci tego pozwolenia, ponieważ kocha serdecznie tę dziewczynę i przyrzekła jej nadal swoją opiekę. Całuję cię
Marya Michon”.

Do listu dołączono upoważnienie w tych słowach:

„Przełożona klasztoru de Bethune wyda w ręce oddawcy niniejszego biletu nowicjuszkę, która wstąpiła do klasztoru na moje polecenie i pod moją opieką.

W Luwrze 10 sierpnia 1628 roku.

Anna”.

Można sobie wyobrazić, jak stosunki pokrewieństwa Aramis z szwaczką, nazywaną królową siostrą, pobudzały wesołość i dowcip młodych ludzi; lecz Aramis, zaczerwieniwszy się kilkakrotnie na grube żarty Porthosa, prosił przyjaciół, aby dali pokój, oświadczając, że w przeciwnym razie nie użyje nigdy kuzynki swojej za pośredniczkę w tego rodzaju interesach.

Nie było odtąd wzmianki o Maryi Michon pomiędzy muszkietierami, którzy wreszcie posiadali już to, o co im najwięcej chodziło, mianowicie rozkaz wypuszczenia pani Bonacieux z klasztoru Karmelitek w Bethune.

Wprawdzie rozkaz nie miał żadnej wartości, dopóki siedzieli w obozie pod Roszellą, to jest na drugim końcu Francji. D'Artagnan zamierzał właśnie prosić pana de Tréville o urlop i powiedzieć mu otwarcie, jak gwałtownie pragnie wyjechać, gdy dostał zawiadomienie, jak i trzech jego towarzysze, że król wyjeżdża do Paryża z eskortą, złożoną z dwudziestu muszkietierów i że oni do tej liczby należą.

Pomimo pośpiechu i chęci przybycia do Paryża na 23-go król, szukający rozrywki w nudach, zatrzymywał się od czasu do czasu dla śledzenia lotu srok; nabrał on kiedyś gustu do tego sportu w towarzystwie de Luynesa i zachował go przez całe życie. Gdy król się zatrzymywał, na dwudziestu muszkietierów szesnastu cieszyło się z odpoczynku i zabawy, czterech zaś przeklinało w duszy opóźnienie.

D'Artagnan zwłaszcza z niecierpliwości dostał ciągłego dzwonięcia w uszach, co Porthos tłumaczył w ten sposób:

— Pewna bardzo wielka dama powiedziała mi, iż to znaczy, że mówią o tobie.

Nareszcie orszak minął Paryż 23-go w nocy; król podziękował panu de Tréville i pozwolił rozdać urlopy na cztery dni, z warunkiem, że żaden z wybranych nie ukaże się w miejscu publicznym, pod karą zamknięcia w Bastylji.

Cztery pierwsze urlopy, jak można się domyśleć, dostały się czterem naszym przyjaciołom. A nadto Athos otrzymał od pana de Tréville sześć dni zamiast czterech.

— O, mój Boże!... — mówił d'Artagnan, nie wątpiący nigdy o niczem — zdaje mi się, że za wiele zadajemy sobie ambarasu dla rzeczy tak prostej; przez dwa dni, zajeżdższy dwa lub trzy konie (mniejsza o liczbę, mam przecie pieniądze), jestem w Bethune, oddaję przełożonej list królowej, zabieram swój skarb najdroższy i ukrywam nie w Lotaryngji ani w Belgji, lecz w Paryżu, gdzie będzie najbezpieczniej, dopóki mianowicie pan kardynał jest pod Roszellą. Następnie po skończonej kampanji, trochę przez protekcję kuzynki, trochę w nagrodę naszych zasług osobistych, otrzymamy od królowej, czego tylko będziemy pragnęli. Zostańcie tutaj i nie trudźcie się napróżno; ja z Planchetem, aż nadto wystarczymy na taką wyprawę łatwą.

Na to Athos odparł spokojnie:

— My także mamy pieniądze; bo nie przepiłem jeszcze zupełnie resztek z djamentu, a Porthos i Aramis nie zdążyli przejeść. Potrafimy także zamordować po jakie cztery konie. Pamiętaj jednak d'Artagnan — dodał głosem ponurym, na dźwięk którego młodzieniec zadrżał — pamiętaj, że Bethune jest miastem, gdzie kardynał rozkazał zatrzymać się tej kobiecie, a gdzie ona jest, nieszczęście sprowadza nieodzownie. Gdybyś miał sprawę z czterema mężczyznami, puściłbym cię samego; ale masz do czynienia z tą kobietą, jedźmy zatem we czterech, dałby Bóg, abyśmy nawet z pomocą służących naszych byli w dostatecznej liczbie!

— Przerażasz mnie, Athosie — zawołał d'Artagnan — czegoż się obawiasz, na Boga?

— Wszystkiego!... — odparł Athos.

Wieczorem 25-go wjeżdżali do Arras. Gdy d'Artagnan miał właśnie zsiąść z konia przed oberżą pod Złotą Broną, aby wypić szklankę wina, jeździec jakiś wyjeżdżał z dziedzińca stacji pocztowej, gdzie konia zmieniał i skręcił w wielkim pędzie na drogę, wiodącą do Paryża. W chwili, gdy wyjeżdżał z bramy na ulicę, wiatr uniósł płaszcz, jakim był okryty pomimo ciepła sierpniowego i zerwał mu kapelusz z głowy, który podróżny złapał w powietrzu i nacisnął gwałtownie na oczy. D'Artagnan patrzył na tego człowieka; naraz zbladł i wypuścił szklankę.

— Co panu jest?... — rzekł Planchet. — Panowie, chodźcie prędzej, pan mój zachorował!

Wszyscy trzech przyjaciele przybiegli i zastali d'Artagnana, który, zamiast chorować, leciał już do konia.

— Co to jest? dokąd, u diabła, tak lecisz?... — krzyknął Athos.
 — To on!... — wołał d'Artagnan, blade z wściekłości zły na czoło — to on! puszczajcie mnie, muszę go dopędzić!
 — Co za on?... — zapytał Athos.
 — On, ten człowiek!...
 — Jaki człowiek?
 — Ten przeklęty, ten mój zły duch, którego zawsze spotykam, gdy mi nieszczęście grozi; on towarzyszył tej okrutnej kobiecie, gdy ją pierwszy spotkałem, jego to szukałem, gdy wyzwalałem naszego przyjaciela, Athosa; jego widziałem tego samego dnia rano, gdy panią Bonacieux uwieźli! I teraz go widziałem, to on był, we własnej osobie! Poznałem go, gdy wiatr mu płaszcz uniósł!
 — Tam do diabła!... — rzekł Athos zamyślony.
 — Na koń, panowie, na koń! pędźmy za nim, a złapiemy go z pewnością.
 — Mój drogi — odezwał się Aramis — pomyśl, że pojechał w przeciwną stronę, nie tam, dokąd my się udajemy; że ma konia świeżego, a nasze pomęczone i, co za tem idzie, zabijemy swoje, a jego nie dogonimy. Porzućmy go, d'Artagnanie, a śpieszmy ratować kobietę.
 — Panie! panie!... — wołał chłopiec stajenny, biegnąc za nieznanym — hola! panie! papier jakiś wyleciał z pańskiego kapelusza!
 — Przyjacielu — rzekł d'Artagnan — pół pistola za ten papier!
 — Na uczciwość! proszę pana, oddam z przyjemnością!
 Chłopak, uszczęśliwiony z dobrego interesu, powrócił na podwórze oberży; d'Artagnan rozłożył papier.
 — No, cóż tam jest?... — pytali towarzysze, stając koło niego.
 — Tylko jedno słowo!... — odparł d'Artagnan.
 — Tak — rzekł Aramis — jest to nazwa wsi lub miasta.
 — *Armentières* — przeczytał Porthos. *Armentières*, nie znam wcale!
 — Nazwa ta jest napisana jej ręką!
 — No, no, schowajmy starannie ten świstek — rzekł d'Artagnan — może nienaprawdę wydałem ostatniego pistola. A teraz dosiądźmy koni, przyjaciele, i ruszajmy w drogę. Czterej towarzysze ruszyli galopem drogą do Bethune.

ROZDZIAŁ XXXIV. KLASZTOR KARMELITEK W BETHUNE

Wielcy zbrodniarze posiadają talizman jakiś, czy też fatalizm, pomagający im zwalczać przeszkody, omijać niebezpieczeństwa, aż do czasu, gdy Opatrzność urażona nareszcie zawyrokuje: tu się rozbijesz, tu koniec powodzeniu bezbożnemu.

Tak było z milady: przesunęła się pomiędzy przednimi strażami morskimi dwóch narodów nieprzyjacielskich i przybyła do Boulogne bez wypadku.

Wysiadając w Portsmouth, milady była Angielką, uciekającą przed prześladowaniem Francuzów z Roszelli; gdy wylądowała w Boulogne, po dwudniowej przeprawie, podała się za Francuską, prześladowaną w Portsmouth przez Anglików, żywiących nienawiść dla Francji.

Milady posiadała prócz tego najskuteczniejszy z paszportów: piękność, pozory wielkiej damy i hojność, z jaką rozrzucała pistole.

Stary gubernator portu, z uśmiechem przyjaznym i manierami dworskimi, uwolnił ją od wymaganych formalności i jeszcze w rękę pocałował. W Boulogne zatrzymała się tylko tyle czasu, ile trzeba było do oddania na pocztę listu następującego:

„Do Jego Eminencji, Kardynała de Richelieu, w obozie pod Roszellą.
 Niech Wasza Eminencja będzie spokojny, Jego Wysokość książę de Buckingham nie wyruszy do Francji.
 Boulogne, 25-go wieczór
 Milady de Winter.
 P. S. Według życzenia, Waszej Eminencji, udaję się do klasztoru Karmelitek w Bethune, gdzie czekać będę Jego rozkazów”.

Rzeczywiście milady tego samego wieczora udała się w drogę; noc ją zaskoczyła: zatrzymała się i przespała w oberży przy drodze; nazajutrz o piątej zrana wyjechała, a w trzy

godziny potem była już w Bethune. Zapytała o klasztor Karmelitek i poszła tam natychmiast.

Przełożona wyszła na jej spotkanie; milady okazała list kardynała; przełożona wyznała jej pokój i przysłała śniadanie.

Wszystko, co przeszło, zatarło się w umyśle tej kobiety, a spojrzeniem, utkwionem w przyszłość, widziała znaczenie i dostatki, jakie spłyną na nią od kardynała, któremu służyła tak wiernie i szczęśliwie, że nawet nazwisko jej nie zostało wmieszane w te krwawe dzieje. Namietności coraz inne, pożerając ją, nadawały jej egzystencji pozór obłoków, płynących po niebiosach, odbijających naprzemian błękit, to znów czerwoność ognistą, lub matową czarność burzy, a pozostawiających na ziemi jedynie zniszczenie.

Po śniadaniu, przełożona przyszła do niej w odwiedzinach; tak mało jest rozrywek w klasztorze, że zaczęła kobiecie pilno było poznać nową pensjonarkę.

Milady pragnęła podobać się; łatwo to przyszło kobiecie naprawdę sprytniej; starała się być przyjemna, a była zachwycająca, i pocziwą przełożoną podbiła zupełnie rozmową zajmującą, pełną zwrotów niespodzianych, oraz wdziękiem i ułożeniem.

Przełożona pochodziła ze szlacheckiej rodziny, lubiła też przedewszystkiem opowiadania o dworze królewskim, tak rzadko dochodzące do krańców państwa, a nadewszystko z taką trudnością przedostające się poza mury klasztorne, na którego progach milką echa światowe.

Milady była wtajemniczona w intrygi towarzystw arystokratycznych, pośród których obracała się od lat pięciu.

Opowiadała zakonniczy o zwyczajach światowych dworu francuskiego, obok krańcowej dewocji samego króla.

Wyrecytowała kronikę skandaliczną panów i pań dworskich, których przełożona знаła doskonale z nazwiska; naszkicowała lekko miłostki królowej i Buckinghama, mówiąc jak najwięcej, żeby coś wyciągnąć ze słuchaczki.

Przełożona słuchała, uśmiechała się, lecz milczała.

Milady, widząc, że ten rodzaj opowiadania bawi ją bardzo, ciągnęła dalej, tylko zwróciła rozmowę na kardynała.

Przeszkadzało jej to jedynie, iż nie wiedziała, czy przełożona jest rojalistką, czy też stronniczką kardynała; starała się też zachować umiarkowanie. Zakonnica ze swej strony trzymała się jeszcze ostrożniej, skłaniając głowę pokornie, ile razy nowoprzybyła wspomniała o Jego Eminencji.

Milady zaczęła przypuszczać, że na śmierć się zanudzi w klasztorze; postanowiła więc zaryzykować cośkolwiek, by wiedzieć następnie, czego się trzymać.

Chcąc poznać, jak daleko sięga dyskrekcja dobrej zakonnicy, poczęła naprzód ogródkowo, a potem już wyraźnie obmawiać kardynała, opowiadała o stosunkach miłosnych ministra z panią d'Aiguillon, z Marion de Lorne i jeszcze z kilkoma paniami znanymi ze swobodnego życia.

— Dobrze, myślała milady, gustuje w mojej rozmowie; jeżeli jest kardynalistką, to przynajmniej nie posunięta do fanatyzmu.

Przeszła wtedy do opisu prześladowań nieprzyjaciół osobistych kardynała. Przełożona przeżegnała się, nie potwierdzając, ni przecząc.

Utwierdziło to milady w przekonaniu, że zakonnica więcej jest rojalistką, niż stronniczką kardynała.

Prawiła też dalej, nie oszczędzając go wcale.

— Jestem bardzo nieświadoma w tych sprawach, rzekła nakoniec zakonnica; lecz, choć oddalone od dworu, obce interesom tego świata, mamy jednak smutny przykład tego, co pani opowiadasz, jedna z naszych pensjonarek cierpiała okrutnie, z powodu zemsty i prześladowań kardynała.

— Jedna z waszych pensjonarek? — zawołała milady; — o mój Boże! jakże jej żałuję!

— Masz pani słuszość, albowiem godna jest politowania: więzienie, groźby, najgorsze obejście, wszystko to wycierpiała. Może jednak — dodała przełożona — pan kardynał miał słusne powody postępować, w ten sposób, a choć ona wygląda na anioła, nie zawsze można sądzić ludzi z powierzchowności.

— Oho! — pomyślała milady — może ja tu co odkryję, jakoś mi się wiedzie.

I starała się przybrać wyraz niewinności i słodyczy anielskiej.

— Niestety! — mówiła — wiem o tem; powiadają, że nie trzeba ufać fizjognomji; lecz czemuż wierzą ludzie, jeśli nie temu najpiękniejszemu dziełu Stwórcy? Co do mnie, może całe życie będę oszukiwana, lecz zawsze zaufam osobie, której twarz budzi we mnie sympatję.

— Zdaje się pani zatem — powiedziała zakonnica — że ta młoda kobieta jest niewinna?

— Pan kardynał niezawsze karze za zbrodnie — odrzekła — są cnoty, które prześladowuje zawzięciej od złych skłonności.

— Pozwól pani, że wyrażę zdziwienie...

— Co panią zadziwia? — rzekła milady naiwnie.

— To, co pani mówi.

— Czyż mówię coś niepodobnego do prawdy? — zapytała milady z uśmiechem.

— Jesteś pani przyjaciółką kardynała, ponieważ przysłał cię tutaj, a jednak...

— A jednak źle o nim mówię — rzekła milady, kończąc myśl przełożonej.

— To jest, nic dobrego o nim nie powiedziałaś.

— Bo ja nie jestem przyjaciółką — odparła wzdychając — lecz ofiarą kardynała.

— Cóż znaczył list, w którym polecił mi panią?

— Jest to rozkaz dla mnie, bym tu siedziała, jak w więzieniu, aż każe mnie stąd zabrać jednemu z satelitów swoich...

— Dlaczegoż pani nie próbowałaś uciekać?

— Dokądżebym poszła? sądzisz pani, że jest na ziemi kącik, gdzieby kardynał nie był w stanie dosięgnąć, jeżeli tylko zechce wyciągnąć rękę?

Gdybym była mężczyzną, możeby to się udało; lecz cóż chcesz, by uczyniła kobieta? Młoda pensjonarka, jaką macie u siebie, czyż próbowała uciekać?

— Nie, to prawda; lecz co innego, zdaje mi się, zatrzymuje ją we Francji: uczucie serdeczne.

— O! — rzekła milady, wzdychając — jeżeli kocha i jest kochana, nie może nazwać się nieszczęśliwą.

— Tak więc — mówiła przełożona, patrząc z wzrastającym zajęciem — to jeszcze jedną nieszczęsną prześladowaną mam przed sobą?

— Niestety! — tak — odparła.

Zakonnica popatrzyła bacznie na milady: jak gdyby jej myśl nowa przyszła do głowy.

— Jesteś może nieprzyjaciółką naszej świętej wiary? —

— Ja? — zawołała milady — ja? protestantką?... O nie! świadczę się Bogiem, który nas słyszy; przeciwnie, jestem gorliwą katoliczką!...

— Kiedy tak — rzekła przełożona z uśmiechem — uspokój się pani; miejsce, w jakim się znajdujesz, nie będzie dla ciebie więzieniem, zrobimy wszystko, co w mocy naszej, byś polubiła niewolę. Co więcej, znajdziesz tu młodą kobietę, prześladowaną, bezwąt্পienia, w skutek jakiejś intrygi dworskiej, bardzo przyjemną i zajmującą.

— Jak się nazywa?

— Polecił mi ją ktoś wysoko postawiony, pod imieniem Katty. Nie starałam się dowiedzieć nic więcej.

— Katty! — krzyknęła milady — jakto? czy pani jesteś pewną?...

— Że się każe tak nazywać? Tak, pani, czy znasz ją?...

Milady uśmiechnęła się do siebie, na myśl, że ta kobieta może być jej dawną pokojową. Wspomnienie tej dziewczyny obudziło wściekłość w milady, a przypomnienie zemsty zmieniło jej rysy; lecz prawie natychmiast przybrała wyraz spokoju i dobroci, jaki ta kobieta o stu twarzach potrafiła na rozkaz przywołać.

— Kiedyż będę mogła zobaczyć tę panią, dla której czuję już wielką sympatję? — zapytała.

— Dziś wieczorem — rzekła przełożona — a nawet i prędzej. Od czterech dni jesteś pani w podróży, jak sama mówiłaś zrana; potrzebujesz zatem odpoczynku. Połóż się pani i zaśnij trochę, obudzimy cię, gdy obiad podadzą.

Chociaż milady obeszłaby się bez spania, podtrzymywana podnieceniem, jakie nowa awantura nastrecała sercu jej chciwemu intrygi, zgodziła się jednak na propozycję przełożonej: od dwóch tygodni przeszła tyle wrażeń różnorodnych, iż, choć ciało żelazne nie upadało ze znużenia, umysł potrzebował spoczynku.

Pożegnała więc przełożoną i położyła się. kołysana przyjemnie projektami zemsty, do jakich naturalnie usposobiło ją imię Katty.

Przypomniała obietnicę, prawie nieograniczoną, jaką jej dał kardynał, jeżeli uda jej się to, co przedsięwzięła. Dokonała wszystkiego, zatem d'Artagnan do niej należał!...

Jedna tylko rzecz ją przerażała... wspomnienie męża, hrabiego de la Fère, o którym słyszała, że nie żyje, lub przynajmniej wydalil się z kraju, a którego spotkała pod nazwiskiem Athosa, najlepszego przyjaciela d'Artagnana!...

A ponieważ był przyjacielem d'Artagnana, zapewne pomagał mu w intrygach, wskutek czego królowa w niwecz obróciła zamiary Jego Eminencji; jako przyjaciel d'Artagnana musiał być koniecznie wrogiem kardynała; z pewnością zatem uda jej się za jednym zamachem wtrącić w przepaść Athosa, razem z młodym muszkietierem.

Rozkoszne marzenia o zemście ukołysały nareszcie do snu milady.

Obudził ją głos słodki, usłyszany obok łóżka. Otworzyła oczy i ujrzała przełożoną w towarzystwie kobiety młodej o cudnych blond włosach, o plci śnieżnej; wpatrywała się w nią z wyrazem dobroci i ciekawości zarazem.

Twarz młodej osoby nieznana była milady; obydwie badały się wzrokiem z drobiazgową uwagą, zamieniając zwykłe powitanie; obydwie były znakomicie piękne, lecz urodą odmienną.

Jednak milady uśmiechnęła się triumfująco, zobaczywszy, że ma wyższość nad młodą kobietą przez ułożenie i arystokratyczne maniery. Coprawda, strój nowicjuszek ujmował dużo powabu nowoprzybyłej.

Przełożona przedstawiła je wzajemnie, a po tej formalności, ponieważ obowiązek wzywał ją do kościoła, zostawiła same młode kobiety.

Nowicjuszka, widząc milady w łóżku, chciała iść za przełożoną, lecz ta ją zatrzymała.

— Jakto? — rzekła — zaledwie panią ujrzałam, i już pragniesz mnie opuścić? a ja tak liczyłam na twoje towarzystwo przez czas mojego pobytu w klasztorze?

— O, proszę pani — odpowiedziała nowicjuszka — chciałam odejść, bo sądziłam, że nie w porę przyszłam; pani spałaś, jesteś zmęczona...

— Czegóż można więcej wymagać? — rzekła milady — jak słodkiego przebudzenia? A to mnie właśnie spotkało z pani łaski! pozwólże mi kosztować tej przyjemności.

Wzięła ją za rękę, przyciągnęła i posadziła na fotelu obok łóżka. Nowicjuszka usiadła.

— Mój Boże — powiedziała — ja to prawdziwie jestem nieszczęśliwa, oto już blisko sześć miesięcy siedzę tu zamknięta, bez najmniejszej rozrywki; pani przybywasz, twoja obecność i towarzystwo stałyby się przyjemnością niezrównaną, ale cóż kiedy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wyjdę już z klasztoru.

— Jakto! wyjeżdżasz stąd niebawem?

— Tak się spodziewam przynajmniej — odrzekła, nie starając się bynajmniej ukryć widocznej radości.

— Dowiedziałam się, że pani cierpiałaś przez kardynała — podjęła milady — byłby to jeden powód więcej do wspólnej sympatii.

— Więc to prawda, co mi powiedziała dobra przełożona, iż jesteś także ofiarą tego złośliwego klechy?

— Cicho! — przerwała milady — nawet tutaj strzeżmy się wspominać w ten sposób kardynała; cała moja niedola, wszystkie nieszczęścia moje, spowodowało niebaczne odezwanie się o nim do kobiety, którą uważałam za przyjaciółkę serdeczną. Czy pani także jesteś ofiarą zdrady?

— Nie — odparła nowicjuszka — jestem ofiarą poświęcenia się dla kobiety, którą kochałam, dla której życie oddałam tak samo dzisiaj, jak i wtedy.

— A która cię teraz opuściła, czy tak?

— Myślałam tak w istocie, lecz od kilku dni przekonałam się, iż byłam niesprawiedliwa względem pani, i Bogu za to dziękuję: zanadto cierpiałam, sądząc, że o mnie zapomniła. Lecz ty pani — ciągnęła nowicjuszka — wydajesz się wolna, i gdybyś chciała uciekać, od ciebie tylko to zależy...

— Dokąd chcesz abym poszła? bez przyjaciół, bez pieniędzy, w obcym kraju, bo nigdy w tej stronie Francji nie byłam?

— Oh! — zawołała nowicjuszka — przyjaciół znajdziesz pani wszędzie, gdzie się tylko pokażesz, wydajesz się dobra, a jesteś przytem cudownie piękna!

— Pomimo to — podjęła milady z anielską słodyczą w głosie — jestem sama i prześladowana.

— Posłuchaj pani — przerwała nowicjuszka — miej ufność w Bogu; nadchodzi zawsze chwila, kiedy dobre nasze uczynki, jedną nam miłosierdzie Stwórcy. Może i teraz szczęściem będzie dla ciebie pani znajomość ze mną. Choć nic nie mogę i nic nie znaczę, lecz, gdystąd wyjdę, mieć będę przyjaciół wszechwładnych, którzy, upomniawszy się teraz o mnie, upomną się i o ciebie.

— Mówiłam, że jestem sama — rzekła milady, w nadziei, że nowicjuszka wygada się ze wszystkim, gdy będzie ciągle mówiła o sobie — lecz to nie znaczy, abym i ja nie miała znajomości w wyższych sferach: lecz cóż z tego, oni sami drżą przed kardynałem; królowa nawet nie śmie się opierać straszному ministrowi. Mam dowody, że najjaśniejsza pani, pomimo dobroci serca, zmuszona była oddać na pastwę zawziętości Jego Eminencji, tych, którzy jej służyli wiernie.

— Wierz mi, pani, może się zdawać niekiedy, że królowa zapomina i wiernych sobie; lecz to pozory jedynie: im więcej są prześladowani, tem więcej o nich myśli, i często bardzo w chwili, gdy najmniej się spodziewają, otrzymują dowody jej pamięci.

— Niestety! — rzekła milady — chcę temu wierzyć; królowa taka dobra!...

— Więc znasz pani tę piękną i szlachetną królowę, skoro mówisz o niej? — zawołała nowicjuszka z zapalem.

— To jest... — odparła milady, zaskoczona zniecka — nie mam zaszczytu znać jej osobiście, lecz znam dużo jej przyjaciół od serca: znam pana de Putange; w Anglii znam pana Dujart; znam także pana de Tréville.

— Znasz pani pana de Tréville! — zawołała nowicjuszka.

— Bardzo nawet dobrze.

— Dowódcę muszkietarów królewskich?

— Tak, dowódcę muszkietarów królewskich.

— O! kiedy tak, staniemy się nietylko znajomymi, lecz przyjaciółkami prawie; znasz pani pana de Tréville, to pewnie bywałeś u niego?

— Bardzo często — rzekła milady — która, wszedłszy na drogę kłamstwa i fałszu, nie mogła się już cofnąć.

— Musiałas tam pani widywać niektórych muszkietarów?

— Wszystkich, których zwykle przyjmuje — odparła milady, coraz bardziej zaciękwiona.

— Wymień mi pani ich nazwiska; przekonam się, czy to są i moi znajomi.

— Oto — rzekła milady zmieszana — znam pana de Souvigny, pana de Courtivron, pana de Ferussac.

Nowicjuszka słuchała pilnie, następnie, widząc, że milady się zatrzymała, rzekła:

— Czy znasz pani szlachcica, nazwiskiem Athos?

Milady zbieła, jak pościel, na której leżała i chociaż umiała panować nad sobą, wydała krzyk dziki, chwyciła za rękę swoją interlokutorkę i przeszła ją wzrokiem.

— Co pani jest? na Boga! — zapytała biedaczka — czy powiedziałam coś, co cię zraniło?

— Nie, nie, zdziwiło mnie to imię jedynie, bo znałam tego szlachcica i wydało mi się dziwne, że spotykam kogoś, kto go zna także.

— O tak! znam go doskonale, i nie tylko jego, lecz znam jeszcze jego przyjaciół: panów Porthosa i Aramis!

— Doprawdy? i ja także ich znam! — zawołała milady, uczuwszy chłód w głębi serca.

— Ponieważ ich pani znasz, wiesz zapewne, jacy to zacni i dobrzy koledzy; czemu nie udasz się do nich, kiedy potrzebujesz pomocy?

— To jest... — jąkała milady — nie jestem związana przyjaźnią z żadnym, znam ich z opowiadania jednego z nich przyjaciół, pana d'Artagnan.

— Znasz pana d'Artagnan! — krzyknęła nowicjuszka, chwytając milady za rękę.

Następnie, spostrzegłszy dziwny wyraz oczu milady:

— Wybacz pani — rzekła — lecz jakie są wasze stosunki?

— Tylko przyjacielskie — odparła milady, zmieszana.

— Zwodzisz mnie pani: byłaś jego kochanką.

— To pani nią byłaś! — zawołała z kolei milady.

— Ja? — rzekła nowicjuszka.

— Tak, pani; wiem teraz, kto jesteś: jesteś pani Bonacieux.

Młoda kobieta cofnęła się, przerażona.

— Nie zapieraj się! odpowiadaj! — kończyła milady.

— A więc tak... pani! — rzekła nowicjuszka — czyż jesteśmy rywalkami?

Teraz milady zapłonęła dzikim ogniem; gdyby pani Bonacieux zazdrość nie zaślepiła, byłaby uciekła ze strachu.

— Dalej, mów pani — ciągnęła pani Bonacieux z energią, o jaką trudno ją było posądzić — czy byłaś, czy jesteś jego kochanką?

— O! nie, nie — zawołała milady z akcentem prawdy w głosie — nie jestem i nie byłam nigdy!

— Wierzę ci — rzekła pani Bonacieux — lecz dlaczego tak się przeraziłaś?

— Jakto, czyż nie rozumiesz? — odparła milady, której przytomność umysłu i spokój powróciły.

— Jakże mam rozumieć, kiedy o niczym nie wiem?

— Nie rozumiesz tego, że pan d'Artagnan był moim przyjacielem i miał we mnie powiernicę?

— Czy doprawdy?

— Czyż nie pojmujesz, że wiem o wszystkim: o porwaniu ciebie z ustronnego domku w Saint-Germain, o rozpaczach jego i jego przyjaciół, o poszukiwaniach bezowocnych do chwili obecnej? Jakże chcesz, żebym się nie dziwiła, kiedy niespodzianie znalazłam się razem z tobą; z tobą, o której tak często rozmawialiśmy, którą on kocha z całej duszy i którą nauczył i mnie kochać, chociaż cię nigdy nie widziałam! O! droga Konstancjo, znalazłam cię nareszcie i patrzę na ciebie!...

Milady wyciągnęła ręce do pani Bonacieux, a ta przekonana tem, co słyszała, widziała odtąd w kobiecie, uważanej przed chwilą za rywalkę, jedynie przyjaciółkę szczerą i oddaną.

— O! przebac mi, przebac! — zawołała, skłaniając głowę na ramię milady — ale ja go tak bardzo Kocham!

I tak trzymały się w objęciach czas jakiś. Gdyby siły fizyczne milady odpowiadały wielkości jej nienawiści, byłaby na śmierć udusiła panią Bonacieux w tym uścisku.

Nie mogąc zadusić, uśmiechnęła się do niej.

— Kochana moja, śliczna moja — mówiła — co za radość! Pozwól, niech się na ciebie napatrę.

Mówiąc to, rzeczywiście pożerała ją wzrokiem.

— Tak; to ty jesteś! Jakże mi wiernie cię opisał, poznaję cię doskonale!

Biedna kobieta nie przypuszczała nawet, jakie okropne myśli gnieźdzą się poza tem czołem czystem, co wyrażają oczy błyszczące, w których czytała jedynie współczucie.

— Wiesz zatem, ile wycierpiałam — odezwała się pani Bonacieux — ponieważ opowiedział ci także o swojej boleści; lecz cierpieć dla niego to jeszcze szczęście!

Milady odparła machinalnie:

— Tak, to szczęście.

Myślała zupełnie o czym innym.

— A teraz — ciągnęła pani Bonacieux — moje męczarnie skończone: jutro, dziś wieczorem może zobaczę go.

— Dziś wieczorem?... jutro?... — zawołała milady, obudzona z marzeń, — co mówisz? czy spodziewasz się wiadomości od niego?...

— Jego samego się spodziewam.

— D'Artagnan przyjedzie tutaj?

— Tak, d'Artagnan.

— Niepodobna, on jest przy kardynale w obozie pod Roszellą i powróci dopiero po wzięciu tego miasta.

— Tak pani sądzisz, lecz dla d'Artagnana, dla mojego zacnego i prawego rycerza, nic niema niepodobnego!

— Nie mogę temu uwierzyć.

— Przeczytaj pani to! — rzekła pod wpływem dumy i radości niebaczna kobieta, list podając do rąk milady.

— Pismo pani de Chevreuse — pomyślała milady. — Byłam pewna tych stosunków. I czytała chciwie podany bilecik:

„Drogi dziecię, bądź gotowa; *nasz przyjaciel* odwiedzi cię wkrótce i wydobędzie z więzienia, gdzie byłaś ukryta dla bezpieczeństwa: przygotuj się do drogi i ufaj nam zawsze. Nasz szlachetny gaskończyk okazał się waleczny i wierny, jak zawsze, powiedz mu, że zasłużył na wdzięczność za daną przestrożę”.

— Tak, tak — rzekła milady — list jest stanowczy. Czy wiesz, co to za przestroga?

— Nie. Domyślam się tylko, że pewnie uprzedził królową o nowej jakiej machinacji kardynała.

— Tak, to najpewniej! — rzekła milady, spuszczać głowę w zamyśleniu.

Naraz usłyszały — tętent konia, pędzącego galopem.

— O!... — krzyknęła pani Bonacieux, biegnąc do okna — czyż to już on przybywa?

Milady leżała w łóżku, obezwładniona niespodzianką; od nawału wrażeń, wypadków nieoczekiwanych, nawet jej się w głowie pomieszało!

— On!... on!... — mruczała — czyżby naprawdę? — i leżała z oczami w sufit utkwionymi.

— Niestety!... to nie on — odezwała się pani Bonacieux — to jakiś mężczyzna nieznajomy zbliża się do klasztoru; tak, zatrzymuje konia przed bramą, dzwoni...

Milady wyskoczyła z łóżka.

— Jesteś pewna, że to nie on?... — zapytała.

— O, tak, najpewniejsza.

— Może go nie poznałaś?...

— Dosyć mi ujrzeć pióro na kapeluszu i jego brzeg płaszczu, abym go poznała!

Milady ubierała się śpiesznie.

— Powiadasz, że ten mężczyzna przyjechał tutaj?

— Tak, już wszedł.

— To do ciebie, lub do mnie.

— Mój Boże!... jakżeś pani wzburzona!...

— Tak, przyznaję, nie posiadam twojej ufności, obawiam się wszystkiego od kardynała.

— Cicho!... — rzekła pani Bonacieux — już nadchodzą...

Przełożona weszła do pokoju.

— Czy to pani przybyłaś z Boulogne?... — zapytała milady.

— Tak, to ja — odparła, starając się zapanować nad wzruszeniem — kto taki chce się ze mną widzieć?

— Jakiś mężczyzna, ale wzbrania się powiedzieć swego nazwiska, przybywa wprost od pana kardynała.

— W takim razie niech wejdzie, proszę pani.

— O Boże!... Boże!... — rzekła pani Bonacieux — czyż znowu jaka zła nowina!

— Boję się tego.

— Odchodzę, lecz, jak tylko ten nieznajomy odjedzie, pozwolisz pani, powrócę.

— Proszę, bardzo proszę.

Przełożona i pani Bonacieux wyszły.

Milady została z oczami w drzwi utkwionymi; za chwilę posłyszała brzęk ostróg na schodach, nareszcie drzwi się rozwarły i nieznajomy stanął na progu.

Milady krzyknęła: był to hrabia de Rochefort, duszą i ciałem zaprzędany Jego Eminencji.

ROZDZIAŁ XXXV. DWIE ODMIANY SZATANÓW

— A!... — wykrzyknęli jednocześnie Rochefort milady — to ty?...

— Tak, to ja.

— Przybywasz?... — zapytała milady.

— Z pod Roszelli. A ty?...

— Z Anglii.

— Cóż Buckingham?

— Nie żyje, lub śmiertelnie ranny; wyjeżdżałam właśnie, nic odeń nie uzyskawszy, gdy jakiś fanatyk go zabił.

— A!... — odezwał się Rochefort — oto, co się nazywa szczęśliwy traf, który ucieszy niezmiernie Jego Eminencję! Czy mu już doniosłaś?...

— Pisałam z Boulogne. Lecz, w jaki sposób ty się tu znalazłaś?

— Jego Eminencja, zaniepokojony, wysłał mnie do ciebie.

— Nie straciłam czasu na próżno.

— O! byłem tego pewny.

— Wiesz, kogo tu spotkałam?

— Nie.

— Zgadnij?

— Nie potrafię.

— Młodą kobietę, którą królowa z więzienia uwolniła.

— Kochankę tego smarkacza, d'Artagnana?

— Tak, panią Bonacieux, o której schronieniu kardynał nie mógł się dowiedzieć.

— Więc znów szczęśliwy traf, mogący iść w parze z tamtym; pan kardynał doprawdy jest człowiekiem uprzywilejowanym.

— Wystaw sobie moje zdziwienie — ciągnęła milady — gdy ta kobieta stanęła przede mną.

— Czy ona wie, kto ty jesteś?

— Nie.

— Więc uważa cię za obcą?

Milady roześmiała się.

— Jestem jej najlepszą przyjaciółką.

— Na honor — rzekł Rochefort — ty jedna tylko, hrabino, zdolna jesteś cuda tworzyć.

— Dobrze się stało — powiedziała milady — bo wiesz, co się tu dzieje?

— Nie.

— Przyjadą po nią jutro lub pojutrze z rozkazem królowej.

Doprawdy! a ktoż taki?

— D'Artagnan i jego przyjaciele.

— Przekonany jestem, że oni póty dokazywać będą, aż dostaną się do Bastylji narzeczcie.

— Dlaczego oddawna ich tam nie zamknięto?

— Co chcesz!... pan kardynał ma jakąś słabość do tych ludzi, czego ja pojąć nie mogę.

— Doprawdy?

— Tak.

— Rochefortcie, powiedz mu tylko to: w oberży pod „Czerwonym gołębnikiem” ci czterej rozmowę naszą wysłuchali; powiedz mu, że, po jego odjeździe, jeden z nich wszedł do mnie i wydarł mi przemocą list bezpieczeństwa, który od kardynała dostałam; powiedz, że kazał uprzedzić lorda de Winter o wylądowaniu mojem w Portsmouth; że ledwie nie obrócili w niwecz całą sprawę moją, jak to uczynili ze sprawą zapinek djamentowych; powiedz, że z pomiędzy czterech dwóch tylko należy się obawiać: d'Artagnana i Athosa; trzeci Aramis, jest kochankiem pani de Chevreuse: temu trzeba życie darować, znamy jego tajemnicę, więc może być użytecznym; co się tyczy czwartego, Porthosa, to słaba głowa, zarozumiała i głupi, nie warto się nim zajmować.

— Skądże się tu wzięli wszyscy czterej, bo powinni być w tej chwili pod Roszellą?

— I ja tak myślałam, lecz list, który pani Bonacieux odebrała od Konetablowej i który — była na tyle niemądra — dała mi do przeczytania, przekonał mnie, że są wszyscy w drodze do klasztoru, aby ją porwać.

— Co tu począć, u diabła?

— Cóż ci kardynał polecił co do mnie?

— Kazał zabrać depesze piśmienne lub ustne, wracać pocztą jak najspieszniej, a skoro się dowie, czego dokazałaś, osądzi, co masz dalej robić.

— Więc ja mam tu pozostać?

— Tutaj, lub gdziekolwiek w tych stronach.

— Czy nie możesz zabrać mnie z sobą?

— Nie; mam rozkaz wyraźny; w okolicy obozu poznanoby ciebie, a to, jak pojmujesz, kompromitowałoby kardynała.

— Będę zatem oczekiwała na dalsze rozkazy tutaj, lub gdzieś niedaleko.

— Powiedz mi tylko, gdzie się obrócisz, ażebym mógł cię znaleźć.

— Prawdopodobnie tu nie będę mogła pozostać. Czy zapomniałeś, że wrogi moje przybędą wkrótce?

— A! to prawda! lecz w takim razie ta mała kupcowa, wymknie się Jego Eminencji.

— Ba! — rzekła milady z uśmiechem, sobie właściwym — pamiętaj, że jestem najlepszą jej przyjaciółką...

— Prawda; mogę zatem powiedzieć kardynałowi, że co do tej kobiety...

— Niech będzie spokojny.

— Nic więcej?...

— Zrozumie on, co to znaczy.

— Domyśli się, że... A teraz, co ja mam zrobić?...

— Wracać jak najprędzej; sądzą, że wiadomości, jakie wieziesz, warte są pośpiechu.

— Mój powóz zepsuł się, gdy wjeżdżałam do Lilliers.

— A to przewybornie!...

— Dlaczegoż?...

— Potrzebuję twojego powozu.

— A jakże ja pojedę?...

— Konno, mój panie.

— Dobrze ci mówić; sto mil przeszło.

— Cóż to wielkiego?

— Ma się rozumieć, że pojedę. A potem?

— Potem, przejeżdżając przez Lilliers, odeślesz mi powóz i rozkażesz słuzącemu, aby mi był posłuszny.

— Dobrze.

— Masz zapewne przy sobie jakieś pismo od kardynała?

— Mam pełnomocnictwo.

— Pokażesz je przełożonej i dodasz, że przyślesz po mnie dziś albo jutro i że powinnam się udać z osobą, przybywającą w twoim imieniu.

— Dobrze, rozumiem.

— Wyrażaj się ostro do przełożonej, mówiąc o mnie.

— A toż znów po co?

— Jestem przecie ofiarą, prześladowaną przez kardynała. Muszę zyskać zaufanie pani Bonacieux.

— Masz rację. Napisz mi tylko raport dokładny o twoich czynnościach.

— Opowiedziałam ci wszystko; pamięć masz doskonałą, powtórz, coś usłyszała; papier możesz zgubić.

— Masz rację, jak zawsze, chcę tylko wiedzieć, gdzie cię odnaleźć, żeby napróżno w okolicy nie szukać.

— To prawda, poczekajno...

— Może chcesz mapy?

— O, znam te strony doskonale.

— Byłaś już tutaj kiedy?

— Tu się wychowałam.

— Będziesz zatem oczekiwała?

— Zaraz, zaraz, pomyślę trochę... a!... otóż mam w Armentières.

— Co to jest Armentières?

— Małe miasteczko nad rzeką Lys; w razie czego przeprawię się tylko za rzekę i jestem już zagranicą.

— Ale chyba tylko w razie niebezpieczeństwa?...

— Ma się rozumieć...

— A wtedy, jak się dowiem, gdzie jesteś?...

— Czy tobie lokaj potrzebny?...

— Nie.

— A czy to pewny człowiek.

— Wypróbowany.

— Zostaw mi go; nie zna go tu nikt, pozostanie w miejscu, skąd się oddał i doprowadzi cię tam, gdzie będę.

— Mówisz zatem, że oczekiwać będziesz w Armentières? Napisz mi to na kawałku papieru, gdyż boję się zapomnieć; przecie nazwa miasteczka nie może cię skompromitować, wszak prawda?

— Kto wie?... lecz mniejsza o to — rzekła milady, pisząc na półarkuszu papieru — kompromituję się...

— Dobrze — rzekł Rochefort, biorąc papier, który złożył i schował w kapelusz — chociażbym go zgubił, zrobię, jak dzieci mają zwyczaj robić: będę powtarzał przez całą drogę: *Armentières*. Czy to wszystko?

— Tak sądzę.

— Zastanówmy się: Buckingham nie żyje, lub ranny śmiertelnie; rozmowa twoja z kardynałem podsłuchana przez czterech muszkieterów; lord de Winter zawiadomiony o twojem przybyciu do Portsmouth; d'Artagnana i Athosa zamknąć w Bastylji; Aramis kochankiem pani de Chevreuse; Porthos głupiec; pani Bonacieux odnaleziona; przysłać ci powóz jaknajspieszniej; mojego lokaja zostawić do twego rozporządzenia; zrobić z ciebie ofiarę kardynała, aby przełożona nie powzięła jakich podejrzeń; Armentières nad rzeką Lys. Czy wszystko?

— Doprawdy, kochany hrabio, cudowną masz pamięć. Ale, ale, dodaj jedno jeszcze...

— Co takiego?...

— Zauważyłem prześliczny lasek, dotykający ogrodu klasztornego; powiedz, że wolno mi po nim spacerować, kto wie? może będę zmuszona wyjść tylnymi drzwiami?

— Myślisz o wszystkim.

— A ty zapominasz o jednej rzeczy...

— O czym?

— Nie pytasz, czy mam pieniądze.

— Ile żądasz?...

— Wszystko, co masz przy sobie.

— Mam około pięciuset pistoletów.

— Ja posiadam tyleż; z tysiącem pistoletów można wiele dokonać; dalej, wypróżnij kieszenie.

— Oto masz...

— Dziękuję. A ty odjeżdżasz?

— Za godzinę, zjem tymczasem cokolwiek.

— Wybornie... Adieu, hrabio!

— Adieu, hrabino.

— Poleć mnie względem kardynała.

— A ty mnie łasce szatana.

W godzinę potem Rochefort pędził co koń wyskoczy; w pięć godzin mijał Arras. Czytelnicy wiedzą już, jak go d'Artagnan poznał i jak z tego powodu obawy muszkieterów wzrosły i dodały im podniety do dalszej podróży.

ROZDZIAŁ XXXVI. KROPLA, PRZEPEŁNIAJĄCA CZARĘ

Zaledwie Rochefort wyszedł, pani Bonacieux wbiegła i zastała milady rozpromienioną.

— No cóż — odezwała się — stało się, czegoś się obawiała? dziś wieczorem lub jutro kardynał przyśle po ciebie?

— Kto ci o tem powiedział, moje dziecię?... — zapytała milady.

— Słyszałam z własnych ust tego pana.

— Usiądź tu przy mnie — rzekła milady.

— Już jestem.

— Poczekaj, przekonam się, czy nas kto nie podsłuchuje.

— Na co te wszystkie ostrożności?

— Dowiesz się zaraz.

Milady poszła, otworzyła drzwi, wyjrzała na korytarz, poczem dopiero wróciła i usiadła obok pani Bonacieux.

— Zatem — rzekła — dobrze swoją rolę odegrał?

— Kto taki?

— Ten rzekomy wysłannik kardynała.

— Więc on grał tylko rolę?

— Tak, moje dziecię.

— Więc ten człowiek?...

— Jest moim bratem — rzekła milady, zniżając głos.

— Twoim bratem?... — krzyknęła pani Bonacieux.

— Tobie jednej powierzam tę tajemnicę, moja droga; jeżeli powiesz o niej komukolwiek, zgubisz mnie bezpowrotnie, a może i siebie w dodatku.

— O! mój Boże!

— Powiem ci zaraz, co znaczy to wszystko: brat mój, jadąc tutaj, żeby mnie zabrać gwałtem, jeśli by tego było potrzeba, spotkał w drodze wysłańca kardynała (który także po mnie dążył), i jechał ciągle za nim. Aż nareszcie w miejscu jakimś pustym i odludnym dobył szpady i zażądał od niego papierów, w jakie był opatrzone; ten chciał się bronić... brat mój go zabił.

— To okropne — rzekła pani Bonacieux, drżąc cała.

— W ten sposób jedynie mógł zdobyć papiery... Zabrał pismo kardynalskie, przedstawił się tutaj, jako przysłany od niego, a teraz za parę godzin najdalej przyśle ekwipaż po mnie, niby z polecenia Jego Eminencji.

— Rozumiem, ten powóz będzie od brata twojego.

— Tak, ale to nie wszystko jeszcze: czy sądzisz, że list który otrzymałaś, pisała pani de Chevreuse....

— Więc co?

— Jest on podrobiony.

— Jaktó?

— Nie od niej on pochodzi: to zasadzka, żebyś nie stawiała oporu, gdy przyjdą po ciebie...

— Przecież to d'Artagnan przyjdzie?

— Nie wierz temu; d'Artagnan i jego przyjaciele są pod Roszellą, nie wolno im wyjeżdżać z obozu.

— Skąd wiesz o tem?

— Brat spotkał emisariuszów kardynalskich w przebraniu muszkietierów. Zamierzali wywołać cię do bramy; porwaliby cię i odstawili z powrotem do Paryża.

— O, mój Boże! tracę zmysły w tym chaosie... Czuję, że gdyby tak dłużej potrwało, rozum bym straciła.

— Czekajno...

— Co takiego?

— Słyszę stuk kopyt końskich...

Milady otworzyła okno i skinęła na panią Bonacieux, aby się zbliżyła. Młoda kobieta podeszła ku niej.

Rochefort właśnie przejeżdżał.

— Adieu, braciszku — zawołała milady.

Jeździec podniósł głowę, zobaczył obydwie kobiety i nie zatrzymując konia, ukłonił się z galanterją.

— Poczwiwy Jerzy!... — powiedziała milady, zamykając okno, a twarz jej wyrażała smutek i przywiązanie.

— Kochana moja — odezwała się pani Bonacieux — przebac, że ci przerywam! lecz, na miłość Boską, poradź, co mam robić? Masz więcej doświadczenia, mów!

— Najpierw — odparła milady — może się mylę, może d'Artagnan wraz z przyjaciółmi rzeczywiście przybędą cię oswobodzić.

— O!... to za wielkie szczęście dla mnie!

— W takim razie byłaby to kwestja czasu jedynie, rodzaj wyścigów, kto pierw tu przybędzie. Jeżeli twoi przyjaciele, jesteś uratowana, jeżeli zaś zausznicy kardynała, pojmujesz, żeś zgubiona.

— O tak, zgubiona bez ratunku? Co robić tedy, co robić?

— Znalazłby się sposób bardzo prosty...

— Jaki, powiedz mi?

— Cześć ukryta w tych stronach i w ten sposób przekonać się, co za jedni przybędą tu upominać się o ciebie.

— Ale gdzie czekać?

— Nic łatwiejszego; ja sama myślę ukryć się o jakie kilka mil stąd i czekać, aż brat przyjedzie... Wiesz co! zabiorę cię z sobą... razem się ukryjemy i razem będziemy oczekiwać...

— Mnie stąd nie wypuszczą, jestem prawie, jak w więzieniu.

— Ponieważ przypuszczają, iż wyjeżdżam z rozkazu kardynała, nie pomyślą, że masz ochotę iść ze mną.

— Więc cóż mam zrobić?

— Ot tak: powóz stanie przed bramą, będziesz się niby ze mną żegnała i wejdiesz na stopień, by mnie uściskać raz ostatni; służący mego brata będzie już uprzedzony, da znak pocztyljonowi i ruszymy galopem...

— A jeżeli d'Artagnan przyjedzie?

— Czyż nie dowiemy się o tem?

— W jaki sposób?

— Bardzo prosty. Odeślemy służącego do Bethune, zamieszka naprzeciw klasztoru: jeżeli zobaczy wysłańców kardynała, nie ruszy się z miejsca, jeżeli d'Artagnan i jego towarzyszy, przyprowadzi ich do nas.

— O! tak, tak, masz rację; wszystko będzie dobrze, jak najlepiej, lecz nie oddalajmy się bardzo od klasztoru.

— O jakie kilka mil najwyżej; osiadziemy przy granicy, a na wypadek trwogi, uciekniemy z Francji.

— A teraz co robić?

— Zrób jedną rzecz...

— Jaką?

— Powiedz tej poczciwej przełożonej, że pragniesz ze mną razem jadać, abyśmy jak najwięcej były z sobą...

— O! bardzo dobrze!... w ten sposób będziemy ciągle razem.

— Idź zaraz i poproś... ja czuję się zmęczona.

— Idź, najdroższa, a gdzie się znów spotkamy?

— W tym pokoju, za godzinę.

— Tutaj, za godzinę?... o! jakaś ty dobra, jak ja ci jestem wdzięczna.

— Jakżebym mogła nie zajmować się tobą? gdybyś nawet nie była piękna i miła, czyż nie jesteś kochana przez jednego z moich najlepszych przyjaciół?

— D'Artagnan ci za mnie podziękuje.

— I ja się tego spodziewam. A teraz, kiedy wszystko ułożone, żegnam cię...

Młode kobiety rozstały się z uśmiechem na ustach.

Milady prawdę powiedziała, czuła się zmęczona, głowa jej ciążyła; nie zdołała jeszcze uporządkować zamiarów i stąd w umyśle jej powstało zamieszanie.

Odczuwała potrzebę samotności. Nie widziała jasno przeszłości, lecz wystarczyło jej trochę ciszy i spokoju, aby projekty niewyraźne nabrały formy stanowczej.

Najpilniejsze było, jak na teraz, porwanie pani Bonacieux i trzymanie w miejscu bezpiecznym, a dopiero w razie potrzeby gwałtownej użycie jej, jako zakładniczki. Milady zaczynała obawiać się wyniku strasznego pojedynku, w którym z jednej strony wchodziła w grę wytrwałość jej wrogów, z drugiej osobista jej nienawiść i zawziętość.

W dodatku przeczuwała tak, jak przeczuwa się burzę nadchodzącą, że koniec jest bliski, a będzie przerażający.

Najważniejsze dla niej, jak to już powiedzieliśmy, było posiadać w swej mocy panią Bonacieux, a tem samem i życie d'Artagnana. Więcej to znaczyło nawet, niż jego życie, bo było to życie kobiety, przez niego ukochanej. Był to jedyny środek, w razie niepowodzenia, do otrzymania dobrych warunków ugody.

Postanowiła zatem, że panią Bonacieux, nic nie podejrzewającą, zabierze z sobą, ukryje w Armentières, a tam łatwo ją przekona, iż d'Artagnan wcale do Bethune nie przybył.

Za dwa tygodnie najdalej Rochefort powróci; przez dwa tygodnie zatem rozmyślać będzie, w jaki sposób zemścić się nad nienawistnymi jej muszkietierami. Nie znudzi się

wcale, dzięki Bogu, będzie miała najmilsze zajęcie, jakiegokolwiek mieć może kobieta z jej charakterem, to jest: przeżuwanie zemsty. Marząc tak, przypatrywała się położeniu ogrodu i rozkład jego starała się zapamiętać.

Milady, jak dobry generał, obliczała naprzód szanse zwycięstwa, jak i porażki, chcąc mieć pewność tak w razie ataku, jak i odwrotu.

Po upływie godziny usłyszała głos słodki; to pani Bonacieux ją przywołała. Dobra przełożona przystała na wszystko i zaraz na początek miały jeść razem kolację. Gdy weszły w podwórze, powóz jakiś stanął przed bramą.

Milady zatrzymała się.

— Czy słyszysz?... — zapytała.

— Słyszę turkot powozu.

— To mój brat przysłał po nas.

— O mój Boże!

— Odwagi, kochanko!...

Dzwonek odezwał się u bramy klasztornej.

— Idź do twego pokoju — powiedziała do pani Bonacieux — masz pewnie jakie kosztowności, którebyś zabrać pragnęła.

— Mam listy od niego.

— No to idź, zabierz je i wracaj do mnie, zjemy trochę naprędce; wypadnie nam może późno w noc jechać, trzeba się zatem posilić.

— Boże wielki!... — rzekła pani Bonacieux, kładąc rękę na piersiach — serce mi tak bije, nie mogę się z miejsca ruszyć.

— Bądź mężna, pomyśl, że za kwadrans będziesz wolna, pomyśl, że wszystko to dla niego robisz.

— O! tak, wszystko dla niego. Tem jednym słowem wróciłaś mi odwagę; idź już, przyjdę za chwilę do ciebie!..

Milady pobiegła do siebie, zastała już lokaja Rocheforta i powiedziała mu, co ma robić.

Czekać miał przy bramie; gdyby wypadkiem muszkietierowie nadjechali, powóz powinien zmykać coby prędzej, objechać dokoła klasztor i czekać na milady w małej wiosce po drugiej stronie lasku. W takim razie milady przejdzie lasek piechotą i dotrze do wioski. Powiedzieliśmy już, że milady znała wybornie te okolice Francji.

Jeżeli zaś muszkietierowie nie nadjadą, wszystko stanie się według ułożonego planu, pani Bonacieux wejdzie do powozu i milady uwiezie ją w ten sposób.

Pani Bonacieux wróciła. Milady, ażeby nie wzbudzić w niej podejrzeń, powtórzyła służącemu ostatnie instrukcje.

Zadała kilka pytań o stan ekwipażu: był to powóz zaprzężony w trzy dzielne konie z pocztyljonem na koźle; lokaj Rocheforta pojedzie przodem w roli kurjera.

Niesłusznie milady obawiała się podejrzeń pani Bonacieux; biedna kobiecina zanadto była czysta i prawa, by posądzać mogła kogo o przewrotność, w dodatku nazwisko lady de Winter, słyszane od przełożonej, obce jej było zupełnie i nie przypuszczała, aby ta kobieta mogła kiedykolwiek wywierać wpływ na jej życie.

— Wszystko już gotowe — rzekła milady, po odejściu lokaja. — Przełożona nie domyśla się niczego i wierzy, że przyjechano po mnie z woli kardynała. Służący poszedł wydać ostateczne rozkazy; zjedz cokolwiek, wypij trochę wina i jedźmy już.

— Tak — rzekła pani Bonacieux machinalnie — tak, jedźmy już...

Milady posadziła ją przy stole, nalala kieliszek wina hiszpańskiego i podsunęła kawałek kurczęcia.

— Widzisz, jak nam okoliczności sprzyjają: noc oto zapada; o świtanu będziemy już w naszym schronieniu; nikt nie domyśli się nawet, gdzie jesteśmy. No, no, otrząśnij się z apatii, zjedz cokolwiek.

Pani Bonacieux zjadła parę kawałków i umoczyła usta w kieliszku.

— Dalej, kochanko — rzekła milady, biorąc kieliszek — zrób tak, jak ja...

Lecz, gdy miała dotknąć ustami, ręka jej zatrzymała się nieruchomo: doleciał ją z odalenia odgłos zbliżającego się orszaku, a jednocześnie słychać było rżenie koni.

Odgłos ten spłoszył jej radość tak, jak szum burzy spędza z powiek sen rozkoszny; zbladła i pobiegła do okna, gdy pani Bonacieux powstała drżąc i aby nie upaść, trzymała się krzesła. Nic nie było widać, tylko odgłos kopyt końskich stawał się coraz wyraźniejszy.

— O! mój Boże!... — rzekła pani Bonacieux — co znaczy ta wrzawa?

— Przybywają obrońcy nasi lub nieprzyjaciele — odparła milady z okrutną zimną krwią — zostań, gdzie jesteś, a ja ci powiem, co zobaczę...

Pani Bonacieux stała milcząca, nieruchoma, jak posąg.

Wrzawa stawała się coraz głośniejsza, orszak znajdował się o jakie sto pięćdziesiąt kroków najwyżej; widać go nie było tylko z powodu zakrętu drogi.

Coraz jednak wyraźniej tętent dolatywał, można było prawie poznać ilość koni, po odgłosie podków na drodze.

Milady wytężyła wzrok z całej siły.

Nagle na skrócie drogi ujrzała kapelusze, błyszczące od galonów i pióropusze, z wiatrem igrające; najpierw dwóch... potem pięciu, nareszcie ośmiu jeźdźców narachowała... Jeden z nich pędził przodem na długość dwóch koni...

Milady jęknęła głucho. W jeźdźcu poznała d'Artagnana.

— O! Boże mój!... — zawołała pani Bonacieux — co tam zobaczyłaś?

— Mundury straży kardynalskiej; nie mamy ani chwili do stracenia — krzyknęła milady. — Uciekajmy! uciekajmy!

— Tak, tak, uciekajmy!... — powtórzyła pani Bonacieux, nie mogąc kroku postąpić, bo przykuta była do miejsca przerażeniem.

Jeźdźcy właśnie przejeżdżali pod oknem. Milady próbowała wziąć ją na ręce i wynieść, lecz nie mogła poradzić.

Usłyszała turkot powozu, umykającego za ukazaniem się muszkietarów; następnie rozległo się kilka strzałów.

— Ostatni raz cię wzywam, czy pójdziesz ze mną?... — krzyknęła milady.

— O! mój Boże! mój Boże! widzisz przecie, że nie mam siły; widzisz, że nie mogę na nogach się utrzymać... uciekaj sama!...

— Uciekać sama? ciebie zostawić? nie, nie, nigdy! — wołała milady.

Naraz wyprostowała się, groźny ogień zabłysnął w jej oczach; pobiegła do stołu i wpuściła w szklanekę pani Bonacieux zawartość pierścienia, który otworzyła szybko.

Było to ziarno czerwone, które rozpuściło się natychmiast.

Ujęła szklanekę ręką pewną:

— Wypij — rzekła — to wino sił ci doda; wypij prędko.

Przytknęła szklanekę do ust młodej kobiety, a ta wypila bez oporu.

— A! nie tak pragnęłam się zemścić — rzekła milady z uśmiechem szatańskim, stawiając szklanekę na stole — lecz, na honor! trzeba robić, co można...

Po tych słowach uciekła z pokoju.

Pani Bonacieux patrzyła, nie mogąc już iść za nią; było z nią jak z tymi, którzy śnią, że ich ścigają, a oni napróżno wysilają się, aby powstać na nogi.

Tak przeszło kilka minut, wrzawa okrutna przysuwała się do drzwi; pani Bonacieux czekała na powrót milady.

Kilka razy, z trwogi zapewne, pot zimny zlewał jej czoło pałające.

Nareszcie usłyszała zgrzyt kraty żelaznej, rozmowa głośna coraz się zbliżała i pewna była, że słyszy imię swoje powtarzane. Krzyknęła radośnie i do drzwi się rzuciła, poznała bowiem głos kochanka.

— D'Artagnan! d'Artagnan! — wołała — czy to ty jesteś? Tutaj, chodź tutaj!

— Konstancjo! Konstancjo — odpowiedział młodzieniec — gdzie jesteś? na Boga!

W tejże chwili drzwi celi rozwarły się raptownie; kilku mężczyzn wbiegło do pokoju; pani Bonacieux upadła na fotel, prawie nieprzytomna.

D'Artagnan cisnął na ziemię pistolet, dymiący jeszcze, i rzucił się na kolana przed ukochaną; Athos swój za pas założył, a Porthos i Aramis chowali szpady do pochew.

— O! d'Artagnan! mój najdroższy! przybyłeś na koniec, nie zawiodłeś mnie, ty wierny mój przyjacielu.

— Tak, tak, Konstancjo, jesteśmy już razem!...

— O! *ona* ciągle mówiła, że nie przyjedziesz, ja jednak nie traciłem nadziei, nie chciałam uciekać: o! jak dobrze zrobiłam, jak jestem szczęśliwa!

Na ten wyraz *ona*, Athos, który siedział spokojnie, zerwał się na nogi.

— *Ona?* co za *ona?* — zapytał d'Artagnan.

— Moja towarzyszka, która z przyjaźni chciała mnie uchronić od prześladowania; ta sama która wzięła was za straż kardynalską i właśnie tylko co uciekła...

— Twoja towarzyszka! — zawołał d'Artagnan, blednąc, jak płótno — o jakiej towarzysze mówisz?

— O tej, której powóz stał przed bramą, która mówiła, że jest twoją przyjaciółką i że zwierzyłeś się jej ze wszystkiego.

— Jak ona się nazywa? — wołał d'Artagnan! na Boga! czy znasz jej nazwisko?

— O! wiem, słyszałem, jak o niej mówiono, czekaj... to dziwne... o mój Boże!... ciemno mi przed oczami...

— Do mnie przyjaciele! do mnie! ręce jej lodowacieją — zawołał d'Artagnan — mdleje, wielki Boże, straciła przytomność!...

Podczas gdy Porthos z całych sił wołał o pomoc, Aramis podbiegł do stołu po szklankę wody; zatrzymał się jednak; widząc straszną zmianę na twarzy Athosa, który, stojąc obok stołu, z włosom najeżonym, błędnym wzrokiem patrzył w jedną ze szklanek i zdawał się być pod wpływem podejrzeń okrutnych.

— O! — mówił Athos — nie, to niepodobna! Bóg niedopuszczyłby do podobnej zbrodni.

— Wody! wody! — krzyczał d'Artagnan.

— Nieszczęśliwa kobieta! — szepnął Athos.

Pani Bonacieux otworzyła oczy, wilgotne od pocałunków d'Artagnana.

— Przychodzi do siebie! — zawołał młodzieniec. — Dzięki ci: Boże!

— Pani — odezwał się Athos — pani, na imię Boskie, powiedz, kto pił z tej szklanki?

— Ja, panie... — odpowiedziała głosem gasnącym.

— Kto wino nalewał?

— *Ona*.

— Co za *ona*?

— A!... przypominam sobie, hrabina de Winter...

Czterech muszkietarów krzyknęło jednocześnie, lecz Athos najgłośniej. W chwili tej właśnie twarz pani Bonacieux stała się biała i przejrzysta, boleści straszne porwały ją... upadła na ręce Porthosa i Aramis. D'Artagnan w rozpaczy nieopisanej porwał za rękę Athosa.

— Jakto? — rzekł — przypuszczasz... — łkanie głos mu zatamowało.

— Wszystkiego się spodziewam — odparł Athos, przygryzając do krwi usta, by nie jęknąć.

— D'Artagnan! d'Artagnan!... — zawołała pani Bonacieux — gdzie jesteś? widzisz, że umieram!...

D'Artagnan opuścił rękę Athosa i podbiegł do niej. Sliczna twarzyczka młodej kobiety pokryła się trupią białością, oczy, jak szklane, patrzyły, nie widząc, drżenie konwulsyjne wstrząsnęło ciałem, pot kroplisty wystąpił na czoło.

— Na miłość Boską, biegnijcie, wołajcie ludzi. Porthos! gdy *ona* poda komu trucizny, niema już lekarstwa...

— Ratujcie! ratujcie!... — szepnęła pani Bonacieux.

Poczem, zebrawszy ostatnie siły, ujęła w dłonie głowę młodzieńca, popatrzyła w oczy, jak gdyby duszę oddać mu pragnęła i, płacząc, przycisnęła usta do ust jego.

— Konstancjo! droga Konstancjo!... — wołał d'Artagnan.

Lekkie westchnienie poczuł na ustach... to dusza Konstancji, czysta i kochająca, powracała do nieba...

D'Artagnan już tylko trupa trzymał w objęciach...

Nareszcie krzyknął przeraźliwie i padł na ziemię sztywny i błydy, równie jak jego ukochana! Porthos płakał; Aramis pięścią niebu wygrażał, Athos się przeżegnał.

W tej chwili właśnie mężczyzna jakiś stanął we drzwiach, tak błydy prawie, jak wszyscy zgromadzeni w pokoju. Potoczył okiem dokoła; ujrzał panią Bonacieux nieżywą, a d'Artagnana zemdlonego. Trafił na chwilę osłupienia, następującą po wielkich katastrofach.

— Nie omyliłem się — powiedział — oto pan d'Artagnan i jego trzech przyjaciele, panowie: Athos, Porthos i Aramis!

Przyjaciele patrzeli na nieznanego, zdziwieni; wszystkim trzem zdawało się, że go znają.

— Panowie — ciągnął nowoprzybyły — poszukujecie również, jak ja, kobiety, która — dodał z uśmiechem gorzkim — była tu z pewnością, bo widzę oto ślady jej przejścia...

Trzej przyjaciele oniemieli; głos i twarz nieznanego budziły w nich niejasne wspomnienia.

— Panowie — mówił dalej — ponieważ nie chcecie poznać człowieka, który wam podwakroć życie zawdzięcza, zmuszony jestem dopomóc waszej pamięci: jestem lord de Winter, szwagier owej kobiety...

Athos wstał i podał mu rękę.

— Witaj, milordzie — powiedział — domyślam się, że z nami trzymasz...

— Wyruszyłem w pięć godzin po niej z Portsmouth — odparł lord de Winter — przybyłem do Boulogne zapóźno; w Saint-Omer pięć minut tylko chybiłem; na koniec w Lilliers ślad jej straciłem. Szukałem wszędzie w okolicy, pytałem napotkanych w drodze; widziałem was, pędzących galopem, poznałem pana d'Artagnan... Wołałem na was, nie odpowiedzieliście; chciałem was dopędzić. lecz koń mój zmęczony ustawał. Pomimo pośpiechu, przybyliście jednak zapóźno.

— Przypatrz się, milordzie — rzekł Athos wskazując panią Bonacieux nieżywą i d'Artagnana, którego Porthos i Aramis starali się ocucić.

— Czy oboje nie żyją? — zapytał chłodno lord de Winter.

— Nie, na szczęście — odrzekł Athos — pan d'Artagnan zemdlął jedynie.

— A! tem lepiej — rzekł de Winter.

— D'Artagnan otworzył oczy, wyrwał się z rąk Porthosa i Aramisa, jak szalony, rzucił się na ciało kochanki.

Athos powstał i krokiem uroczystym podszedł do przyjaciela; uściśnął czule zanoszącego się od płaczu i rzekł głosem poważnym a serdecznym.

— Przyjacielu, bądź mężny: kobiety oplakują umarłych, mężczyźni mszczą się za nich...

— O!... tak — rzekł d'Artagnan — jeżeli idzie o pomszczenie śmierci tego anioła, gotów jestem pójść z tobą!

Athos skorzystał z chwili odwagi, jaką nadzieja zemsty natchnęła nieszczęśliwego młodzieńca i skinął na Porthosa i Aramisa, aby poszli po przelożoną.

Spotkali ją na korytarzu, wzruszoną i wylękłą wobec tylu wypadków niespodzianych; przywołała kilka zakonnic. które, wbrew regule klasztornej, znalazły się w obecności aż pięciu mężczyzn odrazu.

— Szanowna pani! — przemówił Athos, biorąc d'Artagnana pod rękę, — twoim staraniom polecamy zwłoki tej nieszczęśliwej kobiety. Była aniołem na ziemi, a teraz jest pewnie aniołem w niebie. Pochowaj ją pani, jak siostrę klasztorną; wrócimy kiedyś pomodlić się na jej grobie.

D'Artagnan ukrył twarz na piersiach przyjaciela i wybuchnął płaczem.

— Płacz — rzekł Athos — płacz!... serce pełne miłości, ognia i życia! Niestety, jakżebym pragnął móc tak, jak ty zapłakać!

I wyprowadził przyjaciela, czuły, jak ojciec, pocieszający, jak duchowny, a wielki jak człowiek, który dużo w życiu wycierpiał.

Poszli w pięciu wszyscy do miasta Bethune, aż zatrzymali się przed pierwszą napotkaną oberżą.

— Czy nie udamy się w pogoń za tym potworem? — zapytał d'Artagnan.

— Później — odparł Athos — muszę jeszcze załatwić niektóre sprawy.

— Jeżeli się nam wymknie — przerwał młodzieniec — to z twojej winy jedynie...

— Odpowiadam za nią — rzekł Athos.

Tak wielka była wiara d'Artagnana w słowa przyjaciela, że opuścił głowę i, nic nie mówiąc, udał się za nim do oberży.

Porthos i Aramis spojrzeli na siebie, nie rozumiejąc tej pewności Athosa. Lord de Winter sądził, że mówi on tak, aby ulżyć boleści d'Artagnana.

— A teraz, panowie — rzekł znów Athos, gdy go zapewniono, iż jest w oberży pięć wolnych pokojów — rozejdźmy się; d'Artagnan potrzebuje samotności, aby się wypłakać i przespać. Ja biorę na siebie odpowiedzialność za wszystko, bądźcie zatem spokojni.

— Zdaje mi się jednak — przemówił lord de Winter — jeżeli mamy wystąpić przeciw hrabinie, do mnie to należy: jest ona bowiem moją bratową.

— Mnie bardziej to dotyczy, — rzekł Athos — bo ona jest moją żoną...

D'Artagnan uśmiechnął się, poznał, że Athos pewny jest zemsty, kiedy wyjawiał tajemnicę swoją.

Porthos i Aramis spojrzeli na siebie, bladzi z przerażenia.

Lord de Winter zaś myślał, że Athos zmysły postradał.

— Idźcie, panowie, do siebie — rzekł Athos — a mnie działać pozwólcie. Widzicie teraz, że, jako mąż, mam do tego prawo niezaprzeczone. D'Artagnan, jeżeli nie zgubiłeś, oddaj mi papier, który wypadł z kapelusza owemu jeźdźcowi; na nim wypisana jest nazwa wioski...

— A!... — zawołał d'Artagnan — rozumiem — nazwa wypisana jej ręką.

— Poznajesz teraz — rzekł Athos — że jest Bóg w niebie!

ROZDZIAŁ XXXVII. CZŁOWIEK W CZERWONYM PŁASZCZU

Gniew i wściekłość Athosa przybrały charakter łagodniejszy, znamionujący w całym blasku zdolności umysłowe tego człowieka, zaprawdę wyższego.

Pochłonięty cały ważnością uczynionej obietnicy i przyjętej odpowiedzialności, ostatni poszedł do swego pokoju. Poprosił gospodarza o mapę prowincji, w której się znajdowali, i oglądał ją szczegółowo. Przekonawszy się, że cztery drogi prowadzą z Bethune do Armentières, przywołał czterech pacholków.

Planchet, Grimaud, Mousqueton i Bazin stawili się natychmiast i otrzymali polecenia jasne i szczegółowe.

Mieli wyjechać nazajutrz przededniem i udać się do Armentières, każdy inną drogą. Planchet, jako najsprytniejszy, powinien był jechać tą, którą udał się powóz.

Athos wziął do pomocy lokajów, ponieważ ci nie wzbudzają takich podejrzeń jak panowie, i znajdują więcej sympatji u tych, których się wypytują.

Co więcej, milady znała muszkietarów, a nie widziała nigdy pacholków, a przeciwnie oni znali ją doskonale.

Wszyscy czterej powinni byli zjechać się razem w Armentières o jedenastej rano; jeżeliby odkryli schronienie milady, trzech pozostanie, by jej pilnować, czwarty powróci i zaprowadzi czterech przyjaciół na miejsce.

Po wyjściu służących Athos wstał i wyszedł; była już dziesiąta; widocznie poszukiwał kogoś, aby o coś zapytać. Podeszedł do zapóźnionego przechodnia i kilka słów powiedział; zapytany cofnął się, przerażony, nic nie odpowiedział, tylko ręką wskazał. Athos dawał mu pół pistola, żeby szedł z nim, lecz odmówił.

Athos zapuścił się w wskazaną ulicę, doszedł do placu i znów się zatrzymał. Ponieważ tutaj spodziewał się spotkać kogoś, czekał zatem. Rzeczywiście, po chwili zjawił się jakiś człowiek. Athos powtórzył pytanie, lecz tak samo i tutaj trafił na upór: nie chciał mu towarzyszyć zapytany, ograniczył się tylko do wskazania ręką.

Szedł zatem w kierunku wskazanym i znalazł się na przedmieściu, położonem z przeciwnej strony, niż ta, którą wjechali do miasta. Tu znów nie wiedział, dokąd się udać.

Na szczęście spotkał żebraka, któremu obiecał talara. Żebrak na widok monety zdecydował się pójść.

Gdy doszli do skrzyżowania ulicy, wskazał mu w oddaleniu domostwo opuszczone; Athos udał się w tamtą stronę, a żebrak wziął jałmużnę i uciekł, jak mógł najprędzej.

Muskietier okrążył dom kilka razy, zanim odszukał drzwi, pomalowane na czerwono równie jak cały budynek. Ciemno było, cisza grobowa panowała w mieszkaniu.

Zapukał do drzwi. Usłyszał szmer niewyraźny, uchylono je i mężczyzna wysoki, blady, z czarnym zarostem, stanął na progu. Zamienili kilka słów po cichu i mężczyzna dał znak, że Athos wejść może. Muskietier skorzystał z pozwolenia.

Człowiek, którego Athos tak długo i z takim trudem poszukiwał, wprowadził go do swego laboratorium, gdzie właśnie zajęty był składaniem i umocowywaniem żelaznym drutem kości szkieletu.

Korpus był już gotowy: głowa jedynie leżała na stole.

Otoczenie wskazywało, że gospodarz domu uprawia nauki przyrodnicze: były tam słoje z węzłami, jaszczurki wysuszone, pęki ziół, dziko rosnących, wonnych zapełniały kąty

pokoju. Człowiek ten żył samotnie w domku opuszczonym.

Na zaproszenie gospodarza Athos usiadł obok niego.

Wtedy wyjaśnił mu, jakiej usługi wymaga; lecz nieznajomy cofnął się ze wstrętem i odmówił stanowczo. Athos dobył kawałek papieru, na którym było nakreślone parę słów, u spodu zaś podpis i wielka pieczęć.

Nieznajomy, przeczytawszy pismo, zobaczył podpis i pieczęć, skłonił się na znak, że gotów jest do posłuszeństwa.

Athos podniósł się, uklonił i wyszedł. O świcie przyszedł doń d'Artagnan z zapytaniem, co robić.

— Czekać — odpowiedział Athos.

Niedługo przełożona klasztoru przysłała z zawiadomieniem, że pogrzeb odbędzie się w południe. O trucicielce nic nie wiadano; musiała jednak uciekać przez ogród, rozpoznano bowiem ślady na piasku, furtkę ogrodową znaleziono zamkniętą, a klucz od niej widać zabrała.

W godzinie oznaczonej lord de Winter i czterech muszkietarów, udali się do klasztoru: wszystkie dzwony były w ruchu, kaplica otwarta, a kraty zamknięte.

Pośrodku chóru wystawiono zwłoki ofiary, przybrane w strój nowicjuszek. Po bokach chóru, poza kratami, zebrały się zakonnice i, nic widząc nikogo, i same niewidziane, łączyły śpiew swój ze śpiewem księży.

U progu kaplicy d'Artagnan zachwiał się i obrócił, szukając wzrokiem Athosa, lecz Athos znikł bez śladu.

Wierny swej myśli przewodniej, kazał się on zaprowadzić do ogrodu i, idąc za lekkimi śladami na piasku dotarł do furtki, prowadzącej do lasku, kazał ją otworzyć i zapuścił się w gęstwinię. Wtedy potwierdziły się jego przypuszczenia: powóz tędy przejeżdżał.

Athos szedł jakiś czas z wzrokiem, w ziemię utkwionym; od czasu do czasu napotykał plamy krwawe, jakie zapewne pochodziły albo z rany, zadanej człowiekowi, poprzedzającemu powóz, lub może który z koni otrzymał ranę od strzału muszkietarów. Po trzech kwadransach takiej drogi, o pięćdziesiąt kroków od Festubert, napotkał dużą plamę krwi i grunt, stratowany kopytami końskimi. Pomiędzy laskiem tym i kawałkiem ziemi znów ukazywały się ślady nóg kobiecych, powóz zatem tutaj się zatrzymał.

Tutaj więc milady wyszła z lasu i wsiadła do powozu.

Zadowolony z odkrycia, potwierdzającego podejrzenia, Athos powrócił do oberży, gdzie oczekiwał już Planchet.

Wszystko stało się, według przepowiedni Athosa.

Planchet jechał tą samą drogą, widział plamy krwawe i poznał także miejsce, gdzie konie stanęły.

Lecz dotarł dalej, niż Athos, bo do wioski Festubert i, pijąc tam w oberży, bez pytania, dowiedział się, że dnia poprzedniego o wpół do dziewiątej rano człowiek jakiś, towarzyszący damie, jadącej powozem pocztowym, zmuszony był zatrzymać się tamże, nie będąc w stanie jechać dalej. Opowiadał on, że złodzieje napadli ich w lesie, przyczem został ranny. Dama zmieniła konie na poczcie i pojechała dalej. Planchet odszukał pocztyljona i dowiedział się, że tenże odwiózł damę do Fromelles, skąd udała się do Armentieres. Planchet pojechał bliższą drogą i o siódmej rano był także w Armentieres.

Była jedna tylko oberża za stacją pocztową. Planchet udał się tam, jako lokaj, szukający służby. Rozgadał się z ludźmi miejscowymi i dowiedział się, że jakaś pani przybyła sama jedna o jedenastej wieczorem, wzięła pokój w oberży, kazała przywołać gospodarza i oświadczyła, że pragnie zamieszkać jakiś czas tutaj.

Planchet nie dopytywał się więcej. Pobiegł na miejsce umówione, zastał trzech pacholków na czatach, kazał im pilnować wszystkich drzwi oberży, a sam udał się do Athosa, któremu właśnie kończył zdawać relację, gdy przyjaciele jego powrócili. Smutni byli i zamyśleni, nawet słodka twarz Aramis chmurą się pokryła.

— Co teraz będziemy czynić?... — zapytał d'Artagnan.

— Czekać — odpowiedział Athos.

Bez odpowiedzi zawrócili i poszli, każdy do siebie.

O ósmej wieczorem Athos rozkazał konie posiadłać i uprzedzić lorda de Winter i przyjaciół swoich, że powinni gotować się do wyprawy.

Za chwilę wszyscy pięciu stanęli pod bronią. Obejrzeni ponabijali muszkiety. Athos wyszedł ostatni.

— Cierpliwości!... — rzekł — brakuje jeszcze kogoś.

Wszyscy obejrzeni się dokoła, nie mogąc poznać, kogoby im brakowało. Athos wskoczył na siodło.

— Czekajcie na mnie — powiedział — zaraz powrócę.

I ruszył z kopyta. Za kwadrans powrócił w towarzystwie mężczyzny z maską na twarzy, owiniętego w ogromny czerwony płaszcz.

Lord Winter i trzech muszkietierów spoglądali po sobie. Żaden z nich nie mógł objaśnić drugiemu, bo żaden nie wiedział kim jest ten mężczyzna. Pomyśleli jednak, że tak być powinno, skoro Athos tak postanowił.

O dziewiątej udali się drogą, którą powóz przejeżdżał.

Straszny był widok tych sześciu ludzi, pędzących w milczeniu, pograżonych w rozmyślaniach, jak rozpacz, cichych, jak przeznaczenie, nieubłaganych.

ROZDZIAŁ XXXVIII. WYROK

Noc była ciemna i burzliwa, horyzont okrył się chmurami, ani jedna gwiazdka nie widniała.

Przejechali w ciszy wioskę Festubert, a gdy przybyli do Herlier, Planchet, dowodzący orszakiem, zawrócił na prawo. Lord de Winter, Porthos i Aramis, próbowali zawiązać rozmowę z mężczyzną w płaszczu czerwonym, lecz ten na zapytania pochylał jeno głowę z szacunkiem i milczał.

Domyślili się nasi podróżni, iż nieznajomy miał powód zachowywać incognito i przestali go zaczepiać.

Ruszyli cwałem. Niedaleko za Fromelles burza wybuchła z wściekłością; okryli się płaszczami i ostatnie trzy mile przebyli podczas najstraszniejszej ulewy.

D'Artagnan zdjął kapelusz i płaszcz zrzucił; przyjemność mu sprawiała woda, spływająca po czole gorącym i po całym ciele, wstrząśaniem dreszczem gorączkowym.

Gdy mijali Goscal i zawracali do poczty, człowiek jakiś wystąpił z cienia drzew i z palcem na ustach stanął na środku drogi. Athos poznał Grimauda.

— Co słychać? — krzyknął d'Artagnan — czyżby uciekła z Armentières?

Grimaud kiwnął głową. D'Artagnan zgrzytnął zębami.

— Cicho d'Artagnanie — przemówił Athos — ja wziąłem wszystko na siebie, do mnie należy wybadać Grimauda.

— Gdzież ona jest? — zapytał.

Grimaud wyciągnął rękę w kierunku rzeki Lys.

— Daleko stąd?

Grimaud podniósł palec wskazujący, napół zgięty.

— Sama?...

Grimaud znów kiwnął głową.

— Panowie!... — rzekł Athos — ona jest sama, stąd o pół mili, w stronie, gdzie rzeka płynie.

— Prowadź nas, Grimaud — odezwał się d'Artagnan.

Grimaud poszedł przodem. Po pięciu minutach natrafili na strumień i wplaw go przebyli.

— Czy tam?.. — zapytał Athos.

Grimaud pokręcił głową przecząco.

— Cicho zatem! — rzekł Athos.

Pojechali dalej. Znów błyskawica rozdarła chmury; Grimaud wskazał ręką mały, odosobniony domek o sto kroków od przewozu. Świeciło się w jednym oknie.

— Jesteśmy u celu — rzekł Athos.

W tej chwili podniósł się z rowu cień jakiś, to Mousqueton: wskazywał ręką okno oświetlone.

— Ona jest tam — powiedział.

— Gdzie Bazin? — zapytał Athos.

— Gdy ja strzegę okna, on drzwi pilnuje.

— Dobrze — rzekł Athos — wierni z was słudzy.

Zeskoczył z konia, oddał lejce Grimaudowi; postąpił do okna, reszcie kazał drzwi otoczyć.

Żywopłot, na kilka stóp wysoki, okalał domostwo; Athos go przeskoczył i stanął pod oknem bez okiennic.

Przy świetle lampy widać było kobietę, otuloną szarym płaszczem, siedzącą na stołku przy ogniu dogasającym: łokcie oparła na brudnym stole, a głowę ukryła w dłoniach. Białych jak kość słoniowa.

W tejże chwili koń zarżał... milady podniosła głowę, zobaczyła bladą twarz w szybie okna i krzyknęła!...

Athos, widząc, że jest poznany, pchnął okno kolanem, aż szyby posypały się po ziemi, i jak duch zemsty, stanął w izbie. Milady do drzwi się rzuciła; bledszy i groźniejszy jeszcze, niż Athos, d'Artagnan stał już na progu.

Milady cofnęła się z okrzykiem.

D'Artagnan, sądząc, że chce uciekać, i bojąc się, aby znów nie uszła, wyjął pistolet; Athos go powstrzymał.

— Schowaj broń — rzekł — trzeba osądzić tę kobietę, a nie zamordować. Chwilkę cierpliwości, d'Artagnanie, a będziesz zadowolony. Panowie, wejdźcie, proszę.

Wszedł lord de Winter, Porthos, Aramis i człowiek w płaszczu czerwonym. Czterech pacholków strzegło drzwii okna. Milady padła na krzesło, z rękoma, jakby odegnać chciała marę straszną. Poznała szwagra i krzyknęła przeraźliwie.

— Czego żądacie?... — zawołała.

— Żądamy — rzekł Athos — Karoliny Backson, która najpierw nosiła nazwisko hrabiny de La Fere, następnie lady de Winter, baronowej Scheffield.

— To ja nią jestem — mruknęła wylekła — czego chcecie odemnie?...

— Pragniemy osądzić cię, według zbrodni twoich — rzekł Athos — wolno ci bronić się i niewinnic, jeżeli potrafisz. Panie d'Artagnan, wystąp najpierwszy, jako oskarżyciel.

D'Artagnan wysunął się naprzód.

— W obliczu Boga i ludzi — powiedział — oskarżam tę kobietę, iż otruła Konstancję Bonacieux, zmarłą wczoraj wieczorem.

Obrócił się do Porthosa i Aramisa.

— Świadczymy — odezwali się razem muszkietierowie.

D'Artagnan mówił dalej.

— W obliczu Boga i ludzi oskarżam tę kobietę o zamiar otrucia mnie samego winem, przyslanem z Villeroy, wraz z listem fałszywym, jakoby pochodziło od moich przyjaciół, a winem tem otrul się człowiek, nazwiskiem Brisemont.

— Świadczymy — rzekli jednym głosem Porthos i Aramis.

— W obliczu Boga i ludzi oskarżam tę kobietę, że namawiała mnie do zabicia barona de Wardes, a ponieważ nie mam na to świadka, osobiście zaświadczam. Skończyłem.

D'Artagnan odszedł na bok z Porthosem i Aramisem.

— Na ciebie kolej, milordzie!... — rzekł Athos.

Baron stanął na środku pokoju.

— Przed Bogiem i ludźmi — rzekł — oskarżam tę kobietę o zamordowanie księcia Buckingham.

— Księżę Buckingham zamordowany?... — krzyknęli jednym głosem zgromadzeni.

— Tak — odpowiedział baron — zamordowany!... Odebrałem wasze ostrzeżenie, kazałem zatrzymać tę kobietę i oddałem pod straż wiernego sługi... Obalamucila tego człowieka, włożyła mu sztylet do ręki, kazała zabić księcia — w tej chwili może i Felton płaci głową za zbrodnię tej furji piekielnej.

Sędziowie oniemieli, słysząc o zbrodniach, nieznanych im jeszcze.

— To nie wszystko — ciągnął lord de Winter — brat mój, który ją uczynił spadkobierczynią swoją, umarł nagle na dziwną chorobę, po jakiej na całym ciele zostają plamy sine. Siostró, powiedz, skutkiem czego mąż twój umarł?

— Okropność!... — zawołali Porthos i Aramis.

— Zabójczyni Buckingham, zabójczyni Feltona, zabójczyni brata mego, żądam sprawiedliwości nad tobą i oświadczam, jeżeli mi jej nie wymierzają, sam tego dokonam.

Lord de Winter stanął obok d'Artagnana, Ustępując miejsca innemu oskarżycielowi.

Milady opuściła głowę na ręce i starała się zebrać rozpierzchłe myśli.

— Na mnie teraz kolej — odezwał się Athos, drżąc, jak lew drży na widok węża jadowitego. — Pojąłem za żonę tę kobietę, gdy była młodą dziewczyną, wziąłem ją pomimo woli całej mojej rodziny; otoczyłem dostatkiem, dałem moje nazwisko; aż pewnego dnia przekonałem się, że jest piętnowana; ta kobieta ma wypalony kwiat lilji na lewym ramieniu!

— O!... — zawołała milady, powstając — gdzie jest trybunał, co wydał wyrok nikczemny, gdzie człowiek, który go wykonał?... nie znajdziecie jednego ani drugiego!

— Milcz! — odezwał się głos jakiś — ja na to odpowiem!

I człowiek w czerwonym płaszczu zbliżył się także.

— Kto ty jesteś?... kto ty jesteś?... — krzyknęła milady, skamieniała ze strachu, a włosy na głowie powstały jej, jak żywe.

Wszyscy spojrzeli na tego człowieka, nikt go nie znał, prócz Athosa, który także ze zdziwieniem patrzył, nie przypuszczając, że i ten należy do sprawy, jaką właśnie sądzili. Nieznajomy stanął naprzeciw milady i zdjął maskę z twarzy. Milady patrzyła czas jakiś z wzrastającą trwogą na twarz bladą, okoloną czarnym zarostem, na twarz obojętną i zimną, jak kamień; naraz zawołała, podnosząc się i cofając do ściany:

— O!... nie, nie, to widmo piekielne!... to nie on!... Ratunku! ratunku! — krzyczała głosem dzikim, odwracając się, jakby przez ścianę uciec pragnęła.

— Kat miasta Lille! — zawołała milady, czepiając się rękami muru, aby nie paść na ziemię.

Wszyscy ustąpili na stronę, człowiek w płaszczu czerwonym sam został na środku izby.

— Łaski!... łaski!... przebaczenia — krzyczała nędznica, padając na kolana.

Nieznajomy czekał, aż się uciszy.

— Powiedziałem panom, że mnie poznała!... — zaczął — tak, jestem katem miasta Lille, a oto moja historia:

— Ta kobieta była swego czasu młodą dziewczyną, równie piękną, jak obecnie. Była zakonnica w klasztorze Benedyktynek w Templemar. Młody ksiądz z sercem niewinnym i pełnym wiary, sprawował służbę kapelana klasztorowego; postanowiła zbałamucić go i dokonała swego... o!... onaby świętego uwiodła...

„Oboje wykonali śluby święte, nieodwołalne; stosunek ich zatem nie mógł trwać długo, a odkryty, mógł ich zgubić. Wymogła na nim, że uciekną w dalekie strony; do wykonania zamiaru, do przeniesienia się w inną część Francji, potrzeba było pieniędzy. Ksiądz skradł kielichy złote i posprzedawał; a gdy już wszystko przygotowali do ucieczki, wysłedzono ich i wpakowano do więzienia oboje.

W tydzień potem uwiodła syna dozorczy i wydostała się na wolność. Księdza skazano na dziesięć lat w kajdany i na piętnowanie. Byłem katem miasta Lille, jak powiedziała już ta kobieta, i musiałem piętnować winnego... a ten nieszczęśliwy... był moim bratem!...

Przysiągłem wtedy, że ta, co go zgubiła, spółniczka, co go do zbrodni popchnęła, otrzyma taką samą karę...

Nie wiedziałem, gdzie się ukryła, lecz ściagałem ją, pochwyliłem, związałem i wpałem na ramieniu znak upadający, tak, jak bratu mojemu...

Powróciwszy do Lille, dowiedziałem się, że brat mój umknął także, a mnie posądzono o współnictwo i zamknięto w więzieniu, dopóki się on nie znajdzie.

Nieszczęśliwy brat nie wiedział nic o wyroku; połączył się z kochanką, uciekli razem do Berry, a tam otrzymał małe probostwo... Ona uchodziła za jego siostrę...

Właściciel dóbr, gdzie było probostwo, ujrzał tę niby siostrę, zakochał się i zaprzagnął ją poślubić. Wtedy ona porzuciła przez siebie zgubionego, dla drugiego, którego zgubić miała... i została hrabiną de La Fere.”

Wszyscy spojrzeli na Athosa, który właśnie tak się nazywał, a on dał znak, że to, co kat mówi, prawdą jest rzetelną.

— „Brat mój — ciągnął tenże — oszalały z rozpacz, postanowił skończyć życie, odarte przez nią ze czci i szczęścia. Powrócił do Lille, a, dowiedziawszy się, że mnie skazano za niego oddał się sam w ręce sprawiedliwości i tegoż wieczora powiesił się w więzieniu.

Oto zbrodnia, o jaką ją oskarżam, oto przyczyna, dla której jest piętnowana”.

— Panie d'Artagnan — rzekł Athos — jakiej kary żądasz dla tej kobiety?

— Kary śmierci — odparł d'Artagnan.
— Milordzie de Winter — ciągnął Athos — jakiej kary żądasz dla tej kobiety?
— Kary śmierci.
— Panowie Portbos i Aramis, wy, którzy jesteście sędziami, jaką jej karę przeznaczacie?

— Karę śmierci — wyrzekli obydwoj głosem grobowym.

Athos wyciągnął ku niej rękę.

— Karolino Backson, hrabino de La Fère, milady de Winter, zbrodnie twoje znużyły ludzi na ziemi i Boga w niebie. Módl się, jeżeli potrafisz, albowiem skazana jesteś i umrzesz...

Na te słowa. nie pozostawiające żadnej nadziei, milady powstała i chciała mówić, lecz siły ją opuściły. Poczula silną rękę chwytającą ją za włosy i ciągnącą nieubłaganie, jak przeznaczenie: nie próbowała się opierać i wyszła, popychana przez kata.

Lord de Winter, d'Artagnan, Athos, Porthos i Aramis podążyli za nimi. Pachółkowie poszli za śladem panów, a izba została pusta, z oknem wybitym, z drzwiami, naoścież otwartymi i z lampą kopczą na stole.

ROZDZIAŁ XXXIX. ŚMIERĆ MILADY

Północ była prawie, księżyc poszczerbiony i krwawy po burzy minionej, wschodził poza miasteczkiem Armentières i oświecał ponuro domy i czarną sylwetkę dzwonnicy ze szczytem przejrzystym.

Nawprost rzeka Lys toczyła wody, a światło księżycy barwiło je kolorem miedzi roztopionej. Poza rzeką las odwieczny sięgał konarami obłoków i tworzył z nimi całość ponurą.

Na lewo majaczył młyn opustoszały, w którego ruinach puszczyk odzywał się złowrogo.

Przy drodze rosły rzadkie drzewa, niskie i nieforemne i wydawały się, jak karły złośliwe, czyhające na podróżnych i w tej godzinie duchów.

Od czasu do czasu horyzont oświecała błyskawica, to znów wąż ognisty, jak miecz olbrzymi, przecinał chmury, las czarny i wodę.

Powietrze duszne, bez wiatru, prawie przygniatało; dokoła cisza grobowa, droga ośliżgła po deszczu, i ziola, wydające zapach odurzający.

Dwóch służących prowadziło milady, trzymając ją pod ręce, kat szedł tuż za nią, a lord de Winter, d'Artagnan, Athos, Porthos i Aramis postępowali za katem.

Planchet i Bazin szli na ostatku. Prowadzono milady w stronę rzeki. Usta miała zamknięte, lecz oczy mówiły z nieopisaną wymową, błagając, każdego, co na nią spojrział.

W pewnej chwili przemówiła cicho do pachółków.

— Tysiąc pistoletów dla każdego z was za ułatwienie ucieczki, jeżeli zaś oddacie mnie waszym panom, to pamiętajcie!... mam niedaleko mścicieli, którzy drogo każą zapłacić za moją śmierć.

Grimaud zawahał się. Mousqueton drżał cały.

Athos posłyszał głos milady, przysunął się szybko, lord de Winter uczynił to samo.

— Odpędź tych ludzi — powiedział — mówiła do nich, nie można im ufać.

Przywołano Plancheta i Bazina, na miejsce Grimauda i Mousquetona.

Nad brzegiem rzeki kat przystąpił i związał milady ręce i nogi.

Wtedy wybuchnęła krzycząc:

— Podli! nędzni zbójce!... znęcacie się nad kobietą bezbronną; strzeżcie się, chociaż mi pomoc doraźna nie nadejdzie, będę jednak pomszczona...

— Tyś nie kobieta — rzekł Athos chłodno nie należysz do rodzaju ludzkiego, tyś szatan, zbiegły z piekła, którego wyprawimy tam, skąd przyszedł.

— O! wy notliwi!... — odparła milady — pamiętajcie! każdy, który dotknie jednego włosa z mej głowy, będzie także mordercą.

— Kat ma prawo zabijać, nie stając się przez to mordercą — rzekł człowiek w płaszczu czerwonym, uderzając ręką po mieczu — jest tylko ostatnim sędzią: „Nachrichter”, jak powiadają Niemcy, nasi sąsiedzi.

A ponieważ mówiąc to, krępował ją, milady krzyknęła po kilkakroć dzikim głosem, który rozległ się ponuro dokoła i zginął w głębi lasu.

— Jeżeli winna, jeżeli spełniłam zbrodnie zarzucane ryczała milady — prowadźcie mnie przed trybunał, nie macie prawa sądzić i potępiać!

— Proponowałem Tyburn — rzekł lord de Winter — czemuż nie chciałaś?

— Bo nie chcę umierać!... — ryknęła, szarpiąc się — bo za młoda jestem na to!...

— Ta, którą otruliś w Bethune, młodsza była, a jednak umarła — odezwał się d'Artagnan.

— Wstąpię do klasztoru!... zostanę zakonnica — rzekła milady.

— Byłaś w klasztorze — przerwał kat — i wyszłaś z niego na zgubę mojego brata.

Milady jęknęła przeraźliwie i padła na kolana.

Kat wziął ją pod rękę i chciał zanieść do łodzi.

— O Boże mój!... — zawołała — Boże mój! Więc chcesz mnie utopić?

Krzyczała tak rozdzierająco, że d'Artagnan, najzawziętszy z początku, nie mógł już słuchać; usiadł na pniu suchym: zatkał uszy rękami, a jednak słyszał wciąż skargi i groźby.

Znać było zaraz, że d'Artagnan jest najmłodszy...

— O! nie mogę patrzeć na te okropności — mówił — nie mogę pozwolić, aby kobieta skończyła w ten sposób!

Milady usłyszała i nadzieja w nią wstąpiła.

— D'Artagnan! d'Artagnan! — zawołała — wspomnij, że cię kochałam!

Młodzieniec powstał i podszedł ku niej.

Athos dobył szpady i zastąpił mu drogę.

— Jeśli krok jeden postąpisz, skrzyżujemy szpady.

D'Artagnan padł na kolana i modlił się.

— No dalej — mówił Athos — panie kacie, czyn swoją powinność.

— Z chęcią, panie łaskawy — odparł kat — albowiem przysięgam, jakem prawowierny katolik, tak mam przekonanie, że jestem sprawiedliwy, spełniając wyrok na tej kobiecie.

— To dobrze.

Athos zbliżył się do milady.

— Przebaczam ci — rzekł — wszystko złe, jakieś mi wyrządziła; przebaczam przyszość złamaną, honor stracony, miłość splamioną i zbawienie, którego nie dostąpię z powodu rozpaczki, w jakąś mnie pogrążyła. Umieraj w pokoju.

Lord de Winter przystąpił.

— Przebaczam ci — powiedział — otrucie brata, zabójstwo księcia Buckingham; przebaczam śmierć nieszczęśliwego Feltona i wszystkie zamachy na moją osobę. Umieraj w pokoju.

— A ja — rzekł d'Artagnan — proszę, przebacz pani, że przez zarożumiałość i podejście, niegodne szlachcica, wywołałem twoją zawziętość; ja w zamian przebaczam ci śmierć ukochanej i okrutną zemstę nade mną, przebaczam i płaczę nad tobą... Umieraj w pokoju.

— *I am lost*¹⁰!... — mruknęła milady po angielsku. — *I must die*¹¹.

Stanęła o własnych siłach, wyprostowała się patrząc dokoła płomiennym wzrokiem.

Nic nie ujrziała.

Nadstawiła uszu... — nic nie usłyszała.

Otoczona była wrogami jedynie.

— Gdzież mam umrzeć?... — zapytała.

— Po drugiej stronie rzeki — odpowiedział kat.

Wprowadził ją do łodzi i sam miał wsiadać, gdy Athos podał mu woreczek i z pieniędzy.

— Weź pan — rzekł — to zapłata za czynność twoją; niech wiedzą wszyscy, że postępujemy, jak należy.

— Dziękuję — odpowiedział kat — a teraz, niech pozna zbrodniarka, że nie rzemiosło moje, lecz spełniam powinność świętą.

I cisnął pieniądze w głąb rzeki. Łódka sunęła wolno, oświetlona bladym obłoczkiem. Widać było, jak do brzegu przybiła; dwie postacie rysowały się czarno na tle horyzontu.

¹⁰*I am lost* (ang.) — Zginęłam! [przypis tłumacza]

¹¹*I must die* (ang.) — Muszę umrzeć. [przypis tłumacza]

Milady podczas przeprawy zdołała rozwiązać powróż, krępujący nogi dopłynawszy do brzegu, wyskoczyła z łódki i poczęła biec szybko.

Grunt rozmiękły utrudniał ucieczkę, poślizgnęła się i padła na kolana. Straciła odwagę; pojęła na koniec, że niebo odmawia jej pomocy.

Ujrano wtedy z przeciwnego brzegu kata, podnoszącego ręce powoli; blask księżycy odbił się w ostrzu miecza szerokiego... ręce opadły... nastąpił zgrzyt stali i krzyk ofiary... potem tułów bez głowy osunął się na ziemię. Kat zdjął i rozpostarł płaszcz swój czerwony, złożył na nim ciało, dorzucił głowę, związał mocno, wziął na plecy i wsiadł do łodzi. Na środku rzeki stanął i, unosząc w górę ciężar, zawołał:

— Spełniła się sprawiedliwość Boska!...

Poczem cisnął trupa w nurty Lys.

W trzy dni potem czterech muszkietierów wróciło do Paryża; nie przedłużyli urlopu wcale i tego samego wieczora poszli złożyć wizytę panu de Tréville.

— No cóż, kochani panowie — pytał zacny dowódca — czy udała się wycieczka, dobrzeście się zabawili?

— Wyśmienicie!... — odpowiedział Athos za siebie i za swoich przyjaciół.

ROZDZIAŁ XL. ZAKOŃCZENIE

Dnia 6-go następnego miesiąca, król, wierny obietnicy, danej kardynałowi, wracał z Paryża do Roszelli, odurzony wieścią o zamordowaniu księcia Buckingham.

Królowa, chociaż uprzedzona, że człowiekowi przez nią ukochanemu grozi niebezpieczeństwo, gdy doniesiono jej o zgonie jego, zawołała niebacznie:

— To fałsz! przecież pisał do mnie!

Nazajutrz musiała uwierzyć strasznej nowinie; Laporte, jak wszyscy, zatrzymany w Anglii z rozkazu Karola I-go, przybył nareszcie i doręczył królowej ostatni smutny upominek od Buckingham.

Radość króla była wielka; nie ukrywał jej wcale wobec królowej. Ludwik XIII-ty, jak wszyscy ludzie słabego charakteru, nie odznaczał się szlachetnością ani delikatnością uczuć. Przeczuwał, że za powrotem do obozu popadnie znów w niewolę kardynała; a jednak powracał.

Dlatego też orszak królewski smutno wyglądał.

Czterej nasi przyjaciele jechali obok siebie, milczący, z głowami pospuszczanymi.

Athos tylko niekiedy prostował się, oczy mu świeciły, a gorzki uśmiech zjawiał się na ustach, lecz za chwilę, podobnie jak przyjaciele, wpadał w głęboką zadumę.

Gdy przybyli do jakiegokolwiek miasta i odprowadzili króla do przygotowanego mieszkania, usuwali się do kwatery lub do oberży i szeptali tylko pomiędzy sobą.

Pewnego dnia, gdy zostali tak w oberży przydrożnej, mężczyzna jakiś, jadący konno od Roszeni, stanął przed karczmą dla wypicia szklanki wina i spojrzął do wnętrza izby, gdzie przy stole siedzieli muszkietierowie.

— Hola! panie d'Artagnan — zawołał — czy to ciebie tam widzę?

D'Artagnan podniósł głowę i aż krzyknął z radości.

Człowiek, którego nazywał duchem swym prześladowczym, nieznajomy z Meung i z ulicy Grabarzy z Arras wołał na niego. Dobył szpady i do drzwi się rzucił.

Tym razem zamiast uciekać, nieznajomy zsiadł z konia i postąpił na spotkanie d'Artagnana.

— A! panie — rzekł młodzieniec — mam cię nareszcie, nie ujdiesz mi teraz.

— Nie mam wcale tego zamiaru, bo właśnie pana poszukuję; w imieniu króla, aresztuję cię!... Proszę oddać mi szpadę, uprzedzam, że chodzi tu o głowę pańską.

— Któż pan jesteś? — zapytał d'Artagnan, zniżając broń, lecz nie myśląc oddawać.

— Jestem kawaler de Rochefort — odpowiedział nieznajomy — koniuszy kardynała de Richelieu, i mam rozkaz odprowadzić pana do Jego Eminencji.

— Powracamy właśnie do Jego Eminencji — rzekł Athos, zbliżając się — można zatem zaufać panu d'Artagnan na słowo, iż uda się prosto do Roszelli.

— Mam rozkaz odstawić go pod strażą do obozu.

— My sami pilnować go będziemy, mój panie, pod słowem honoru; ale dajemy również szlacheckie słowo, że pana d'Artagnan samego nie puścimy.

Rochefort rzucił okiem w głąb izby, widział, że Porthos i Aramis stanęli przy drzwiach; był na łasce muszkietierów.

— Panowie! — odezwał się — jeżeli pan d'Artagnan odda szpadę i zaręczy słowem honoru, zadowolę się przyrzeczeniem panów, iż go odprowadzicie do kwatery kardynała.

— Masz pan moje słowo — rzekł d'Artagnan — a w dodatku oddaję szpadę.

— Lepiej to nawet dla mnie — dorzucił Rochefort — ponieważ muszę dalej jechać.

— Jeżeli do milady — odezwał się Athos — to na próżno, nie znajdziesz jej pan...

— Cóż się z nią stało? — zapytał żywo Rochefort.

— Wróć pan do obozu, dowiesz się tam o wszystkim.

Rochefort po namyśle postanowił usłuchać rady Athosa i zawrócił wraz z nimi. Ruszono więc w drogę.

Nazajutrz o trzeciej po południu stanęli w Surgères.

Kardynał oczekiwał tu Ludwika XIII-go.

Minister i król przesadzali się w czułościach, winszowali sobie szczęśliwego wypadku, jaki uwolnił Francję od wroga zajadłego, buntującego przeciw niej całą Europę. Poczem kardynał, uprzedzony przez Rocheforta o aresztowaniu d'Artagnana i, pragnąc zobaczyć się z nim corychlej, pożegnał króla, zapraszając, by obejrzał tamę morską, tylko co ukończoną.

Powróciwszy wieczorem do kwatery przy moście Kamiennym, kardynał zastał przy drzwiach d'Artagnana, bez broni i trzech muszkietarów uzbrojonych. Tym razem, ponieważ siłę miał po swej stronie, spojrzął na nich groźnie i dał znak ręką, by d'Artagnan udał się za nim.

— Czekamy na ciebie — odezwał się Athos, tak, by go kardynał usłyszał.

Eminencja zmarszczył brwi, przystanął na chwilę, nareszcie poszedł, słowa nie wyrzekłszy. D'Artagnan poszedł za nim, przyjaciele pilnowali drzwi. Kardynał wszedł do gabinetu i skinął na Rocheforta, aby d'Artagnana wyprowadził.

Rochefort uczynił, według rozkazu, poczem się oddalił.

D'Artagnan został sam na sam z kardynałem; poraz drugi stawał przed Richelieu, a sądził, że po raz ostatni.

Richelieu stał wsparty o kominiek, stolik go tylko przedzielał od młodzieńca.

— Wiedz o tem, mój panie — powiedział — że z mego rozkazu zostałeś aresztowany.

— Tak mi powiedziano, Eminencjo.

— Czy wiesz za co?

— Nie, Eminencjo, ponieważ jedyna rzecz, za którą mogłoby to nastąpić, nie jest wiadomą jeszcze Waszej Eminencji.

Richelieu spojrzął bacznie na młodego człowieka.

— Hola! — zawołał — co to ma znaczyć?

— Jeżeli, Eminencjo, raczysz mnie oświecić, jakie zbrodnie mi zarzucają, powiem następnie, czego dokonałem.

— Zarzucają ci zbrodnie, jakie zgubiły wyżej od ciebie postawionych, mój panie!

— Jakież to, Eminencjo? — zapytał d'Artagnan ze spokojem, wprawiającym w podziw nawet kardynała.

— Zarzucają ci, żeś korespondował z wrogami ojczyzny, podchwyciłeś tajemnice stanu, że starałeś się pokrzyżować plany dowódcy.

— Któż mi to zarzuca, Eminencjo? — rzekł d'Artagnan, który pewny był, że oskarżenie wyszło od milady — czy kobieta, piętnowana i sądzona kryminalnie, mająca jednego męża we Francji, drugiego w Anglii, kobieta, która otruła tego drugiego i mnie samego chciała otruć?...

— Co to znaczy? — krzyknął kardynał — o jakiej kobiecie mówisz?

— O milady de Winter, — odparł d'Artagnan — o której zbrodniach Wasza Eminencja nie wiedziałaś bezwątpienia, kiedyś ją zaszczycał swoim zaufaniem.

— Jeżeli jest ona zbrodniarką, zostanie ukarana.

— To już zrobione, Eminencjo.

— Kto ją ukarał?

— My...

— Czy uwięziona jest?

— Nie żyje....

— Nie żyje?... — powtórzył kardynał, nie mogąc dać temu wiary, — czyś ty powiedział, że ona nie żyje?

— Potrzykroć na moje życie nastawała, przebaczałem jej, wkońcu zabiła kobietę, którą kochałem!... Wtedy ja i moi przyjaciele pojmałiśmy ją, osądzili i ukarali.

D'Artagnan opisał otrucie pani Bonacieux w klasztorze Karmelitek w Bethune, sąd, jaki nad milady uczynili i egzekucję na brzegu rzeki Lys. Kardynał niełatwo czem się przerażał, zadrżał jednakże.

Lecz naraz, pod wpływem jakby myśli tajemnej, oblicze Jego Eminencji, groźne dotąd, rozjaśniło się i przybrało wyraz pogodny.

— A zatem — rzekł głosem łagodnym, niestosownym do słów ostrych, jakie wypowiadał — przybraliście rolę sędziów, zapominając, że ci, co nie posiadając prawa, karę wymierzają, równają się zabójcom.

— Eminencjo, przysięgam, iż nie myślę bronić głowy mojej. Poniosę karę, jaką mi Wasza łaskawość przeznaczy. Nie dbam o życie, a zatem śmierci się nie boję.

— Wiem o tem, jesteś człowiekiem odważnym — rzekł kardynał prawie z uczuciem — mogę ci zatem oznajmić, że będziesz sądzony, a nawet skazany...

— Kto inny odpowiedziałby, że ma w kieszeni ulaskawienie, ja zaś powiem jedynie: rozkazuj Eminencjo, przygotowany jestem na wszystko.

— Masz ulaskawienie?

— Tak, Eminencjo.

— Z czyim podpisem? z królewskim? — Ostatnie słowa wymówił kardynał z pogardą.

— Z podpisem Waszej Eminencji.

— Z moim? zwarzowałeś chyba, mój panie!

— Wasza łaskawość pozna zapewne pismo swoje.

D'Artagnan podał kardynałowi papier drogocenny, wydarty milady przez Athosa i dany przyjacielowi, aby mu za tarczę służył.

Eminencja wziął papier i czytał wolno i dobitnie

„Z mojego rozkazu posiadacz tego papieru uczynił to, co uczynił.

W obozie pod Roszellą, 5 sierpnia 1628 r.

Richelieu”.

Po przeczytaniu kardynał popadł w zadumę.

— Rozmyśla, jaki rodzaj śmierci wybrać dla mnie mówił d'Artagnan — otóż, na honor!... zobaczy, jak umiera prawdziwy szlachcic.

Richelieu rozmyślał ciągle i obracał papier w ręce.

Nakoniec podniósł głowę, wlepił wzrok orli w tę twarz uczciwą, otwartą i rozumną, wyczytał w rysach, łzami pooranych, cierpienia, jakie znosił od miesiąca i pomyślał po raz trzeci, a może i czwarty, że to dziecko dwudziestojednoletnie długą ma przyszłość przed sobą, a przedsiębiorczość jego, odwaga i rozum, pod dobrym kierunkiem, dużo mogą przynieść korzyści.

Z drugiej znów strony zbrodnie, chęć panowania i spryt piekielny milady przerażały go już nieraz... Uczuwał radość z pozbycia się współniczki tak niebezpiecznej.

Podarł powoli papier, który mu d'Artagnan oddał z takim zaufaniem.

— Oho! zginałem!... — myślał młodzieniec. Pochylił się nisko przed kardynałem, jak człowiek, który mówi:

„Dziej się wola Twoja, Panie.”

Richelieu podszedł do stołu i, nie siadając, napisał kilka wierszy na pergaminie, w dwóch trzecich już zapisanym i położył swoją pieczęć.

— To wyrok na mnie — pomyślał d'Artagnan — oszczędza mi nudów w Bastylji i procesu rozwlekłego. Bardzo to grzecznie z jego strony.

— Zabrałem list bezpieczeństwa — odezwał się kardynał — lecz daję ci natomiast inny... Brakuje nazwiska w tym dyplomie, sam je musisz dopisać.

D'Artagnan wziął papier nieśmiało i spojrział. Była to nominacja na namiestnika w kompanji muszkietierów.

— Ekscelencjo!... — zawołał, padając do nóg kardynałowi — życie moje do ciebie należy, rozporządzaj niem podług woli... nie zasłużyłem na łaskę, jaką mi wyświadczasz: posiadam trzech przyjaciół zasłużeńszych, godniejszych...

— Zacny z ciebie chłopak, d'Artagnanie — przerwał kardynał, klepiąc go po ramieniu, uszczęśliwiony, że zwalczył nareszcie naturę niesforną. — Zrób z dyplomem, co ci się podoba. Pamiętaj jednak, że chociaż nazwisko nie wymienione, *ja tobie go daję*.

— Nie zapomnę nigdy!... — odparł d'Artagnan. — Wasza łaskawość może być pewny....

Kardynał odwrócił się i zawołał:

— Rochefort!

Hrabia musiał być tuż, bo wszedł natychmiast.

— Rochefort — mówił kardynał — oto pan d'Artagnan, którego zaliczam odtąd do przyjaciół moich. Podajcie sobie ręce i życie w zgodzie, jeżeli wam życie miłe.

Rochefort i d'Artagnan pocałowali się końcem ust; kardynał mierzył ich okiem badawczym. Wyszli jednocześnie.

— Spotkamy się jeszcze, prawda, mój panie?

— Kiedy tylko pan zechcesz — rzekł d'Artagnan.

— Znajdzie się sposobność — dodał Rochefort.

— Co mówicie?.. — zawołał za nimi kardynał.

Rochefort i d'Artagnan uśmiechnęli się do siebie, ścisnęli za ręce i pokłonili Jego Eminencji.

— Zaczynaliśmy się już niecierpliwić — rzekł Athos, gdy d'Artagnan powrócił.

— Otóż jestem, drodzy przyjaciele!... — odparł d'Artagnan — nietylko wolny, lecz nawet w łaskach...

— Opowiesz nam wszystko?

— Dziś wieczorem.

O zmroku d'Artagnan udał się do Athosa, którego zastał wypróżniającego butelkę wina hiszpańskiego, co religijnie spełniał każdego wieczora. Opowiedział mu, co zaszło pomiędzy nim i kardynałem.

— Masz, kochany Athosie — powiedział, wyjmując dyplom z kieszeni — to ci się sprawiedliwie należy.

— Przyjacielu — odrzekł Athos — dla Athosa to zawiele, dla hrabiego de la Fère za mało. Schowaj dyplom dla siebie... niestety, Bóg widzi, żeś go drogo okupił.

D'Artagnan pożegnał Athosa i udał się do Porthosa.

Zastał go we wspaniałym ubraniu, lśniącym od haftów złocistych, przeglądającego się w lustrze.

— A! a!... — zawołał Porthos — to ty, drogi przyjacielu, jak uważasz, czy dobrze mi w tem ubraniu?

— Doskonale — odparł d'Artagnan — lecz przyszedłem zaproponować strój, w jakim ci będzie jeszcze lepiej.

— Jakież to?... — zapytał Porthos.

— Mundur namiestnika muszkietierów.

I znów opowiedział spotkanie z kardynałem, a wyciągając dyplom z kieszeni:

— Weź to, mój drogi — rzekł — wypisz swoje nazwisko i bądź dla mnie szefem łaskawym.

Porthos spojrział na dyplom i ku wielkiemu zdziwieniu młodego człowieka, oddał mu go napowrót.

— Tak — powiedział — pochlebiałoby mi to bardzo, lecz nie mógłbym tą łaską cieszyć się długo. Podczas naszej wyprawy do Bethune, mąż mojej księżnej rozstał się z tym światem. A zatem, drogi przyjacielu, ponieważ szkatuła nieboszczyka wyciąga ku mnie ręce, żenię się z jego wdową. Właśnie przymierzam ubranie ślubne, zachowaj dla siebie namiestnikostwo mój kochany...

I oddał dyplom d'Artagnanowi.

Młodzieniec poszedł do Aramisa.

Zastał go na kolanach przed ołtarzykiem, z czołem, wspartem na otwartej książce do modlitwy.

Po raz trzeci wyciągnął dyplom z kieszeni.

— Przyjacielu nasz, światło nasze, opiekunie i protektorze niewidzialny — powiedział — przyjmij ten dyplom, zasłużyłeś na niego więcej, niż ktokolwiek, mądrością i radami, jakie nam zawsze na dobre wychodziły.

— Niestety! drogi przyjacielu — rzekł Aramis — ostatnie wypadki zniechęciły mnie zupełnie do świata i do służby wojskowej, Postanowienie moje tym razem jest niewzruszone: po ukończeniu oblężenia wstąpię doLazarystów. Zatrzymaj dyplom dla siebie, rzemiosło wojskowe przystoi ci najlepiej, będziesz dzielnym i przedsiębiorczym dowódcą.

D'Artagnan ze łzami wdzięczności i radością w sercu powrócił do Athosa; zastał go przy stole, oglądającego pod światło ostatnią lampkę madery.

— Otóż widzisz — odezwał się — oni także odmówili!... Bo nikt nad ciebie nie jest godniejszy tego zaszczytu.

Athos wziął pióro, wypisał na dyplomie nazwisko d'Artagnana i podał mu z uśmiechem.

— Nie będę już miał koło siebie przyjaciół — rzekł młodzieniec — nic, nic, tylko gorzkie wspomnienia...

Opuścił głowę a łzy twarz mu zalały.

— Młody jesteś — przemówił Athos — gorzkie wspomnienia twoje mogą jeszcze zamienić się na słodkie...

EPILOG

Roszella, pozbawiona pomocy floty angielskiej i wojska, przyobiecane przez Buckingham, poddała się po całorocznym oblężeniu i 28-go października 1628 roku podpisano kapitulację.

Król powrócił do Paryża tegoż roku. Przyjmowano go triumfalnie, jak gdyby zwyciężył wrogów, nie zaś Francuzów.

D'Artagnan objął swoje stanowisko. Porthos rzucił służbę i w ciągu roku ożenił się z panią Coquenard.

Kufer, tyle pożądaný, zawierał 800, 000 liwrów.

Mousqueton otrzymał wspaniałą liberję, i dostąpił satysfakcji, o jakiej całe życie marzył, to jest: stał poza karetą złoconą.

Aramis, po odbyciu podróży do Lotaryngji, przepadł gdzieś nagle, a nawet przestał korespondować z przyjaciółmi. Dowiedziano się później przez panią de Chevreuse, która powiedziała o tem dwum czy trzem kochankom swoim, iż oblókł habit w jednym z klasztorów w Nancy.

Bazin został braciszkiem klasztornym.

Athos służył w muszkietarach pod rozkazami d'Artagnana, aż do roku 1631, kiedy, w następstwie podróży do Turenji, porzucił także służbę pod pretekstem, że odziedziczył niewielki majątek. Grimaud poszedł za Athosem.

D'Artagnan bił się trzy razy z Rochefortem i trzy razy go ranił.

— Zabiję cię prawdopodobnie przy czwartym spotkaniu — powiedział, podnosząc go z ziemi.

— Lepiej będzie dla mnie i dla ciebie, jeżeli przestaniemy na tem, co jest — odrzekł raniony. — Cóż, u djabła, nie domyślasz się, że jestem przyjacielem twoim? od pierwszego pojedynku bowiem, gdybym był szepnął słówko kardynałowi, mógłbym cię być na tamten świat wysłać.

Uścisnęli się tym razem naprawdę serdecznie.

Planchet otrzymał od Rocheforta stopień sierżanta.

Pan Bonacieux żył spokojnie, nie wiedząc nic, co się stało z żoną i nie turbując się tem wcale.

Pewnego dnia, przyszło mu do głowy przypomnieć się kardynałowi; Richelieu kazał mu odpowiedzieć, iż postara się, aby mu odtąd na niczem nie zbywało.

I rzeczywiście, nazajutrz pan Bonacieux, wyszedłszy z domu wieczorem o siódmej, aby się udać do Luwru, nie pokazał się już więcej na ulicy Grabarzy. Dobrze poinformowani utrzymywali, że dostał mieszkanie i utrzymanie w jednym z zamków królewskich, na koszt wspaniałomyślnego kardynała de Richelieu.

Koniec¹²

¹²Dalszy ciąg opowiadania o „Trzech Muszkietierach” znajdą czytelnicy w romansie pod tytułem: *W dwa-dzieścia lat później*. [przypis autorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/aleksander-dumas-trzej-muszkietierowie-tom-2/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Dumas (ojciec), *Trzej muszkietierowie*, Tom II, Nakł. Biblioteki Rodzinnej, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Søren Niedziella@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0594-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.